

ŻEBY TWOJA CÓRKA MOGŁA ŻYĆ,
JEJ DZIECKO MUSI UMRZEĆ

ŻYCIE ZA ŻYCIE



ALEX DAHL

FILIA

ALEX DAHL

**ŻYCIE
ZA
ŻYCIE**

Przełożyła
Emilia Skowrońska

FILIA

Dla Oscara i Anastasii

Łzy pochodzą z serca, a nie z mózgu.
Leonardo da Vinci

CZEŚĆ I

Rozdział 1

Alison

Budzę się cały czas, o ile w ogóle zasypiam. Budzik wyświetla godzinę na ścianie po stronie Sindrego, a ja leżę i wpatruję się w dwie pulsujące kropki między cyframi. Jest tuż po drugiej w nocy, a Sindrego nie ma. Był tutaj, kiedy zasnęłam. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wysuwam rękę spod ciepłej kołdry i głaszczę chłodne, puste miejsce, w którym powinien znajdować się mój mąż.

Kilka nocy temu stało się to samo. Nagle obudziłam się ze snu, którego nie pamiętałam, i znalazłam się w tym czarnym, cichym pokoju. Zamrugałam kilka razy, próbując dostrzec w ciemności zarys dużego ciała Sindrego – nie chciałam go dotykać, żeby nie pomyślał, że czegoś chcę – nie byłabym w stanie znieść jego ciepłych, uważnych dłoni na mojej skórze. Dopiero po kilku chwilach zorientowałam się, że go nie ma. Wstałam z łóżka i usiadłam na parapecie, spojrzałam na las i teren poza nim, na światła miasta wznoszące się na wzgórzach, wyruszające na spotkanie gwiazdom. Jak na początek października była to bardzo chłodna noc, pomarańczowy księżyc wisiał nisko nad Tryvannem. Cieszyłam się, że mojego męża nie ma – dobrze było chociaż przez kilka chwil nie musieć udawać snu.

Już miałam wrócić do łóżka, gdy dostrzegłam jakiś ruch między drzewami naprzeciwko domu, z boku zwirowej drogi. Delikatnie odsunęłam się od okna, gdy Sindre wyszedł z lasu w jasnoniebieskiej koszuli schowanej niedbale w spodnie i swych drogich skórzanych mokasynach. Na piersi miał plamę błota. Przez kilka sekund stał na ukośnej przestrzeni między domem a samochodem, tak jakby nie potrafił zdecydować, czy wrócić do środka, czy odjechać. Odwrócił się w kierunku domu, w stronę miejsca, w którym stałam, i dopiero wtedy zobaczyłam jego twarz, wykrzywioną w okropnym, niemalże

nierozpoznawalnym grymasie. Gdyby mężczyzna stojący przed naszym domem nie miał na sobie ubrań mojego męża, chyba bym go nie rozpoznała.

Wrócił tam dzisiaj wieczorem? Podnoszę się z parapetu i przez chwilę stoję przy oknie. Dzisiejsza noc jest burzowa, z szarymi chmurami i silnym wiatrem, ganiającym liście po ogrodzie. Las rozpoczyna się na końcu naszego trawnika, widzę mgłę, która przyłącza się do wiatru w półprzezroczystych kręgach. Spacer po tym lesie sprawia przyjemność, można słuchać wiatru, który porusza trzeszczącymi gałęziami, wpuścić chłodną noc do wnętrza siebie, wdychać wilgotne powietrze aż do żołądka. Mogłoby to choć na chwilę załagodzić palenie. Wyteżam wzrok i skupiam się na miejscu, z którego wyłonił się Sindre innego wieczoru, ale ponieważ księżyc nie świeci, nie jestem w stanie odróżnić kształtu mężczyzny od drzewa, nawet jeśli rzeczywiście ktoś tam stoi. Mógłby stać przede mną i na mnie patrzeć, a ja bym go nie widziała.

Podchodzę do drzwi i nasłuchuję, a potem je uchylam. W tym domu rzadko panuje cisza – jakby z wnętrza jego ścian rozbrzmiewał słaby szum, bas wszystkich dźwięków wydawanych przez naszą rodzinę – dzisiaj jednak jest cicho. Przystaję na półpiętrze, oczy szczypią mnie w jasnym świetle rzucanym przez lampy, próbuję dosłyszeć ten pocieszający pomruk, ale bezskutecznie. Patrzę na drzwi pokoju Amalie i poraża mnie dzikie przerażenie wywołane tym, co znajduje się za nimi. W żołądku szaleją płomienie, tak jakby chciały zająć wszystkie mroczne korytarze w moim wnętrzu. Ściskam się za brzuch i zmuszam się do odwrócenia wzroku od drzwi Amalie. Próbuję pomyśleć o czymś, co mogłabym policzyć, i do głowy przychodzą mi tylko schody. Siedemnaście. Siedemnaście stopni, dam radę. Mogę zejść na dół, nalać sobie trochę wody, a potem wrócić na górę, minąć pokój Olivera, minąć pokój Amalie, tak po prostu; dam radę, robiłam to już wcześniej, teraz mam tylko kiepską noc, to wszystko, a gdy wrócę na górę, wezmę tabletkę z nocnego stolika i chociaż odpoczynek nie będzie prawdziwy, czeka mnie tępy, pozbawiony snów letarg.

W kuchni stoję przy zlewie w ciemności. Teraz słyszę ten pomruk domu. Cały czas trzymam się za brzuch, tak jakby tylko dzięki temu moje wnętrzności miały nie wypaść. Palenie zanika, teraz zamienia się w coś w rodzaju rdzy – tak jakbym przegryzła baterię.

Ostre zaburzenia lękowe, mówi lekarz.

Hej, misiaczku, szepczę. Założę się, że widzisz mnie teraz, nawet jeśli ja nie mogę zobaczyć ciebie. Jeśli mnie słyszysz, możesz dać mi jakiś znak, jakikolwiek, najmniejszy? Talerz, który spada na podłogę, światło, które nagle

się zapala, jakieś zwierzę, które zaczyna wyc na zewnątrz? Zobaczyłabym cię w tych odłamkach szkła, w tym jasnym świetle, usłyszałabym cię w dźwięku... Znak, kochanie, mój ukochany aniołku, proszę, przemów do mnie...

Gdzieś nagle zapala się światło – kwadratowy rozbryzg z niego wpada przez okno i rozlewa na podłodze za mną. Natychmiast łapię się oburącz zlewu, moje serce wali tak mocno, że ledwo jestem w stanie oddychać. Chcę otworzyć usta, by ponownie wypowiedzieć jej imię, ale nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Pochylam się w stronę okna i uświadamiam sobie, że światło wpada ze strony garażu po drugiej stronie wąskiej drogi.

Sindre stoi się przy blacie roboczym, który biegnie wzdłuż całej ściany garażu. To właśnie tam zazwyczaj stoi zimą, cierpliwie smarując narty biegowe naszej rodziny – najpierw wąskie narty wyścigowe Olivera, potem jego własne, potem moje dla początkujących, a na koniec krótkie, szerokie narty Amalie z iskrzącymi się kryształkami śniegu i rozciągającą się ku czubkom twarzą Królowej Elsy. Stoję w przestrzeni między domem a garażem, próbuję oprzeć się wiatrowi, który jest o wiele silniejszy, niż myślałam, i widzę te małe narty wiszące wysoko na ścianie. Sindre stoi do mnie plecami, mogę jednak dostrzec większość tego, co znajduje się na blacie. Mój mąż porusza się dziwnie, raz szybko i gwałtownie, raz powoli i płynnie, i trochę czasu zajmuje mi uświadomienie sobie, że poleruje broń. Odłącza lunetę od długiej matowej strzelby, trzyma lunetę pod światło, a następnie wyciera soczewkę czerwoną szmatką. Za kilka tygodni wyjeżdża na polowanie na łosie. Wyleciało mi to z głowy. Wyjeżdża co roku o tej samej porze – oczywiście musi się do tego przygotować.

Za rogiem domu zaczyna lać deszcz, kłuje mnie boleśnie w twarz i dłonie, jeszcze mocniej owijam się swetrem, ale jest mi i tak zimno i może wydobywam z siebie cichy krzyk, bo Sindre nagle się odwraca i podchodzi do wąskiego okna, by wyrzeć na zewnątrz. Nie wiem dlaczego, ale przyciskam się do ściany obok okna, żeby mnie nie widział. A przecież mogłabym zapukać cicho do drzwi, wejść do garażu i przytulić mego męża od tyłu. Mogłabym zaproponować mu kawę – nie wyobrażam sobie, żeby tej nocy któreś z nas wróciło jeszcze do łóżka. Ale tego nie robię. Stoję w przejściu, patrzę, jak ostrożnie rozkłada i składa dwie strzelby, jak wyciera ściereczką wszystkie zagłębienia i otwory. Gdy kończy, z wiszącej nad jego głową półki zdejmuje kartonowe pudło.

Wygląda jak nijakie brązowe pudełko po butach. Otwiera je, wyjmując gazetę, kawałek kuchennego ręcznika, a potem jakiś przedmiot.

Z początku nie wiem, co to jest, bo ma niewielkie wymiary, a ponieważ Sindre stoi tyłem do mnie, częściowo blokuje mi widok. Odkłada to coś i robi kilka kroków w prawo, pewnie żeby wziąć coś innego. Teraz już wiem, co to jest – stalowoszara krótka broń palna, której nigdy wcześniej nie widziałam. Otwiera kolejne pudełko, to jest mniejsze, i wyjmując z niego kilka nabożów. Podnosi jeden z nich pod światło i go ogląda, a potem wkłada do komory. To samo robi z pozostałymi nabożami.

Czasami myślę o innym życiu Sindrego, życiu, które wiódł przede mną. Przed naszą rodziną. Wyobrażam go sobie takim, jaki wtedy był: w wojskowym hełmie i mundurze, biegającego po górach Hindukusz i Badachschan, otaczającego najbardziej poszukiwanych przestępców wojennych i terrorystów na świecie. Ukrywał się w jaskiniach i chatach pasterzy, pił wodę z niesamowicie czystych górskich potoków i stopniowo zbliżał się do celu, aż wreszcie był tak blisko, że mógł go zdjąć. Widzę go, mrużącego jedno oko i wpatrującego się w celownik, patrzącego na męską głowę, kładącego pewnie palec na spuście i wymierzającego precyzyjny, stłumiony strzał. Nigdy go nie pytałam, ile zabił osób. Nazywa to neutralizowaniem. Nie wiem, czy wie, ile osób. Czy w ogóle prowadził takie statystyki? Ja z pewnością bym prowadziła.

Życie, które Sindre prowadził przede mną i naszą rodziną, zdaje się być niemal niemożliwym kontrastem do życia, które wiodłam ja: dorastałam w rejonie Zatoki San Francisco, potem podróżowałam po świecie – najpierw dla zabawy, a później dla pracy, pisałam felietony do błyszczących czasopism i dodatków do gazet. Przeprowadziłam wywiady z szefowymi państw od Nowej Zelandii po Islandię, badałam subkultury narkotykowe w południowoamerykańskich więzieniach dla kobiet i przyglądałam się rosnącej konsumpcji wina na podstawie obserwacji amerykańskiej klasy średniej. Kiedy Sindre podróżował, to do Iraku, Afganistanu, Pakistanu – miejsc, w których miał zabijać.

Ponownie podnosi broń, waży ją w dłoniach, odwraca i delikatnie się do niej uśmiecha. Przychodzi mi do głowy, że być może wkrótce jej użyje, że może szybko przyłożyć ją do skroni i wypalić. Nadal nie wchodzę do środka, stoję i patrzę. Po co mojemu mężowi pistolet? Rozumiem, że musi trzymać strzelby na polowania, nie wyobrażam sobie jednak, do czego byłaby mu potrzebna broń krótka. Może trzyma ją od zawsze, tylko mi o tym nie wspominał? Nie wiem

o nim wielu rzeczy i ta aura tajemniczości, która zdaje się wrodzona, była jedną z cech, które przyciągały mnie do niego najbardziej.

Sindre odkłada broń z powrotem do pudełka, a pudełko wstawia na półkę. Przez chwilę stoi przy blacie nieruchomo i ze zwieszoną głową. Patrzą na jego dłonie – w słabym świetle wyglądają na miękkie i niewinne. Może on myśli to samo, bo podnosi je w stronę światła i obserwuje, kilka razy je odwraca. Potem składa je w takim samym geście, jak wtedy, gdy po raz pierwszy trzymał nasze dziecko, jeszcze śliskie, prosto z mojego łona – jedna dłoń pod pupą, druga pod główką. Odwracam się od niego, patrzę na liście wirujące obok moich stóp. Gdy ponownie podnoszę wzrok, Sindre przygląda się wnętrzu swoich dłoni, tak jakby zastanawiając się, do czego są zdolne. Wracam do domu.

Leżę w łóżku od niecałych pięciu minut, gdy drzwi cicho się otwierają. Jeśli mąż dotknie mojej twarzy lub dłoni, poczuje chłód skóry i zorientuje się, że byłam na zewnątrz. Ale mnie nie dotyka. Kładzie się na łóżku i oddycha głośno i miarowo, tak jakby już spał. Dziwnie pachnie, jak połączenie metalu i mokrej ziemi, i zakładam, że to zapach oleju do polerowania broni. Nagle pragnę, żeby mnie dotknął – chcę poczuć, jak jego cudownie miękkie dłonie powoli głaszczą mnie po włosach, zjeżdżają w dół do szyi, potem do piersi, znowu do szyi, potem są w dole kręgosłupa... Powoli odwracam się w jego stronę i kładę dłoń w miejscu między nami. Przestrzeń ta jest szeroka i zniechęcająca. Przykładam rękę do dolnej części jego pleców, pod wpływem mojego dotyku czuję delikatne drgnięcie. Wkładam rękę pod koszulkę i delikatnie kreślę kółka na jego skórze, on jednak nie reaguje na moją pieszczotę ani nie odwraca się w moją stronę. Wreszcie cofam dłoń i przyciskam ją do piersi, tak jakby dotykanie go sprawiło mi ból.

Mamusiu, czy kiedykolwiek było ci przykro z powodu tego, co się jeszcze nie wydarzyło, na przykład tego, że będę duża?

Tak. Oczywiście.

Dlaczego?

Bo wtedy nie będziesz mnie już potrzebowała, będziesz niezależna i pyskata i zbyt wyluzowana, by zadawać się ze swoją starą matką.

Mamusiu, tak się nigdy nie stanie!

Chodź tutaj i przytul swoją mamę, misiaczku.

Z obu stron!

Dobrze, z obu stron.

Mamusi, co byś zrobiła, gdybyś mnie nie miała?

Serce by mi pękło.

Serca nie mogą pękać!

Owszem, mogą.

A jak się żyje ze spękniętym sercem?

Nie wiem.

Budzę się, wyrwana ze snu, dysząca w naszej chłodnej, znajomej mi sypialni. Jest rano i mojego męża nie ma. Zostawił szeroko otwarte okno, choć w nocy temperatura spada poniżej zera. Siadam w łóżku, kręci mi się w głowie, zamykam oczy i próbuję pozbyć się tego snu.

A jak się żyje ze spękniętym sercem?

Wstaję i zakładam szlafrok na piżamę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ją prałam. Po burzy pojawiło się lśniące, błękitne niebo, przez chwilę stoję na półpiętrze i je podziwiam. Potem patrzę na zamknięte drzwi do pokoju Amalie. Mogłabym je otworzyć. Mogłabym je uchylić i krzyknąć w szczelinę: „Pora wstawać, Mills!”. Z reguły i tak już nie spała, bawiła się na podłodze swoimi zabawkami Sylvanian albo rysowała coś przy biurku. Odwracam się i schodzę na dół.

– Cześć – słyszę jakiś głos i podskakuję ze strachu, upuszczam torebkę z herbatą. To Oliver, siedzi przy kuchennym stole, w dłoniach trzyma iPada, ma poważną minę, a jego brązowe oczy mają fioletowe obwódki, tak ciemne, że wygląda, jakby ktoś go pobił.

– Och. Och, cześć, Oliverze – mówię zachrypniętym szeptem. Włączam czajnik, unikam wzroku pasierba. Nie wiedziałam, że tu jest, chociaż, szczerze mówiąc, kompletnie przestałam panować nad tym, kiedy ostatnio u nas był i kiedy powinien być u matki.

– Wczoraj miałem jechać do mamy – mówi, jakby próbując mi to wytłumaczyć.

– Och.

– Postanowiłem zostać. Z wami.

– Dobrze, kochanie... – mówię. – To... to wspaniale. – Niezgrabnie poruszam się po kuchni, szukając moich słodzików, ulubionego kubka, mleka, jakbym nie wiedziała, gdzie się to wszystko znajduje. Biedny chłopak, martwi się, myśli, że ja i Sindre nie powinniśmy być teraz sami, razem. Przypominam sobie ostatnią noc, Sindre w garażu o drugiej, otoczony bronią. Może Oliver ma rację, może nie powinniśmy być tu sami. Płomienie wypalają we mnie coraz większą dziurę,

mam ochotę cisnąć parujący kubek z herbatą na podłogę i zacząć wrzeszczeć. Gdyby nie było Olivera, wzięłabym coś na uspokojenie. Może naleję sobie do herbaty kieliszek wódki. Albo dwa. Nie chcę, żeby Oliver tu był, patrzył na mnie, próbował pocieszyć mnie na swój niezgrabny sposób, chcę, żeby pojechał do matki i został u niej tak długo, żebym mogła się wypłakać i wykrzyczeć, rzucać talerzami, a potem zemdleć na sofie w środku dnia, utulona przez alkohol ze świadomością, że spokój potrwa tylko chwilę.

– Ali?

– Tak. O co chodzi? – mówię silniejszym głosem. Zbyt silnym, zbyt ostrym. Wyczuwam, jak młody się kurczy, zmuszam się do uśmiechu, a potem się odwracam.

– Ja... Zastanawiałem się, czy zanim wyjdę, mogłabyś mi pomóc z pracą domową. Eee... Z geografii.

– Pewnie – odpowiadam i siadam obok niego.

Wyciąga z plecaka pomiętą kartkę papieru.

– „Użyj dowodów na poparcie następującego stwierdzenia lub mu zaprzecz: pogoda w Skandynawii jest coraz bardziej ekstremalna” – czyta.

– Dobrze – mówię, ale dokładnie w tej chwili z oka Olivera spada na papier wielka łza, która rozmazuje słowo „bardziej”. A potem kolejna, kolejna i kolejna.

– Ej – mówię, odwracam się w jego stronę, ale jego twarz nagle tak bardzo przypomina twarz Amalie, że muszę oderwać od niego wzrok i spojrzeć na stół. Ona jest tam w jego krzaczastych brwiach, we wrażliwych, brązowych oczach, w piegowatym, chudym nosie i potarganych włosach koloru ciemnego blondu. Często zdarza się, że Amalie prześladowuje mnie w gestach lub wyrazach twarzy Sindrego lub Olivera. – Ej – mówię raz jeszcze, ale teraz nie mówię już do niego, a do niej. – Chodź tutaj – szepczę i przyciągam go do siebie, bo nie potrafię znieść jego widoku. I dopiero wtedy daje sobie pozwolenie na płacz, trzęsie się w moich ramionach przez długi czas, aż wreszcie się uspokaja niczym małe, wyczerpane dziecko.

– Chcesz iść ze mną dzisiaj nad jezioro? Albo może pójdziemy zobaczyć Mgiełkę? – pytam. Mgiełka to kucyk Amalie. Kilka razy w tygodniu chodzę do niej i po prostu obok niej stoję, kładę dłonie na jej ciepłym, miękkim ciele.

– Ja... Muszę iść do szkoły...

– Nie, kochanie. Nie musisz – odpowiadam.

Idziemy wokół jeziora po żwirowej drodze, od czasu do czasu zatrzymując się, osłaniając oczy przed słońcem i wpatrując się w wodę. Oczy Olivera są czerwone i zapuchnięte. Zaciska mocno usta – które też są czerwone, tak jakby bardzo mocno przygryzał wargi. Oliver odziedziczył po ojcu zdolność do odzyskiwania równowagi w idealnej ciszy. Ja skupiam się na oddechu, kontrolowaniu palenia w żołądku, nadal jednak muszę liczyć. Liście, drzewa, kroki, ile dni minęło, odkąd była tu Amalie – *nie, nie, to nie. Nie. Spróbuj ponownie.* Kamienie, które Oliver wrzuca do wody, liczbę kręgów na powierzchni jeziora, które powstają, kilka ostatnich ptaków kierujących się na południe. Przez jakiś czas siedzimy na kamienistej plaży.

– Moja mama mówi, że tobie jest trudniej niż tacie – mówi Oliver. Zaciskam palce na małym, gładkim kamieniu. – Ale... Ale ja sądzę, że jemu może jest trudniej – mówi ostrożnie, patrząc na mnie swoimi oczami o kształcie migdałów, oczami Amalie, falująca grzywka wpada mu do oczu. – Bo on ma mnie i nie może tak po prostu... umrzeć. Ani uciec. Ale ty możesz. Gdybyś chciała. Mogłabyś tak po prostu zniknąć i nigdy nie wrócić do domu, w którym wszędzie wyczuwa się jej obecność. Ja... Mam nadzieję, że tego nie zrobisz.

Patrzę na mojego pasierba: na jego guzowate białe palce i obgryzione paznokcie, na czerwone plamy idące od kołnierzyka koszuli do jego szyi i szczęki, na jego bladą twarz dziecka, chociaż ma już trzynaście lat. Kiwam głową i oboje patrzymy na stalowoszarą wodę, spokojną dzisiaj tak bardzo, jakby była skuta lodem, i nie mam żadnych słów, zaczynam więc znowu liczyć; liczę kamienie, których dotyka moja dłoń, próbuję nie myśleć o paleniu w żołądku i wpatruję się w chłodną wodę. Cały czas jednak mam ochotę do niej wbiec, zostawiając chłopca na brzegu.

Rozdział 2

Iselin, trzy miesiące wcześniej

To jak dotąd najgorętszy dzień w roku. Od wielu lat, tak mówili w wiadomościach. Kaia nie spędziła go na zewnątrz ze skakanką, nie skakała na trampolinie, nie biegała ze zraszczem. Przez cały dzień leżała na sofie i drzemała, tuląc starego wyświechtanego Kota Bobby'ego, oglądając *Dorę i przyjaciół*. Obserwuję ją przez otwarte drzwi tarasu, na którym siedzę, sącząc z kieliszka tanie, słodkie różowe wino. Zbierają się ciemne chmury i nie zdziwię się, jeśli w ciągu godziny zaczną lać. Kaia jest jeszcze bardziej zmęczona niż zwykle, nie dałam rady namówić jej na zjedzenie niczego poza kilkoma lodami cytrynowymi. W mieszkaniu jest potwornie gorąco, chociaż znajduje się ono w piwnicy domu innej rodziny i ma betonowe ściany. Zimą ja i Kaia często chodzimy w nim w kurtkach.

Słyszę, jak mieszkające nad nami dzieci bawią się po drugiej stronie ogrodu. Są to trzech hałaśliwi mali chłopcy, Kaia czasami obserwuje ich z wysokiego okna wychodzącego na ogród; oni zawsze się poruszają, bawią, biegają, walczą i skaczą – ale Kaia nie za bardzo zna te aktywności. W domu głównie siedzi i rysuje albo siedzi na sofie i ogląda bajki. Gdy ma dobry dzień, siada i bawi się domkiem Sylvaniana, który udało mi się kupić jej na siódme urodziny. Biorę łyk wina – to mój jedyny luksus tego dnia – i patrzę, jak nad moją głową szybko przelatuje powietrzna karetką, tak blisko, że na chwilę zatykam uszy. Kaia się nie rusza. To już druga powietrzna karetką, którą widzę tego popołudnia, wcześniej słyszałam tylko szum śmigieł. Może coś się stało w mieście – nie mam jak się o tym dowiedzieć.

Z ciszy, którą pozostawia po sobie helikopter, wyłania się kolejny dźwięk. Z początku wydaje mi się, że to z bajki – to taki radosny dźwięk, jakby muzyka dla dzieci, potem jednak uświadamiam sobie, że to telefon. Gdy wreszcie go

znajduję, przestaje dzwonić. Cztery nieodebrane połączenia ze szpitala. Patrę na Kaię, której mała szara twarz jest przyciśnięta do poduszki. Moje serce zaczyna dziko walić. Wyciągam poduszkę i Kaia delikatnie opada na siedzenie sofy. Nadal się nie porusza. Ma na sobie białą bawełnianą podkoszulkę z żółtymi plamami po lodach. Ciemne, gęste włosy ma zaplecione tuż przy czaszce, tak jak lubi, przy skroniach odstaje kilka krótkich pasemek. *Nie mogę bez ciebie żyć*, szepczę. Wybieram numer szpitala, biorę do ręki bezwładną dłoń Kai, mocno ją ściskam.

– Kiedy możecie przyjechać? – pyta głos po drugiej stronie słuchawki.

W taksówce obserwuję, jak helikopter gwałtownie podnosi się gdzieś z boku dużej skoczni narciarskiej i szybko leci pod spuchniętymi czarnymi chmurami w kierunku, w którym zmierzamy. *Czy to może mieć związek z...?* Kaia leży na moich kolanach, ssie kciuk i wykręca podniszczone ucho Kota Bobby'ego. Z moich oczu leją się łzy tak szybko, że nie mam szans ich powstrzymać. Kapią na Kaię, znikają w jej włosach. Obserwuję, jak jej plecy unoszą się i opadają, kładę dłoń w miejscu, w którym znajduje się jej serce. Czuję je, puka rytmicznie w opuszki moich palców. Z mych zaciśniętych ust wydobywa się cichy krzyk, w lusterku wstecznym widzę spojrzenie taksówkarza. Uśmiecha się niepewnie, ja jednak odwracam wzrok. Kaia powoli i z trudem się odwraca, żeby na mnie spojrzeć. Jej usta są niemalże tak blade jak skóra, mają niebieskawy odcień, żyły znaczą czoło niczym żyłki marmur.

– Nie martw się, mamusiu – szepcze. Kiwam głową i pochylam się, żeby ją pocałować, poczuć jej zapach, i z moich oczu leją się kolejne łzy, gdy taksówka zatrzymuje się przy krawężniku przed dziecięcym szpitalem Rikshospitalet.

Rozdział 3

Alison

Ląduję o dziewiątej, napisano w wiadomości, i muszę najpierw przejrzeć wszystkie poprzednie, żeby w ogóle stwierdzić, dokąd poleciał. *Wylądowałam na Charles de Gaulle*, to wiadomość z wczorajszego ranka. Paryż, konferencja. Teraz pamiętam. Pamiętam też zeszłą noc, jak obudziłam się w środku nocy na podłodze przy łóżku Amalie i kilka minut leżałam, wpatrując się w sufit, nie śmiąc odwrócić głowy ani o centymetr w stronę łóżka. W ciągu tych minut ona nadal tam była, w jednoczęściowym flanelowym pajacu z Królową Elszą, tuląca misia, leżąca twarzą do ściany, delikatne ramionka unosiły się i opadały w bezpiecznej, łagodnej ciemności. Wreszcie położyłam dłoń na pustym, chłodnym prześcieradle. Potem zeszłam na dół do kuchni. Usiadłam, zaczęłam pić wódkę i przez wiele godzin przeglądałam Instagrama. Obudziłam się w tym samym miejscu, przy kuchennym stole, z włosami mokrymi od wódki, nadal trzymając telefon. Promienie jesiennego słońca dźgały mnie w oczy.

Jest prawie południe, a mój mąż ląduje o dziewiątej. Będziemy tu razem sami do poniedziałku, do powrotu Olivera. Rozglądam się po pomieszczeniu, żeby wymyślić, co robić dalej. Wkrótce będę musiała wyjść na spotkanie z Karen Fritz. Rozważam niepójście do niej: będzie tam siedziała i spokojnie czekała, jej palce będą bawić się nicią, a oczy będą skupione na wiszącym nad drzwiami zegarze. Zmartwi się czy po prostu odetchnie z ulgą, że nie musi spędzać całej godziny na siedzeniu naprzeciwko żalosznej kobiety, którą się stałam? Sprawdzam telefon, przeglądam wiele nieotwartych wiadomości. Nowa od Halvora Bringiego, mojego starego szefa w „Speilet”: *Cały czas o tobie myślimy. Zadzwoń do mnie, gdy będziesz na to gotowa. Uściski, Halvor*. Naciskam „Skasuj”. Kolejna wiadomość od Eriki, mojej jedynej amerykańskiej

przyjaciółki w Norwegii, choć teraz jest mi tak obca, że nawet nie pamiętam jej twarzy. *Kochanie, zadzwoń do mnie. „Skasuj”.*

Otwieram francuskie drzwi do ogrodu z przodu domu i siadam na kamiennych schodach, choć panuje mgła i włoski na moich ramionach stają z zimna. Wyobrażam sobie mego męża na konferencji, jego zmęczoną, obojętną twarz zwróconą w stronę postaci przemawiającej z przodu wielkiego audytorium, niesłuchającego, płynącego z niejasnymi prądami jego mózgu. Później wieczór spędzony w opuszczonym hotelowym barze, mój mąż pije jedną szkocką po drugiej, patrzy na migoczące w oddali światła Paryża. Prosty hotelowy pokój z różowymi i limonkowymi poduszkami, sen wywołany lekami. Jesteśmy teraz tacy sami, a jednak jeszcze nigdy się tak od siebie nie oddaliliśmy.

Kilka tygodni temu pojechałam ponownie zobaczyć się z doktorem Bauerem w sprawie mojej częstej utraty orientacji. Znam go od wielu lat i to on pierwszy polecił mi Karen Fritz. Słuchał uważnie, gdy próbowałam wyjaśnić mu przerażenie, gdy nagle nie wiedziałam, gdzie jestem i co robię. Drżącym głosem powiedziałam, że może to jakiś wczesny etap demencji, że może powoli tracę rozum. Może to jest nawet choroba Creutzfeldta-Jakoba. Ostatecznie komuś się to ciągle przytrafia. Albo guz mózgu – może te tępe bóle głowy i mrowienie w palcach, w połączeniu z zapominaniem i oszołomieniem, to objawy czegoś złowrogiego, rosnącego głęboko w moim mózgu? Mówię, że idę na górę, i zapominam po co. I to się przytrafia wciąż i wciąż. Innego dnia chowam MacBooka do zmywarki, tak jakby był talerzem. Słyszę głos męża, ale nie jestem w stanie zrozumieć słów.

Doktor poczekał, aż skończę mówić. *Czy twoje serce wali jak szalone? Masz retrospekcje? Sypiasz?*

Cały czas. Tak. Niewiele. Wręczył mi składaną niebieską ulotkę z napisem „Radzenie sobie z żałobą”. Wypisał więcej recept.

Metaliczny, natarczywy dźwięk. Zanim uświadamiam sobie, że to jest telefon, przestaje dzwonić. Przychodzą dwie wiadomości.

Kochanie, chcesz coś z Paryża?

A potem: *Jestem już w drodze na lotnisko.*

Był taki czas, że chciałabym dostać wiele rzeczy z Paryża. Torebkę z miękkiej skóry, drogiego szampana, ręcznie produkowane ekologiczne świece z Merci, kupione od jakiegoś artysty ołówkowe szkice przedstawiające most Aleksandra III. Śmieję się cicho z tego, że takie rzeczy w ogóle istnieją. Że kiedykolwiek o nie dbałam. Drogie, szybkie poprawiacze humoru, które kiedyś działały, ale

już nigdy nie odniosą żadnego skutku. Zwracam twarz ku słońcu, które na chwilę pojawiło się między dwiema wielkimi ponurymi chmurami. *Nie, kochanie, dziękuję. Wracaj szybko do domu*, odpisuję wreszcie, ale wcale nie mam tego na myśli; nie chcę, żeby mój mąż wracał szybko do domu, nie chcę, żebyśmy znowu obchodzili siebie jak obcy ludzie.

Gdy przyjeżdżam, spóźniona, Karen przytrzymuje dla mnie drzwi. Przechodzę obok niej do skromnie umeblowanego, niewielkiego pomieszczenia. Siadam w głębokim białym fotelu i czekam, aż ona zapyta, jak się czuję, ale nie pyta. Zaczyna robić na drutach i czeka, aż to ja zacznę mówić.

– Śnię o niej – mówię, wpatrując się w szybkie dłonie Karen Fritz, które cały czas dobierają włóczkę i ją owijają, wciąż i wciąż od nowa.

– I jak się z tym czujesz?

– Śniłam o tym, jak spytała mnie, co bym zrobiła, gdybym już jej nie miała. Rzeczywiście kiedyś o to spytała.

– To brzmi bardzo niepokojąco, Alison. – Nie odpowiadam, a Karen nie namawia mnie, żebym mówiła dalej. Po prostu robi na drutach i czeka. Możemy siedzieć tak przez całą sesję, w kompletnej ciszy. I kilka razy tak właśnie było. – Wróciłam nad jezioro. – Druty się zatrzymały, ale nie usłyszałam żadnego komentarza. – Nie zapytasz mnie dlaczego, nie zabronisz mi tego mówić czy jak?

– Czy tego właśnie chcesz?

– Nie... Nie wiem, czego chcę. I czy w ogóle jeszcze czegoś chcę.

– Nie sądzisz, że to źle? – Był czas, kiedy uznawałam terapię za tak przydatną i konieczną, jak oddychanie powietrzem czy picie wody, uważała tak większość amerykańskich specjalistów, których wówczas znałam. Spędzałam mnóstwo godzin na różnych sofach, rozwijając swoje poplątane myśli przed obcymi ludźmi, a potem odchodziłam, zawsze czując, że coś mi się rozjaśniło. Wydawało mi się, że przetwarzanie wszystkich usłyszanych historii jest użyteczne, bo nie da się spędzać życia na podróżowaniu po świecie jako dziennikarka i nie zbierać materiału do przyszłej terapii. Teraz jednak nie da się nie zauważyć ironii tego wszystkiego – to jak plasterk na ranę postrzałową. Patrząc na Karen Fritz i próbując liczyć rzędy kędzierzawej ochrowej wełny, wylewającej się spod ciągle poruszających się dłoni kobiety. Dwadzieścia, dwadzieścia jeden.

– Mój mąż ma broń – mówię, rozkoszując się przerażeniem na jej twarzy.

O ósmej jest już od dawna ciemno, a ja idę do łóżka. Nic nie wzięłam, nic nie wypięłam. Rozważam wstanie i wzięcie Temazepamu; moje kończyny byłyby przyjemnie ołowiane, mogłabym się naprawdę przespać, nie lubię jednak brać tego, gdy jestem sama. Myśl o tym, że Sindre wróci do domu i będzie mnie obserwował podczas wywołanego lekami snu, napawa mnie niepokojem, bo mógłby dokładnie przyjrzeć się mojej pozbawionej cenzury twarzy i poczuć odrazę.

Myślę o Sindre w samolocie, jego szerokich stopach na dywanie, dużych kolanach naciskających na fotel przed nim, o trzymanym w dłoni drinku. Będzie opierał się o okno, patrzył na światełka poniżej, przypominające złote koraliki przyszyte do czarnej tkaniny, podczas gdy samolot będzie leciał na północ. Po chwili, kiedy światła się rozproszą, jego umysł się oczyści – i codzienny hałas dotyczący rachunków, transportu, relacji, gotowania, bycia rodzicem oraz wszystkich rutyn znajdzie się daleko. Samolot zacznie spokojnie i cicho mrużyć, światła w kabinie zostaną przyciemnione i Sindre przycisnie twarz do plastikowego okna. Gwiazdy staną się niemalże tak wyraźne i bliskie jak wysoko w górach. Wyobrażam sobie, że latanie go uspokaja, że pozwala mu oczyścić umysł, rozebrać go do kości. Prawda jest jednak taka, że nie mam pojęcia, co go uspokaja, nie wiem już, co mój mąż myśli i czuje.

Zanim usłyszę klucz w zamku na dole, miną godziny. Godziny spędzone na liczeniu i szeptaniu do Amalie. Policzyłam czas, jaki upłynął: dwieście dziewięć minut, oraz liczbę tabletek nasennych, które wzięłam już w tym tygodniu: dziewięć, oraz niewytłumaczalne dźwięki z zewnątrz, które przedostały się przez otwarte okno do sypialni: jedenaście. Policzyłam, ile razy w zeszłym miesiącu byłam odwiedzić ukochanego kucyka Amalie, Mgiełkę: dwa. Naliczyłam liczbę urodzinowych tortów, które upiekłam dla mojej córki: pięć, i przypominałam sobie każdy z nich. Policzyłam, ile razy piknął mój telefon: dwa, a potem, ile razy leciałam samolotem z Amalie: co najmniej trzydzieści dwa. Uwielbiała to i zawsze układała usteczka w małe „o”, gdy samolot wznosił się ponad chmury.

Zaczynam liczyć sekundy między odgłosem przekręcanego w zamku klucza a krokami Sindrego na schodach, ale doszłam już do czterystu, a jego nadal nie ma. Co on tam robi? Czekam w ciemności, przebudzona, chociaż gdy położy się

obok mnie, będę udawać, że śpię. Nie przychodzi. Wstaję z łóżka i cicho podchodzę do drzwi. Z dołu dochodzi stłumiony dźwięk telewizora, mój mąż musi leżeć na sofie i go oglądać albo po prostu przed nim usnął. U jego stóp będzie leżała pusta butelka po winie, może dwie. Przechodzę przez półpiętro i staję na schodach, patrzę na ścianę, na której kiedyś wisiały duże zdjęcia Amalie. Miejsca te są nieznacznie ciemniejsze i zakurzone, powstały tam upiorne ramki. Patrzę na szeroko otwarte drzwi do pustego pokoju Olivera i na zamknięte drzwi do pokoju Amalie. Również pustego. Nasłuchuję i uświadamiam sobie, że to, co słyszę, to głos Sindrego, a nie telewizor.

Powoli schodzę po schodach, uważając, aby nie wejść na środek czwartego stopnia, bo skrzypi. Staję na korytarzu na dole. Rzeczywiście, jest to głos Sindrego, dobiegający z jego gabinetu. Zamknął drzwi, ale spod szpary pod nimi wylewa się na płytki srebrne światło. Jego głos jest niski i chociaż nie rozumiem słów, od czasu do czasu słyszę śmiech. Boli mnie ręka i uświadamiam sobie, że wbiłam w nią paznokcie tak mocno, że w bladej skórze pozostały wyryte głębokie półksiężyce. Odwracam się i idę na górę. W łazience łykam Temazepam bez popicia. Unikam swojego wzroku w lustrze i idę do łóżka, zwijając i rozwijając w ciemności pulsującą dłoń, aż wreszcie moje kończyny tracą bolesne napięcie, a moje powieki stają się tak ciężkie, że nie mogę ich rozdzielić i...

tatusz usiadł przy moich stopach w błotnistym piasku, zasłaniając uszy, żeby nie słyszeć krzyków i mojego szlochu, i ogluszającego ryku helikoptera, gwałtownie się ku nam zbliżającego, smagającego wodę jeziora. Nasze oczy spotkały się dopiero w helikopterze.

Dalej, dalej, dalej – powiedziałam do poszarpanej kreski, linii życia, linii, która miała zdecydować, czy zostaniesz, czy odejdziesz. Nie mogłam na ciebie patrzeć, chociaż trzymałam cię za rękę. Czulaś to? Wiedziłaś, że przy tobie jestem? Byłam w stanie patrzeć tylko na tę linię. No dalej, no dalej, no dalej, misiaczku, mówiłam. Linia zaczęła się zmieniać od ostrych szarpnięć do łagodnych wirów i pomyślałam, że to musi być dobrze, przecież każdy chce, żeby linia życia stała się spokojna i przewidywalna, ale te łagodne wiry zamieniały się powoli w coraz bardziej płaską linię z maleńkimi szczytami, a ja patrzyłam na nie i wrzeszczałam, no dalej, no dalej, no dalej, ale ona coraz bardziej się wyrównywała, aż wreszcie była tylko najokrutniejszą możliwą płaską kreską, a odgłos śmigieł został zagłuszony przez jednostajny, przerażający dźwięk.

Rozdział 4

Iselin, trzy miesiące wcześniej

– Proszę – szepczę raz po raz. *Proszę, proszę*. Nie po raz pierwszy znajduję się tutaj na tym krześle, w tym pokoju. Nie po raz pierwszy się za nią modłę. Modliłam się za nią na długo, zanim dowiedziałam się, że muszę to robić. Wpatruję się w wypolerowaną podłogę, potem w plastikowe lilie na stole, potem w moje dłonie z obgryzionymi paznokciami przy wszystkich palcach oprócz kciuków.

Jestem dziwnie spokojna.

Tyle razy szykowałam się na jej śmierć, że teraz jestem w stanie spojrzeć jej w oczy. Wiedziałam, że może nadejść przed moją śmiercią, więc nie miałam wyjścia.

Mimo to się modłę.

Moja siostra Noa często każe mi wizualizować to, czego nie mogę kontrolować, więc to robię; Kaia na stole operacyjnym w tym właśnie momencie, oczy zamknięte, twarz popielata, ale spokojna, kilka kosmyków ciemnych włosów wyłaniających się spod ciasnego, zielonego czepka, dłonie odwrócone i bezbronne. Ile ja bym dała, żeby Noa tu teraz przy mnie była, żeby trzymała mnie za rękę.

Gdzieś w tym budynku ktoś inny przestanie się modlić. Nagle zostanie połknięty przez tę samą śmierć, która szarpała cień Kai, odkąd się ona urodziła. A nawet zanim jeszcze się urodziła. Ta śmierć jest najjaśniejszym światłem, tak jasnym, że niczym zła gwiazda poparzy każdego, kto się do niej zbliży. W tej właśnie chwili rzuca swoje zimne, ostre światło na moje dziecko, jednak Kaia nie idzie w stronę jej blasku, frunie w moją stronę szybciej od światła. Otworzy oczy i spojrz w moje, musi. Jej serce, nowe serce, jej ostatnia szansa, jej jedyna szansa, podejmie pracę w piersi, zacznie bić, musi.

Jest środek nocy i przez wiele godzin na zmianę siedziałam, stałam i chodziłam.

– Proszę spojrzeć – mówi doktor Harari. Prowadzi mnie korytarzem do wielkiego pokoju wypełnionego odgłosami pikających i szumiących maszyn. – Tam. – Kiwam głową i patrzę na moje leżące na łóżku dziecko, na wpół zakopane pod rurkami i sprzętem. Widzę tylko plamę jej ciemnych włosów na poduszce i czubek nosa pod maską z tlenem. Doktor Harari wskazuje ekran, na którym rytmicznie rzuca się i opada neonowa zieleń. – Bije stabilnie – mówi.

Rozdział 5

Alison

Jeszcze nie ma szóstej, ale już jest ciemno jak w najciemniejszą noc. Chciałabym być teraz w lesie, gdzie jedynym światłem byłby blask księżyca i gwiazd i łagodne lśnienie śniegu, który zaczął padać tego ranka. Zamiast tego jestem w sklepie obuwniczym Steen & Strom i wpatruję się w półki, próbuję coś wybrać. Jakąkolwiek parę butów. Sindre powiedział, że nie musimy iść na kolację, ale ja odparłam, że powinniśmy spróbować. W którymś momencie musimy spróbować. Prawda? A jednak myśl o uprzejmej rozmowie z kolegami z pracy Sindrego i ich żonami sprawia, że chce mi się płakać.

Biorę z półki jakieś zwykłe czarne szpilki, wyjmuję stopę z baranich kozaków. Wkładam stopę w skarpetce w szpilki, ale nie pasują. Wciskam ją mocniej, ale bolą mnie palce, i to właśnie dlatego w moich oczach stają łzy – tak przynajmniej udaję. Patrzy na mnie jakaś kobieta. Mrugam gwałtownie, ale nagle czuję się potwornie zmęczona i mam wrażenie, że nie dam rady wstać ze stołka, na którym siedzę. Liczę do dziewięćdziesięciu czterech. Wstaję i podaję buty dziewczynie na kasie. Dziewczyna ma na głowie kapelusz czarownicy z woalem w kształcie pajęczej sieci. Sindre miał rację. Udawanie, że się żyje, robienie planów na kolację, wychodzenie z domu, przymierzanie butów – to wszystko jest złe. Odchodzę od kasy, chociaż dziewczyna właśnie wbiła sprzedaż i coś mówi, ja jednak biegnę już po ruchomych schodach, a potem jestem już na zewnątrz na Nedre Slottsgate na mroźnym powietrzu, pozwalam, by łzy lały się po mojej twarzy, by zamazywały instalację świetlną ponad głowami przechodniów. I wtedy obok mnie na czerwonym świetle staje taksówka, wsiadam do niej i dopiero gdy opadam na siedzenie z tyłu, uświadamiam sobie, że zostawiłam moje uggsy w sklepie z butami. Mam mokre skarpetki i zmarznięte stopy.

– Proszę jechać – szepczę. – Proszę, proszę po prostu jechać. – Zaczynam liczyć latarnie, czerwone światła i drzewa, i ludzi, i beat piosenki w radiu, nie potrafię jednak powstrzymać mojego umysłu, który osuwa się w mrok.

Dziewięćdziesiąt cztery dni bez ciebie, Mills. Dziewięćdziesiąt cztery noce bez snu. Dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt sześć godzin, odkąd zamknęłam oczy na jedną chwilę i straciłam cię na zawsze. Nie poprosiłam cię o wybaczenie, wiem jednak, że powinnam. Wszystko, co zostało stracone, wszystko, czym byłeś, wszystko, czym mogłabyś zostać, przepadło przeze mnie. Zrobię to. Przyniosę ze sobą misia Dinky i usiądziemy pod drzewem w cichym, zacienionym miejscu, które dla ciebie wybraliśmy, obok twoich dziadków. Albo pójdę nad jezioro, tam będę czuła, że jestem blisko ciebie. Albo po prostu spędzę resztę życia na powtarzaniu w moim sercu tylko jednego słowa.

Przepraszam.

Przepraszam.

Przepraszam.

Idę boso po zaśnieżonym podjeździe, czuję na sobie pełen niedowierzania wzrok kierowcy taksówki, który wyjeżdża z powrotem na drogę. W domu świeci się światło, ale gdy otwieram drzwi, uderza mnie idealna cisza. Nasz dom nigdy nie jest cichy. Kiedyś myślałam, że sam dom wydaje z siebie jednostajny dźwięk, ale gdy Sindre był w Paryżu, doszłam do wniosku, że to Sindre jest źródłem tego dźwięku, że ciągle próbuje zagłuszyć ciszę. Nawet w nocy. Wrzuca na noc do pralki buty do biegania, tak żebym mogła leżeć w ciemności i nasłuchiwać walenia w bębnie. Albo udaje, że zapomniał wyłączyć radio w swoim gabinecie, tak że od czasu do czasu słyszę pomruk głosów, dogania mnie w tym dziwnym miejscu, gdy nie śpię, ale też nie jestem przebudzona. W niektóre wieczory, gdy zrobiliśmy już wszystko, co należało zrobić, i w domu jesteśmy tylko ja i on, włącza telewizor, muzykę w kuchni i radio w gabinecie, żebym nie zorientowała się, że czegoś nie ma.

A jednak teraz jest cicho. Czuję w żołądku ostre szarpnięcie, ogromny strach. A co, jeśli Sindre nie dał rady już tego znieść, jeśli zlekceważył całe to złamane życie i zostawił mnie z nim samą? Może wisi gdzieś na górze, jeszcze ciepły. A jeśli rozwalił sobie głowę? Powoli wchodzę po schodach, pozostawiając za sobą błotniste ślady i roztapiający się śnieg. Nasłuchuję jakichkolwiek dźwięków, zaniepokojona brakiem hałasu w tle, do którego jestem przyzwyczajona, nadal

jednak nie wołam jego imienia. Jeśli odpowie mi cisza, nie zniosę tego. Słyszę delikatny szelest dochodzący z naszej sypialni na końcu korytarza.

Sindre stoi przed lustrem zajmującym całą ścianę w naszej prywatnej łazience, próbuje zawiązać krawat, który wiązał już tyle razy w swoim życiu, ale jego dłonie za bardzo się trzęsą, a gdy mnie widzi, ściąga krawat jednym gwałtownym ruchem i rzuca go do wanny. Opada na podłogę, a ja siadam obok niego i już tam zostajemy, ja zaczynam skubać fugę między dwiema płytkami na podłodze, on opiera głowę o ścianę, zamyka oczy, cicho mruczy, jego dłoń drży w mojej.

Tym razem to ja zostawiam na dole włączony telewizor. Przez długi czas leżymy w łóżku i się przytulamy, po raz pierwszy od bardzo dawna.

– Czuję, jakbym stracił również ciebie – szepcze Sindre.

– Bo straciłeś – odszeptuję i oboje płaczemy. – Nie jestem już sobą.

– Ja też nie.

– Nie.

– To takie szalone, ale... Czasami winię ją, wiesz. Wiem, jak to brzmi. Ale tak jest.

Chcę powiedzieć, że czuję to samo; że czasami ja też ją winię. Raz bardzo mocno trzasnęłam drzwiami jej sypialni, bo byłam na nią tak wściekła za to, że mnie zostawiła. Ogarnęła mnie dzika wściekłość i na nią wrzeszczałam, wrzeszczałam na moje utracone dziecko. Złapałam wielkie zdjęcie Amalie, zrobione w ostatni dzień przedszkola, które wisiało na półpiętrze, i cisnęłam nim po schodach. Jak mogę jednak powiedzieć na głos, że ja również czasami obwiniam małe dziecko za jego własną śmierć, do której doszło pod moją opieką? Wszyscy wiedzą, że to była moja wina.

Przepraszam.

Przepraszam.

Przepraszam.

Cisza jest długa i ciężka, zakładam, iż Sindre wreszcie zasnął. Słucham dochodzącego z dołu nagranego śmiechu w jakimś serialu komediowym i delikatnie głaszczę Sindrego po plecach. Nagle podskakuje, bierze moją dłoń, odwraca się do mnie.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówi. – Raz zastrzeliłem dziecko... Ja... Zawsze powtarzałem sobie, że to był błąd, straszna pomyłka, oczywiście, że tak, ale... –

przerywa, próbuje odzyskać kontrolę nad oddechem.

– Ciii – szepczę i kładę palec wskazujący na jego ustach. Delikatnie go całuję, ale po jego twarzy leją się łzy. Przyciskam go do siebie tak mocno, że czuję każdą część jego ciała.

– Ali, robiłem okropne rzeczy. Robiłem więcej, niż musiałem.

– Nie – szepczę. Delikatnie gładzę go po brwiach, potem po głowie, do szyi, gdzie uciskam kciukami spięte mięśnie.

– Tak.

– Nie – powtarzam, bo nie chcę wiedzieć.

– A co, jeśli to, co się nam przytrafiło, jest karą? No wiesz, karma. Karma – powtarza, jak gdyby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa. – Nie zniosę tego. Nie mogę. Nie mogę przestać myśleć, że to ja to na nas sprowadziłem.

– Ciii – mówię z większą siłą. Ponownie przyciskam palec do jego ust, a potem powoli się od niego odwracam. Czuję dziwny ruch po jego stronie łóżka i z początku myślę, że wstaje, potem jednak uświadamiam sobie, że szlocha i wbija pięści w zagłówek. Odwracam się i mocno przytulam mojego męża. Kładę dłoń na jego piersi i czuję szybkie walenie jego serca, tak jakby był szczęśliwy, a nie zrozpaczony. Nie wiem, jak być sobą, i nie wiem, jak pomóc Sindremu.

Na samym początku ślubowaliśmy, że pozostaniemy razem, że nauczymy się żyć tym życiem zamiast innym, że postąpimy słusznie i oddamy jej narządy, aby uchronić kogoś innego przed taką stratą. Czuliśmy, że ona bardzo by chciała, żebyśmy wyszli z tego cało, że gdybyśmy się położyli i umarli, jej życie stałoby się bezużyteczne. Bardzo się staraliśmy i na samym początku, kiedy ludzie ciągle gromadzili się wokół nas, kiedy świat niczego od nas nie oczekiwał, kiedy apatia wywołana lekami na receptę była jeszcze nowością, prawie uwierzyłam, że to może być prawda, że jakoś damy radę. Nie mogłam wtedy wiedzieć, że z każdym dniem to będzie coraz ostrzejsze i większe, że moje serce zgnije, że wszystko, co kiedyś było dobre, zostanie zniszczone, że to będzie niczym guz w głowie, spychający każdą normalną funkcję mózgu w ciasne, mroczne kąty mojej czaszki.

Odwracam się od Sindrego i zamykam oczy.

Jesteś, misiaczku. Masz rozpuszczone włosy, a gdy biorę cię na ręce, łaskoczą mnie w czubek nosa. Mocno cię przytulam, tak jak koala nosi swoje dziecko. Gdy nazywam cię moim małym misiem koalą, śmiejesz się prosto do mojego ucha, twój głos wlewa się do całego mojego istnienia. Delikatnie stawiam cię na plaży, a twoje krótkie różowe palce u stóp zanurzają się w mokrym piasku.

Stoisz przez chwilę i wpatrujesz się w nakrapianą słońcem wodę, a potem wchodzisz do niej, słońce oświetla twoje plecy. Odwracasz się, żeby mieć pewność, że na ciebie patrzę, i ja to robię, nigdy nie spuszczam cię z oczu. Przez długi czas się chlapiesz, piszczysz i śmiejesz, i ja też się śmieję z twoich min, z machających rąk, z nóg pokonujących wodę. Po chwili mówię, że masz wracać, ale nie słuchasz.

Na wódł płyniesz, na wódł brniesz dalej, tam, gdzie złota i przezroczysta woda zamienia się w ciemną i atramentową niczym nocne niebo. Wracaj, mówię, potem krzyczę, mój głos odbija się echem po wodzie, ale ty nie wracasz, jesteś już tylko małą plamką na środku jeziora. W tym podświadomym stanie, ale świadoma tego, co się dzieje, nie mogę się ruszyć nawet o centymetr. Mogę tylko stać i krzyczeć. Wracaj, misiaczku. Proszę, proszę, wróć. Kiedy wracasz, po bardzo długim czasie, po tym jak zdarłam sobie gardło, wyciągam cię z wody, jesteś przerażona moją reakcją. Podnoszę cię, oplatom się w pasie twoimi nogami, moje serce wali w twój policzek i szepczę ci we włosy: Tak bardzo mnie przestraszyłaś, misiaczku.

Rozdział 6

Iselin, dwa miesiące wcześniej

– Jesteś gotowa? – pytam. Kaia kiwa głową i podnoszę ją delikatnie niczym nowo wyklute pisklę. Czuję na szyi jej zimne dłonie, sadzam ją na stojącym przy krawężniku wózku i zarzucam jej na ramiona gruby fioletowy koc. Patrzy na dom, jakby nigdy wcześniej go nie widziała, choć minęło dopiero pięć tygodni. Wracalam tu co tydzień po czyste ubrania i przygotowane na szybko posiłki, a potem pędziłam z powrotem do szpitala, do niej.

– Wiesz co? – mówię, gdy otwieram drzwi i wjeżdżam wózkiem do środka. Patrzy na mnie swoimi wielkimi, pytającymi oczami, ale wydaje się być daleko stąd, tak jakby nie do końca rozumiała, co powiedziałam. – Mam dla ciebie niespodziankę. Właściwie to dwie.

Podnoszę ją z wózka i na wpół niosę, na wpół prowadzę do salonu. Wszystko posprzątałam – wyszliśmy w biegu, zostawiłyśmy porozrzucane zabawki – ale mieszkanie nadal wygląda na małe.

Sadzam ją na sofie, opiera się, podciąga do siebie stopy, powoli rozgląda się po pokoju. Widzi duże, owinięte papierem przedmioty przy zasłonie oddzielającej jej wnękę sypialnianą od reszty pokoju.

– Co to jest? – pyta.

– To dla ciebie.

– Co to jest?

– To prezent powitalny, kochanie.

– Mogę go otworzyć?

– Tak.

– Mamusiu, czy możesz otworzyć go za mnie?

– Może pomogę ci zejść na podłogę i otworzymy go razem?

– Możesz go dla mnie otworzyć? – Moja córka wygląda na taką malutką i wyczerpaną. Chociaż jest krucha, w jej oczach widać błysk siły, i mówię sobie, że to nic dziwnego, że po tym, co przeszła, jest zarówno wyczerpana, jak i wykończona psychicznie. Ale jej się udało.

Powoli i teatralnym gestem odwijam różowo-żółty papier, odsłaniając wielkie, nierówne kartonowe pudło pod spodem. Kaia chichocze, a potem, gdy uświadamia sobie, co to jest, robi wielkie oczy.

– Sylvanian Grand Regency Hotel!

– Tak – mówię, popychając pudło w jej stronę, żeby mogła go dotknąć. – Ze wszystkimi możliwymi figurkami. – Podaję jej drugie pudło, które stało za pierwszym. To odwija sama, poważna i skupiona, a potem patrzy na mnie ze szczęściem w oczach. Było tam zwiniętych wiele, wiele mniejszych pudełek z figurkami: niedźwiedziami, króliczkami, psami i kotami, z małymi szczęśliwymi rodzinami.

– Dziękuję – szepcze. – Wow.

– To z Heart Foundation – mówię, a Kaia kiwa głową.

– Mam takie szczęście.

Kochanie, nie masz pojęcia, jakie masz szczęście. Nie masz zielonego pojęcia.

Tej nocy Kaia śpi obok mnie, rozkłada się na łóżku jak mała rozgwiazda, ale nie chcę jej ruszać z obawy, że zrobię jej krzywdę. Od czasu do czasu się wierci, miauczy niczym zraniony kot, krzywi się, a ja obserwuję ją w miękkim blasku świecących na zewnątrz latarni. Mogłam wrócić tutaj sama. Mogłam zostać postawiona przed faktem dokonanym, że moja przyszłość będzie pozbawiona Kai. Przetykam z trudem ślinę i leżę, nasłuchując cichego szumu wody, płynącej w rurach gdzieś na górze.

Kiedy ponownie się budzę, Kaia cicho płacze.

– Boli – mówi. – Nie mogę oddychać.

Natychmiast siadam, jestem przerażona.

– Gdzie boli? Oddychasz zwyczajnie. – Kaia nie odpowiada, a ja szukam włącznika światła i wtedy sobie uświadamiam, że ona śpi, że mówi przez sen.

– Proszę – szepcze po chwili, a potem: – Mamo!

– Ciii – mówię w miękkie włosy zasłaniające jej uszy. – Mamusia jest tutaj. – I tak zostajemy, wtulone w siebie, nasłuchuję oddechu mojej córki, aż na niebie pojawia się późnojesienne słońce.

Rozdział 7

Alison

– Nie mogę oddychać – mówię po dłuższej ciszy. Karen Fritz robi na drutach, starannie je owija delikatną fioletową wełną. Nie wygląda na szczególnie zmartwioną tym, co powiedziałam, jest wyszkolona, by okazywać współczucie w sposób profesjonalny. Za nią wisi rysunek przedstawiający stado ptaków frunących nad nadmorskim miastem pełnym czerwonych domów. Może to Lofoty albo Grenlandia? Liczę ptaki: dwadzieścia dwa. Zamykam oczy i wyobrażam sobie siebie pośród nich; słony wiatr smagający moją twarz, odgłos rytmicznego, łagodnego machania skrzydłami, rozwijający się przed nami granatowy ocean.

– Alison.

– Tak – odpowiadam głosem tak słabym, jakbym właśnie dostała cios w żołądek. Próbuję nabrać głęboko powietrza, ale napotyka ono przeszkodę na samej górze płuc. – Nie mogę oddychać – powtarzam.

– A jednak oddychasz.

– Tak, ale z ogromnym trudem, tak jakbym nie mogła nabrać dostatecznie dużo powietrza. – Gapię się na ptaki frunące po niebie, na lśniące stalowoniebieskie morze. Widzę siebie nad jego powierzchnią, dotykającą ciemnej wody, przetykającą wielkie łyki słonej wody, otwierającą oczy i mrugającą wśród mieszaniny szarości i błękitów, moje kończyny stają się powolne i chłodne, potem nieruchomieją.

– Fakt, że doświadczasz tego uczucia, nie wydaje mi się dziwny.

– Nie mogę... – zaczynam, ale nie kończę zdania, bo nie wiem, co chciałam powiedzieć. Rozważam wstanie i wyjście, robiłam tak już nieraz. Ale nie mam dokąd uciec. Ptaki ponownie, wciąż wolne, szybują nad oceanem, ich paciorkowate ślepie wpatrzone w horyzont, myślą tylko o locie, odpoczynku

i pokarmie. Nie rozumiem, skąd dochodzi ten okropny, przenikliwy dźwięk, dopóki Karen Fritz nie kładzie swojej robótki na stole, nie wstaje, nie przemierza odległości między naszymi fotelami i nie klęka obok mnie.

– Już dobrze – mówi, wciskając miękką chusteczkę w moją zaciśniętą pięść. – Alison, zamknij oczy. Właśnie, nie otwieraj ich, skup się na oddechu.

Ale ja nie mogę oddychać.

– Chcę iść do domu – szepczę.

W kuchni wlewam wódkę do szklanki i szybko ją piję. Nasłuchuję odgłosów wydawanych przez Sindrego, ale nic nie słyszę. Drzwi do jego gabinetu są zamknięte, podłogę na korytarzu rozświetla srebrne światło. Czyżby znowu zasnął na krześle? Zakładam kozuchowe buty i wychodzę na zewnątrz. Postanawiam iść pieszo, choć to dość daleko.

Teraz, jesienią, jezioro wygląda inaczej niż w lipcu. Woda jest czarna, na płycznach rozjaśnia się do złotobrazowej, a dym z kominów okolicznych gospodarstw dryfuje w stronę miejsca, w którym stoję na mokrej plaży. Wdycham dym, próbując kontrolować swój oddech. Jest jeszcze bardzo wcześnie rano, przed ósmą, a wódka, którą wypiałam przed przyjściem tutaj, kłuje mnie w brzuchu. Jesień była kiedyś moją ulubioną porą roku, uwielbiałam deptać po pomarańczowych liściach, ostre poranne powietrze, zapach dymu i opróżnionej ziemi.

Daleko na jeziorze woda faluje, jakby ktoś mieszał ją od środka. Podnoszę niewielki kamień i rzucam go do wirującej wody, potem biorę kolejny i kolejny. Rzucam trzydzieści jeden kamieni, wreszcie zmuszam się do zaprzestania liczenia. Zamykam oczy i po prostu stoję w tym miejscu, skupiając się na tym, jak to jest mieć stopy zapadające się w błotnistą plażę, na której jest pełno ostrych kamieni.

Karen mówi, że mowa może być potężnym narzędziem w radzeniu sobie z żałobą, więc się staram, ale wszystkie te słowa, które mówię do niej na głos, rozpuszczają się w ciemnym powietrzu. To jak modlitwa, chociaż nigdy w życiu się nie modliłam – nigdy nie odczuwałam potrzeby rozmowy z Bogiem. Po co

rozmawiać z kimś, kto najprawdopodobniej nie istnieje? Teraz to rozumiem. Wyobrażam sobie, że każde utracone dziecko staje się bogiem swojej matki.

Amalie nigdy nie odpowiada, a cisza przesącza się przez moją skórę i wywołuje dreszcze w mym wnętrzu. Mimo wszystko nie potrafię przestać, bo może pewnego dnia przybliży mnie to do miejsca, w którym teraz jest.

Otwieram oczy i rozglądam się wokół. Ona jest tutaj – moje dziecko jest teraz tutaj ze mną, czuję ją. Czuję ją w ziemskim, chłodnym oddechu lasu, w ciemnym blasku jeziora, jej jeziora. Jest w cichym powietrzu, uwięzionym w cieniach naszego domu. Jest w oczach taty, gdy on o niej myśli. Jest w nieobecnym wyrazie twarzy brata, w jego roztrzęsionych dłoniach – w jego biednych dłoniach z poobgryzаныmi paznokciami. Jest w każdej myśli, która przechodzi przez mój zagmatwany umysł, w każdej kropli krwi, która pędzi przez moje złamane serce. Obserwuję cienkie smugi kondensacyjne odbijające się na ciemnej wodzie, przypominające równoległe, namalowane kredą kreski na tablicy, a potem zamykam oczy.

Zastanawiam się, czy przyjście tutaj to oznaka prawdziwego szaleństwa, i na chwilę otwieram oczy, spodziewając się, że ta chwila minie, że przestanę ją czuć, ale tak nie jest; wciąż tu jestem, moje stopy mocno stąpające po ziemi, i ona też: na drzewach, w pełnym dymu, chłodnym powietrzu. W wodzie.

Jesteś tutaj, szepczę.

Stoję jeszcze chwilę, zupełnie nieruchomo, tak jakby zakotwiczona w tym miejscu, skupiona wyłącznie na oddychaniu i czuciu. Gdy ponownie się odzywam, mój głos jest pusty i płaski niczym źle zapamiętana piosenka.

Bez ciebie nie mogę oddychać.

Groszki na talerzu Olivera: szesnaście sztuk. Krople deszczu, które nadal znajdują się na oknie: czterdzieści sześć. Liczba razy, gdy sięgam po szklanekę z wodą, a następnie uświadamiam sobie, że zostawiłam ją przy zlewie: trzy. Książki pozostawione na stole w salonie: siedem. Liczba Xanaxów, które wzięłam po powrocie z jeziora: jeden. I pół.

– Alison? – słyszę głos Sindrego, zerkam w jego stronę i uświadamiam sobie, że obaj czekają, aż odpowiem na jakieś pytanie. – Wyglądałaś na nieobecną – mówi łagodnie.

– Przepraszam – odpowiadam.

– Czy ryba ci smakuje? – Sindre wskazuje kawałki łososia, które porzuciłam po całym talerzu.

– Tak. Dziękuję. Jest... naprawdę smaczna. Dziękuję... że to robisz. – To pierwszy raz od bardzo dawna, gdy usiedliśmy do wspólnego posiłku, i pierwszy raz od lipca, gdy siedzimy przy tym stole we troje. Ostentacyjnie wsadzam do ust kawałek łososia i żuję, licząc. Osiemnaście, dziewiętnaście.

– Alison?

Podnoszę wzrok.

– Dzisiaj w szkole na biologii nauczyliśmy się o przeszczepach. – Oliver ma bladą twarz, czerwoną przy linii włosów. Jego zbyt duże zęby lśnią, gdy mówi dalej.

– Oliverze! – mówi ostro Sindre.

– Nie – przerywam mu łagodnie. – Niech mówi.

– Dowiedzieliśmy się, że narządy jednej osoby mogą uratować nawet osiem ludzkich żyć.

– Och – mówię. *Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem.*

– Ja... Uważam, że to niesamowite – mówi i patrzy to na Sindrego, to na mnie. – Ona z pewnością by tego chciała, wiecie? Ona...

– Oliverze – przerywa mu Sindre. – Proszę. Proszę, po prostu jedzmy.

– Kochanie, chcę usłyszeć, co on ma do powiedzenia – mówię tak miłym głosem, jaki udaje mi się z siebie wydobyć.

– Ale ja nie chcę. – Sindre rzuca nóż, który z hukiem spada na podłogę. Kładę dłoń na dłoni Olivera. Chłopiec się wzdryga, ale nie zabiera ręki.

– Czego jeszcze się dowiedziałeś, kochanie?

– Czytaliśmy o kobiecie, która przez całe życie była wegetarianką, a potem dostała serce kogoś, kto uwielbiał burgery i tak dalej, i po przeszczepie zaczęła jeść głównie mięso. – Kiwam głową, a potem sobie uświadamiam, że powinnam się uśmiechnąć. Więc się uśmiecham.

– Wow.

– Tak. To się nazywa pamięć komórkowa. – Przerywa na długo, dźga widelcem kilka groszków, a potem mówi dalej: – Czy wiemy, które narządy Amalie zostały oddane innym ludziom?

Znowu czuję palenie, te języki ognia gryzące mnie w żołądek, ostre gorąco pod powiekami. Czyste, złożone dłonie konsultanta, spuszczone głowa, jego niemożliwe słowa, *Tak strasznie mi przykro.* Lepka cisza pokoju bez okien, miła, bezlitosna obecność dwóch pielęgniarek, jednej starej i jednej młodej, jak to dobrze, że one płakały za Amalie w tych chwilach, w których my byliśmy do

tego niezdolni. Ja licząca minuty, które minęły od chwili, gdy przeczesalam palcami jej mokre włosy, walenie mojego serca i liczenie, którego nie potrafilam powstrzymać, zaczęłam więc liczyć na głos, wypowiadać te brzydkie minuty, aż wreszcie młodsza pielęgniarka wstała, usiadła u moich stóp i zmusiła mnie, żebym spojrziała w jej zaczerwienione i zażawione oczy. A później dokumenty, które musieliśmy podpisać, ja licząca słowa na stronie zamiast je czytać, słowa, których użycia nigdy nie brałam pod uwagę, chociaż na jakimś poziomie musiałam je uwzględnić, bo bez wątpienia wiedziałam, co należy zrobić.

– Przepraszam – mówi Oliver, gdy nie odpowiadam, *nie mogę* odpowiedzieć.

– Do kurwy nędzy – mówi Sindre, odwraca do okna ponurą, pełną napięcia twarz.

– Przepraszam – powtarza Oliver.

Które części Amalie oddaliśmy? Które części Amalie są teraz osadzone w innych ciałach, stanowią części innych żywych istot? Pamięć komórkowa, powiedział. Pamięć komórkowa – słowa te w kółko przetaczają się po mojej głowie. Nagle moje dłonie stają się gorące i słabe. Zmuszam się do myślenia o ptakach Karen Fritz, każę im przelecieć w moim umyśle, liczę je, dwadzieścia dwa. Gumowate, powykręcane nóżki przyciskane do pozbawionych piór brzuchów, oczy wpatrzone w obsydianową linię horyzontu, powietrze rozdarte na strzępy. Staram się wrócić do własnego ciała, do gapiących się na mnie Olivera i Sindrego, ale mój umysł leci wolno z niemożliwością słów, które wypowiedział Oliver. Patrzę na niego, na jego zmartwioną twarz, na oczy Amalie, na zakrwawione, obgryzione paznokcie.

– Jej serce – szepczę. – Oddaliśmy jej serce.

Rozdział 8

Iselin, miesiąc wcześniej

Bicie serca mojej córki delikatnie uderza w moje opuszki palców. Wcieram maść na długości całej blizny, Kaia cierpliwie siedzi i czeka.

– Doktor Harari ucieszy się na twój widok.

– Tak.

– Będzie pod ogromnym wrażeniem twoich postępów – mówię, uśmiecham się do niej i wycieram tłustą lepką dłoń w kuchenny ręcznik.

– Tak. Kiedy widziała mnie po raz ostatni, byłam chora. Teraz nie jestem już chora.

– Nie – odpowiadam.

– Ona widziała wewnątrz mojego ciała – zauważa Kaia.

– Tak. Tak, widziała.

– Wiele osób widziało.

– To prawda, Kaiu.

– Doktor Harari powiedziała, że moje stare serce było trochę szare i za małe. I za wolno pompowało krew.

– Prawda. – Bardzo mi szkoda tego szarego, zbyt małego serca. Co oni z nim zrobili? Tak po prostu wyrzucili to bezużyteczne serce, które kiedyś ukształtowało się w moim łonie? Pamiętam, jak podczas pierwszego badania ultrasonograficznego w ciąży słyszałam jego szybkie rozproszone bicie, jak z początku płakałam z rozpacz, ale też się zdumiałam. Całuję czubek głowy Kai i pomagam jej założyć luźny sweter, tak by nie ocierał o bliznę.

Siadam przy kuchennym stole, przeglądam się w lustrze na przeciwległej ścianie. Mam na sobie czerwoną bluzę z kapturem i szare spodnie do jogi. Włosy spięłam w wysoki kok, ale wydostało się z niego kilka pasemek. Moje włosy są rozjaśnione, ale z ciemnobrązowymi odrostami, tak jak lubię. W stylu grunge – Kurt Cobain spotyka Carę Delevingne. Uśmiecham się do samej siebie. Na lewym nadgarstku łączą się ze sobą trzy tatuaże, jeden przechodzi w drugi. Nie sądzę, by łatwo było określić, ile mam lat, chociaż jestem po trzydziestce, mam nieznaczną nadwagę tak jak czasami nastolatki, ale jednocześnie moja twarz jest poważna jak u kogoś, kto żył o wiele dłużej. Nie jestem piękna, choć tak mnie określano. Jestem zmęczona. Gdybym nie była zmęczona, gdybym nie żywiła się posiłkami z plastikowych, podgrzewanych w mikrofalnej tacek, gdybym biegała po znajdującym się na końcu ulicy torze dla biegaczy, być może mogłabym być piękna.

Ale jestem taka zmęczona. W tej chwili mam czerwone oczy i mrużę je nawet w przytłumionym świetle padającym z nad zlewu w kuchni. Włączam radio i uśmiecham się, gdy zaczynają śpiewać The Supremes. Odwracam lewy nadgarstek, w zamyśleniu gładzę palcem jeden z tatuaży, ten, który mamy razem ja i Noa. Wpatruję się w miękką białą dłoń, a potem biorę leżący przede mną długopis. Rysuję ptasie skrzydło, które wygląda, jakby machało, gdy otwieram i zamykam dłoń.

Zastanawiam się, co robi Noa. Nie miałam z nią kontaktu od kilku dni, ale to nie jest tak, że moja siostra musi się u mnie meldować. Pewnie dzisiaj gra – jest bardzo popularną DJ-ką i ma mnóstwo pracy.

W pokoju obok zasnęła moja córka. Każdej nocy budzi się wiele razy, czasami co godzinę. Budzi się z płaczem, a niekiedy z krzykiem. To coś nowego. Denerwuję się tym tak bardzo, że w ogóle ledwo sypiam. Powinnam być już w łóżku, ale ja wolę siedzieć i rozmyślać całymi godzinami, tak długo, aż nie jestem w stanie otworzyć oczu.

Teraz gra Kate Bush, a ja odwracam stronę w szkicowniku, wygładzam dłonią nową stronę. Już mam zamiar zacząć rysować tępym ołówkiem węglowym, naszkicować siebie taką, jaką widzę w lustrze, a może tylko swoją dłoń, trzymającą delikatne ptasie skrzydło, gdy nagle z drugiego pokoju dobiega mnie dźwięk. Używam słowa „pokój”, ale to tylko pozbawiona okien wnęka wydzielona z salonu. Wstaję, wpatruję się w moją córkę. Porusza się, przewraca głowę z boku na bok, rzuca lewą stopą. Na jej twarzy pojawia się wyraz zdenerwowania, nad brwią zebrał się pot. Wiem, co się teraz wydarzy.

Będzie się coraz bardziej rzucać, aż wreszcie pod wpływem koszmarów otworzy oczy i jej głos rozbrzmi w naszym niewielkim mieszkaniu.

Siadam obok niej i próbuję ją uspokoić, zanim sytuacja się pogorszy. Kładę jedną dłoń na jej ramieniu, a drugą na czole, ale teraz trzęsie się całe jej ciało i nie wiem, co zrobić. Nikt nigdy nie mówił mi, co należy uczynić w takiej sytuacji. Może to kwestia zdrowotna i powinnam to przerwać, ale nie wiem jak, więc tylko siedzę i płaczę. Po kilku minutach Kaia wydaje z siebie gardłowy ryk i siada na łóżku, ciężko dysząc.

– Nie! – krzyczy i nie reaguje, gdy ją przytulam, gdy gładzę ją po długich, mokrych włosach.

– Jestem tutaj, skarbie – mówię. – Mamusia jest tutaj.

– Nie! Nie! – świszczy Kaia, jęcząc w moich ramionach niczym ptak, który zaplątał się w krzak, i zostajemy w bezruchu przez długi czas, ja mocno ją przytulam, aż wreszcie Kaia opada z sił i przewraca się z powrotem na materac. Kładę się obok niej i wyobrażam sobie siebie widzianą z góry. Nieruchomą, tak jakbym została rzucona na plecy z wysokości trzystu metrów, wyczerpana, z wyrazem twarzy takim jak u Kai: mieszaniną udręki i obojętności.

Rozdział 9

Alison

Po kolacji Oliver poszedł na górę do swojego pokoju, a Sindre wybrał się na wieczorne bieganie. Przez długi czas siedziałam wieczorem w salonie przy zgaszonych światłach. Mój mąż wrócił dopiero po kilku godzinach i pewnie wiedział, że tam jestem, ale poszedł prosto na górę, nie zapalając światła. Czekałam, aż na pewno zaśnie, a potem weszłam na piętro. Teraz jest 2:48 nad ranem, a ja siedzę w fotelu przy oknie od trzydziestu siedmiu minut. Twarz Sindrego jest poważna i skoncentrowana we śnie, jak gdyby rozwiązywał zagadki. Na zewnątrz z doliny wieje silny wiatr, który z całych sił rzuca się na domy na samym szczycie wzgórza.

Osiem żyć, powiedział Oliver. Próbuję wyobrazić sobie osiem osób, obcych, z narządami mojej córki. Inne dzieci żyją, bo ona umarła. Jeśli to, o czym mówił Oliver, jest prawdą, komórki mojego dziecka mogłyby zmienić ciała biorców, wrosnąć w nie.

Co to oznacza? Co mogłoby to oznaczać? Moja córka była częścią mnie na długo przed tym, jak się urodziła. Powstała z każdej komórki mojego ciała, była odżywiana każdą kroplą krwi. Była ucieleśnieniem mojego serca, nosicielką wszystkiego, czym jestem i czym kiedykolwiek mogłam być. Jest nadal częścią mnie, na zawsze będzie w każdej komórce, ale nie żyje, a to oznacza, że w środku ja też nie żyję.

Wyobrażam sobie, że jej serce bije w tym momencie, wszyte w klatkę piersiową małego nieznanego człowieka. Widzę świeżą, czystą krew pompowaną do młodego ciała, niosącą maleńkie cząsteczki mojego własnego dziecka. Wstaję i przyciskam twarz do okna. Gdzieś tam bije jej serce.

Rozdział 10

Iselin

– Nie chcę iść – mówi Kaia. Wiedziałam, że tak będzie. Kucam obok niej i biorę w dłonie jej rączki w rękawiczkach.

– Ej – mówię. – To zupełnie normalne, że się denerwujesz. Ale będziesz się świetnie bawić, wiem to.

– Nie.

– Tak. Pamiętasz, jaką masz miłą nauczycielkę? Nie może się już ciebie doczekać. No i dzieci! Kochanie, to mała klasa, wszystkie dzieciaki wyglądały po prostu cudownie.

– A co, jeśli będą się ze mnie śmiać?

– Dlaczego miałyby się z ciebie śmiać?

– Bo nie wiem tego, co wiedzą one.

– Och, kochanie. Tyle się już nauczyłaś. Skończyłyśmy już książkę do trzeciej klasy, pamiętasz? Możliwe, że wiesz więcej od nich.

– Ale one chodzą do szkoły już ponad rok.

– Tak, ale my uczyłyśmy się dużo w domu. Jesteś na dobrej drodze.

– Boli mnie serce.

– Boli?

– Za szybko bije. Takie bum–bum–bum.

Sadzam sobie moją dziewczynkę na kolanach i przez długą chwilę ją przytulam.

– Kaiu, to tylko zdenerwowanie. Daj spokój. Musimy już iść.

Pod bramą szkoły Kaia zachowuje się tak, jakby zahartowała się na widok innych dzieci. Niektóre zebrały się na placu zabaw, inne skaczą po wielkich kałużach, a jeszcze inne stoją spokojnie u boku matek. Podbiega do nas mała dziewczynka, którą jak przez mgłę pamiętam z dnia naszych odwiedzin w szkole, i szeroko się uśmiecha.

– Kaiu – mówi, a moja córka odwzajemnia jej uśmiech. – Chodź! – Kaia puszcza moją rękę i bierze za rękę tamtą dziewczynkę.

– Pa, mamusiu – mówi z ekscytacją, jej twarz ma zdrowy, jesienny rumieniec. Szybko ją przytulam, a ona się odsuwa i mówi: – Z obu stron, mamusiu. Musimy przytulać się również z drugiej strony. – Przyciska lewy policzek do mojego, a potem odchodzi tak szybko, jak tylko daje radę, cały czas trzymając za rękę swoją nową przyjaciółkę.

– Pa – szepczę.

Rozdział 11

Alison

– Pa – mówię czule, bo widzę, że jest zdenerwowany. Po sposobie, w jaki mnie przytula, widać, że nie chce jechać na polowanie do Norefjell, zamknął ręce na moich plecach, włożył drapiący policzek w zagłębienie w mojej szyi.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? – pyta, szukając oczami moich oczu, a ja odwracam wzrok, bo to są również jej oczy. Przesuwam dźwignię z parkowania na jazdę, kładę dłoń na ręcznym hamulcu, patrzę na drzwi i znajdujący się za nim dworzec.

– Kochanie, po prostu już jedź – mówię, zmuszając się do uśmiechu.

– Obawiam się, że...

– Niepotrzebnie – odpowiadam spokojnym głosem. – Sindre, posłuchaj. Musimy... iść do przodu. Wiesz?

– Czy Erica mogłaby przyjść i zostać z tobą czy coś? A może wolisz jechać z nami? Mówiłem ci, chłopcy nie mają nic przeciwko. Serio.

– Kochanie, jedź – mówię i on rzeczywiście wysiada z samochodu. Obserwuję go w lusterku wstecznym, stojącego na krawężniku, plecami do starego, żółtego budynku stacji Skøyen, jego wielki plecak zsuwający się z jednego ramienia, trzymaną w dłoni torbę ze strzelbą, pozwalającego, by deszcz lał się po jego głowie.

W domu jestem wreszcie sama. Oliver pojechał do matki, Sindre wyjechał do niedzieli, a ode mnie nikt nic nie chce. Przez chwilę stoję w korytarzu. Po wysokich oknach na klatce schodowej leje się deszcz, po całym domu niesie się odgłos kropli walących w dach. Idę do kuchni i wyjmuję z szuflady mojego

MacBooka. Nie chce się włączyć – gdzieś schowałam do niego ładowarkę. Czasami, w ciągu kilku ostatnich miesięcy, brakowało mi bezmyślnego surfowania po internecie. Kiedyś robiłam to bardzo często. Przechodziłam gładko od opinii na temat jakiejś restauracji poprzez artykuł podróżniczy aż do recenzji książki, teraz jednak w ogóle nie wchodzę do internetu. Nie jestem w stanie znieść wszystkich tych kanałów mediów społecznościowych, okienek czatu, które wyskakują od razu, gdy tylko zaloguję się na Facebooka, potopu współczucia i banalnych przypomnień o tym, że życie innych ludzi idzie dalej. Bałam się również tego, dokąd zabierze mnie sesja niezaplanowanego surfowania po internecie. Aż do tej chwili. Wiem jednak, czego szukam, zamiast palenia czuję w żołądku niepokój. Otwieram drzwi do gabinetu Sindrego i natychmiast uderza mnie fakt, jak dawno mnie tutaj nie było. Wszystko wygląda inaczej, chociaż nie jestem w stanie powiedzieć dlaczego.

Był czas, kiedy drzwi do biura Sindrego były zawsze otwarte, a po położeniu Amalie do łóżka około siódmej sygnalizowałam początek wieczoru, przynosząc mu kieliszek czerwonego wina. Siadałam na krawędzi jego biurka, trącaliśmy się kieliszkami i rozmawialiśmy o tym, jak minął nam dzień. Czasami pokazywałam mu artykuł, nad którym pracowałam, podobało mi się to, że zawsze poświęcał czas, by na spokojnie go przeczytać. Obserwowałam jego mocny profil i zaciśnięte pełne usta, sposób, w jaki koszulka napinała się na jego bicepsach, i myślałam sobie, że mam szczęście. Albo opowiadałam mu, co śmiesznego powiedziała Amalie w drodze z przedszkola. Śmiałam się na wspomnienie tego, jak chichotała z własnych żartów na tylnym siedzeniu samochodu, i Sindre też się śmiał z tej małej niesamowitej istotki, którą stworzyliśmy.

Czasami wyciągał do mnie rękę, jego wielka dłoń gładziła moje udo, a ja siadałam na nim okrakiem na jego fotelu, mocno go całowałam, śmiałam się, wieczór dopiero się zaczynał.

Siadam na jego krześle i się rozglądam, próbuję zrozumieć, co się zmieniło. Pierwsze, co zauważam, to to, że Sindre zdjął z biurka wszystkie zdjęcia oraz dziecięce rysunki, które wisiały na ścianie po lewej stronie okna. Potem widzę, że posprzątał swoje papiery i powkładał je do szarych pudełek IKEA na półce, tak jak prosiłam go od kilku lat.

Dotykam któregoś z przycisków na jego iMacu i komputer ożywa, na wygaszaczu ekranu jest moje zdjęcie, którego nie pamiętam, chociaż pamiętam, kiedy je zrobiono. Mam na sobie słomiany kapelusz z szerokim rondem i białą koronkową sukienkę, stoję bosą na plaży, uśmiechając się do mężczyzny

trzymającego aparat – mężczyzny, którego kocham. Moje włosy mają miodowy odcień blondu, skóra jest opalona i pełna blasku. Zdjęcie to zostało zrobione na Maui osiem lat temu, podczas naszego miesiąca miodowego. Miałam wtedy trzydzieści sześć lat, ale wyglądałam dużo młodziej, a może po prostu tak mi się wydaje w porównaniu z tym, jak wyglądam teraz. Wpisuję hasło, ale zostaje odrzucone, więc wpisuję raz jeszcze. Odkąd pamiętam, Sindre ma to samo hasło, ale może coś przekręciłam, mój umysł ciągle robi mi takie psikusy. Próbuję raz jeszcze – JuulOliSin40 – ale ponownie zostaje odrzucone. Nachodzi mnie dziwne uczucie, nie złość i nie strach, ale mieszanina jednego z drugim. Nie wiem, co robić. Wychodzę z gabinetu Sindrego i idę na górę do naszej sypialni. Otwieram wszystkie szafy i szuflady, rzucam na podłogę wszystko, co jest niewłaściwie powieszzone. Wreszcie, na dnie jednej z szuflad, widzę pełno różnych kabli, starych rachunków i odpinanych ramiączek od staników. Jest tam również ładowarka od mojego laptopa.

W kuchni nalewam sobie pół szklanki soku pomarańczowego, a potem dopełniam wódką i czekam na włączenie się komputera. Przelykam głośno ślinę, gdy widzę zdjęcie na tapecie – ja i Amalie siedzące blisko siebie w restauracji na starówce na Rodos, za nami znajduje się biała ściana z pnącymi się po niej różowymi różami. Zmuszam się do patrzenia na to zdjęcie przez kilka sekund, a potem włączam Google i drżącymi palcami wpisuję „pamięć komórkowa”.

Rozdział 12

Iselin

Wychodzimy z domu na pół godziny przed dzwonkiem o ósmej trzydzieści, mimo że jest to mniej niż piętnaście minut piechotą. Spacerowanie jest dla Kai bardzo dobre, chociaż musi ona często przystawać.

Idziemy Lijordveien w stronę Nadderudveien, gdy z ogrodu przed nami wyskakuje na chodnik rudy kot, wielki jak lis. Przez chwilę na nas patrzy, a potem podchodzi do Kai i zaczyna ocierać się o jej nogę. Zanim udaje mi się zareagować, Kaia pada na kolana i zaczyna głaskać zwierzę. Odciągam ją i idziemy dalej, ale ona płacze i próbuje mi się wyrwać.

– Ała! – krzyczy. – Puść mnie!

– Dlaczego nie możesz trochę pomyśleć? – pytam. – Ugryzienie kota może cię zabić!

– Nie!

– Owszem. Musisz to zrozumieć!

– To był miły kotek!

– Nie wiesz tego na pewno.

– Wiem!

Czuję, jak na mojej twarzy pojawia się rumieniec wściekłości, i zaczynam iść szybciej, tak szybko, że Kaia musi niemalże biec, by dotrzymać mi kroku. Gdy ponownie na nią patrzę, dochodzimy już do szkoły. Ma zapłakaną i przygnębioną buzię. Biedna Kaia – trudno jest wyjaśnić siedmiolatce, że jest inna niż reszta dzieci.

– Kocham cię – mówię, wtulając twarz w miękkie, ciepłe zagłębienie w jej szyi i mocno ją przytulam.

– Z obu stron – mówi i przytula mnie również z lewej strony, to takie jej zabawne nowe zachowanie. Potem wbiega w tłum dzieci, które ustawiają się, by

wejść do szkoły, warkocze fruują w powietrzu, ręce trzepoczą jak skrzydła.

Idę do domu powoli, przede mną rozciąga się cały dzień. Chciałabym znać kogoś z sąsiedztwa, kogoś, z kim mogłabym spotkać się na kawę albo spacer. Nie, żebym mogła wydać dużo pieniędzy na kawę, nie wyobrażam sobie również, żebym miała dużo wspólnego z modnymi, zadbanymi matkami ze szkoły Kai. One wysiadają z range roverów, przerzucają bujne włosy na jedno ramię, ściskają dłonie dzieci ubranych w ubrania od Ralphi Laurena. Potem odjeżdżają, pewnie do swoich eleganckich biur, a dzieci odbierają au pair. Jak miałabym znaleźć wspólne tematy z takimi ludźmi?

Możemy mieszkać w tej dzielnicy tylko dlatego, że dostajemy zasiłki od rządu i mamy znajdować się w odległości dziesięciu kilometrów od szpitala, i ponieważ wynajmujemy małą piwnicę w domu innej rodziny. Rodzina Vikdal, do której należy ten dom, mieszka na górze, a nasze mieszkanie jest tak naprawdę tylko ich piwnicą, zamienioną na przestrzeń do życia.

Trudno jest być biednym w Norwegii, gdzie prawie wszyscy mają tyle pieniędzy. Nie jest to nawet kwestia wieku – widuję młode matki tylko trochę starsze ode mnie, pchające wózki za dziesięć tysięcy koron, pijące latte za pięćdziesiąt koron, z ich rąk zwisają torby od Gucciego. Trudno jest nie odczuwać żalu i zgorzknienia, bo gdybym dokonała innych wyborów, byłabym taka jak one.

Idę chodnikiem do wejścia do mieszkania i wtedy widzę Hanne Vikdal, naszą gospodynię, która nagle staje przy drzwiach do domu, tak jakby na mnie czekała.

– Cześć – mówię, szukając klucza w kieszeni.

– Och, cześć. – Mierzy mnie wzrokiem. – Chłodno dzisiaj.

– Tak.

– Wiesz, nie jestem pewna, czy ty i Kaia powinnyście chodzić na piechotę do szkoły w takie zimno. To znaczy, skoro jest naprawdę chora...

– Lekarz mówi, że spacer jest dla niej bardzo dobry.

– Ale w taką pogodę?

Kiwam głową i uśmiecham się przez zaciśnięte zęby, wkładam klucz do zamka. Gdy otwieram drzwi, Hanne odwraca głowę i próbuje dojrzeć wewnątrz naszego mieszkania. Przez chwilę na nią patrzę, a potem zamykam drzwi trochę głośniejsze, niż powinnam. Przez kilka sekund stoję przy zamkniętym wejściu, zdejmuję rękawiczki i słucham obcej ciszy.

Czasami prawie cieszę się, że nasze mieszkanie jest takie małe. Bycie tutaj samą w ciągu dnia po tym, jak przez tyle lat miałam towarzystwo Kai, jest

dziwne i niemal przerażające. Wchodzę i się rozglądam: korytarz, toaleta, łazienka, salon, w którym ja śpię na rozkładanej sofie, kuchnia z malutkim stołem, wnęka sypialniana Kai tuż przy kuchni. To wszystko. Kładę się na łóżku Kai i wdycham jej znajomy zapach: limonkowo-miodowego żelu pod prysznic, który obie lubimy, coś słodkiego jak ciastko, a pod tym zapach leków. Zamykam oczy i znowu mam wyrzuty sumienia z powodu tego, jak zaczął się ten poranek. Gdy to sobie przypominam, czuję się słaba z żalu. Biedna Kaia. To jej pierwszy miesiąc w szkole. Nie dość, że i tak ma pod górkę z tymi wszystkimi nowymi wyzwaniem, to jeszcze matka daje jej popalić.

Dlaczego nie możesz trochę pomyśleć?, powiedziałam. Dlaczego nie mogę nauczyć się kontrolować siebie? Jestem potwornie zmęczona. Przez chwilę zastanawiam się nad zamknięciem oczu i ucięciem sobie drzemki na kilka godzin, bo co mam robić ze sobą przez cały dzień teraz, gdy Kaia poszła do szkoły? Przez siedem lat opiekowałam się nią dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie miałam dla siebie praktycznie ani chwili, a teraz wszystko się zmieniło.

Wstaję, bo nie mogę zasnąć – mogą zadzwonić do mnie ze szkoły i pewnie zadzwonią, bo Kaia nie jest przyzwyczajona do przebywania beze mnie ani do towarzystwa innych dzieci. Siadam przy kuchennym stole: mogłabym sobie porysować. Albo sprawdzić, czy odpali mój komputer – powiedziano mi, że muszę się zarejestrować jako osoba poszukująca pracy, inaczej cofną mi zasiłki. Próbowałam powiedzieć, że nie mam żadnych kwalifikacji i że znalezienie jakiejś pracy przy jednoczesnej opiece nad Kaią może być niemożliwe, ale pani z urzędu tylko na mnie spojrzała i powiedziała: – Jeśli znajdzie pani pracę, będzie pani mogła wystąpić o kolejne zasiłki na opiekę nad dzieckiem.

Robię filiżankę herbaty i siadam na kanapie. Z góry dochodzi dziwny głos, potem jednak sobie przypominam, że jest środa i sprzątaczką Vikdalów ciągnie odkurzacz po ich wypolerowanych drewnianych podłogach. Próbuję włączyć komputer, ale mi się nie udaje. Czasami potrafi nie działać całymi dniami, a potem nagle się włącza.

Idę pod prysznic i rozbieram się we wnęcie Kai – gdybym rozebrała się w salonie, byłoby mnie widać z ulicy, a łazienka jest tak mała, że gdybym się w niej rozebrała, z pewnością zachlapałabym ubrania wodą. Unikam patrzenia na siebie w lustrze, bo szczególnie podoba mi się to, co widzę. Lubię swoją twarz i włosy, ale mam zbyt grube nogi, a na brzuchu widać brzydkie, fioletowe rozstępy. Moje piersi są ciężkie i wyglądają, jakby należały do kogoś znacznie starszego.

Przez długi czas stoję pod gorącą wodą. Potem ponownie kładę się na łóżku Kai i nasłuchuję odgłosów w góry. Postanawiam upiec bułeczki – chyba mam wszystkie składniki. Gdy przyjdzie do domu ze szkoły, ucieszy się, czując zapach świeżo upieczonych bułeczek posypanych kardamonem i posmarowanych białkiem. Ponownie nabieram energii i uśmiecham się do samej siebie na wyobrażenie rozpromienionej buzi mojej córeczki.

Wczesnym wieczorem ktoś puka do drzwi. Kaia podnosi wzrok, siedzi na podłodze przed telewizorem, przed nią znajduje się pusty talerz. Bułki zadziały. Gdy tylko weszliśmy do domu, natychmiast się rozpromieniła i teatralnym gestem oblizała usta.

– Kto to? – pyta teraz, ponownie patrząc na ekran.

– Nie wiem – odpowiadam. Otwieram drzwi i widzę naszą gospodynię. Nigdy wcześniej do nas nie pukała, chociaż często mam wrażenie, że obserwuje mnie i Kaię, jak wchodzimy do domu i z niego wychodzimy. Rano mnie zdenerwowała i teraz na jej widok czuję irytację.

– Cześć – mówię, ale nie zapraszam jej do środka. Zagląda przez moje ramię do mieszkania, a ja przeklinam w duchu porzrzuć w korytarzu buty.

– Cześć, Iselin – mówi, potem robi przerwę, najwyraźniej czekając, aż zaproszę ją do środka. Wieczór jest mokry i chłodny, ale wejście do mojej piwnicy jest osłonięte przez taras i stojąc tam, gdzie stoi, gospodyni nie zmoknie, nie mam więc wyrzutów sumienia. – Dzisiaj rano weszłaś do środka tak szybko, a ja chciałam sprawdzić, jak sobie tutaj radzicie.

– W porządku.

– Posłuchaj... ostatnio dobiegają nas hałasy. W nocy. Krzyki.

– Kaia ma koszmary.

– Tak. Tylko... To trochę niepokojące. To wszystko niesie się po całym domu.

– Przykro mi, że je słyszycie. Obawiam się jednak, że niewiele mogę na to poradzić. Mam nadzieję, że z czasem się to uspokoi. Dużo przeszła. To może mieć coś wspólnego z lekami, które bierze.

– Racja.

– Poza tym ja też was słyszę. – Po tych słowach Hanne Vikdal unosi brwi. Pewnie sobie myśli, że jestem bezczelna, ale jej trzech chłopców przeszkadzało nam tyle razy, a teraz ona ma czelność pukać do moich drzwi i narzekać na koszmary, które mała dziewczynka ma po lekach po ratującej życie operacji? –

W każdym razie spróbuję ją uspokajać, tak by jej koszmary wam nie przeszkadzały – dodaje.

– Ja... Cóż, chodzi mi raczej o to, czy nie ma powodów do obaw, gdy dziecko krzyczy tak po nocy.

– Dobranoc – mówię, zamykam cicho drzwi i zostawiam ją tam na zewnątrz. Wyobrażam sobie jej zaskoczoną minę. Opieram się o wejście i biorę kilka głębokich oddechów, a następnie wracam do środka, gdzie Kaia zaczęła budować przed telewizorem wieżę z lego. Wyobrażam sobie tę sukę na górze, w tym jej wielkim domu z lśniącym audi na podjeździe, opowiadającą swojemu mężowi, że lokatorka zamknęła jej drzwi przed nosem, i nagle dostaję gęziej skórki. Może powinniśmy się przeprowadzić, ale dokąd i jak? Ja nie mam żadnych pieniędzy, a Hanne Vikdal prawdopodobnie nie wystawi mi zbyt dobrych referencji. Postanawiam porozmawiać z przydzieloną mi urzędniczką z opieki, może uda nam się przeprowadzić ze względów medycznych – przecież oddychanie zatęchłym powietrzem w tym mieszkaniu nie może być korzystne dla Kai.

Sprzątam w kuchni, zeskrobuję z blachy resztki bułeczek, a potem siadam przy rozłożonym stole. Kaia jest skupiona, ostrożnie wkłada jeden klocek obok drugiego. Ma różowe policzki, jej ruchy są szybkie i swobodne. Wygląda jak zdrowe dziecko. Zamykam oczy i bawię się szydełkowym obrusem, mój umysł pędzi jak szalony.

Rozdział 13

Alison

Każda komórka w ludzkim ciele zawiera kompletny materiał genetyczny danego człowieka. Neuropeptydy, nadajniki używane przez mózg do komunikacji z ciałem, istnieją we wszystkich tkankach, co sprawia, że pamięć komórkowa jest możliwa, mówi Google. Wpisuję – przeszczep serca pamięć komórkowa – a Google wyrzuca mi siedemset siedem tysięcy trafień. *Czy organy do przeszczepu mogą utrzymać wspomnienia dawcy?*, pyta autor jednego z artykułów. To już za dużo. O wiele za dużo. Wstaję i na chwilę podchodzę do kuchennego parapetu. Na zewnątrz wszystko jest takie samo. Deszcz spływa z gałęzi świerków, niebo jest ciemne i wisi nisko, miasto w dolinie jest całkowicie zakryte przez mgłę. Nie mogę oddychać, żeby nabrać powietrza, muszę pochylić się do przodu. Stoję tam, z czubka mojego nosa kapią krople łez, chcę tylko, żeby ktoś mnie wyłączył, żeby to zakończył, chcę choć na chwilę porzucić mój wyczerpany umysł i złamane serce.

Myślę o Sindre w lesie, trzymającym strzelbę, z wprawą rozglądającym się za niczego niespodziewającym się łosiem. Kopyta poruszające się w tę i z powrotem w krzakach, ruch szczęki, fontanna soku jagodowego z jego pyska, łagodne oczy mrugające w jaśniejącym świetle, promienie słońca porozrywane w gęstych drzewach, pozostało mu kilka sekund życia. Odwracam się w kierunku komputera i ponownie myślę o pamięci komórkowej. A co, jeśli wspomnienia i istota człowieka są przechowywane nie tylko w mózgu czy w duszy, lecz w każdej komórce jego ciała? Czy te komórki mogłyby w jakiś sposób wpłynąć na biorcę, który dostał po przeszczepie jakiś narząd? Przyciskam twarz do okna, szyba chłodzi mój gorący policzek, i patrzę na potężną biel zasłaniającą Oslo – tam gdzieś jest osoba, która dostała narządy

mojego dziecka. Czy to możliwe, że otrzymała coś więcej niż tylko narząd, który umożliwił jej dalsze życie?

Kiedyś moje myśli były proste i łatwo było je od siebie oddzielić. Teraz wyobrażam je sobie jako głodne robaki, które kłębią się w puszcze: brzydkie i splątane. Jest prawie druga nad ranem, deszcz przestał padać, pozostawiając po sobie bezgwiezdne niebo. Siedzę tu od wielu godzin, wpatrzona w ekran, kolejne sekundy nocy powoli mijają, piję dużymi łykami wino z wódką i sokiem żurawinowym.

Czytałam o kobiecie w Nowej Anglii, która po przeszczepie serca zaczęła mieć realistyczne sny o mężczyźnie zwanym Tim L. Nabrała również ochoty na jedzenie dań, których nigdy nie lubiła, pokochała piwo i nuggetsy z kurczaka, a gdy dotarła do rodziny dawcy, okazało się, że rzeczywiście nazywał się on Tim L., uwielbiał piwo i kurczaka. Czytałam o mężczyźnie, który ożenił się z wdową po swoim dawcy, a dwa lata później popełnił samobójstwo w ten sam sposób, co on. Czytałam o mężczyźnie, który po przeszczepie serca stał się artystą geniuszem, prawdopodobnie dzięki temu, że dawca też był artystą. Czytałam o francuskiej aktorce, opisującej żywe wspomnienia z wypadku samochodowego, w którym zginęła jej dawczyni. Potem była mała dziewczynka, której niewyjaśnione wspomnienia o brutalnym morderstwie były tak silne i szczegółowe, że doprowadziły do aresztowania mężczyzny, który zabił dawcę jej serca. Wszyscy ci ludzie otrzymali serce innej osoby. Uważam się za osobę racjonalną; nie wiem, jak mogłabym w to uwierzyć, ale z drugiej strony jak mogłabym nie wierzyć? Czytam i czytam, i czytam, starając się wydobyć jakieś znaczenie z tych wszystkich słów, które płyną w mojej głowie, wykrwawiając się wzajemnie. Ta koncepcja jest tak pełna możliwości, że czuję, jakbym znowu odżyła.

Telefon wibruje w mojej dłoni, drży i dzwoni, jego uporczywy elektroniczny dźwięk brzmi w moich uszach. Siadam zdezorientowana, ale gdy to robię, pokój zaczyna wirować dookoła i ogarniają mnie mdłości, w moich ustach wybuchają gorzkie plamy żółci. Przełykam z trudem ślinę i mrużę oczy, patrząc na jasny ekran. Pojawiło się na nim imię Sindrego. Jest 5:52 rano i kiedy przesuwam

przycisk, żeby odebrać połączenie, wiem tylko, że to nie głos Sindrego, ale kogoś innego, kogoś, kto dzwoni z jego telefonu, żeby mi powiedzieć, że coś mu się stało.

Mam rację.

– Alison? – szepcze jakiś mężczyzna.

– Tak? – *Proszę, proszę, tylko nie jeszcze Sindre.* Widzę go w samym środku nocy w lesie, teraz nie biegnie, po prostu wisi na czarnej linie na grubej gałęzi, obserwowany przez mrugające gwiazdy i zwierzęta. – Powiedz mi, do cholery!

Mężczyzna dyszy do telefonu, mówi łamiącym się głosem.

– Sindre... Sindre dostał szału.

Rozdział 14

Iselin

Teraz odżywia się już właściwie, je radośnie kotleciki rybne, groszek i tłuczone ziemniaki, wbija widelec w następny kawałek, gdy tylko przełknie poprzedni. To też jest coś nowego. Kiedyś jadała pół kanapki z nutellą, za jakiś czas ćwiartkę jabłka i tak nam mijał czas. Obserwuję ją, uśmiecham się, a ona odwzajemnia uśmiech, mała twarzączka rozświecła się i opowiada o tym, jak było dzisiaj w szkole. Słucham i kiwam głową, zadaję wszystkie niezbędne pytania. Czyli Solveig jest miłsza niż Oda? To dlaczego chłopcy się pobili? Och, tak, z tego Ludviga to prawdziwy żartowniś. Kaia przez przypadek upuszcza widelec na podłogę i pod wpływem tego hałasu podskakuję z przerażenia. Musi wyczuwać, że jestem spięta, bo gdy ponownie na nią patrzę, jej twarz jest już bardzo poważna.

– Mamo – zaczyna, przysuwając do ust łyżkę z groszkiem – czy mogę iść do Solveig na nocowanie? – pyta.

– Och, kochanie – mówię. – Może kiedyś. Ale jeszcze nie teraz.

– Dlaczego nie?

– Bo jesteś jeszcze we wczesnej fazie po operacji. Nie mogę oczekiwać od rodziców innego dziecka, że zaopiekują się tobą we właściwy sposób.

– Wiem, co robić, jeśli źle się poczuję! Wiem, jakich leków potrzebuję i kiedy mam je wziąć.

– Kaiu, masz siedem lat. Planowanie wielu różnych leków w różnym czasie nie jest twoim obowiązkiem, choć wiem, że wiesz co, kiedy i ile. – Przez chwilę się nad tym zastanawia, przeżuwa resztkę jedzenia.

– W takim razie Solveig może przyjść nocować tutaj – mówi.

– Skarbie...

– Dlaczego nie? Przecież ona w ogóle nie musi brać żadnych leków! – Nie chcę mówić Kai, że głównym powodem jest to, że gdybym musiała wpuścić do tego małego mieszkanka inne dziecko, byłabym zawstydzona. Wcześniej miałam dobrą wymówkę, że nie chcę narażać jej na ryzyko infekcji, i nadal mogłabym użyć tego argumentu, ale Kaia może już teraz uchodzić za zdrową i chcę, żeby zachowywała się tak jak dzieci w jej wieku.

– Zobaczymy – mówię, chociaż podejrzewam, że dla większości dzieci oznacza to „nie”.

Dzisiaj nawet się nie obudziła. To ja gwałtownie się obudziłam, może w oczekiwaniu na to, jak Kaia zacznie krzyczeć. Wchodzę do jej pokoju i patrzę, jak jej klatka piersiowa podnosi się i opada, rzucając na ścianę cień w słabym świetle świecących na zewnątrz latarni. Żałuję, że jestem sama, że nie mam partnera, który by mnie objął, zaprowadził czule do łóżka i szepnął: *Wszystko w porządku, kochanie.*

Rozdział 15

Alison

Espen i ja siedzimy obok siebie na pomarańczowych plastikowych krzesłach. Mój mąż dostał silne środki uspokajające i leży w sali na końcu korytarza. Dzisiaj wieczorem lekarze przestaną podawać mu leki i jest szansa, że jutro wyjdzie do domu.

– Cieszę się, że nie jesteśmy w kostnicy – mówi Espen, wpatrując się w swój papierowy kubek. Na jego woskowym brzegu zebrały się krople kawy. Kiwam głową. Jego prawa ręka jest na temblaku, a lewa, w której trzyma kubek, bardzo się trzęsie. Espen jest najlepszym przyjacielem mojego męża od prawie trzech dekad, odkąd spotkali się w wojsku w wieku osiemnastu lat. Ma czerwone oczy, a łysa głowa lśni w promieniach słońca, które wpadają przez znajdujące się za nami okna.

– Chyba sobie wyobraził, że tam wrócił – mówi Espen, nachmurza się i wiem, że on też *tam* wrócił. – No wiesz, że wrócił do walki. Naprawdę zachowywał się tak, jakby nic do niego nie docierało, jakby stracił poczucie rzeczywistości.

– Opowiesz mi wszystko od początku? – Espen kiwa głową, potem zaczyna mówić. – Na polanę dotarliśmy około wpół do szóstej. Wcześniej, niż się spodziewaliśmy, więc po prostu czekaliśmy. Było jeszcze zupełnie ciemno.

– Czy w drodze na polanę Sindre zachowywał się dziwnie? Albo poprzedniego wieczoru?

– No cóż. To zrozumiałe, że nie jest sobą. Oczywiście. Ale zachowywał się tak jak tydzień temu, gdy się widzieliśmy.

– Rozmawiał z tobą o Amalie? – Jej imię więźnie mi w gardle jak kiepsko popita tabletką.

Espen powoli kręci głową.

– Nie. Nigdy nie był rozmowny, a teraz jest po prostu jeszcze bardziej wycofany niż zwykle.

– Dobrze. Więc czekaliście. Jak długo?

– Może godzinę. Nie, raczej dłużej. Zaczęło się robić jasno. Było zimno, ale mieliśmy ciepłe ubrania.

– Rozmawialiście ze sobą?

– Nie, po prostu leżeliśmy i czekaliśmy. Nasłuchiwalismy. Sindre na środku, Victor po lewej, a ja po prawej. Oczywiście wszystko to było uzgodnione z góry. Jak zawsze. Czekaliśmy na wielką samicę, śledziliśmy ją przez cały poprzedni dzień. Miała ze sobą cielaka, miał jakieś cztery miesiące. Plan był taki, że Sindre najpierw zastrzeli cielaka.

– Dlaczego mielibyście strzelać do cielaka?

– Bo... – Espen długo się waha, patrzy w górę na sufit, jakby szukał słów, ale wtedy zdaje sobie sprawę, że mruga, by powstrzymać płacz. – Bo matka zawsze wraca.

Matka zawsze wraca. Widzę je oczami wyobraźni: wielka, łagodna łosiowa mama i jej dziecko, idące śmiało przez mokrą, chłodną trawę w porannym lesie. Na polanie matka rozgląda się, mruga, próbuje wykryć ludzi i zagrożenie.

– Rozumiem – szepczę.

Espen wpatruje się nieszczęśliwie w trzymany kubek. Widzę, jak trzyma naładowaną strzelbę, jak jest skupiony do granic możliwości.

– Ja miałem zastrzelić matkę, gdy wróci po dziecko, mieliśmy ją w idealnej odległości. Ale. Stało się inaczej. Zobaczyliśmy zwierzęta wylaniające się z lasu i idące powoli w naszą stronę. Kiwnąłem do Sindrego, żeby się naszykował, wyglądał na spokojnego i skupionego. Ale potem... nie zrobił tego, co miał zrobić. Zastrzelił matkę, a młode natychmiast uciekło. Victorowi udało się je zastrzelić, ale wtedy Sindre wstał, ruszył do miejsca, w którym leżała matka, na sam środek polany. Podszedł do niej i znowu zaczął strzelać. Raz, drugi, trzeci. Ona była... Rozwalił ją na kawałki.

– Co zrobiliście?

– No cóż, to było całkiem oczywiste, że zupełnie stracił nad sobą panowanie. Zacząłem skradać się do niego z tyłu polany, pomiędzy drzewami. Zauważył mnie, gdy stałem kilka metrów od niego z podniesionymi rękami. „Cofnij się, kurwa!”, krzyczał. „Cofnij się!”, wrzeszczał wciąż i wciąż. – Espen wcale na mnie nie patrzy. Ja też na niego nie patrzę. Otwieram dłoń i wpatruję się w słabą linię życia. – My... Nie wiedzieliśmy, co robić. Kiedy próbowałem się do niego zbliżyć, wymachiwał do mnie strzelbą, a potem skierował ją na siebie.

– Chryste. Mógł was pozabijać.
– Ale tego nie zrobił.
– I co stało się dalej?
– Rzuciłem się na niego i wyrwałem mu broń. Był pokryty krwią i wrzeszczał.
– Jezu – mówię. Espen kiwa głową. Jego twarz jest wykrzywiona i pełna niedowierzania, tak jakby obserwował tę scenę w tej chwili. Milkniemy, ale ja cały czas myślę o tym, że mój mąż wpadł w amok w ciemnym lesie, trzymając nabitą strzelbę.

– Proszę – mówię w cichym, mrocznym pokoju, i siadam na skraju łóżka obok męża. Stawiam parującą kawę na niskim stoliku przy jego głowie. Nie śpi – widzę błysk w otwartym oku. Jest w domu od trzech dni i już chce wrócić do pracy. Lekarz mówi, że po tym, co się stało, nie ma na to szans aż do Nowego Roku.

– Dziękuję – odpowiada Sindre i odwraca się w moją stronę ze zmęczonym uśmiechem na twarzy. – Jak się czujesz?

Kiwam głową. Siada i zaczyna pić kawę, zamyka oczy. Zerkam na zegarek – za godzinę będzie musiał wziąć leki.

– Myślałem, że może... że może powinniśmy wyjechać na święta. Z Oliverem – mówi, wpatrując się poważnie w kubek. Umysł od razu podsuwa mi obraz upchniętych na wózku walizek, lotów, promieni słońca lejących się na jakiejś odległej plaży, misia Dinky pozostawionego na poduszce, brązowiejących, gnijących liści w ogrodzie, pustego, czarnego jeziora, skutego lodem...

– Tak – szepczę. – Tak, zróbmy to. – Patrzymy sobie w oczy, błagając się wzajemnie, wciąż od nowa analizując ten pomysł.

– Dokąd?

– Eee... może do... Meksyku?

– Meksyk – powtarza Sindre, tak jakby nigdy nie słyszał o takim kraju.

– Tak, albo... – Próbuję wymyślić jakieś inne miejsce, w którym nikt nie będzie nas znał, w którym będziemy wyglądać jak kompletna rodzina: mężczyzna, kobieta i chudy, uroczy nastolatek. – Eee, Teneryfa. Sarasota? Może...

– Meksyk – powtarza Sindre, wpatrując się we mnie przez parę znad kubka. Kiwam głową i już chcę wstać, ale przypadkowo zerkam na jego różowe, grube

palce zaciśnięte na kubku i od razu mam wizję tych samych palców, które wciskają spust. Widzę mojego męża z obojętnym wyrazem twarzy, skupionego, strzelającego raz za razem. Widzę, jak zwraca broń w stronę Espena, a potem wycelowuje ją w siebie. Mógłby zostać mordercą, potem jednak przypominam sobie, że już nim jest, chociaż nikt nigdy go tak nie nazwał. Neutralizator. *Nie można było do niego dotrzeć*, powiedział później Espen. *Był dziki*. A co, jeśli... A jeśli to się powtórzy? A jeśli obudzę się w środku nocy, a on będzie celował do mnie z broni?

– Co jest? – pyta Sindre, ściągając ciemne brwi.

– Nic – odpowiadam. – Nic, kochanie. Tylko... Już prawie czas na twoje leki. Wrócę za godzinę.

– Dobrze.

Leżę na łóżku Amalie.

Tatusz ma się coraz lepiej. Wrócił do domu. Musiał na jakiś czas wyjechać, żeby dojść do siebie. Jeszcze nie wrócił do pracy, drzemie w naszym pokoju, więc ja jestem tu, odpoczywam i słucham twojej obecności. Jest jedenasta rano, ale na zewnątrz jest ponuro. Uśmiecham się na wspomnienie, że nigdy nie zwracałaś większej uwagi na pogodę, a gdy ja narzekałam na jakiś wyjątkowo nieprzyjemny dzień, ty się śmiałaś i rozglądałaś wokół, tak jakbyś w ogóle nie zauważyła, że stoimy w lodowatym deszczu. Byłaś taką szczęśliwą osobą.

Próbuję się poprawić, tak bardzo się staram. Czasami, leżąc na twoim łóżku tak jak teraz, czuję się tak blisko ciebie, że prawie godzę się z tym, iż nie możesz do mnie przyjść. Teraz wiem, że coś po tobie pozostało.

Teraz przychodzę do niej do pokoju niemal codziennie. Z początku nie mogłam tego znieść, jej niemożliwa nieobecność w jej własnym pokoju dosłownie mnie swędziała i rozrywała moją skórę. O wiele łatwiej było, gdy drzwi pozostawały zamknięte – niemalże potrafiłam sobie wtedy wmówić, że ona tam jest. Jednak Karen powiedziała, że będę bardziej czuła jej obecność w przestrzeni, w której żyła całe życie, niż w przestrzeni, z której wychodziła, i miała rację. Ale czy istniał sposób, by znaleźć się jeszcze bliżej?

Zamykam delikatnie drzwi i wychodzę na zewnątrz, do tego innego świata. Ona siedzi przy swoim biurku, mówię sobie. Robi pisakami żelowymi te piękne wzorki, w których jest tak dobra, i się do siebie uśmiecha, nuci piosenki, które zawsze sobie wymyśla.

Ale tak nie jest.

Puszczam klamkę i zataczam się w kierunku schodów. Siedemnaście stopni na pięć razy, wypadam przez podwójne drzwi na korytarz, na zewnątrz, szybko po mokrym trawniku, deszcz kłuje moją skórę, wbiegam między drzewa, padam na kolana, wbijam palce w rozmiękłą ziemię, mam krótki, rwący się oddech. Próbuję poczuć się lepiej, tak bardzo próbuję, a teraz jeszcze bardziej, bo Sindre i ja nie możemy rozpaść się na kawałki w tym samym czasie. *Jestem na jebanych kolanach*, mam ochotę wrzeszczeć, ale nie wydobywam z siebie żadnego dźwięku, a na końcu nie mam do zrobienia nic poza wstaniem i wpatrywaniem się w nasz dom.

Na dole w kuchni szoruję paznokcie druciakiem, aż wreszcie skóra mi pęka i zaczyna krwawić. Czy będę tak jak te inne żony, żony, których mężowie strzelają do grupki niewinnych ludzi, którzy celują z broni w niewinne osoby? Których twarze znajdują się w gazetach w moim kraju? Czy to ja będę następną, płacząca, mówiąca: „Nie spodziewałam się tego, jak mógłby coś takiego zrobić?”.

Matka zawsze wraca, powiedział Espen. *Zawsze*.

Jest późno, Sindre usnął na kanapie, obok niego na podłodze stoi niemalże pusta butelka po szkockiej. Stoję i na niego patrzę, myślę o tym, co się z nami stało. Niemalże mówię to na głos: *Do widzenia*.

Do widzenia.

W garażu bez trudu znajduję to, czego szukam. Broń jest cięższa, niż sobie wyobrażałam, przez chwilę ją trzymam, a potem odkładam do pudełka. Zabieram kilka innych niebezpiecznych przedmiotów. Zwój niebieskiej liny. Lśniący nóż myśliwski. Butelka kwasu siarkowego. Umieszczam linę i nóż w pudełku z bronią, a następnie stoję chwilę w ciemnym, zatęchłym pomieszczeniu – w jakiej dziwnej i trudnej sytuacji się znalazłam. Wiem jednak każdym włóknom mojego ciała, że muszę to zrobić, nie ma wyjścia. Wąskim przejściem z boku domu idę ostrożnie z pudełkiem, tak jakby znajdowały się w nim żywe istoty. Wracam po kwas. W samochodzie kładę pudełko i butelkę na podłodze fotela pasażera, a następnie siadam na siedzeniu kierowcy, ściskam lodowatą kierownicę, wypuszczam chmury pary wodnej. Jest już po północy, pora jechać.

Wjeżdżam do lasu wąską, pełną drogą i wybieram spokojne miejsce po północnej stronie jeziora. Robię to, by nas ocalić. Wiem, że w kwestii niebezpiecznych przedmiotów nie mogę już ufać ani sobie, ani mężowi. Gdy wchodzę do lasu, delikatnie dotykam postrzępionej liny sztywnymi od zimna palcami, wyobrażam sobie, jak przerzucam ją przez jakąś nagą gałąź, a potem zakładam ją sobie na szyję. Nad wodą przywiązuję linę do dużego kamienia i rzucam ją w ciemność. Wylewam kwas u swych stóp, słyszę syk. Nadchodzi kolej długiego, zakrzywionego noża, który Sindre ma od czasów nastoletnich – przechodzą mnie dreszcze za każdym razem, gdy patrzę na to lśniące ostrze. A potem broń i naboje. Wrzucanie wszystkich tych przedmiotów do jeziora zajmuje mi wiele minut, słucham ostrych trzasków, gdy rozrywają powierzchnię lodu i znikają w czerni pod nim.

Teraz, po wszystkim, żałuję, że wrzuciłam te okropne przedmioty do jeziora – to jest jej jezioro, które już na zawsze będzie mieć w sobie coś z niej. Padam na kolana na brązowej zamrożonej plaży, trzymając się za bolący brzuch, moje szloch niosą się po powierzchni zbiornika niczym rzucone kamienie, aż wreszcie zostają wessane przez przenikliwy wiatr, który szarpie korony drzew. Krucha nadzieja, którą odczuwałam przez kilka ostatnich tygodni, zniknęła pod wpływem widoku jeziora i nieuniknionej prawdziwości tego, co mi ono zabrało. Aby wstać, ruszyć się, zrobić jeszcze jeden oddech, potrzebuję jakiegoś znaku.

Znak, misiaczku. Możesz dać mi jeszcze jeden znak?

Siedzę i obejmuję się na zimnie, próbuję odzyskać panowanie nad oddechem. A potem – niewiarygodne – na tle szumu wiatru oddziela się inny dźwięk – gwałtowne bicie serca i wstaję, odwracam głowę od wiatru, żeby więcej słyszeć. To nie jest moja wyobraźnia. Dźwięk staje się coraz głośniejszy, rozcina wszystkie inne dźwięki nocy, cudowne, rytmiczne walenie, i nawet gdy po drugiej stronie jeziora między drzewami dostrzegam światła pociągu, to nadal jest znak.

Rozdział 16

Iselin

– Co ty robisz? – pytam na jej widok, przyłapałam ją na gorącym uczynku, z markerem przy listwie przypodłogowej w kuchni. Wrywam marker z jej dłoni i kucam obok, opryskując ją wodą z mokrych po prysznicu włosów, przysuwam twarz do ściany. Wzdłuż listwy narysowała długi rząd małych misiów. Czarnym, permanentnym markerem. – Kaiu... – nie patrzy na mnie, tylko wpatruje się w swoją dłoń, tak jakby nadal trzymała mazak. – Ej, spójrz na mnie! Dlaczego narysowałaś to... to coś na ścianach w tym domu?

– Nie gniewaj się – mówi.

– Kaiu, jak mam się nie gniewać, skoro robisz takie rzeczy?

– Przestań! Przestań krzyczeć! Zawsze na mnie krzyczysz! Inne mamy nie krzyczą. – *Inne mamy nie muszą znosić bycia bezrobotną samotną matką dziecka, które jest chore od urodzenia, które wymaga stałej uwagi, które nie śpi w nocy, które pyskuje i uważa, że można rysować jedenaście pieprzonych misiów na ścianach wynajętego mieszkania*, mam ochotę odpowiedzieć, ale udaje mi się zamknąć. Wstaję i trzaskam za sobą drzwiami na korytarz.

Opieram się o drzwi i wyobrażam sobie, jak by to było mieć takie życie jak inne matki w tej okolicy. Wracają do domu do miłych, kochających mężów, idą do delikatesów lub eleganckich supermarketów jak Meny, robią zakupy, nie przejmując się rachunkiem przy kasie, kupują sobie ciuchy, nie sprawdzając ceny, prowadzają dzieciaki do najlepszych fryzjerów, nie strzygą ich starymi nożyczkami do paznokci. Założę się, że te matki nie cierpią na bezsenność, nie martwią się, nie boją i nie żałują. Chcę być taka jak one, nie taka jak ja. Jestem zmęczona, biedna i samotna. Gdy byłam młodsza, tak strasznie chciałam uciec od mojego ponurego dzieciństwa w owym miejscu, o którym nigdy nawet nie myślę, i wściekam się na myśl o tym, że byłam tak blisko.

Udało mi się dotrzeć tam, gdzie chciałam – do paryskiej szkoły artystycznej. A potem zaszłam w ciążę i wszystko zniszczyłam.

Ale mam coś, czego nie mają inne mamy: Kaię. Kilka razy nabieram głęboko powietrza i udaje mi się zatamować stojące w oczach łzy. Wracam do kuchni, gdzie Kaia wyciera jednego misia mokrą ścierką do naczyń.

– Ej – mówię, delikatnie gładzę ją po policzku i biorę od niej szmatkę. – Przepraszam. Nie chciałam podnosić na ciebie głosu. Po prostu nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Martwię się, że będziemy miały kłopoty.

– One są słodkie – szepcze i ma rację, są urocze i narysowane ze wszystkimi szczegółami, tak że można by je pomylić z misiami z kreskówki.

– Po prostu... Musisz zrozumieć, że w tym domu nie wolno rysować po ścianach. Kaiu, ten dom nie jest nasz.

– Ależ jest. Przecież tu mieszkamy.

– Tak, ale to jeszcze nie oznacza, że jest nasz. Należy do innych ludzi. Kiedy dowiedzą się, że rysujemy na ścianach, naprawdę się wściekną.

– Ale one są słodkie – szepcze. Kiwam głową i ją przytulam, całuję w czubek głowy. Myślę o tej kobiecie na górze, o tym, jak mnie obserwuje i ocenia. Gdyby ktoś narysował misie na ścianach w jej domu, z pewnością byłaby szczęśliwa. Biorę mazak od Kai i zaczynam dorysowywać różne elementy. Nad misiami lecą dwa ptaki, w łodzi płynie niedźwiedź, kaczka ciągnie wózek z małymi kaczątkami. Na samym końcu wybuchamy śmiechem, a potem padamy na sofę, oglądamy *Dorę* i jemy lody truskawkowe z pudełka.

Rozdział 17

Alison

– Alison – mówi Karen.

– Tak – odpowiadam i przenoszę wzrok z ptaków na jej łagodną twarz.

– Chcę powiedzieć, że jest mi przykro, że nie mogłaś zostać ostatnim razem. Moja praca polega na słuchaniu tego, co mówisz, i pomaganiu ci się trzymać. Nie wiem, czy ostatnio mi się to udało.

– Nie... To nie była twoja wina. Zupełnie. Miałam zły dzień. Wyjątkowo zły dzień – dodaję. Karen kiwa głową i przez chwilę na mnie patrzy, może czeka, aż zacznę mówić. Nie zaczynam.

– Oddycha ci się już lepiej?

– Nie. No, może trochę. Te problemy przychodzą i odchodzą. – Karen kiwa głową. Gdy się nie odzywa, mówię dalej. – Wrzuciłam broń męża do jeziora. – Na jej profesjonalnie spokojnej twarzy pojawia się przerażenie.

– Kiedy?

– Wczoraj w nocy. A gdy byłam tam nad jeziorem, czułam jej bliskość. Tak ogromną bliskość. Jakby wysyłała mi znak.

– Znak?

– Tak, znak. – I gdy wypowiadam to słowo, uświadamiam sobie, że brzmię jak wariatka. Chciałam powiedzieć Karen, że gdy stałam przy jeziorze i nagle usłyszałam coraz głośniejszy odgłos bicia serca, poczułam iskierkę nadziei, potem jednak musiałabym jej powiedzieć, że to był tylko pociąg, chociaż oczywiście był to zbyt duży zbieg okoliczności, żeby nie potraktować go jak znaku. Ale Karen patrzy na mnie w taki sposób, że od razu widzę, iż mnie nie zrozumie. Prostuję się w fotelu, przez chwilę patrzę na ptaki. – Chodzi mi o to, że czasami wydaje mi się bardzo blisko.

Karen kiwa głową, czeka, aż będę mówić dalej, ale ja nie mówię.

– Przychodzisz tu od prawie czterech miesięcy – odzywa się po chwili. – Pomyślałam, że może spróbujemy włączyć do naszych spotkań pewne techniki regresji.

Wzruszam ramionami i wracam do ptaków. Dwadzieścia dwa ptaki, wysoko w górze, rozcinające skrzydłami powietrze, tworzące strzałę lecącą na południe: jak one to robią? Karen Fritz coś mówi.

– Co?

– Opowiesz mi o tym, co wydarzyło się szóstego lipca?

Nie, myślę. Nie mogę. Jak miałabym znaleźć odpowiednie słowa? Ale kiwam głową. Zamykam oczy. A potem tam wracam.

Praktycznie czuję ziemisty zapach jeziora i sypki piasek między palcami.

Siedzę na trawie i patrzę na jezioro, na grupkę dzieci. Ja też wychowałam się w pobliżu wody i jestem poruszona faktem, że patrzę, jak moje dziecko bawi się na płyciźnie tak samo, jak ja bawiłam się w jej wieku. Patrzę na Amalie siedzącą po pas w mętnej, nakrapianej słońcem wodzie. Trzyma żółte wiaderko i czerwoną łopatkę, chlapie wodą i piszczy, z jej długich, rozpuszczonych włosów kapie woda. Niedawno przestała być krępy, pulchny maluchem i jak na swój wiek jest wysoka i szczupła. Często zerka w moją stronę, odnajduje mnie wzrokiem wśród innych rodziców i się do mnie uśmiecha. Jestem wkurzona, że Sindrego z nami nie ma. Przyniósł tu z samochodu koc piknikowy i przenośną lodówkę, poszukał wolnego miejsca na trawie, a potem pomógł mi rozłożyć koc. Zamiast jednak usiąść obok mnie, wyciągnął ze swojej sportowej torby buty do biegania i zdjął japonki. Uśmiechnął się do mnie smutno, a potem szybko mnie pocałował i wbiegł na ścieżkę prowadzącą do otaczającego jezioro lasu.

Wstaję, osłaniam oczy przed cudownie ciepłym latem, patrzę na spokojną, brązową wodę po drugiej stronie w poszukiwaniu mojego biegającego męża, myślę, że może uda mi się go dostrzec w jasnożółtej kamizelce do biegania, ale jednak nie. Czasami mam wrażenie, że jestem cały czas sama. Gdy Sindre nie jest w pracy, to jeździ na rowerze albo biega, albo jest na nartach, albo się wspina, albo poluje, albo gra w piłkę z „chłopakami”, którzy wcale już nie są chłopakami, ale łysiejącymi prawnikami i biznesmenami pod pięćdziesiątkę. To, co zaczęło się jako zachęta do odzyskania sprawności z militarnych czasów, zamieniło się w dość ekstremalną pogoń za kondycją i z każdym miesiącem

przynosi do domu coraz droższy sprzęt, zapisuje się na maratony, wyścigi i różne turnieje w całej Norwegii. Zaczęłam tęsknić za lekko zmęczonym, normalnym Sindrem, za którego wyszłam za mąż.

Patrzę z powrotem na Amalie, ale ona nie siedzi już na środku niewielkiej grupki dzieci w jej wieku. Biega tam tyle maluchów, wszystkie się chlapią i pływają, że stały się czymś w rodzaju jednego wspólnego ciała, jednego giganta zrobionego z delikatnej, białek skóry w różnokolorowych kostiumach kąpielowych, z dmuchanymi zabawkami, w rękawkach i z mokrymi włosami. Zanim mam czas na panikę, Amalie staje przede mną, drży, ściąga rękawki i rzuca je na koc.

– Czy mogę teraz zjeść lody? – Kiwam głową i biorę ją za zimną, mokrą rączkę. Po kilku minutach dochodzimy do pobliskiej budki z lodami, przeskakujemy po niewielkich fragmentach wolnej trawy, na której nie ma opalających się, jedzących i smarujących się kremami do opalania rodzin. W drodze z powrotem na koc Amalie dostrzega Sindrego, siedzącego i wpatrującego się w urocze pandemonium w wodzie, ocierającego pot z czoła. – Tatusiu! – krzyczy i do niego biegnie, lody waniliowe kapią po jej małym nadgarstku. Podnosi ją i bierze gryza jej lodów, Amalie piszczy. Uśmiecham się i kładę obok nich, opieram głowę o kolano Sindrego.

– Boże, to jest jakieś szaleństwo – mówi. – Słyszałem wrzaski tych dzieciaków po drugiej stronie jeziora.

– Tak, powinniśmy już się zbierać. Dzisiaj po południu musimy się spakować i iść wcześniej spać, lot mamy o wpół do siódmej rano, pamiętasz? – Sindre krzywi się i kiwa głową, równocześnie wycierając słodki strumyk, spływający wzdłuż całej ręki Amalie i kapiący na jej kostium kąpielowy z Królową Elsą.

– Dobrze, za pół godziny idziemy – mówi. – A jak się spakujemy, to ja, eee, pójdę jeszcze pojeździć z Espenem na rowerze. To nie potrwa długo. We Włoszech nie będę miał tyle czasu na ćwiczenia – bo przez cały czas będę lenić się przy basenie z moją wspaniałą żonką. – Ściska moje ramię, a ja przewracam oczami, on jednak tego nie zauważa, bo mam okulary przeciwsłoneczne.

– Mhm – odpowiadam.

– Chcę jeszcze popływać! – mówi Amalie.

– Kochanie, najpierw dokończ lody – odpowiadam. – Masz jeszcze pół godziny.

– Pobiegam sobie jeszcze przez piętnaście minut, dobrze? – Sindre zdejmuje moją głowę ze swoich kolan i delikatnie podkłada pod nią moją torebkę, a potem z zaskakującą sprawnością zrywa się z miejsca i odbiega, zanim udaje

mi się cokolwiek odpowiedzieć. Zamykam oczy i biorę kilka głębokich oddechów, lekko głaszcząc Amalie po mokrych włosach.

Musiałam na chwilę zasnąć. Ale to nie mogło być dłużej niż chwilka. Sindre stoi nade mną i coś mówi. Szybko wstaję, pulsuje mi w głowie.

– Co?

– Możesz iść po Amalie? Zacznę zbierać nasze rzeczy – mówi, podnosząc okulary przeciwsłoneczne, patrząc na wodę.

– Ale... nie miałaś iść biegać?

– Już wróciłem. Gdzie jest Amalie?

– Ona... ona była tam – mówię. – Pójdę po nią.

– Nie widzę jej.

Wstaję i od niego odchodzę, przyglądam się wbiegającym do wody i wybiegającym z niej dzieciakom, niosącym wiaderka wody, niemowlętom z zapiaszczonymi pupami, starszym dzieciom dalej we wodzie, siedzącym na dmuchanych krokodylach i flamingach. Nigdzie nie widzę Amalie i zaczynam czuć tępy ból w brzuchu, dzikie przerażające trzepotanie. Nie zasnęłam, nie mogłam zasnąć, pewnie na chwilę zamknęłam oczy, to wszystko. I wtedy ją widzę. Stoi do nas plecami, jakieś trzydzieści metrów dalej, ostrożnie wylewa wodę ze swojego wiaderka do wiaderka innej dziewczynki. Przez chwilę na nią patrzę i stwierdzam, że kostium z Elszą jest już bardzo ciasny, choć kupiliśmy go niecały miesiąc wcześniej, że skóra Amalie jest już bardzo opalona, widzę, jak uroczo wyciąga ręce w rękawkach z Królową Elszą, jak świetnie się bawi.

– Zobacz, tam jest – mówię, odwracając się do Sindrego i pokazując mu Amalie.

– Gdzie?

– Tam. Z tamtą dziewczynką.

– Gdzie?

Biorę go za rękę i wyciągam ją w stronę dwóch dziewczynek.

– Tam.

– Ali, to nie ona. – Jego słowa są niewyraźne, tak jakby wypowiedział je pod wodą. Podnoszę okulary przeciwsłoneczne – to jest ona, to musi być ona, oczywiście, że to ona. Zaczynam iść w ich stronę, krzycząc „Amalie!”, ale dziewczynka się nie odwraca, Sindre idzie za mną, potem łapie mnie za rękę, jest zdenerwowany, a w dłoni trzyma jeden z porzuconych rękawków Amalie.

– Patrz! – krzyczy, chociaż stoi przede mną. – Ona nie ma na sobie rękawków. A tamta dziewczynka ma! – Podbiegam do nich, wchodzę do wody, żeby móc zobaczyć ich twarze. Sindre ma rację, to nie ona. Zadarty nos, szerokie czoło, oczy niebieskie, nie brązowe. Musiałam wydobyć z siebie dziwny odgłos. Dziewczynki patrzą na mnie z przerażeniem. Zaczynam biec. Szybko, po wodzie do kostek, krzyczę jej imię. Ludzie reagują. Wszyscy jej szukają. Głosy, tyle głosów woła jej cudowne imię, krzyczą: *Amalie, Amalie, Amalie.*

Ale jej już nie ma.

Rozdział 18

Iselin

– Mamo! – krzyczy Kaia.

– Tu jestem, kochanie – szepczę, a ona patrzy na mnie przytomnie i poważnie.

– Prawie utonęłam – mówi, cicho płacząc.

– Co? Nie, skarbie. Nie... Miałaś zły sen, moja słodka dziewczynko. Wszystko będzie dobrze.

– Nie, prawie utonęłam.

– Ciii – szepczę. – To był tylko sen. Zły, zły sen. Nic ci nie będzie, kochanie. – Chowam twarz w jej szyi, pasemka jej włosów łaskoczą mnie w policzek, i płaczę z ulgi. Obudziła się, żyje i mimo wszystko ja i tak jestem najszcześniejszą dziewczyną na świecie.

Nie ma jeszcze pierwszej w nocy, a Kaia obudziła się już trzy razy. Za każdym razem siadam z nią, gładzę ją po włosach, śpiewam jej do ucha *Clementine*, otulam ją kołdrą i czekam, aż ponownie zaśnie. Teraz już przyzwyczałam się do tych bezsennych nocy i niemalże nie pamiętam, jak to było wcześniej, jak pod wpływem mocnych leków spała niczym w śpiączce. Postanowiłam nie spać do drugiej w nocy i jeśli mi się uda, może prześpię się kilka godzin do rana. Kaia budzi się na godzinę przed północą i godzinę po. Czasami myślę sobie, że gdyby nie te jej pobudki, to moje noce byłyby samotne.

Od czasu operacji i dwóch przespanych przez nią tygodni po jakaś część mnie chce, żeby w ogóle nie spała; instynktownie wciąż sprawdzam, czy oddycha, czy walczy i czy jej serce nadal bije stabilnie i mocno.

Jutro przychodzi do mnie dziennikarka. Z początku nie chciałam tego robić, ale gdy wcześniej tej jesieni magazyn „Se Her” przeprowadził wywiad z Noą, wspomniała o swojej małej walecznej siostrzenicy i wtedy zadzwoniono do mnie

i przekonano mnie do udzielenia wywiadu na temat Kai i zwrócenia w ten sposób uwagi na problem chorób serca u dzieci. Ktoś ma tutaj przyjść, wszystko wysprzątałam, tak żeby miło się tu siedziało, na mojej składanej sofie. W słabym świetle widzę znajome zarysy mebli, a niezagracona, lśniąca podłoga między salonem a kuchnią nagle wydaje się ogromną przestrzenią. Z pokoju obok słyszę oddech Kai, która od czasu do czasu wydaje z siebie odgłos przypominający miauczenie kociaka. Ponownie przypominam sobie letni dzień, gdy wszystko się zmieniło, dzień, o który chce wypytać mnie dziennikarka. Dzień, w którym telefon wreszcie zadzwonił, gdy zdumione wsiadłyśmy do taksówki, gdzie Kaia zwinęła się na moich kolanach, sposób, w jaki jej ukochana doktor Harari stała przy krawężniku i na nas czekała, a potem wzięła Kaię na ręce i zaniósła do szpitala, znajomy chłód budynku, długie, samotne godziny w poczekalni, modlitwy, patrzenie, jak deszcz wali w szyby, zmywając z nich gorące letnie powietrze.

Gdy Kaia ponownie się obudziła, ja dopiero zasnęłam – a przynajmniej miałam takie wrażenie. Przykrywam ją kołdrą i zerkam na ekran telefonu – jest po drugiej, moje powieki są ciężkie, bolą mnie oczy.

- Ciii – mówię, gładząc jej włosy, delikatnie kołysząc jej małe ciało.
- Boję się – mówi Kaia.
- Czego się boisz? – pytam, ziewając. Nadal mocno ją tulę.
- Tych rzeczy w nocy.
- Jakich rzeczy?
- Tych historii, które widzę, gdy zasypiam.
- To są sny.

Kaia kiwa główką w przytulnej przestrzeni między moim ramieniem a szyją, a potem kiwa głową.

– Tak.

– Jakie to sny? – Nie odpowiada, po prostu wtula się w moją rękę. Wcześniej Kaia nigdy nie pamiętała swoich snów, bo była na bardzo silnych lekach, i to dlatego teraz ciągle budzi się w nocy. Na szczęście w ostatnim miesiącu nawracające koszmary stały się rzadsze i zgaduję, że Kaia się po prostu trochę uspokoiła, nie boi się już szkoły. – Kochanie, sny nie są niebezpieczne, chociaż czasami mogą być straszne. To tylko sposób, w jaki nasz mózg radzi sobie z różnymi rzeczami. – Nadal żadnej odpowiedzi i uświadomiam sobie, że znowu

zasnęła. Kładę ją ostrożnie na łóżku, na chwilę otwiera oczy, a potem znowu je zamyka. Wstaję i idę do kuchni.

Włączam jarzeniówkę nad zlewem, wydaję szkicownik z szuflady, w której trzymam wszystkie akcesoria malarskie. Miękkim ołówkiem węglowym rysuję na kartce sieć krzywych linii. Będą one gałęziami na drzewie, na których usiądą setki ptaków, tak dużo, że ich małe okrągłe ciała będą wtulać się jedno w drugie niczym na koncercie muzyki pop. Po narysowaniu zaledwie kilku ptaków, które są zwyczajnie brzydkie, zaczynam mieć dość tego głupiego rysowania i gniotę kartkę w dłoń. Wyglądam przed sobą kolejną kartkę, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Nigdy tak nie było. Przed Kaią myślałam prawie wyłącznie obrazami, które zawsze chętnie przelewałam na papier. Często mówiono mi, że moje rysunki są cudowne, i przez długi czas sądziłam, że zacznę rysować zawodowo. Teraz jednak mam wrażenie, że w mojej głowie nie ma już żadnych obrazów. Ale to chyba żadne zaskoczenie. Próbuję raz jeszcze, bardzo delikatnie przykładam ołówek do nowej kartki, i gdy on się porusza, to jakby z własnej woli.

Nie wiem, skąd wzięłam wszystkie szczegóły – być może z niekończących się obrazów, wykresów i ilustracji, które przez lata prezentowali mi lekarze, ale najwyraźniej wiem, jak narysować budowę anatomiczną serca. Gdy kończę serce, rysuję wokół niego dziewczynkę, niewiele większą od narządu, który daje jej siłę.

Kiedy po raz pierwszy lekarze powiedzieli mi, że serce Kai jest chore, myślałam, że będą mogli je wyleczyć. Że będzie zdrowe i będzie mogło zdrowo rosnać. To, co tak strasznie mnie boli, to, przez co tak mało śpiam w nocy, to fakt, że tak naprawdę nigdy jej nie chciałam. Że nie potrafiłam jej pokochać, dopóki prawie jej nie straciłam. Gdy położono mi ją na piersi po niemal trzydziestu godzinach piekła, odwróciłam głowę. Nie chciałam znać tego małego stworzenia, które przejęło moje ciało i życie, które kosztowało mnie już tyle wyrzeczeń. Dopiero gdy dziewiątego dnia jej życia znalazłam ją wiotką i siną, leżącą w swoim łóżeczku, uświadomiłam sobie, że bez niej nie miałabym nic.

To, że zapalenie opon mózgowych jej nie zabiło, było cudem. Gdy Kaia walczyła o życie, pielęgniarka stała przy jej inkubatorze przez całą noc, mocno ją szturchając co kilka sekund, gdy spadało jej tętno. Na oddziale intensywnej opieki noworodków znajdowała się toaleta dla niepełnosprawnych, w której zwinęłam się w kłębek na podłodze, wbiłam paznokcie w dłonie i się modliłam, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu. Później podniosłam wzrok znad jej

łóżeczka, przy którym siedziałam, i spojrzałam w oczy szpitalnego księdza. *Pora nadać jej imię, powiedział, zanim pójdzie do domu Boga.* Wstałam bardzo powoli i powiedziałam: *Ma na imię Kaia. I nigdzie nie pójdzie.*

Wstaję od stołu w kuchni i siadam na brzegu kanapy, obserwuję śpiącą Kaię. Nie jest do końca taka sama jak wcześniej. Zawsze myślałam, że moja córka jest spokojna i trochę rozmarzona z natury, nie tylko dlatego, że miała gorszy start, teraz jednak zastanawiam się, czy wszystko z nią w porządku. Od końca lipca, kiedy po operacji w końcu wróciła do domu, była trochę niespokojna. Tak jakby jechała na innym biegu niż poprzednio. Nie lubi już spędzać większości dnia w domu tak jak kiedyś. Teraz zamiast patrzeć, jak pada deszcz, chce wyjść na zewnątrz i się w nim chlapać. Zawsze tego dla niej chciałam, od dnia, w którym zachorowała, i wiedziałam, że dopóki to nie nastąpi, moje życie nigdy nie będzie dobre, ale mimo wszystko te zmiany napawają mnie niepokojem. Tak jakby moja dawna Kaia zniknęła.

Lekarze mnie na to przygotowywali. U dzieci takich jak ona, chorych od początku życia, po przeszczepie czasami odnotowuje się gwałtowną poprawę, która następuje niemalże w ciągu jednej nocy. Chodzi o dzieci, które miały szczęście. Te, których organizmy nie odrzuciły nowych narządów i nie straciły drugiej szansy. Przez resztę życia będę wdzięczna, że Kaia dostała swoją szansę, i przez resztę życia będę ją obserwować, szukając jakichkolwiek oznak odrzucenia narządu. Pacjenci po przeszczepach, zwłaszcza dzieci, nie zawsze mają długie życie – ja jednak dopilnuję, żeby życie Kai było dobre.

Bardzo delikatnie przejeżdżam palcem po jej nosie i próbuję dostrzec siebie z dzieciństwa. Albo coś z *niego*. Nic nie widzę, ona jest tak bardzo podobna do samej siebie, że czasami myślę, że równie dobrze mogłabym zabrać ją z porzuconego przy drodze kosza. Noa mówi, że Kaia jest jak małe zwierzątko dziwnego i cudownego gatunku, którego nikt nigdy wcześniej nie zaobserwował. To zawsze rozśmiesza Kaię. Noa potrafi ją rozśmieszać lepiej niż ja. Ja jestem niezła w nakłanianiu jej do rozmowy i myślenia, zawsze umiałam to w niej pobudzić, nawet podczas spędzonych w szpitalu lat albo miesięcy spędzonych nieruchomo w łóżku, gdy była tak słaba, że musiałam nosić ją do łazienki i przysuwać słomkę do jej ust, żeby mogła pić swój ulubiony sok z czarnej porzeczki.

Żałuję, że nie ma tutaj mojej siostry. Tęsknię za nią.

Kładę się obok Kai. Wyobrażam sobie jej bijące w środku serce, z łatwością gromadzące krew z komór, pracujące jak w zegarku, tak jak powinno pracować

serce. A potem zaczynam płakać, nie mogę się powstrzymać, a obok nie ma nikogo, kto mógłby mnie pocieszyć.

Budzi mnie głośnie wibrowanie mojego leżącego na podłodze telefonu: Noa.

– Kaia do mnie dzwoniła – mówi zmęczonym głosem. Pewnie prowadziła imprezę aż do wczesnych godzin porannych. Czuję ukłucie zazdrości, bo wyobrażam sobie, jak w tej chwili leży na łóżku ze swoim przystojnym chłopakiem Enzo, trzyma w dłoni filiżankę czarnej kawy i spogląda na rzędy paryskich domów, nad którymi wisi granatowe jesienne niebo. Przyciskam telefon do ucha i zerkam na Kaię, która ogląda kreskówkę w swojej sypialni; muszę ją wykąpać i przygotować do wywiadu. Próbowwała zapleść sobie włosy tak jak to robi Noa, ale kiepsko to wygląda i będę musiała uczesać ją raz jeszcze przed przyjazdem dziennikarki i fotografa. – Powiedziała, że obudziła się w nocy, bo płakałaś.

– To nieprawda – mówię. Dosłownie widzę, jak Noa unosi zakolczykowaną lewą brew i patrzy na mnie wnikliwie. – Jestem po prostu zmęczona – mówię, ale ku swojemu przerażeniu zaczynam ponownie płakać.

– Ej – mówi moja siostra z przerażeniem. – Ej, przepraszam. To nie była krytyka. Oczywiście, że jesteś zmęczona. To, co przeszłaś, jest praktycznie nie do pojęcia.

– Ale to się już skończyło – mówię, przypominając sobie niesamowity kontrast między cieniem dziecka, którym była kiedyś Kaia, a tym pełnym energii, bystrym dzieciakiem, siedzącym w pokoju obok i śmiejącym się w głos z kreskówki.

– Nie, jeszcze nie – mówi Noa. – Dla ciebie to jeszcze nie koniec. Iselin, nie przetworzyłaś jeszcze tego, co przeszłaś. Przez siedem lat żyłaś w trybie kryzysowym. Nie miałaś przerwy nawet na chwilę. Nie przespałaś ani jednej nocy, pocieszałaś, podawałaś leki, modliłaś się, kochałaś ją tak mocno, ale sobie nie dałaś nawet odrobiny przestrzeni, nawet odrobiny miłości. Teraz zaczyna się reszta twojego życia i możesz zacząć myśleć o tym, jak ono ma wyglądać.

Słowa Noa odbijają się echem w mojej głowie, gdy rozmawiam z dziennikarką. Kaia bawi się na podłodze u naszych stóp drogą lalką, którą

czasopismo dało jej w prezencie. Mówię o nowym życiu, o dziwnej cudowności bycia rodzicem zdrowego dziecka, o mojej dozgonnej wdzięczności wobec ludzi, którzy złożyli największą ofiarę, jaką można sobie wyobrazić, żeby moje dziecko mogło żyć, i to wszystko to prawda, ale słowa mojej siostry złapały mnie za serce i nie chcą puścić. *Dla ciebie to jeszcze nie koniec. Teraz zaczyna się reszta twojego życia... I co z nią zrobisz?*

Rozdział 19

Alison

Kiedy kończę mówić, Karen Fritz ma łzy w oczach.

– Nie było jej – mówię. To moja wina.

– Alison, czuję dla ciebie ogromne współczucie – mówi Karen, chociaż właśnie jej opowiedziałam, jak zabiłam własne dziecko. Śmieję się cicho i ona chyba rozumie, że to pusty śmiech niedowierzania. – Chciałabym, żebyśmy wypracowały sposób, dzięki któremu będziesz czuła takie współczucie dla siebie. – Śmieję się raz jeszcze, teraz jednak śmiech jest jeszcze cichszy i wkrótce trudno go odróżnić od płaczu.

– To jest moja wina.

– To nie jest niczyja wina. To był wypadek. Okropny, niezrozumiały wypadek.

– To moja wina – powtarzam ponownie. – Wszyscy o tym wiedzą. Gdybym nie zasnęła...

– Ale zasnęłaś. I to nie sprawia, że jesteś winna. To po prostu bardzo tragiczny wypadek.

– Mój mąż mnie obwinia.

– Mówi ci to?

– Nie. Ale ja to widzę. Zachowuje się wobec mnie zupełnie inaczej. Czasami, gdy na mnie patrzy, widzę w jego oczach czystą nienawiść.

Karen słucha, delikatnie przechyla głowę, ma poważną minę.

– Z pewnością trudno jest ci przebywać w pobliżu kogoś, kto twoim zdaniem cię obwinia.

– Oczywiście, że on mnie obwinia. Jak mógłby mnie nie winić? Gdyby było odwrotnie, to ja zrzuciłabym na niego pełną odpowiedzialność.

– A może on współczuje ci w sposób, którego nie potrafisz zaakceptować?

Szybko kręcę głową. Z tymi ludźmi zawsze tak jest – zamiast uznać fakty, oni muszą czytać między wierszami i wyciągać nieprawidłowe wnioski. Nie chcę już rozmawiać z Karen ani udawać, że to może mi pomóc. Wbijam paznokcie w obolałą skórę mojej dłoni i próbuję wyobrazić sobie mój umysł jako spokojne, obojętne miejsce.

– Wiesz, każdego dnia zastanawiam się, czy to dzisiaj jest ten dzień. Dzień, w którym nie zniosę ani jednej jebanej sekundy dłużej. Codziennie się nad tym zastanawiam.

– Alison. Wiesz, że jestem moralnie i prawnie zobowiązana do poinformowania twojego lekarza pierwszego kontaktu, jeśli uważam, że jesteś narażona na ryzyko odebrania sobie życia. Czy mam wpisać cię na listę osób pod obserwacją? – Karen Fritz mówi łagodnie, szuka wzrokiem moich oczu. Zastanawiam się, czy poza tymi sesjami w ogóle kiedyś o mnie myśli, czy trudno jej pozbyć się obrazów, o których opowiadam: kompulsywne myśli o śmierci, przerażająca ciemność, w której żyję, problemy z mężem, dziecko pod wodą.

– Nie – mówię cicho, chociaż może powinnam odpowiedzieć „tak”.

Idę powoli Frognerveien w stronę stacji Majorstuen. Jestem jedyną osobą, która idzie, i ludzie w autobusach i tramwajach gapią się na mnie, gdy przedzieram się w strugach deszczu. A może wcale mnie nie widzą, może wyczuwają, że istnieję tylko w połowie. Mój oddech jest krótki i bolesny, ale zaciskam mocno usta i kilka razy muszę stanąć w jakichś drzwiach, żeby dojść do siebie, zanim ruszam dalej.

Dochodzę do stacji i siadam na suchym, ciepłym siedzeniu na I-line, jadę do domu, dotykam szyby mokrymi włosami, patrzę na mijane rozmazane budynki. Zastanawiam się, czy to, co powiedziałam Karen Fritz, to prawda, czy nie, czy rzeczywiście stanowią zagrożenie dla samej siebie. Zawsze wierzyłam, że ludzki instynkt przetrwania jest silniejszy niż jakakolwiek inna siła. Nawet w najgorszych chwilach zawsze udawało mi się powstrzymać myśli samobójcze. Ciągłe się pojawiały, ale ja jakoś je odganiałam, skupiałam się wyłącznie na oddechu, picciu wody, braniu leków, krzyku. Musiałam uwierzyć, że jeśli przeżyję te pierwsze dni i tygodnie, to w końcu będzie łatwiej. Ale wcale nie jest łatwiej.

Rytmiczny ruch pociągu mnie kołysze i uspokaja, przypomina mi się ostatni znak od Amalie. Wsiadam na stacji Vettakollen, choć nie jest ona najbliższej domu. Tutaj, na wysokości trzystu metrów nad poziomem morza, deszcz zamienił się w lepkie płatki śniegu. Zaczynam iść w górę długiego wzgórza do szkoły, którą wybraliśmy dla Amalie; szkoły, do której nigdy nie pójdzie. Już słyszę dzieci – jest prawie druga, zaraz wyjdą na ostatnią przerwę, zanim odbiorą je rodzice. Zatrzymuję się i patrzę na moje nagie dłonie, czerwone z zimna, i próbuję odnaleźć w sobie odrobinę współczucia, o której mówiła Karen Fritz. Czy to są dłonie morderczyni? Czy to dłonie martwej kobiety? Staram się wyobrazić sobie twarz Karen, gdyby widziała mnie teraz stojącą w ciszy w padającym śniegu, częściowo ukrytą za czerwonym drewnianym płotem, obserwującą biegające po podwórzu dzieci innych ludzi.

Patrzę na małą dziewczynkę siedzącą samotnie na ławce, potem na małego chłopca leżącego na plecach w śniegu, poruszającego rękami i nogami. I na pulchną dziewczynkę, która wygląda na trochę chorowitą. A inna wygląda jak Amalie, gdy spojrzę na nią spod zmrużonych powiek. Oczywiście wiem, że to żadne z tych dzieci. On albo ona może być w każdym miejscu na ziemi. Ale gdzieś tam serce mojej córki zostało umieszczone głęboko w ciele obcej osoby. I chcę je znaleźć.

Rozdział 20

Alison

Gdy docieram na szczyt wzgórza i do naszego domu, mokry śnieg przestaje padać. Wchodzę do środka, zakładam kapcie i idę do kuchni. Grają chyba Beach Boys, Sindre stoi przy kuchennym blacie i kroi cebulę i czosnek. Jego ruchy są szybkie i precyzyjne, wygląda jak każdy inny facet wiodący normalne życie. Jestem zaskoczona, przecież od czasu polowania prawie nie wstawał z łóżka.

– Cześć – mówi i ostrożnie się uśmiecha, próbując zorientować się, która wersja Alison właśnie weszła do kuchni.

– Cześć – mówię.

– Masz czerwoną twarz. Poszłaś odwiedzić Mgiełkę? Wszystko w porządku?

– Nie. Nie. Przyszłam tu z Vettakollen.

Kiwa głową i nie pyta, dlaczego szłam aż stamtąd. Zapamiętuję sobie, żeby jutro iść do konika Amalie. Przebija nożem paczkę z kawałkami kurczaka i wrzuca jej zawartość na patelnię razem z cebulą i czosnkiem.

– Nie wiedziałam, że będziesz gotować – mówię. – Kupiłam już kolację. Ale chyba możemy zjeść ją jutro.

– To moja kolej – mówi, a ja kiwam głową, tak jakby to było zupełnie normalne, że nagle zaczął pilnować, czyja kolej na gotowanie. – Oliver będzie na szóstą.

– Cieszę się, że czujesz się już lepiej – mówię, ale mój głos jest chrapliwy, tak jakbym go o coś oskarżała. Może i oskarżam. Zauważa to i patrzy na mnie ostro.

– Musimy... spróbować. Iść do przodu. Prawda?

– Oczywiście – odpowiadam, teraz już łagodnie, i biorę kieliszek wina, który podaje mi mój mąż.

A teraz nasza trójka ostrożnie i mechanicznie przechodzi przez rytuał piątkowego wieczoru, gdy jemy tacos. *Możesz podać ser? Czy jest jeszcze kolendra? Och, pycha, uwielbiam tacos.* Sindre nie odzywa się ani słowem, tylko wpatruje się w jedzenie, dokładnie wszystko przeżuwa, ma neutralny wyraz twarzy, prawdopodobnie boi się, że powie albo zrobi coś, co sprawi, że ponownie zaleje nas bolesna czarna cisza. Oliver ciągle patrzy to na ojca, to na mnie, ale każde spojrzenie trwa dosłownie sekundę. Nagle zaczynam mu współczuć.

– Co jest, Oliverze? – pytam. – Masz taką minę, jakbyś o czymś myślał. – Oliver powoli kręci głową, ale gdy patrzę mu w oczy, widzę, że chce coś powiedzieć.

Sindre się w niego wpatruje, Oliver spogląda na talerz. To jest dla niego zbyt trudne. Nie uważam, żebyśmy mogli powstrzymać go przed zadawaniem pytań albo mówieniem o Amalie. Ja chcę o niej rozmawiać, chcę też, żeby Oliver czuł, że może ją wspominać, ale Sindre zachowuje się, jakby chciał udawać, że ona nigdy nie istniała, tak jakby nie zmieniała niemalże każdej sekundy w naszym życiu przez niemal sześć lat. I że zawsze będzie miała na nas wpływ.

– Pamiętacie, jak Amalie uważała, że idealny taco to tortilla z kilkoma kawałkami ogórka? – mówię i uśmiecham się delikatnie na to wspomnienie, ale natychmiast czuję palenie w środku i muszę się skupić na utrzymaniu tego uśmiechu, na pozwoleniu sobie na jedną chwilę bez żałoby. Oliver się rozpromienia i kiwa głową.

– Tak, i jak zawsze mówiła „poproszę bardzo ostry sos”, mając na myśli keczup.

– Tak – mówię dalej. – Albo jak uparła się, żeby posmarować dżemem truskawkowym kurczaka i ogórka, ja kazałam jej to wszystko zjeść, a ona udawała, że to najlepsze danie, jakie kiedykolwiek jadła? Nigdy nie znałam tak upartego dziecka. – Cicho się śmiejemy. Sindre powoli wstaje.

– Idę biegać – mówi.

Po jego wyjściu i sprzątnięciu ze stołu mój pasierb i ja siadamy przy oknie i słuchamy odgłosów deszczu uderzającego w szyby. Kiedyś nazywał mnie mamą Alison. Patrzę na niego i w tej chwili nie wiem, ile on dla mnie znaczy – mógłby być kimkolwiek, dowolnym nastolatkiem w bluzie z kapturem i z obojętną miną, na którego widok przechodzi się na drugą stronę.

– Chyba pójdę na spacer – mówię. Po prostu muszę wydostać się z tego domu.

– Ale przecież jest już ciemno – mówi Oliver. – I zaraz może się znowu rozpadać.

– Nieważne – mówię cicho i uśmiecham się do niego z uczuciem, co do którego nie jestem pewna.

– Mogę iść z tobą? – pyta.

– Nie, kochanie. Ja... muszę trochę pomyśleć w samotności.

Hotel konferencyjny przy drodze w kierunku Voksenkollen jest praktycznie pusty, a gdy wchodzę z deszczu, robiąc kałużę na podłodze, recepcjonistka patrzy na mnie z lekką pogardą.

– Czy bar jest otwarty? – pytam i recepcjonistka, młoda dziewczyna z włosami ufarbowanymi na srebrzysty blond, odwraca się, tak jakby nagle zmaterializował się przed nią kolega.

– Tak... – mówi. – Normalnie nie wpuszczamy gości z ulicy, ale... Sprawdzę, czy ktoś będzie mógł panią obsłużyć.

Zasiadam w szerokim, wygodnym, skórzanym fotelu i po dłuższej chwili pojawia się wysoki mężczyzna z rzadką kocią bródką. – Czego chciałaby się pani napić?

– Poproszę podwójną wódkę z tonikiem – mówię i uśmiecham się z nadzieją, że odwrócę jego uwagę od faktu, iż jestem przemoczona, wyglądając na wariatkę kobietą, która wyszła z lasu w środku ulewy. Gdy wraca z moim drinkiem, zauważam, jak miłe ma oczy. Odwracam wzrok i wpatruję się w lód w szklance.

– Proszę pani, czy wszystko w porządku? – pyta. – Przez cały tydzień mieliśmy tu stu duńskich lekarzy, ale wyjechali dzisiaj po południu, więc jeśli potrzebuje się pani wygadać, jestem do dyspozycji. – Powoli kręcę głową, ale się do niego uśmiecham. Gdy odchodzi, wydaję telefon z kieszeni i ponownie wpisuję w Google „przeszczep serca pamięć komórkowa”. Chcę więcej historii, więcej nadziei. Dopijam drinka, zamawiam kolejnego i przez długi czas po prostu siedzę, przeglądając artykuły i wywiady, spijając słowa, które pragnę usłyszeć. Opowieści o matce spotykającej się z biorcą córki i rozpoznającej w nim cechy swego utraconego dziecka. Historie o bliskich przyjaźniach nawiązanych między rodzinami dawców i biorców, od Szkocji po Francję i Stany Zjednoczone. To jest prawdziwe, nie wymyśliłam sobie tego. Jedna z kobiet

mówi nawet, że po otrzymaniu nowego serca ma wrażenie, jakby ona i jej dawca połączyli się w jedną osobę.

Czuję na sobie wzrok barmana, gdy z moich oczu zaczynają płynąć łzy na ekran dotykowy telefonu. Uśmiecham się, bo nie są to łzy smutku, to łzy największego szczęścia na świecie, łzy nadziei. Nagle odczuwam potrzebę powrotu do domu, dotykania małych plastikowych zwierzątek, które Amalie zbierała i ustawiała na parapecie, mocnego przytulenia mojego pasierba i okazania mu, że go kocham i chcę mieć go przy sobie. Chcę mu powiedzieć, że miło było porozmawiać z nim o Amalie podczas kolacji i że przez większość czasu nie czuję nic poza paleniem, ale wtedy nie czułam. Kładę trzysta koron na stole i wychodzę w noc.

W domu jest cicho. Na wycieracze stoją ubłocone buty do biegania Sindrego. Mam nadzieję, że poszedł już do łóżka. Na górze nasłuchuję pod drzwiami Olivera, potem cicho do niego pukam. Natychmiast otwiera, tak jakby stał za nimi i czekał, aż ktoś do niego przyjdzie. Nie do końca wiem, co ja tutaj robię, ale teraz mam wrażenie, że Oliver jest jedyną osobą w tej rodzinie, z którą mogę porozmawiać. Wcześniej byłam dla niego chłodna i chcę mu to wynagrodzić.

– Zastanawiam się nad czymś – mówię. – Pamiętasz, jak kiedyś rozmawialiśmy o... przeszczepach? – Kiwa głową i kilka razy mruga. Ma zmęczone oczy. – Cóż, zastanawiałam się nad tym. O tym, czyje życia zostały ocalone. I nad tym, czy... Boże, ale to brzmi. Ale... Zastanawiałam się, czy cokolwiek z niej, choćby najmniejsza cecha, mogła zostać przekazana osobie, która dostała jej serce, wiesz?

Oliver znów kiwa głową, a potem ciągnie mnie do małego krzesła przy oknie. Siadam, on siada naprzeciwko mnie na niepościelonym łóżku, nasze kolana się stykają.

– Dużo o tym myślałem. – Wygląda, jakby odczuwał ulgę.

– Tak myślałam.

– Znalazłem dużo informacji.

– Ja też – mówię.

– Chcę w to wierzyć – odpowiada. – Ale też... nie chcę.

– Wiem, o co ci chodzi. Chciałam też powiedzieć, że możesz ze mną o tym rozmawiać, o Amalie, kiedy tylko zapragniesz, nawet jeśli tacie będzie wtedy

bardzo trudno.

– Tak – mówi wreszcie, bawiąc się skrajem poszewki na kołdrę. – Pamiętasz, jak bardzo kochała truskawki? Wszystko, co ma w sobie truskawki: lody truskawkowe, wzory z truskawkami, sos truskawkowy, truskawki w sałatce. Wyobrażasz sobie, że ten dzieciak, który dostał jej serce, nagle zaczyna lubić truskawki? Albo coś innego, co kochała, na przykład misie, konie, zielony kolor albo cheeseburgery z dodatkowymi krążkami cebulowymi, albo te małe zabawne zwierzątka z farmy...

– Sylvanian – mówię i oboje się uśmiechamy. Amalie lubiła spać z tymi zwierzątkami, a gdy w nocy położyła się na którymś z nich, zostawiały odciski na jej buzi, budziła się więc z czerwonymi uszami królika na czole czy małą dłońią misia na brodzie.

– Co to był za żart, który zawsze opowiadała? – pyta Oliver.

– O Boże... – zaczynam i śmieję się, jeszcze zanim go sobie przypominam. – Co to było? Och! Co śpiewa Królowa Elsa po otwarciu lodówki?

Olivier uśmiecha się szeroko, a potem śmieje się w głos.

– Mam tę moc, zjem wszystko w jedną noc!

Oboje płaczymy ze śmiechu, ale wreszcie te łzy są w porządku, śmiech nie zamienia się w wycie, a gdy w końcu się uspokajamy, ocieramy oczy, ale się uśmiechamy. Milczymy przez długi czas.

– Czy możemy się dowiedzieć, kto dostał jej serce? – pyta Oliver.

– Nie wiem... Chyba nie. Zakładam, że to jest anonimowe.

– Może nie chciałbym wiedzieć – mówi Oliver. – Fakt, że inne dziecko żyje, bo Amalie umarła, może tylko pogorszyć sprawę.

– Ale to nie tak, skarbie. Nawet gdybyśmy nie oddali jej narządów, i tak by jej tutaj nie było. A to inne dziecko mogłoby nie przeżyć. A tak żyje przynajmniej jedno dziecko.

– Chciałbym, żeby tym dzieckiem była Amalie – mówi Oliver. – Uwielbiam mieć siostrę.

Użyty przez niego czas terazniejszy odbiera mi dech w piersiach. Zastanawiam się, czy widzi ją w swoim umyśle tak jak ja, jak ganiała za nim w pieluszce, gdy była maluchem, śmiejąc się histerycznie, wymachując rączkami, chwiejąc się na małych grubych nóżkach. Jak zasypiała na jego kolanach w domku po całym dniu jeżdżenia na nartach, a on tylko kołysał ją z uśmiechem.

– Spróbujmy ją znaleźć – szepcze.

Kręcę głową, bo nie możemy, nie wolno nam, oczywiście, że tego nie zrobimy. Porozmawiam o tym z Karen Fritz i ona mi powie, że to wszystko jest szalone, ale moje serce wali jak szalone i powtarza: *tak, tak, tak*.

Rozdział 21

Iselin

Za tydzień są święta, a ja mam na koncie niecałe trzy tysiące koron. Co miesiąc mam spotkanie z pracownikami socjalnymi w NAV, gdzie muszę opowiedzieć o swoich poszukiwaniach pracy albo udowodnić, że nie mam jak pracować. Mam nadzieję, że dzisiaj mnie zrozumieją – chociaż Kaia czuje się już lepiej i teoretycznie mogłabym zacząć pracować, to wiem, że odnalezienie się w tym nowym życiu zajmie nam jeszcze chwilę. Otwieram drzwi i wchodzę do zatłoczonej, przegrzanej poczekalni. Unikając wzroku innych ludzi, przeglądam podniszczony egzemplarz „Se Her” z września i ćwiczę w myślach, co powiem urzędnikom. Na pewno musi być jakieś dodatkowe wsparcie dla samotnych rodziców chorych dzieci w okresie przedświątecznym.

– Iselin Berge? – To ta sama kobieta, z którą rozmawiałam w zeszłym miesiącu, skrzywiona urzędniczka po pięćdziesiątce, przypominająca mi moją matkę. Na jej identyfikatorze jest napisane: „Else”. Prowadzi mnie do niewielkiego biura ze szklaną ścianą, przez którą widać drugie takie samo biuro, puste. Gdy kobieta przegląda moje dokumenty, z zaskoczeniem zauważam wystający spod rękawa mały tatuaż w kształcie gwiazdy. Przez straszną chwilę wyobrażam sobie, że skończę tak jak ona – zagniewana, wyblakła kobieta w nudnej pracy.

– Więc, Iselin – zaczyna Else, wymawiając moje imię w taki sposób, jakby przyprawiało ją o mdłości. – Jak idzie poszukiwanie pracy?

– Cóż, w ciągu ostatnich kilku tygodni wysłałam wiele aplikacji.

– Wysłałaś je przez naszą stronę, tak żebyśmy mogli śledzić twoje postępy?

– Niektóre z nich tak.

– Wiesz, szukanie pracy jest samo w sobie pracą na pełny etat. Przynajmniej powinno być tak traktowane.

– Dobrze.

– Na ile rozmów cię zaproszono?

– Na żadną.

– Żadną?

– Tak.

– Iselin, o jakie stanowiska się ubiegałaś? – pyta protekcyjnie, a na jej ustach pojawia się delikatny, złośliwy uśmiech.

– Eee... Złożyłam podanie o pracę w Muzeum Muncha. Jako recepcjonistka na pół etatu. I do pracy w Henie Onstad Art Center – szukali młodszego przewodnika.

– No i?

– Nikt się jeszcze do mnie nie odezwał.

– Co jeszcze?

– Szukałam podobnych stanowisk. Pracy zgodnej z moimi zainteresowaniami. No i muszę mieć możliwość opieki nad córką.

Else unosi brew.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie możesz sobie pozwolić na bycie wybredną?

– Tak – odpowiadam. – Ubiegałam się o pracę w sklepach odzieżowych, kawiarniach i domach starców...

– A złożyłaś podanie do rady?

– Nie... Co ma pani na myśli?

– Codziennie mają różne prace dla osób niewykwalifikowanych, takich jak ty. Zbieranie śmieci, zdejmowanie i wymiana uszkodzonych znaków drogowych, tego typu rzeczy.

– Och – mówię, bo co mam powiedzieć? Że pojechałam do Paryża, żeby zostać artystką, że miałam swoje marzenia i że nie mam żadnych kwalifikacji poza opieką nad chorym dzieckiem?

– W nowym roku w życie wchodzi nowe zasady. Jeśli nie zarejestrujesz się w urzędzie jako osoba poszukująca pracy, nie będziesz już uprawniona do otrzymywania świadczeń dla osób poszukujących pracy poprzez NAV. A kiedy zostaniesz wezwana do pracy, musisz się w niej stawić, inaczej obetną ci zasiłki. Rozumiesz?

– Tak. – Teraz jestem wściekła i upokorzona, ale za wszelką cenę nie chcę tego po sobie pokazać. Nie dam tej kobiecie satysfakcji. – Chodziłam do szkoły artystycznej. W Paryżu. Przez jakiś czas. Mam to w CV.

Else zerka w leżące przed nią dokumenty.

– École Supérieure de Dessin Jean-Jacques Gareau, tak? – Najwyraźniej nigdy wcześniej nie czytała ani jednego słowa po francusku i wymawia je tak, jakby mówiła po norwesku.

– Tak.

– Nigdy o tym nie słyszałam. Jaki stopień udało ci się uzyskać?

– No cóż, miałabym licencjata z nauk humanistycznych, ale musiałam przerwać naukę po niecałym roku, więc...

– Czy w takim razie to się w ogóle liczy? – Ta kobieta tłamsi swoimi słowami moje najważniejsze osiągnięcie poza Kaią. Ćwiczę kontrolowany oddech, technikę, której nauczyłam się sama jako dziecko.

– Podczas pobytu tam bardzo dużo się nauczyłam. Mówię też dość dobrze po francusku. Może w niektórych firmach poszukuje się kogoś z takimi kwalifikacjami?

– Wątpię, czy istnieje duże zapotrzebowanie na francuskojęzyczną ilustratorkę, panno Berge – mówi ta okrutna zdzira i nagle uświadamiam sobie, że niezależnie od wszystkiego muszę jak najszybciej stąd wyjść. Znajdę sposób, aby sobie pomóc, bez konieczności przychodzenia tutaj co miesiąc i błagania o minimalne wsparcie, by przetrwać.

– Do widzenia – mówię i wstaję.

– Panno Berge, te spotkania są obowiązkowe i to ja dam pani znać, kiedy skończymy rozmowę. A teraz...

– Powiedziałam „do widzenia”. Już tu nie wrócę.

– Doskonale wiesz, że jesteś prawnie zobowiązana do przychodzenia tutaj co miesiąc, tak by można było kontrolować twoje postępy. Jeśli nie będziesz przestrzegać tych zasad, nie będę miała wyboru i będę musiała wystąpić o obcięcie zasiłków.

Trzasnęłam drzwiami do biura Else i szybko wyszłam na ciemne popołudnie.

Wyjście stamtąd dobrze mi zrobiło. Ale teraz, kiedy Kaia śpi w swojej wnęce, a ja siedzę przy kuchennym stole, moja brawura gdzieś znika. Jak ja nas wykarmię? Jak wytłumaczę Hanne Vikdal, że nie będę mogła płacić czynszu? Mam przerażającą wizję powrotu do rodziców – na farmę w Svartberget, z wnuczką, której nigdy nawet nie poznali. Nasze mieszkanie w piwnicy w Østerås nie jest eleganckim domem, ale w porównaniu z miejscem, z którego

pochodzę, to niebo. Co Kaia robiłaby w takim miejscu? I co zrobiliby moi rodzice, gdybym tak po prostu pewnego dnia się pojawiła?

Próbuję wyobrazić sobie reakcję Noa, gdybym jej powiedziała, że jadę z Kaią do Nordland, ale nie potrafię tego uczynić. Rozważam pożyczanie od niej pieniędzy, tylko do po świętach, ale znowu, po prostu nie potrafię. Jest moją młodszą siostrą i choć bardzo ją kocham, boli mnie, że ona spełnia swoje marzenia i zarabia fortunę w Paryżu, podczas gdy moje życie jest, jakie jest. To nie jest zazdrość, tylko smutek.

Dochodzi pierwsza, ale ja nie jestem zmęczona. Czuję się podenerwowana. To pewnie przez tę presję związaną z pracą. Rozglądam się po mieszkaniu i czuję wdzięczność za to miejsce. Nigdy nie wrócę do Svartberget. Nigdy. Tak samo jak nigdy nie wrócę do NAV. To oznacza, że szybko potrzeba mi pieniędzy. Mój wzrok pada na stos nowych rysunków, które leżą przy oknie. Jest ich już trzydzieści. Siadam na podłodze obok nich i zaczynam je przeglądać. Różnią się od tych, które do tej pory narysowałam. I są dobre. Czy mogłabym je sprzedać? Matematyka nigdy nie była moim najmocniejszą stroną, ale gdybym mogła znaleźć pracę na pół etatu, powiedzmy trzy dni w tygodniu, i do tego sprzedawać pięć rysunków miesięcznie, to zarobiłabym więcej pieniędzy niż zasiłki z NAV. I byłabym wolna.

W tym małym biurze Else coś się we mnie dzisiaj zmieniło po tym, jak patrzyłam, jak przegląda moje CV, z którego byłam kiedyś taka dumna. Po prostu nie mogę już dłużej siedzieć i czekać na dobrą wrózkę. Muszę stać się panią własnego losu i realizować swoje marzenia na własnych warunkach. Przez długi czas robię dobre ujęcia rysunków na moim samsungu, następnie przesyłam dwadzieścia siedem najlepszych zdjęć na moje konto na Instagramie i zmieniam jego nazwę z @iselinberge na @IsbergArt.

Rozdział 22

Alison

Karen ma w rękach krótki kawałek czerwonej włóczki i trzyma druty w gotowości, gdy siadam w fotelu. Wpatruję się w ptaki na ścianie za nią.

– Jak się teraz mają sprawy w domu? – pyta.

– Dobrze – odpowiadam. – No cóż. No wiesz. Niedobrze. Mamy wzloty i upadki. – Karen kiwa nieznacznie głową i patrzy na włóczkę na swoich kolanach. Ściąga brwi, tak jakby bardzo się nad czymś zastanawiała. – Pojutrze lecimy do Meksyku.

– Meksyku?

– Tak.

– Nie pamiętam, żebyś wcześniej o tym wspominała – mówi Karen i marszczy czoło, tak jakbym jej zdaniem to sobie wymyśliła.

– Tak, no cóż, szczerze mówiąc, praktycznie o tym nie myślałam.

– I jak się z tym czujesz?

– Powiedziałam, że o tym nie myślałam. Jestem pewna, że będzie ciepło i słonecznie.

– Lepiej sypiasz?

Kiwam głową. Sypiam, ale niewiele.

– Jesz?

Znowu kiwam głową. Jem. Tylko niewiele.

– Wydajesz się... na tych sesjach wydajesz się mniej obecna. Nadal bierzesz Zoloft i Klonopin?

– Tak – odpowiadam. Nie biorę. Nie jestem w stanie znieść płaskości, wysiłku, jaki muszę włożyć w myślenie. Chciałam znowu móc trzeźwo myśleć. Postanowiłam delikatnie poruszyć z Karen temat pamięci komórkowej; muszę wiedzieć, czy oszalałam, czy to może być prawda.

– Ja... Mam tak wiele dziwnych myśli – mówię.

– Dziwnych myśli?

– Tak.

– Widzę ją wszędzie.

– Już wcześniej o tym wspominałaś. Alison, to, że ją widzisz, wcale nie jest dziwne. Umysł może wyczarować niesamowite rzeczy...

– Nie. Nie, to co innego – mówię. – Widzę ją taką, jaka jest teraz. Wiesz, o co mi chodzi?

– O co dokładnie? – Zdaję sobie sprawę, że Karen myśli, że widzę Amalie martwą.

– Chodzi mi o to, że widzę ją w innych ludziach. W ludziach, którzy otrzymali jej narządy. Szczególnie jej serce. Zawsze myślałam o tym w ten sposób, że ona dała komuś nowe życie, teraz jednak uświadomiłam sobie, że to ten ktoś dał jej nowe życie.

– Ja... Chyba nie nadążam.

– Bardzo dużo o tym myślałam. Wydaje mi się, że to ma sens... to, że coś z Amalie pozostaje w osobach, które otrzymały jej narządy.

– Alison, to jest bardzo konstruktywny sposób myślenia, ale...

– A jeśli pozostało coś po niej – mówię dalej – nawet coś najmniejszego, jakaś maniera, ułamek wspomnienia, cokolwiek, to oznacza, że ona nadal tu jest. Mogłabym ją odnaleźć.

Po długiej przerwie Karen wreszcie się odzywa: na jej twarzy widać spokój, ale w głosie słyca troskę.

– Co masz na myśli, mówiąc, że mogłabyś ją odnaleźć?

– No wiesz, odnaleźć osoby, które otrzymały jej narządy. – Karen uważnie mi się przygląda, czeka, aż zacznę mówić dalej, ale ja się nie odzywam. Zastanawiam się, czy ma dzieci, ale czuję, że nie – jest zbyt spokojna. Wyobrażam sobie, że ma kota i że mieszka sama w małym, przytulnym mieszkaniu, w którym robi na drutach, oglądając Netflix. Jak ta kobieta mogłaby w ogóle to zrozumieć?

– Wyobrażam sobie, że to jest niemożliwe. Nawiązanie takiego kontaktu mogłoby być nawet nielegalne. Alison, nie jestem pewna, czy do końca rozumiem, ale jeśli pytasz o to, czy powinnaś szukać impulsów, które sprawią, że poczujesz bliskość Amalie, to musisz podjąć decyzję, czy pomoże ci to w dalszym radzeniu sobie z żałobą. Z tego, co mówisz, wydaje mi się, że tak właśnie jest. Ale uważam, że próby odnalezienia Amalie poprzez biorcę mogą być bardzo niebezpieczne.

Skupiam się na utrzymaniu obojętnego wyrazu twarzy, próbuję nie dać po sobie poznać, że jej słowa bardzo mnie dotknęły. Ona nie wie nic. Zupełnie nic. Nie widziała tego, co ja widziałam, nie czuła tego, co ja czułam. Nie straciła tego, co straciłam ja.

– Nieważne – mówię, wpatrując się w swoje dłonie, splecione mocno na podołku.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o skupianiu się i kierowaniu energii podczas żałoby? – Patrzę na zegar nad drzwiami, zostało mi siedemnaście minut sesji, ale nie mogę zostać, nie dzisiaj; nie mogę spędzić kolejnej sekundy na próbach wytłumaczenia Karen tego, co mnie pochłania – wiem, że gdy tylko otworzę usta, potraktuje mnie jak wariatkę. Płynące z moich oczu łzy zamazują mi tarczę zegara, wstaję, szepczę „Przepraszam”, zataczam się do drzwi i wychodzę niczym nastolatka uciekająca z lekcji matematyki. Kiedy wydostaję się na korytarz, zaczynam biec. Wychodzę z budynku, mijam swój samochód zaparkowany przed Peppe’s Pizza, biegnę Cort Adellersgate, wyprzedzam grupkę głośnych, gładkowłosych nastolatków w pastelowych koszulkach Ralpa Laurena wychodzących z bramy Handelsgym, mijam sklep z meblami, w którym kupiliśmy pierwsze łóżko Amalie, pędzę do portu w Aker Brygge. Muszę zobaczyć wodę, dotknąć jej, poczuć, że wejście do niej jest realną opcją.

Rozdział 23

Iselin

Budzi mnie Kaia, gładząca mnie suchym pędzlem po nosie. Po chwili wkłada mi go do jednej z dziurek i kicham.

– Ej – mówię półprzytomna i łapię ją za chudy nadgarstek. – Ty mała wredna małpko! – Ciągnę ją na sofę i całuję w chłodny policzek.

– To już prawie święta – mówi. – Możemy już iść kupić choinkę?

– No cóż, pomyślałam sobie, że może poczekamy na przyjazd cioci Noa. – Tak naprawdę to miałam nadzieję, że ciocia Noa zaproponuje kupno tej choinki.

– Nie, chcę, żeby była ubrana jeszcze przed przyjazdem cioci. To będzie niespodzianka!

– Skarbie, nie wiem. – Moje konto jest praktycznie puste, a za dwa dni jest Boże Narodzenie. Kupiłam Kai używane zabawki, nadal jednak muszę zrobić zakupy w supermarkecie i kupić jakiś drobiazg dla Noa.

– Proszę – mówi, teatralnie trzepocząc swoimi długimi czarnymi rzęsami.

– Mogę chociaż zrobić sobie kawę? – mówię, łaskocząc ją w mały brzuch i wstając z łóżka. W kuchni powoli mieszam w kubku kawę rozpuszczalną, kilka razy ziewam i przecieram oczy, które są suche i obolałe. Pracowałam nad moim kontem na Instagramie prawie do trzeciej nad ranem. Mam nadzieję, że chociaż kilka rysunków dostało już do tej pory parę lajków. Podnoszę telefon, biorę łyk kawy i włączam aplikację. Prawie się krztuszę – sześćdziesięciu jeden nowych followersów i osiemset siedemdziesiąt dziewięć lajków. Pięć wiadomości. Przeglądam je, wszystkie od ludzi, którzy chcą kupić moje rysunki. Opadam na podłogę w kuchni, ściskając telefon w drżącej prawej dłoni. Wybucha płaczem.

– Mamusiu? – mówi Kaia, która staje w drzwiach. Na mój widok blednie. – Mamusiu, nie płacz – szepcze i ostrożnie kładzie rączkę na moim trzęsącym się

ramieniu.

– Nie jestem smutna, skarbeczku – odpowiadam. – To są łyzy szczęścia. Co powiesz na to, żebyśmy kupiły piękne drzewko? To był świetny pomysł, żeby przygotować je jako niespodziankę dla cici Noa.

Pociąg Noa wjeżdża na stację za pięć szósta. Ja i Kaia czekamy, podskakując, żeby było nam ciepło. Zaczął padać śnieg, w prognozach przewiduje się białe święta, pierwsze od kilku lat. Noa wysiada z wagonu, taszczy ze sobą wielką walizę. Wygląda na spiętą i wyczerpaną, wpada w moje objęcia, Kaia tuli się między nami.

W autobusie jadącym z powrotem do Østerås podekscytowana Kaia ciągle gada o wielkiej niespodziance, którą mamy dla cici w domu. Uśmiecham się, słuchając jej i przypominając sobie, jak dzisiaj po południu ostrożnie wieszała plastikowe bombki z supermarketu, jak jej skupiona twarzyczka odbijała się w każdej srebrzystej kuli. W domu już mam włożyć klucz do dziurki, gdy jakiś głos woła moje imię.

– Iselin! – To Hanne z góry, przyciska do piersi małą paczkę niczym drapieżny ptak trzymający miękkie młode jakiegoś zwierzęcia. – Przyszło to dzisiaj do ciebie pod twoją nieobecność. Zaproponowałam, że to wezmę.

– Dziękuję – odpowiadam i uśmiecham się z napięciem. Czeka, tak jakby spodziewała się, że otworzę paczkę tu i teraz, w jej obecności. Noa rzuca jej ironiczne spojrzenie i Hanne patrzy na nią z pogardą; prawdopodobnie jeszcze nigdy nie widziała w Østerås dziewczyny z platynowo-fioletowymi włosami i kolczykiem w brwi.

– Wesółych świąt – mówię sarkastycznym, śpiewnym głosem, otwierając drzwi. Kaia, Noa i ja szybko wchodzimy do środka, chichocząc.

– Co za wariatka – mówi Noa, zanim zamykamy drzwi.

– Chodź, szybko – odpowiada Kaia i ciągnie ją za rękę, korytarzem w stronę salonu, zostawiając kupki twardego śniegu na świeżo umytej podłodze.

– O rety! – mówi Noa, klaszcze w dłonie i śmieje się na widok wielkiego, zajmującego pół pokoju drzewka Kai, którego czubek jest oparty o sufit. – Cudowna! – Ona i Kaia tańczą wokół drzewka, podczas gdy ja odwijam przyniesioną przez Hanne paczkę.

– O mój Boże – szepczę, Kaia i Noa zamierają. – Spójrzcie na to! – To kopia dużego bożonarodzeniowego wydania „Se Her”, w sprzedaży od jutra. Kaia jest

na okładce jako jedna z głównych historii, nad jej zdjęciem znajduje się tytuł artykułu: *Hjertebarnet – dziecko z nowym sercem*. Jest liścik od redaktorki i karta podarunkowa o wartości pięć tysięcy koron do Meny, najbardziej luksusowego supermarketu w Norwegii. Chyba nie muszę dodawać, że jeszcze nigdy tam nie byłam. *Wesołych Świąt Bożego Narodzenia dla wyjątkowej rodziny*, czytam liścik i w moich oczach stają łzy.

Cała nasza trójka pada na sofę i czytamy artykuł w niezręcznej ciszy.

Gdy Kaia zasypia, nalewam sobie i Noa po kieliszku Shiraz. Moja siostra uśmiecha się. Widać, że jest zmęczona, ale bierze kieliszek i siadamy naprzeciwko siebie w małej kuchni.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówię i przysuwam jej pod nos mój telefon. – Spójrz na mój Instagram.

Otwiera aplikację i na mnie patrzy.

– Co to jest @IsbergArt?

– Zrobiłam kilka nowych rysunków. Zerknij. Wrzuciłam je na Instagrama i niemal z miejsca sprzedałam pięć sztuk.

– Cholera, serio? – Przegląda moje konto, unosi z zaskoczeniem brwi, jej kolczyk lśni w ostrym świetle nad naszymi głowami. – Issy, one są niesamowite. Wow. Różnią się od reszty.

– Dziękuję. – Uśmiecham się, biorę telefon i szybko przeglądam wiadomości. Odezwało się do mnie dwóch nowych potencjalnych klientów.

– Dzięki czemuś takiemu naprawdę mogłabyś wyrobić sobie markę i nazwisko. Powinnaś mieć swoje studio.

– Spokojnie – mówię ze śmiechem. – Zaczęłam je sprzedawać dosłownie wczoraj.

– Pamiętasz moją przyjaciółkę Eline? Jej matka jest artystką i wyjechała na Bali na zimę. Ma studio w swoim mieszkaniu w Majorstuen. Może miałaby ochotę ci je podnająć.

Budzę się nagle późno w nocy. Jest tak ciemno i bezgłośnie, że mam wrażenie, jakbym znajdowała się na dnie oceanu. Noa śpi obok mnie, jej oddech jest bardzo cichy i słyszę go dopiero po dłuższej chwili. Gdy moje oczy

przyzwyczajają się do ciemności, widzę delikatny zarys sylwetki Kai, zwiniętej w drugim pokoju, i wysoki kształt wielkiego drzewa przed domem. Analizuję w myślach niesamowite wydarzenia kilku ostatnich dni: rysunki, Kaia w „Se Her”, karta podarunkowa na pięć tysięcy koron, przyjazd Noa. W ten chwili moje życie jest dobre. Uśmiecham się do siebie i szepczę:

– Wesółych świąt, Iselin. – A potem ponownie zamykam oczy.

Rozdział 24

Alison

Wysiadam z samolotu i mrugam gwałtownie w ostrym słońcu niczym zwierzę, które nagle widzi lufę strzelby. To dziwne, że istnieją takie miejsca, w których w grudniu słońce świeci z taką intensywnością. Sindre znosi bagaż po schodach na wilgotne powietrze, pachnące słodką zgnilizną i słonym morzem, i niesie go do czekającego autobusu. Mój mąż wygląda na wypoczętego i radosnego, chociaż nasza podróż trwa już dwadzieścia godzin. Sprawdza swój telefon i na jego ustach pojawia się niewielki uśmiech. Z kim on się kontaktuje? Uświadamiam sobie, że mnie to nie obchodzi, i odwracam twarz do okna, gdy autobus jedzie powoli w stronę budynku terminala. Spalone słońcem palmy kołyszą się przy autostradzie znajdującej się po drugiej stronie ogrodzenia lotniska.

– Ale gorąco – mówi Sindre.

– Mhm – mówię i czuję w brzuchu okrutne przerażenie na myśl o tym, jak spędzimy czas w tym miejscu, sami, przez cały tydzień. Będziemy musieli udawać i zachowywać się nienaturalnie. *Chcesz jeszcze jedną margaritę, kochanie? O tak, jasne, jak miło z twojej strony, zrób mi podwójną. Możesz natrzeć mi plecy kremem z filtrem?*

Ostatecznie Oliver z nami nie pojechał, wybrał wakacje z Monicą i jej rodziną w Drøbak, chociaż był tam również w zeszłym roku. Może Monica nie pozwoliła mu z nami jechać. Wcale bym się jej nie dziwiła – gdyby to był mój syn, czy pozwoliłabym mu spędzić Boże Narodzenie po drugiej stronie świata z dwójkiem dorosłych, którzy rozpadają się na kawałki?

Sindre i ja uzgodniliśmy, że nie będziemy rozmawiać o ostatnich świętach Bożego Narodzenia, kiedy zabraliśmy Amalie do RPA, ale i tak o tym myślę.

Myślę o tym, jak nowe zielone i niebieskie koraliki na jej warkoczach podskakiwały, gdy biegła przed nami po plaży.

Gdy się budzę, nadal jest ciemno, kiedy jednak wychodzę na balkon, niebo na wschodzie płonie odcieniami pomarańczowego i różowego. Wracam do środka, zdejmuję jedwabną koszulkę i spodnie i zakładam spodnie do jogi i cienką bluzę z kapturem. Jadę windą w dół do pustej recepcji i na bosaka przechodzę po marmurowej podłodze. Po krótkim spacerze po gładkich kamieniach w dół do morza na chwilę staję na szczycie plaży, wsłuchując się w pomruk fal i obserwując rozkwitające niebo.

– Wesółych Świąt, misiaczku – szepczę. Na drugim końcu hotelowej plaży, w miejscu, w którym graniczy ona z plażą publiczną, w wodzie jest zanurzonych kilka skał. Wchodzę na tę najdalej wysuniętą i wyciągam z kieszeni bluzy małą miękką zabawkę. Miś Dinky i ja siedzimy i obserwujemy, jak fale Pacyfiku pojawiają się i znikają, jak każda goni poprzednią. Liczę kolejne fale, potem ptaki, które w nich nurkują i wylaniają się z szarpiącymi się dziko rybami w pysku. Nie tylko Amalie mnie zostawiła. Z każdym dniem mam nowe wspomnienia, których nigdy ze mną nie podzieli – ale są one bez znaczenia. Staję się kimś, kogo ona nigdy nie pozna. Jestem w miejscu, którego nigdy nie zobaczy, ale najdziwniejsze jest to, że czuję się tutaj blisko niej. Liczę godziny, ile zostało dni w tym roku, ile dni minęło, odkąd ja zamknęłam oczy, a Amalie ode mnie odeszła i poszła do wody. Myślę o tym, że na te pytania są konkretne liczbowe odpowiedzi – na to, ile jest ryb w morzu, ile razy moje serce zabije w ciągu całego życia, ile wylałam łez, ile razy wypowiadałam jej imię.

– Amalie – szepczę. Przytulam misia Dinky i liczę bicie mojego szalejącego serca. A potem mówię: – Przepraszam. – I w tej samej chwili z morza niemal bezpośrednio przede mną wyskakuje delfin, jest piękny, jego śliski grzbiet lśni w porannym świetle. Potem powoli opada, przecina powierzchnię wody i znika. Prostuję się na skale i patrzę na drżącą wodę.

Gdy wkładam klucz do zamka, słyszę głos Sindrego. Śmieje się. Delikatnie przekręcam klucz, nie słyszy mnie. Przez chwilę stoję między łazienką a sypialnią, obok cicho mrużącego minibarku.

– To co dzisiaj robisz? – W głosie mojego męża jest coś flirtującego. A potem podnosi wzrok i mnie zauważa, przyciskam do piersi misia Dinky. Wyłącza telefon i chowa go do kieszeni, zanim ten, z kim rozmawiał, ma szansę odpowiedzieć.

– To był Espen – mówi. Patrzę na niego ostro. – Zadzwoił, żeby złożyć nam życzenia świąteczne.

– Jasne.

– Chodź tu – mówi, rozkładając ramiona jak do dziecka. Ignoruję go i przechodzę przez pokój. Staję na balkonie, patrzę na cudowny wschód słońca nad horyzontem i wyobrażam sobie, że ten delfin był kolejnym znakiem od mojej córki.

– Ej – mówi Sindre, staje za mną i wsuwa ciężką, ciepłą dłoń pod moją bluzę i gładzi moje plecy. – Co cię napadło?

– Czy mogę zobaczyć twój telefon? – pytam. Nie wiem, kto jest bardziej zaskoczony: Sindre czy ja. Mój mąż wytrzymuje moje spojrzenie bez mrugnienia okiem, ale w jego wzroku jest coś szyderczego i twardego.

– Mówisz poważnie?

– Sindre, mówię najzupełniej poważnie – odpowiadam spokojnym głosem.

– Nie.

– Nie? Mówisz poważnie? – Wyciągam dłoń, ale Sindre nawet na nią nie patrzy – spogląda na ocean i ostrożnie zmienia wyraz twarzy na wyćwiczony, smutny i zrezygnowany. Oblewam się rumieńcem z wściekłości, czuję nieprzyjemne mrowienie na skórze na plecach, ale teraz się już nie wycofam.

– Ali, czy właśnie takiego związku chcesz? Myślałem, że to zaufanie dodaje nam sił.

– *Dodawato* nam sił – odpowiadam, a on ma jeszcze czelność skrzywić się na dźwięk czasu przeszłego. – Teraz nic już nie jest silne.

– Co ty chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że chcę, żebyś pokazał mi swój telefon.

– Nie. Ali, zachowujesz się jak szalona. Jakbyś wpadła w jakąś pieprzoną paranoję. Nie wiem, co w ciebie wstąpiło...

– Nie wiesz, co we mnie wstąpiło? Sindre, jest bożonarodzeniowy poranek. Nie mogłam spać, więc poszłam na plażę. Rozmawiałam tam z Amalie, naszą córką, i właśnie wtedy z wody wyskoczył wielki delfin, był tak blisko, że opryskał mnie wodą, i nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że to znak, że to ona go przysłała, to było zbyt piękne, żeby nic nie znaczyło, a potem wracam tutaj, żeby się tym z tobą podzielić, a ty rozmawiasz przez pierdolony

telefon, śmiejesz się i wygłupiasz, a teraz nie chcesz mi go pokazać i jeszcze masz, kurwa, czelność, powiedzieć mi, że zachowuję się jak szalona? – Podniosłam głos, mój krzyk odbija się po atrium wokół basenu. Gdy milknę, ja i Sindre się w siebie wpatrujemy, on ma zmrużone oczy, z moich leją się łzy. A potem mój mąż się odwraca i odchodzi bez słowa.

Rozdział 25

Iselin

– Szybciej – mówi Kaia, a gdy odwracam się, by na nią spojrzeć, śmieje się i z zachwytu klaszcze w dłonie w rękawiczkach. Nowe sanki z kierownicą i dzwoniącymi sznurkami lśnią w jasnych, chłodnych promieniach słońca. Ciągnę za sznurek i wciągam Kaię na małe wzgórze, a potem siadam za nią i sięgam do kierownicy. Noa robi nam zdjęcie telefonem, a potem wraca do pisania wiadomości.

– Ohoooo! – krzyczy Kaia i wyruszamy, obie piszczymy i się śmiejemy, pędząc w dół na najlepszych i najszybszych sankach, jakie można kupić. Jedziemy jeszcze raz i jeszcze raz i mam wrażenie, że jeszcze nigdy nie odczuwałam tak czystej i zwyczajnej radości. Odkąd wymyśliłam plan, mam o wiele lepszy nastrój i doświadczam optymizmu, o którego istnieniu już zapomniałam. Jako dziecko miałam kiedyś taki pozytywny sposób bycia, nastawienie, że dla chcącego nie ma nic trudnego. Żeby wydostać się ze Svartberget, musiałam taka być, ale po latach spędzonych w szpitalu i w biedzie chyba się zmieniłam.

Wciągam Kaię z powrotem na wzgórze i dowodzenie przejmuje Noa. Przeskakuję z nogi na nogę, żeby nie zmarznąć, i patrzę, jak moja córka i siostra zjeżdżają po długim, oblodzonym wzgórzu. Czuję wibrowanie w kieszeni. Kolejna sprzedaż. Odkąd w zeszłym tygodniu pojawił się artykuł w „Se Her”, jesteśmy zalewane zarówno przez kupców, jak i przez wiadomości, od osób, które nam dobrze życzą. Sprzedałam trzy kolejne rysunki, czyli razem dziewiętnaście, co oznacza, że w tydzień zarobiłam więcej, niż wynoszą miesięczne zasiłki.

Jeszcze nie ma trzeciej, a słońce już zaczyna zachodzić, niebo robi się różowawe i wracamy do mieszkania, Kaia biegnie radośnie przed nami. Czasami martwię się, że ona za dużo od siebie wymaga, ale lekarze

z Rikshospitalet zapewнили mnie, że może robić prawie to, co większość dzieci, o ile czuje, że ma na to siły.

– Myślałam... – mówi cicho Noa, żeby Kaia nie słyszała. – Teraz, gdy Kaia czuje się lepiej, a ty sprzedajesz swoje prace, może mogłabyś wrócić do Paryża? Wznowiłabyś kurs, dostałabyś stypendium z Lanekassen, wystarczyłoby na małe mieszkanko obok nas, mogłybyśmy...

– Noa – mówię. – Nie teraz. Nie dajmy się ponieść. Przez następnych kilka lat Kaia będzie musiała być pod opieką lekarzy.

– Ale...

– Ciii.

– Iselin, ty naprawdę jesteś utalentowana. Szkoda byłoby to zmarnować.

– Powiedziałam, ciii. Nie chcę teraz o tym rozmawiać. – Ale zapamiętuję sobie, że mam spytać doktor Harari, czy w ogóle mogę podróżować z Kaią. Dochodzimy do naszej drogi, która w słabym grudniowym świetle wygląda na szarą i ponurą, i odsuwam od siebie myśli o mnie i Kai, przechadzających się wąskimi uliczkami Île Saint-Louis, zdumionych jej pięknem, roześmianych.

Fajerwerki budzą Kaię dwa razy, uspokojenie jej trwa sporo czasu.

– Czy teraz jest przyszłość? – pyta półprzytomna, gdy kładę ją na poduszkę i całuję jej włosy.

– Tak. Witamy w roku dwa tysiące dziewiętnastym – szepczę, ale ona już śpi.

Ja i Kaia machamy mojej siostrze na pożegnanie, gdy pociąg lotniskowy odjeżdża od platformy w lodowatym deszczu. Wszystkie trzy płacemy. Trudno ją puścić, ale weszłam w ten nowy rok z optymizmem. Próbując przekonać mnie do powrotu do Paryża, Noa zasiała we mnie ziarno. Jeśli lekarze powiedzą, że to możliwe, i uda mi się odłożyć odpowiednie oszczędności, i jeśli cały czas będę sprzedawać rysunki, mogłabym tak naprawdę zrobić wszystko.

Kładę Kaię przed powtórką *Pełnej chaty* i już mam się brać za nudne zadanie posprzątania poświętecznego i posylwestrowego chaosu, gdy Kaia odwraca się

do mnie i pyta:

– Mamusiu, a gdzie jest moja babcia, która mówi tak, jak ona? – Kiwa głową w stronę Amerykanów w telewizji. *Kochanie, uwierz mi, zrobiłaś właściwą rzecz*, mówi młody seksowny John Stamos ze swoim kalifornijskim akcentem.

– O co ci chodzi? – pytam.

– O moją babcie. Taką, która tak mówi.

– Skarbie, twoja babcia mieszka w Nordlandzie i z pewnością nie mówi w ten sposób.

– Och.

– W szpitalu była pani doktor na wizytacji. Tuż po twojej operacji. Była trochę starsza i miała amerykański akcent. Może to o nią ci chodzi?

– Może – odpowiada Kaia i ponownie patrzy na ekran telewizora.

Rozdział 26

Alison

Jest wieczór, Sindre siedzi w sypialni, pakuje nasze rzeczy, bo jutro wracamy do Norwegii. Ja biorę prysznic, pozwalam, by ciepła woda zmyła z mojej skóry piasek, zaschnięty pot i zapach chloru. Wyobrażam sobie Sindrego wychodzącego na balkon, spoglądającego na ciemniejące niebo i delikatnie falujący fioletowy ocean, potrząsającego ręcznikami plażowymi, roztargnionego, zagubionego, gładzącego się po spalonym czole.

Trudno byłoby powiedzieć, że spędziliśmy w Meksyku miły czas, ale mimo kiepskiego początku przynajmniej udało nam się być razem. Rano udawaliśmy, że czytamy przy basenie, potem jedliśmy na mieście lunch i piliśmy kilka margarit w jednej z uroczych restauracji, a później popołudniami spacerowaliśmy po plaży. Opuściłam kwestię telefonu i tego, z kim mój mąż wtedy rozmawiał, nie mam teraz energii, żeby torturować się wyobrażeniami mojego męża z inną kobietą. Poza tym on jest tutaj, ze mną.

Zostańmy tutaj, szeptałam każdej nocy, opierając głowę na piersi Sindrego – od wielu miesięcy nie byliśmy sobie tak bliscy. Za każdym razem, gdy to mówiłam, sztywniał, powoli wypuszczał powietrze. *I co mam zrobić? Porzucić syna i otworzyć budkę ze smoothie?* Kończyłam wtedy temat, ale w środku jakaś część mnie myślała: *tak*.

Sindre jest wyczerpany i zmęczony; ma ogromne worki i cienie pod oczami, a siwy zarost, który kiedyś wydawał mi się atrakcyjny, teraz jednak sprawia, że mój mąż wygląda na jeszcze bardziej zaniedbanego.

Wyjeżdża powoli z lotniska, drogi są oblodzone. Delikatnie się od niego odsuwam, wyglądam przez okno, otulam się wełnianym kardiganem.

Na podjeździe siedzimy przez chwilę cicho w samochodzie, patrzymy na nasz dom, lśniący w pięknym styczniowym słońcu. W samolocie rozmawialiśmy o tym, jak miło będzie do niego wrócić, ale wtedy mu nie wierzyłam. Pochłania mnie potrzeba ruszenia do przodu, podróżowania, wydostania się z ograniczeń życia tutaj w Oslo z Sindrem i Oliverem – wyrwania się z niekończącej się monotonii, braku przyjaciół, mojego nagle straconego i pustego małżeństwa, dziury w moim sercu...

– Możemy po prostu odjechać – szepczę raz jeszcze. – Zawróć i zobaczmy, dokąd zaprowadzi nas droga. Ty i ja, kochanie. Nie musimy tego robić... – Sindre na mnie patrzy, potem się uśmiecha, ale w jego oczach stoją łzy.

– Ty i ja, kochanie – powtarza, ale w jego głosie jest coś pustego, tak jakby już w to nie wierzył.

Sindre przebiera się w strój do biegania w niecałe pięć minut po przyjeździe do domu, stoję przy kuchennym oknie i patrzę, jak wbiega do lasu niczym przerażony jelen. Piję przywiezioną do domu tequilę z odrobiną soku pomarańczowego, ale nie koi to moich nerwów. Robi mi się niedobrze, biorę więc Valium. Przez chwilę siedzę przy blacie, próbując powstrzymać fale mdłości. Zamykam oczy, usiłuję znaleźć się w miękkim piasku Sayulita, uspokajające uderzenia fal, pragnę odnaleźć spokój, który wtedy odczuwałam. Kiedy wstaję z taboretu, czuję żółć w gardle i nie udaje mi się dotrzeć nawet do łazienki, wymiotuję tequilą i kwasem żołądkowym na podłogę w kuchni.

Popołudnie spędzam, chodząc bez celu z pokoju do pokoju pod pozorem rozpakowywania i sprzątania, ale po kilku godzinach walizki są opróżnione tylko w połowie. Tuż przed czwartą przychodzi Oliver, cicho zamyka za sobą drzwi, czeka na korytarzu, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w domu.

– Cześć – mówię i go przytulam. – Tęskniłam za tobą.

– Ja też za tobą tęskniłem. Ale jesteś opalona! – Wygląda na wyższego niż jeszcze dwa tygodnie temu i zdaję sobie sprawę z tego, że to, co powiedziałam, jest prawdą: naprawdę się za nim stęskniłam. Nad jego górną wargą pojawiła się cienka kreska blond włosów i zastanawiam się, czy będzie chciał zapuścić wąsy. Pamiętam, jak zobaczyłam go po raz pierwszy, był wtedy małym chłopcem. Ja i Sindre spotykaliśmy się ze sobą już od roku. Wróciłam z nim do Norwegii pod koniec jego ostatniej podróży służbowej. Oliver miał tylko cztery lata i natychmiast podbił moje serce. Nigdy nie chciałam zostać matką, pewnie dlatego, że do tej pory nie spotkałam nikogo, z kim chciałabym mieć dzieci. Gdy

poznałam mojego przyszłego męża, byłam dobrze po trzydziestce i wydawało mi się, że już za późno. Skupiłam się na karierze i wolności, dzięki której mogłam podróżować po świecie. Dopiero gdy zobaczyłam Sindrego z synkiem, uświadomiłam sobie, że chcę mieć dzieci – z nim – więc rozpakowałam małą walizkę, którą woziałam ze sobą po całym świecie przez niemal dziesięć lat i zostałam w Norwegii. Teraz za nią tęsknię, za tą podniszczoną walizką, która przez tyle lat zawierała większość moich rzeczy. Jest gdzieś na strychu, mogłabym bez problemu znieść ją na dół, włożyć do niej nowe rzeczy i wyjść przez drzwi. Co bym ze sobą wzięła?

Nie jestem przywiązana do zbyt wielu przedmiotów, ale z pewnością spakowałabym misia Dinky i poduszkę Amalie. I moje ulubione zdjęcie całej naszej czwórki – Sindrego, mnie, Olivera i Amalie. Zostało zrobione zeszłej Wielkanocy na starym mieście na Rodos, gdy miałam jeszcze wszystko. Stoimy blisko siebie, mrużymy oczy w słońcu, Amalie jest na rękach Sindrego. Wszyscy jesteśmy ubrani na biało i wyglądamy jak jedna wielka, dziwna, uśmiechnięta istota.

– Gdzie jest tata? – Oliver patrzy na mnie dziwnym wzrokiem i uświadamiam sobie, że się krzywię. Uśmiecham się do niego, ale nie odwzajemnia uśmiechu.

– Już zdążył pobiegać, a teraz pojechał do Meny, żeby zrobić zakupy na kolację.

– Och. Ja... eee... wychodzę na chwilę.

– Wrócisz na kolację?

– Nie wiem. Ja... Spotykam się z moją... dziewczyną.

– Dziewczyną? Oliver, och, wow. Nie mówiłeś mi o niej! To świetnie!

Uśmiecha się smutno.

– Tak.

– Od jak dawna się spotykacie? Jak ma na imię? Czy jest miła?

– Oczywiście, że jest miła – mówi i oboje się śmiejemy. – Nazywa się Celine i jest ode mnie rok starsza. Jesteśmy razem od sierpnia.

– Sierpnia?

Kiwa głową zawstydzony.

– Ale dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Eee...

– Och, kochanie, oczywiście, że rozumiem. Nie martw się tym. Tak bardzo się cieszę. – Ponownie kiwa głową i zaczyna chować do plecaka rzeczy z różnych kieszeni kurtki i półek na korytarzu: gumę, słuchawki, pięćdziesięciokoronowy

banknot, bilet okresowy na autobus, rękawiczki. Niezręcznie głaszczę go po ręce, odwraca się w korytarzu i jeszcze raz szybko mnie obejmuje. Macham mu i patrzę, jak idzie przez podwórze, które dzielimy z sąsiadami, po zwirowej ścieżce prowadzącej na drogę do Frognersteteren, a potem znika mi z oczu.

W kuchni nalewam sobie kolejną tequilę, mimo tego, co wydarzyło się wcześniej. Ledwo jestem w stanie ją wypić, ale się zmuszam. Siadam przy oknie z widokiem na miasto, resztki granatowego nieba znikają w czerni, mrugają miliony świateł Oslo. Oliver gdzieś tam jest, po prostu jest dzieciakiem, spotyka się ze swoją dziewczyną, śmieją się i flirtują. Przez tyle miesięcy, odkąd Amalie nas opuściła, ukrywał przed nami tę część swojego życia. Boli mnie myśl o wszystkich tych przeżywanych przez niego chwilach, z dala od oszałamiającej czerni, która pożarła naszą rodzinę; całował Celine, opowiadał jej dowcipy, wygłupiał się, wyszukiwał głupie emoji, żeby określić swoje nastoletnie uczucia. Powinnam się cieszyć, wiem, że Oliver nosi w sercu ogromną żalobę po siostrze, nie potrafię jednak znieść myśli o tym, że życie toczy się dalej, że bez niej świat się nie skończył.

Otumaniona kładę się na łóżku. Pokój wiruje wokół mnie, mruczę melodię, której nie rozpoznaję. Do mojego wygodnego, przypominającego sen stanu wdziera się dziwny hałas. To telefon wibrujący gdzieś w pokoju, ale to nie mój, bo swój trzymam w dłoni, miałam zamiar przeglądać Instagrama tak długo, aż zasnę. Ponownie wstaję, jednak czuję skurcz żołądka. Martwię się, że znowu zwymiotuję, tym razem na łóżko. Ale by to było obrzydliwe! Czy właśnie tym się stałam? Biorę kilka głębokich oddechów, przełykam z trudem ślinę, próbuję określić miejsce dźwięku. Telefon znajduje się w tylnej kieszeni dżinsów Sindrego, które miał na sobie w drodze powrotnej i rzucił w kąt pokoju, zanim pojechał do Meny. O ile w ogóle tam pojechał. Przesuwam belkę na ekranie, żeby odblokować telefon, ale muszę podać hasło. To coś nowego. Mimo wszystko jestem w stanie przeczytać pierwszą linijkę wiadomości na WhatsApp od kogoś o imieniu Mia.

Nadal się śmieję. Jedź bezpiecznie, porozmawiamy później.

Rozdział 27

Alison

Budzę się gwałtownie i rozglądam się po sypialni, jestem zdezorientowana. Dom. Jestem w domu. Staram się nie myśleć, odmawiam istnienia nawet najmniejszej myśli. Ale nie mogę zasnąć. Mało zaskakujące. Po tym, jak przeczytałam wiadomość na telefonie Sindrego, zesłam na dół do kuchni i wypiął do końca tequilę. Mój umysł szalał zarówno z wyczerpania, jak i z wściekłości, nie chciałam jednak działać pochopnie.

Wrócił do domu z kilkoma torbami zakupów i znalazł mnie leżącą na blacie w kuchni. Na podłodze znajdowała się świeża kałuża wymiocin. Na wpół przeprowadził, na wpół przeniósł mnie przez salon i po schodach, zobaczyłam nasze odbicie w lustrze na górze schodów. Sindre miał ponury wyraz twarzy mężczyzny niosącego rannego towarzysza, próbującego zapewnić mu bezpieczeństwo na polu walki. Próbowałam powiedzieć mu, co się stało, że nie dam już rady, ani przez sekundę, że w moim umyśle roi się od obrazów, fantazji i wrażeń, że chcę tylko być daleko, daleko...

Dziś rano mój umysł jest czysty, mgła po wypiciu tequili zniknęła, pozostawiając po sobie nieprzyjemną transparentność. Straciłam męża. I tak go nie chcę. Na myśl o tym, że Sindre pieprzy inną kobietę, kobietę o imieniu Mia, nie czuję nic. Zupełnie nic. Sindre śpi mocno obok mnie – tabletki, które bierze, powodują, że jest senny, więc od czasu polowania przesypia większość nocy. Odwracam się do niego, chociaż leży plecami do mnie. Ma tupet, wracając do naszego domu i kładąc się obok mnie. Opłakujemy nasze jedyne dziecko, a on wykorzystuje ten czas, żeby ganiać za inną kobietą. Założę się, że zrobił z naszej tragedii świetną płaczącą historyjkę – sposób, żeby zaciągnąć tę kobietę do łóżka. *Biedny Sindre. Biedny. Biedny mężczyzna. Mogę go naprawić w sposób, w jaki jego żona nigdy nie będzie mogła.*

Włączam lampkę na stoliku nocnym, a on nadal się nie porusza. Patrząc na mechaniczne opadanie się i unoszenie jego opalonych, silnych pleców i wyobrażam go sobie w poprzednich wcieleniach: jako łyse, pulchne dziecko na ramieniu matki, jako młodego mężczyznę, wdychającego gorące, pełne piasku powietrze i trenującego strzelanie na innych młodych mężczyznach na drugim końcu świata, jako zmęczonego biznesmena w średnim wieku, który każdego wieczoru zdejmuje buty po swojej stronie łóżka. Teraz jego silne plecy wydają się nagle delikatne i wrażliwe. W tej chwili mogłabym go zabić, wbić nóż w jego szyję, i byłby bezbronny. Patrząc na niego długi czas, a potem wstaję.

Przez chwilę stoję na półpiętrze, nasłuchując zwykłych odgłosów domu i jakiegoś śmiechu z telewizora, który Sindre musiał zostawić włączony, nie ma jednak śladu po Oliverze. Otwieram drzwi do pokoju Amalie i kilka minut leżę na jej łóżku, wtulam głowę w misia, uspokajam oddech. Potem słyszę odgłos otwieranych drzwi, na podłogę pada światło.

To Oliver w swojej flanelowej piżamie, przyciskający coś do piersi, ma wykrzywioną twarz, po jego policzkach leją się łzy. Siadam przerażona; nie widziałam go w takim stanie od lipca.

– Muszę ci coś pokazać – szepcze. Siada obok mnie, za blisko, czka i wciska przycisk „Home” na trzymanym iPadzie. Ekran się rozświecila. – Patrz – mówi i szybko przesuwa palcem po jakimś artykule. Jest w nim kilka zdjęć małej dziewczynki i kobiety, która prawdopodobnie jest jej matką. Na głównym zdjęciu dziewczynka siedzi na sofie w niebieskie i białe paski, trzyma wytartą maskotkę Kłapouchego, matka stoi obok, trzyma obie dłonie na ramionach dziewczynki. Nagłówek głosi „Cudowna dziewczynka”.

– Oliver, co to jest? – Czuję palenie po lewej stronie.

– To ona – szepcze Oliver. – Dziewczynka, która dostała serce Amalie.

Patrząc na niego, potem na dziewczynkę. Słabo wyglądające dziecko o bardzo białej skórze, dziwnym, szpiczastym nosie, niebieskich oczach i czekoladowych włosach zaplecionych w dwa nierówne warkoczyki.

– Jakim... Dlaczego sądzisz, że to ona? Przecież nie ma jak się tego dowiedzieć.

– Ali, w Norwegii przeprowadza się dwa, maksymalnie trzy przeszczepy serca u dzieci rocznie. Jakie są szanse, że w lipcu przeprowadzono dwa takie zabiegi?

Zaczynam czytać. *Po siedmiu latach zagrażającej życiu choroby, na początku lipca Kaia Berge otrzymała wreszcie nowe serce... Od tego czasu nabiera sił, a nawet po raz pierwszy poszła do szkoły razem z innymi dziećmi. Czasopismo „Se Her” spotkało się z małą dzielną Kaią i jej mamą, Iselin, w ich domu na*

przedmieściach Oslo. Tak bardzo tego pragnęłam, teraz jednak zamykam oczy i żałuję, że ją zobaczyłam. Chciałam tego. Na co miałam nadzieję? Może wydawało mi się, że chcę wiedzieć, teraz jednak wiem, że wcale nie chciałam.

Nic do niej nie czuję. Nic. Jest dla mnie obcą osobą i patrzenie na jej twarz nie sprawia, że nawiązałam jakiś kontakt ze swoim dzieckiem. Jak mogłam pomyśleć, że odnalezienie tego dziecka mnie pocieszy?

Oddaję iPada Oliverowi, czuję na plecach jego wzrok, gdy wychodzę z pokoju.

Schodzę na dół i siadam przy kuchennym oknie, ponownie patrzę na miasto. Teraz jestem spokojna, od dawna nie byłam tak spokojna. Nagle czuję jasność, tak wyraźną jak gwiazdy na niebie. Wszyscy inni ludzie żyją dalej, ale moje życie się zatrzymało. Wszystko się rozpadło, moje życie leży na ziemi niczym resztki śniegu, które spadły z czarnego nieba. Myślę o Karen Fritz i wiem, że już nigdy do niej nie wrócę. Już nigdy nie zobaczę, jak robi na drutach. Już nigdy nie zaufam swojemu mężowi, nie będę mogła go nawet przytulić, bo wiem, że między nami jest jakaś tajemnica. Nigdy więcej nie zobaczę mojego dziecka ani nie będę miała innego. Nigdy nie zacznę szukać tej dziewczynki – dlaczego miałabym to zrobić? Nie ma w niej nic z Amalie. Jak mogłam w ogóle wierzyć w takie rzeczy?

Zaczęło lać, spływająca po oknie woda rozmazała migoczące światła znajdującego się w odległej dolinie Oslo, zaczęły mrugać, tak jakby miały zaraz zgasnąć. Wstaję.

Choć jest niezwykle ciepło jak na styczeń, i tak są maksymalnie dwa lub trzy stopnie, a gdy wynurzam się na zewnątrz, czuję na twarzy bąbelki deszczu. Wychodzę i siadam na masce samochodu, nasłuchuję deszczu padającego w zimowym lesie i czuję nieprzewidywalne uderzenia i szarpnięcia własnego serca. Otwieram drzwi samochodu i włączam światła przeciwmgielne, w ich mglistych snopach widzę obsydianowe jezioro między drzewami. Gdzie, jak nie tutaj?

Wyjmuję z bagażnika ciężki lampion i odchodzę od samochodu, nie zamykając go, moje stopy zapadają się w mokrym mchu, gdy idę w stronę jeziora. Wzdłuż brzegu pojawiła się cienka warstwa lodu, dalej jednak woda marszczy się w ulewie. Oświetlam powierzchnię jeziora i patrzę na deszcz, przypominający zakłócenia w starym telewizorze.

Wchodzę na lód. Pęka pod moimi kaloszami, a po chwili od góry nalewa się do nich lodowata woda. Czy to naprawdę jest to samo jezioro, które kiedyś było pełne roześmianych dzieci i ich ospałych, szczęśliwych rodziców, łącznie ze mną, siedzącą, o, tam, patrzącą, jak moja mała dziewczynka przesiewa przez sitko błotnisty piach? Różnica między tym jeziorem w lipcu i styczniu to nie tylko kwestia zimy i lata, światła i mroku, lecz życia i śmierci. Nie wiem, co ja tutaj robię. Nie wiem, gdzie jeszcze mogłabym pójść. Chcę zobaczyć twarz tamtej dziewczynki. Chcę przestać wiedzieć o tym, o czym wiem teraz. Dlaczego sądziłam, że odnalezienie jej mi pomoże?

Każdego dnia tak bardzo starałam się patrzeć do przodu, ale fakty są takie, że wszystko zostało zniszczone i nic nie da się naprawić. Przez krótką chwilę czułam się, jakbym miała cienką nić nadziei, wyobrażałam sobie połączenie z moją utraconą dziewczynką, ale teraz wiem już, że się myliłam.

Odchrząkuję i obejmuję się na mokrym wietrze. *Cześć, Mills*, szepczę, ale natychmiast robi mi się głupio. Może zapomniałam już, jak się z nią rozmawia. Pochyliłam się i dotykam lodowej skóry na powierzchni jeziora, pod którą znajduje się czarna woda.

To jej jezioro, ale mogłoby stać się również moje. Mogłybyśmy być razem.

Wsuwam obie dłonie przez niewielkie pęknięcie w lodzie, powiększam ją gołymi rękami, boli to bardziej, niż miałam nadzieję, odłamki lodu rozrywają moje nadgarstki. Lodowata woda nalewa mi się do rękawów i dalej, zanurzam dłonie jeszcze głębiej, tak jakby jezioro mogło mnie połknąć.

Mogłybyśmy być razem, moja dziewczynka i ja... Znowu byłybyśmy ja i ona: dziewczyny Juul. Mogłabym znaleźć się tam, gdzie ona. Nie muszę tak żyć, ciągle próbując znaleźć coś, cokolwiek, czego mogłabym się ucześcić. Mogłabym być z Amalie na zawsze.

Daj mi znak, misiaczku, jakikolwiek znak. Żeby ciągnąć to dalej, potrzebuję jakiegoś znaku.

Ale nie ma nic, jestem tylko ja i noc.

Mój kolejny ruch jest naturalny – wystarczy, że przejdę kilka centymetrów dalej. Gdy upadam, światło wypada mi z rąk i uderza o skaliste dno, i nagły brak światła to ostatnia rzecz, którą widzę, zanim przebijam się przez powierzchnię.

CZEŚĆ II

Rozdział 28

Alison, cztery dni później

Gdybym chciała, mogłabym otworzyć oczy, ale tego nie robię.

Wróciłam tam, z nimi.

Jest wczesny ranek, czytam z Oliverem przy kominku, jego mała twarz wygląda na upiorną i zmienioną w migoczących pomarańczowych płomieniach. Pomaga mi przewracać strony. Amalie śpi jak rozgwiezda na skórze z owczej skóry na kanapie. Ma na stopach wyblakłe, żółte, wełniane skarpetki, niegdyś wydziergane przez matkę Sindrego dla Olivera. Jej brzusek jest jak zaokrąglony grzbiet wieloryba, mam ochotę przycisnąć usta do miękkiej, ciepłej skóry.

Jest weekend, a po obiedzie jeździmy razem na nartach w długim rzędzie: ja z przodu, za mną jedzie mały Oliver, potem Sindre, a na końcu Amalie na sankach, cicho obserwująca szybko przesuujące się jodły, małe płatki śniegu unoszące się w białym powietrzu.

Dzień szybko przechodzi w wieczór, ja i Sindre przyzwyczailiśmy się do oglądania filmów w łóżku, delikatnego głaskania się wzajemnie i wybuchania śmiechem w tych samych momentach.

Potem znowu jest dzień, ja i Amalie idziemy wzdłuż lasu do jeziora Øvreseter, gdzie parkujemy wózek przy miejscu na grilla i idziemy chwiejnym krokiem do pokrytego lodem jeziora, potem na nie wchodzimy, Amalie uśmiecha się z radości, bo nagle zaczynają jej się ślizgać nóżki.

Potem jednak, w ułamku sekundy, Amalie znika. Jest i jej nie ma. Pędzę w stronę ciemnej szczeliny w lodzie, ale ona szybko się rozprzestrzenia po jeziorze, lód niknie. Głośno wykrzykuję jej imię, mój głos niesie się po powierzchni i wznosi się na wzgórze.

Rzucam się do lodowatej wody, nurkuję, otwieram oczy w ciemności. Znajduję się na dnie jeziora, przejeżdżam dłońmi po wielkich, śliskich skałach, szukając po omacku mojego dziecka, potem przeszukuję pustą wodę. Wypływam na powierzchnię, żeby nabrać powietrza, ale w chwili, w której mój wzrok pada na lodowatą powierzchnię jeziora, woda zaczyna się marszczyć i powstaje z niej sylwetka dziewczynki – *tej* dziewczynki. Dziewczynki ze zdjęcia.

Kai.

Patrzy na mnie i mówi „mamusiu”.

Mamusiu. Raz, drugi, trzeci. Mamusiu, potrzebuję cię.

Wyciągam ją z wody, przywiera do mnie niczym rozbitek do tratwy, niczym mały miś koala do matki, tak blisko, że czuję bicie jej serca przy mojej piersi. Patrzę w jej oczy. I teraz wszystko jest inne. Świat, ja, dziecko, znajomy błysk w jej oku. To Amalie, patrząca na mnie oczami obcego człowieka. Moje dziecko jest w środku tej dziewczynki, trzymane pod jej skórą.

Otwieram oczy.

Rozdział 29

Iselin

Myślę, że życie jest raczej takie samo dla wielu ludzi: wszyscy wstają, ogarniają dzieci, idą do pracy, wracają do domu, robią kolację, siadają na kanapie i coś oglądają, idą spać. Czasami mam wrażenie, jakbym po prostu czekała, aż coś się wydarzy, że moje życie to rozciągnięty wstęp do filmu, jest tym nudnym fragmentem, zanim zacznie się akcja. Ludzie kupują moje rysunki – nie tak dużo jak przed świętami, ale chyba mogłam się tego spodziewać. Kaia rozkwita. W tym tygodniu ma wrócić Noa. Wszystko się układa. A mimo wszystko nadal czuję, że zaraz coś się wydarzy.

Sprawdzam, co u Kai, która leży rozwalona na sofie niczym ośmiornica.

– Ej, kochanie, chcesz gdzieś iść?

– Nie.

Jest sobota, piękna pogoda, a ja mam wrażenie, że powinniśmy gdzieś być.

– Mogłybyśmy pojechać do miasta. Mogłybyśmy pojechać do portu w Aker Brygge i kupić sobie po niebieskim napoju z lodem.

– Nie. Chcę być w domu.

– A może do Henie Onstad Center? Wydaje mi się, że jest tam teraz wystawa dla dzieci.

– Mamusiu – mówi Kaia i patrzy na mnie poważnie. – Nie możemy po prostu posiedzieć w domu i nic nie robić?

– Możemy, ale chcę, żebyś była szczęśliwa i miała radosny dzień.

– Jestem szczęśliwa. Najszczęśliwsza! – Posyła mi najszerszy możliwy uśmiech, tak jakby jej mała twarzyczka pękła na pół, wskakuję więc obok niej na sofę i łaskoczę ją tak długo, aż zaczyna piszczeć.

Wieczorem dostaję wiadomość od Noa:

Pamiętasz, jak mówiłam ci o tym studiu w Majorstuen? Matka mojej przyjaciółki mówi, że możesz wynajmować je za darmo do czerwca, o ile dwa razy w tygodniu będziesz podlewać kwiaty! N X

Rozdział 30

Alison

Obudziłam się w szpitalu. Byłam sama. Przez żaluzje wpadało do środka słabe styczniowe światło. Odczuwałam wtedy wdzięczność za pełzające wskazówki wiszącego na przeciwległej ścianie zegara, za to, że jestem, chociaż byłam złamana. Pęknięta. Ale otwarta na światło i prawdę, i dotarło to do mnie, zanim otworzyłam oczy. Byłam wdzięczna za życie moje i Kai Berge. I byłam pełna nadziei tak czystej i silnej, że jeszcze nigdy takiej nie czułam.

A teraz, od wczoraj, znów jestem w domu. Tak po prostu. Wszystko jest takie samo, ale jednocześnie zupełnie inne. Wczoraj wieczorem ja i Sindre usiedliśmy naprzeciwko siebie przy kuchennym stole i trochę porozmawialiśmy. Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy spędzić Wielkanoc w naszym domku w Norefjell, wspominać minione czasy, relaksując się w słońcu po porannej jeździe na nartach, obierając pomarańcze i jedząc tabliczkę czekolady na pół. Rozmawialiśmy o tym, że mieszkająca obok para, Berit i Jan Olav, prawdopodobnie złamali prawo, bo ścięli dwa wielkie świerki na samym końcu swojej działki, chociaż cieszymy się, że to zrobili, bo widzimy teraz niebieski fragment zamarznętego fiordu. Rozmawialiśmy o tym, że być może pod koniec roku ulegniemy prośbom Olivera i kupimy mu psa. *Jakiegoś starszego psa po służbie*, zaproponowałam, i mimo wszystko poddałam się impulsowi, by wyciągnąć rękę i pogłaskać siwiejące włoski na szczęce Sindrego.

Takie siedzenie razem było miłe. Było miłe, bo oboje instynktownie rozumieliśmy nowe zasady; musimy rozmawiać tak, jak pozostali mężowie i żony, o wakacjach i małych zwadach z sąsiadami, o tym, co możemy, a czego nie możemy zrobić z dziećmi. Nie pamiętam, może wcześniej też tak rozmawialiśmy, wiem jednak, że tak będziemy musieli rozmawiać w przyszłości. Nie może być już żadnych opowieści o jeziorach, które

przetrzymują małe dziewczynki ani o komórkach zawierających wspomnienia, ani o tym, co u diabła będzie nas teraz trzymać przy życiu. Mimo to moje myśli należą wyłącznie do mnie. Mój umysł i serce są całkowicie wypełnione nadzieją, dzięki czemu wszystkie te rozmowy w ogóle są możliwe. Teraz już coś mam; coś większego niż ja i moje własne życie czy nawet życie w ogóle. Większego niż śmierć.

Sindre bardzo poważnie traktuje opiekę nade mną, jednakże oboje doskonale zdajemy sobie sprawę, że od nagłej zmiany sytuacji minęło bardzo mało czasu, że dopiero to Sindre był pod wpływem silnych leków. Zanim wróciłam ze szpitala, posadził Olivera i wyjaśnił mu, że to, co przydarzyło mi się nad jeziorem, nie było próbą samobójczą. To był akt rozpaczony pod wpływem impulsu, nie zrodził się jednak z prawdziwego pragnienia śmierci. Chciałam, żeby Sindre powiedział Oliverowi, że chcę ponownie nauczyć się żyć. Nie wiem, czy Oliver w to uwierzył. Przez całe popołudnie za mną chodził i ciągle próbował mnie czymś zająć. Oglądałam z nim telewizję tak długo, aż zaczęły piec mnie oczy. Wzięłam lek, który mam brać, a potem poszłam do łóżka i straciłam orientację.

Dziś wieczorem Oliver pojechał do matki, a Sindre jest obok, w swoim gabinecie, rozmawia z Waszyngtonem czy jakoś tak. Przynajmniej tak mi powiedział. Moje serce wcale nie chce się tym przejmować. Muszę się teraz skupić na czymś o wiele ważniejszym. Będę więc udawać. Będę udawać, że wszystko jest już o wiele lepiej. Że będę robić kolejne kroki i uczyć się żyć bez mojej córki. Muszę udawać, żeby móc odnaleźć Kaię Berge i dowiedzieć się, czy w jej wnętrzu naprawdę znajduje się coś z mojej córki.

Piję czerwone wino i oglądam drugą część programu o ludziach, którzy spotykają się po raz pierwszy przy ołtarzu. Od czasu do czasu słyszę śmiech Sindrego i zastanawiam się, z czego on się śmieje – bezpieczeństwo korporacyjne zawsze wydawało mi się bardzo poważną dziedziną. Gdy wejdzie na górę, chcę już leżeć w łóżku i udawać, że śpię. Najpierw jednak to, na co czekałam. Wchodzę po dwa stopnie, ale zatrzymuję się na chwilę, gdy widzę swoje odbicie w lustrze na półpiętrze. Przypomina mi tę noc, tę najmroczniejszą z nocy, gdy palenie zawiodło mnie nad zamarznięte jezioro. Lód łatwo się rozkruszył, kiedy rozbijałam go dłońmi, cieszyłam się, że rozrywa moją skórę.

Nadal bolą mnie ręce, podnoszę je do lustra, przyglądam im się w łagodnym świetle; opuchlizna już zeszła, siniaki zmieniły kolor z czerwonego i fioletowego na zielony i żółty, a cztery roztrzaskane kości mojej lewej dłoni są sklezione. Moje ręce nie wyglądają tak szokująco jak wtedy, gdy przyjechałam do Rikshospitalet, ale widać, że należą do kogoś, kto walczył ze śmiercią.

Dotykam prawą dłonią chłodnej, poplamionej powierzchni lustra i wytrzymuję własny wzrok. Jestem obca dla samej siebie. Czasami czułam to samo, patrząc na Amalie. Patrzyłam, jak śpi, zastanawiałam się, skąd się wzięła i jak mogłabym odkryć istotę tego, co ją stworzyło. Patrzyłam, jak się bawi, biega, skacze, tańczy, upada, i zastanawiałam się, jakie to dziwne, że wyszła ode mnie, ze mnie, a mimo to była tak osobną istotą. Czasami patrzyłam jej w oczy, spodziewając się odnalezienia bardzo intensywnego połączenia, ale go nie czułam. A innym razem połączenie to pojawiała się nagle i niespodziewanie, tak silne, że mogłoby powalić mnie na ziemię. Wyobrażam sobie, że patrzę w oczy Kai. Czy w prawdziwym życiu zrobiłaby na mnie takie samo wrażenie?

Zakradam się do pokoju Olivera i siadam przy jego biurku. Gdy wciskam spację, wygaszacz ekranu na jego iMacu zmienia się ze zdjęcia Wielkiego Kanionu na zdjęcie przedstawiające jego i Amalie w basenie w Hiszpanii, zrobione dwa lata temu. Uważnie przyglądam się temu zdjęciu. Amalie ma na głowie kapelusz przeciwsłoneczny w truskawki, który częściowo zakrywa jej twarz, i siedzi uśmiechnięta przy basenie, obok swojego starszego brata. Nie pamiętam, jak robiłam to zdjęcie, ale musiałam je zrobić; Sindre nigdy nie pamięta, żeby robić zdjęcia dzieciom. Próbuję wyodrębnić tę chwilę z reszty chwil przed i po; ocean za basenem musiał lśnić w ostrych promieniach słońca, w powietrzu z pewnością unosił się śmiech wszystkich dzieci, po niebie leciały ptaki, przypominające pierzaste czarne plamy. Pewnie powiedziałam: „Uśmiech!”.

W Google wpisuję imię matki dziewczynki – Iselin Berge. Tak jak córka ma niebieskie oczy, jasną skórę i okrągłą twarz, ale tak naprawdę one wcale nie są do siebie podobne. Nie ma zbyt wielu wyników wyszukiwania dla „Iselin Berge”, ale klikam na jakiś stary artykuł. Jest z „Nordlandsposten” z października 2006 roku, w którym pokazano zdjęcie trzech nastolatków zbierających plastikowe śmieci z wyblakłej plaży. Ich twarze są poważne

i błagalne. *Uratujcie plaże Nordlandu przed plastikowymi śmieciami*, głosi nagłówek, pod zdjęciem podano imiona wszystkich trzech dziewczyn. Merethe Hansen, Nora i Iselin Berge. Wpatruję się w twarz Iselin, próbuję pogodzić jej świeże, przyjemne rysy twarzy z twarzą z dorosłości, która zdaje się ponura i młodsza niż w rzeczywistości. Wygląda na to, że mogła być popularną nastolatką: ma dokładnie wyskubane brwi, dyskretnie podkreślone eyelinerem oczy, patrzy prosto w aparat, pełna przekonania, że zbierając kawałki plastiku z miejscowej plaży, może ocalić świat. Wracam do Google i w górnej części wyników wyszukiwania znajduję artykuł pokazany mi przez Olivera. Zjeżdżam na dół, żeby go uniknąć, ale nie znajduję nic interesującego, wracam więc i w niego klikam.

W domu z cudowną dziewczynką Kaią Berge

„Nadal nie mogę w to uwierzyć”, mówi Iselin Berge, z miłością wpatrując się w swoją córkę, Kaię, która bawi się lalkami na podłodze w ich przytulnym mieszkaniu... „Wydaje mi się, że zaczęłam się już z nią żegnać”, szepcze. Życie tej młodej, samotnej matki było wyjątkowo trudne. Zdaniem niektórych to niemożliwe, ale Iselin bez wytchnienia walczyła o szansę przetrwania dla swojej córki.

Czasopismo „Se Her” przeprowadziło wywiad w domu z być może najdzielniejszym dzieckiem w Norwegii: siedmioletnią Kaią Berge, która od urodzenia cierpiała na zagrażającą życiu chorobę serca i wreszcie w lipcu otrzymała nowe serce. W Norwegii robi się zaledwie kilka przeszczepów serca u dzieci rocznie, mimo bardzo długich list oczekujących. Kaia była jedną z nich i po pięciu latach zaczęła gwałtownie podupadać na zdrowiu. Iselin powoli traciła nadzieję.

„Nie dawałam sobie rady z tą sytuacją”, mówi. „Tak bardzo pragnęłam, żeby moje dziecko otrzymało nowe serce i szansę na życiu, ale jednocześnie miałam świadomość, że aby tak się stało, ktoś musi umrzeć”.

W listopadzie złożyliśmy wizytę tej cudownej dwójce. Mieszkają w małym lokalu w piwnicy w domu znajdującym się kilkaset metrów od stacji metra w Østerås. W dniu naszej wizyty nad zachodnimi obrzeżami Oslo wisi mokra mgła, zasłaniająca zarówno Holmenkollen, jak i Kolsåstoppen.

„Chodzę teraz do szkoły”, mówi delikatna dziewczynka, otwierając nam drzwi i prowadząc nas do ciepłego, jasno oświetlonego korytarza. „Kocham szkołę!” I już jej nie ma, pędzi wąskim korytarzem ozdobionym jej rysunkami. Chociaż jest blada i mała jak na swój wiek, jej ruchy są szybkie i zwinne. Trudno uwierzyć, że latem stała u progu śmierci po tym, jak zimą przeszła zapalenie płuc i nie mogła dojść do siebie.

„Te dzieci [z listy przeszczepów] po prostu nie są w stanie wytrzymać tego, co wytrzymują inne dzieci”, mówi Iselin, podając nam kubki z kawą z mlekiem. „Trzeba zwrócić uwagę na ich sytuację, dlatego zgodziłam się na ten wywiad”.

Zamykam okno przeglądarki i powoli obracam krzesło, wpatrując się w miękką, niebieską poświatę w pokoju Olivera. Serce wali mi w piersi. Jestem dziennikarką, zbudowałam swój świat na słowach, teraz jednak brakuje mi słów, by to opisać. Zamykam oczy, ale blada twarz Kai jest wyryta w moim umyśle, a pod jej obrazem znajduje się Amalie niczym upiorny hologram; lśniący, przezroczysty, stracony. Zaciskam i rozluźniam dłonie tak mocno, że na ich wnętrzu pozostają ciemnofioletowe ślady, potem odwracam się do komputera. Muszę wiedzieć więcej.

Wchodzę na Facebooka po raz pierwszy od długiego czasu. Kiedyś sprawdzałam go wiele razy dziennie, uwielbiałam łatwość komunikacji z porzrzuconymi po całym świecie przyjaciółmi. Ona też pewnie tutaj będzie, a ja chcę wiedzieć jak najwięcej. Wpisuję „Iselin Berge” i bez problemu ją znajduję – wyskakuje zaledwie jeden wynik.

Widzę tylko jej zdjęcie profilowe, ale wygląda na nim jeszcze młodziej niż w czasopiśmie, dałabym jej maksymalnie dwadzieścia pięć lat. Ma ładną twarz z miękką linią podbródka dzięki kilku dodatkowym kilogramom. Kaia też jest na zdjęciu, stoi za matką i opiera głowę na jej ramieniu. Dziecko ma dziwnie szary odcień skóry, przypominający kolorem podbrzusze ryby, co rzuca się w oczy przy różowej, zdrowej skórze Iselin. Zauważam, że zdjęcie zostało zamieszczone w maju, trzy miesiące przed przeszczepem.

Zdjęcie polubiło tylko jedenaście osób. Sprawdzam listę znajomych Iselin. Siedemdziesięciu dwóch znajomych, żadnych wspólnych znajomych, co nie jest zaskoczeniem. Ona jest prawdopodobnie młodsza ode mnie o jakieś dwadzieścia lat, poza tym ja nie znam zbyt wielu osób w Norwegii, chociaż jestem tutaj już osiem lat. Wygląda na to, że Iselin też nie zna zbyt wielu ludzi, więc mamy jakąś wspólną cechę. Przechodzę do jej zdjęcia w tle, sprawnie narysowanego ołówkiem węglowym anatomicznego serca, podkreślonego jaskrawożółtymi kreskami, i zastanawiam się, czy sama to namalowała. Wątpię, wygląda raczej na recepcjonistkę czy sprzedawczynię, ale kim ja jestem, by to oceniać? Nie sądzę, żeby ten, kto by mnie teraz zobaczył, w zbyt dużych lewisach i bordowym kaszmirowym swetrze Sindrego, z włosami ściągniętymi w ciasny kok, wpadł na to, że pisałam kiedyś dla największych gazet na świecie albo sama podróżowałam po całym globie. Nad sercem znajduje się wykaligrafowany cytat: „Serca to dzikie stworzenia, dlatego nasze

zebra to klatki”. Pod spodem skomentował to ktoś o imieniu Anton Mehus: „Iselin, to jest wspaniałe!”. Ktoś inny, DJ Noa, napisał „Brawo, moja <3”.

Próbuję znaleźć więcej obrazków, ale nic nie widzę – musi mieć duże ograniczenia prywatności, tak jak ja. Już mam zamknąć Facebooka, zauważam jednak, że jej zdjęcie profilowe zostało załadowane z Instagrama. Wyjmuję telefon z kieszeni i otwieram aplikację. Nigdy nie wstawiałam dużo zdjęć na Instagrama, chociaż od czasu do czasu go przeglądam. Uświadamiam sobie, że ostatnie zdjęcie, które wstawiłam, selfie przedstawiające Amalie i mnie na dwa tygodnie przed jej śmiercią, ma teraz pięćset polubień i mnóstwo komentarzy. Ale ja tam nie wejść, nie teraz.

Szukam @IsbergArt i na szczęście ma otwarty profil. Na Facebooku może i ma prywatne konto, ale na Instagramie pokazuje wszystko całemu światu: dodała ponad osiemset postów, obserwuje ją tysiąc trzysta jedna osoba. Przeglądam jej posty, przedstawiające głównie rysunki – czyli ten rysunek przedstawiający serce był jej? – i od czasu do czasu zdjęcia jedzenia i Kai. Otwieram jedno z ostatnich, zrobione dwa tygodnie temu. Kaia stoi przed brązowym jednopiętrowym budynkiem z czerwoną drabinką do wspinania w kształcie piramidy przed wejściem. Szeroko się uśmiecha, na czole i uszach ma puszystą fioletową czapkę, rozkłada radośnie ręce, jej twarz jest niemalże tak samo biała jak zimowe niebo i śnieg na drzewach. Z boku budynku w tle jest napis „Elvely Skole”.

„Moja dzidzia taaak bardzo kocha szkołę!”, głosi podpis pod zdjęciem, a za nim następuje długi ciąg emotek, głównie serc. Biorąc pod uwagę wiek Iselin, może to wcale nie jest takie dziwne. Elvely Skole. Wiem, gdzie to jest – trzeba jechać dalej ulicą od stajni, w której trzymamy kucyka Amalie. I pomyśleć, że od czasu do czasu przejeżdżam obok tego budynku, nie mając pojęcia, że w środku siedzi dziewczynka o bardzo wyjątkowym sercu. Może... Może następnym razem zrobię mały objazd? Chcę tylko zobaczyć ją raz, z daleka.

– Ej, co robisz?

Podskakuję na krześle i mrugam w nagłym świetle, wpadającym przez otwarte drzwi. Widzę sylwetkę Sindrego, jego ramiona prawie dotykają framugi.

– Ja... Eee... Oliver zostawił włączony komputer... Chciałam go tylko wyłączyć. – Szybko zamykam Facebooka i chowam telefon do kieszeni.

– Dobrze, idę spać. Idziesz też? – Kiwam głową w łagodnej ciemności, ale Sindrego już nie ma.

Rozdział 31

Alison

Przy ulicy znajduje się skrzyżowanie, waham się na nim przez długą chwilę, patrzę, jak wirujące płatki śniegu szybko padają z nieba, a potem rozbijają się o moją przednią szybę. Za mną nie ma żadnego samochodu. Powinnam zawrócić, jechać do siebie, wziąć gorącą kąpiel, nadrobić zaległości w życiu, któremu ani ja, ani Sindre nie mamy odwagi stawić czoła. Myślę o cichym domu, o tym, że mogę wziąć kilka tabletek uspokajających. Mogłabym wreszcie wznowić wizyty u Karen Fritz, spytać, czy znowu by mnie przyjęła.

Mogłabym spytać Olivera, czy miałby ochotę iść na popołudniowy spacer, chociaż w tym tygodniu jest u matki; poddychanie świeżym leśnym powietrzem i rozmowa dobrze by nam zrobiły. Albo... Mogłabym skrócić w prawo i szybko przejechać obok szkoły, sprawdzić, czy uda mi się ją dostrzec. Kaia.

To ja upierałam się przy dawstwie organów. Uważałam – i nadal uważam – że dawcą powinna być każda rozumna osoba. Nigdy nie potrafiłam pogodzić się z faktem, że zdrowe narządy są palone albo kremowane, podczas gdy czekający na listach do przeszczepu ludzie umierają z braku narządów. Ale to było wcześniej, zanim musiałam podjąć taką decyzję w ciągu kilku minut, trzymając swoje dziecko za stygnącą rączkę, będąc w ogromnym szoku, wchodząc w świat byłych matek. Zamykam oczy, łapię za kierownicę, oddycham bardzo powoli i bardzo głęboko.

Twoje serce. Amalie, twoje serce mnie wzywa.

Moje rozmyślenia przerywa jakiś głośny dźwięk, ktoś trąbi. Prostuję się i patrzę we wsteczne lusterko. To kobieta w chevy suburban, a za nią stoi kilka innych samochodów, czekających, otoczonych kłębami spalin. Macham przepraszająco ręką i wrzucam kierunkowskaz w prawo, jadę w stronę stajni

i szkoły Kai w Østerås. Pozostałe samochody skręcają w lewo i bardzo mnie to cieszy; jadę bardzo powoli, łyzy leją mi się po twarzy. Myślę o Mgiełce, która czeka w swoim boksie.

Szkoła jest jasno oświetlona, ale cicha. Parkuję na chodniku po drugiej stronie, dyskretnie chowam samochód za śnieżną zaspą usypaną przez odśnieżarkę. Widzę stąd główne wejście i większość boiska. To mała szkoła, po lewej stronie od budynku znajduje się niewielkie wzgórze, warstwa śniegu na nim jest cienka, rozjeżdżona przez sanki. Sanki i krótkie plastikowe narty są porzucone na dole wzgórza i czekają na kolejną przerwę. Patrzę na zegar na desce rozdzielczej – jest 11:14 – i próbuję zgadnąć, kiedy dzieci mogą wyjść na zewnątrz, żeby się pobawić.

Słyszę przeciągły stłumiony dźwięk i odwracam się w jego stronę – szkolny dzwonek. Jakby na zawołanie w szklanym korytarzu po prawej stronie pojawiają się potargane, blade, zmęczone, uśmiechnięte, podskakujące dzieci niosące małe pudełka, wszystkie kierują się w jedną stronę i potem budynek znowu wydaje się pusty. Wpatruję się w moje dłonie na kierownicy: są żylaste, sine, suche. Jednocześnie wyobrażam sobie małe dłonie Kai, może właśnie odwija kanapkę. Ciekawe, z czym ma, co lubi. Może siedzi z koleżankami, małymi dziewczynkami takimi jak ona, pełnymi energii, jak to małe dzieci, z szerokimi uśmiechami. A może siedzi sama, powoli i ostrożnie przeżuwa kanapkę, nieśmiało rozgląda się wokół w poszukiwaniu potencjalnej koleżanki. Sądząc po zdjęciach, może należeć do tej drugiej grupy.

Czy jest świadoma znajdującego się w niej serca, czy zauważa jego stałe bicie, jego niesamowitą pracę, to, że rozprowadza krew w jej ciele, że napędza każdy jej ruch? Czy w ogóle myśli, skąd je dostała? Że tak naprawdę należy ono do kogoś innego?

Zamykam oczy pod wpływem tych myśli i próbuję zaprowadzić swój umysł w bezpieczne miejsce. Kiedyś byłyby to myśli o mężu. Teraz jednak idę dalej: dzieciństwo, dom – wtedy byłam szczęśliwa. Stinson Beach, jej miodowe skały, dziki, falujący ocean, pachnące kalifornijskie powietrze; dym, goździki, werbena, sosna. Ponownie otwieram oczy i obejmuję wszystko wzrokiem: szkoła pełna dzieci obcych ludzi, parking pokryty lśniąca warstwą śniegowego błota, niebo łączące się z szarobiałymi polami za szkołą. To jakieś szaleństwo. Powinnam to zakończyć w tej chwili. Pojechać do domu i zacząć powoli porządkować kawałki swojego życia. Muszę zwrócić się po pomoc, której najwyraźniej potrzebuję; żadna zdrowa na umyśle osoba nie przyjechałaby tutaj, szukając czyjejś córeczki. Kładę dłoń na kluczyku w stacyjce, gdy ten

stłumiony dźwięk rozlega się raz jeszcze. 11:30. Na korytarzu roi się od małych ciał w kombinezonach, zakładających czapki na głowy i rękawiczki na miękkie, pulchne dłonie.

Zaczynam powoli cofać i wyjeżdżać z chodnika, gdy drzwi gwałtownie się otwierają i dzieci rozsypują się po boisku niczym fasolki. Kaia jest jednym z pierwszych dzieci, które wybiegają na zewnątrz. Rozpoznaję ją natychmiast; jej poważna, blada twarz i niebieskie oczy są wyryte w moim umyśle. Ma na sobie podniszczoną fioletową narciarską kurtkę, niepasujące do niej turkusowe spodnie narciarskie i granatową czapkę ze złotym napisem. Spod czapki wystaje kilka pasemek włosów, odgarnia je dłonią w rękawiczce. Rzeczywiście jest sama, rozgląda się wokół, a potem rusza w stronę czerwonej drabinki w kształcie piramidy. Podchodzi do niej inna dziewczynka, przez chwilę rozmawiają, a potem wchodzi na najniższy poziom. Odwracają się i siedzą tyłem do mnie, patrzą na inne bawiące się dzieci. Jakiś chłopiec przebiega obok nich i rzuca w ich stronę małą śnieżkę.

Kaia zeskakuje, zostawiając koleżankę na drabince. Podchodzi do górki, podnosi czerwone plastikowe sanki ze sterami po bokach, a potem staje w kolejce czekających na zjazd dzieci. Podskakuje, rozgląda się, jakby szukając wzrokiem jakiejś innej koleżanki, kopie śnieg czubkiem buta. Gdy nadchodzi jej kolej, ostrożnie ustawia sanki we właściwej pozycji. Potem na nich siada, odpycha się, śmieje i mruży oczy w słońcu, które właśnie wyjrzało zza grubej warstwy chmur. Wstrzymuję oddech, obserwuję ją. W jej uśmiechu jest coś takiego, że nie potrafię oderwać od niej wzroku. W jej klatce piersiowej, dokładnie w tej chwili, bije serce Amalie.

Nie mogę wysiąść z samochodu, gdybym stanęła przy ogrodzeniu i zaczęła obserwować dzieci, wzbudziłabym podejrzenia, to niewielka szkoła, wszyscy by wiedzieli, że nie jestem matką żadnego z uczniów. Na ławce przy głównym wejściu siedzą dwie dorosłe osoby ubrane w kamizelki odbłaskowe i od czasu do czasu rozcierają sobie mocno ramiona na mrozie, ale prawdopodobnie mnie nie widzą. Żałuję, że nie mogę podejść bliżej, tak blisko, żebym zobaczyła dokładny kolor oczu Kai, łuk jej ust, gdy się uśmiecha, i napis na jej czapce. Nie wystarczy mi obserwowanie jej z daleka, gdy wiem to, co wiem. Raz po raz wciąga czerwone sanki na górkę, śmieje się beztrudnie, i mimo wszystko miałam rację: zobaczenie jej, patrzenie na jej twarz tylko przez kilka sekund było dobrą decyzją. Potem jednak będę musiała odpuścić.

Znowu wchodzi na górkę, podskakuje z radością, tak jakby to był pierwszy raz. Uważnie ustawia sanki, siada na nich i już ma zjechać, gdy duży, gruby

chłopak robi krok do przodu i mocno popycha jej plecy, tak że sanki gwałtownie zjeżdżają i skręcają w prawo. Na dole rośnie kilka wysokich drzew i Kaia przerzuca ciężar swojego ciała na lewo, próbując ich uniknąć, ale jest już za późno i sanki uderzają mocno w pierwsze z nich. Kaia wylatuje w powietrze niczym wielki, pastelowy ptak, a potem spada na ziemię.

Z górki zbiegają do niej dwie małe dziewczynki, ale przez kilka chwil Kaia w ogóle się nie rusza. Koleżanki ją podnoszą, są zwrócone w moją stronę, twarz Kai jest wykrzywiona z bólu, widzę, że dziewczynka wrzeszczy, chociaż tego nie słyszę. Z rany nad lewą brwią leje się krew. Oddycham płytko i z ogromnym trudem, tak jakbym ja również odczuwała olbrzymi ból. Dokładnie w tej chwili jej serce, serce Amalie, też pędzi, wali boleśnie w piersi, mogłabym do niej podbiec, podnieść ją i mocno ją do siebie przytulić, poczułabym to spanikowane trzepotanie serca.

Moja dłoń leży spokojnie na kłamce w drzwiach, pobiełały mi wszystkie kostki. Jak mogę do niej nie podejść, jak mogę nie próbować uspokoić tego przerażonego serca? Jeden z dorosłych opiekunów usłyszał zamieszanie i biegnie przez plac zabaw do Kai, bierze ją na ręce, jej krew brudzi jego neonową żółtą kamizelkę. Gdy niesie ją szybko przez plac w stronę szkoły, zerka w moją stronę i patrzy mi w oczy. Na jego twarzy natychmiast pojawia się podejrzliwość – w moim spojrzeniu musi być coś niespotykanego. Mocno wciskam pedał gazu, cofam i odjeżdżam, z moich oczu leją się łzy, mój żołądek jest gorący i płynny, serce wali mi w piersi.

W domu mówię Sindremu, że przeziębiam się w stajni i muszę się położyć. W łóżku przeglądam całe konto Iselin na Instagramie, zachwygam się zdjęciami Kai, zapamiętuję łuk jej szczęki, kolor oczu, mocno ściśnięte francuskie warkocze. A potem w moim umyśle krystalizuje się plan tak wyraźny, jak góra lodowa na horyzoncie. Otwieram przeglądarkę internetową i zaczynam pisać.

Rozdział 32

Iselin

Musiałam zasnąć na kuchennym stole, pochylona nad nowym rysunkiem. Budzi mnie piknięcie przychodzącego maila. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Kaia nie budzi się już tak często, ale dzisiaj obudziła się już dwa razy, przez co ja prawie nie spałam. Biedna malutka, dzisiaj w szkole upadła w pechowy sposób i musiałyśmy jechać na izbę przyjęć, żeby zszyto głęboką ranę nad brwią. Całe popołudnie była roztrzęsiona i płaczliwa. Biorę telefon do ręki i mrużę oczy; kilka nowych polubień na Instagramie i mail z obcego adresu.

Od: Alison Miller-Juul <A.M.Juul@online.no>

Do: Iselin Berge <isberg@online.no>

Data: Sob, 9 lutego 2019, 1:04

Temat: Pytanie

Cześć,

natknęłam się na Twoje ilustracje na Instagramie i pomyślałam, że są one bardzo piękne i wyjątkowe. Czy mogłabym zamówić kilka do swojego domu? Najbardziej podobają mi się rysunki węglem i z kaligrafią, przedstawiające serca. Czy mogłabyś przesłać mi ceny i informację na temat sposobu działania?

Dziękuję

Alison Miller-Juul

Jeszcze jedna! Mam ochotę obudzić Kaię i powiedzieć jej, że wreszcie idziemy do przodu. W miarę jak Kaia odzyskiwała siły, powoli rozjaśniało mi się w głowie, tak jakby przez wiele lat mój umysł krył się w gęstej mgle. Gdy brałam do ręki ołówek, po prostu wisiał on nad kartką, bez ruchu, bo w głowie nic nie widziałam. Wszystkie obrazy i fantazje, które krążyły w moich myślach

od dzieciństwa, potrzeba rysowania, która pomogła mi przebrnąć przez trudne nastoletnie czasy, zniknęły, zastąpione przerażającą, szarą ciszą.

Chcę napisać wiadomość do siostry, ale potem przypominam sobie, że jest tutaj i śpi na sofie. W tym tygodniu gra w Oslo kilka setów, więc widzimy się drugi raz w ciągu miesiąca. Włączam lampkę do czytania i widzę Noa z miejsca, w którym siedzę; ściągnęła z siebie kołdrę, odsłaniając tatuaż w kształcie gwiazdy na kostce – ja mam taki sam. Zrobiłyśmy je sobie w Narwiku, gdy ona skończyła szesnaście lat, a ja byłam prawie pełnoletnia. Jedną dłonią zasłania twarz i spod rękawa pizamy wypełza kolejny tatuaż. Znajduję nową kartkę papieru, ostrzę ołówek i zaczynam ją rysować. Staram się uchwycić delikatną krzywiznę jej pleców, mleczną, nieskazitelną skórę, miękkie zagłębienie brzucha i coś z tej bezkompromisowej siły, która określa moją siostrę. Przypominam ją sobie, gdy była małą dziewczynką, gdy nazywała się jeszcze Nora Caroline Berge. Już w dzieciństwie była bardzo pewna siebie. Wiedziała, kim jest, czego chce i dokąd zmierza, i czasami wydaje mi się, że rozszerzyła tę determinację na mnie, ukształtowała mnie tak, jak chciała, chociaż jest ode mnie młodsza.

Wyjdziemy z tej dziury, ty i ja, powiedziała, a ja rozejrzałam się po cichej, otoczonej jałowymi górami wiosce, słuchałam jej głosu i w wyobraźni rysowałam wszystkie te miejsca, do których pojedziemy. *Zostaniemy artystkami*, powiedziała. *I zawsze będziemy razem. Będziemy mieszkały w Paryżu, Londynie albo Nowym Jorku, będziemy sławne i wszyscy z domu będą czytać o nas w gazetach i żałować, że nie byli dla nas milsi.*

Tak, odparłam, bo zawsze zgadzałam się na wspaniałe plany Noa. *Naszym rodzicom będzie przykro, tak zajebiecie przykro*. Gdy o nich myślę, zawsze się trochę wzdrygam. *Tak*, powiedziałam, *będzie im tak zajebiecie przykro*. Zastanawiam się, czy rzeczywiście jest im przykro.

Mój ołówek szkicuje tatuaż w kształcie gwiazdy, trochę go uwypuklam, dodaję zawile wzory, których w rzeczywistości nie ma. Na końcu Noa na papierze jest pokryta tatuażami nawet na twarzy, a ja uśmiecham się na myśl, że w tej chwili to ja ją definiuję, a nie ona mnie.

Noa zaczyna się wiercić i nagle wydaje z siebie pomruk – coś pomiędzy ziewnięciem a kaszlem, potem siada, mruga w padającym z kuchni świetle. Gdy widzi mnie siedzącą przy stole i ją obserwującą, rozkłada ręce niczym dziecko, które chce do matki, i do niej podchodzę. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła; jest moją siostrą, jedyną naprawdę bliską mi osobą oprócz Kai, ale czasami moja miłość do niej jest skażona zazdrością i to wszystko staje się zbyt

skomplikowane. Klepię ją po plecach, wdycham jej znajomy zapach. Cieszę się, że nie jestem tu sama.

– Hej, wiesz co? – pytam.

– Co?

– Dostałem maila od kolejnej osoby, która chce kupić ode mnie kilka rysunków. Chyba dwa.

– Cudownie! Siostró, w takim razie jesteś już chyba najsłynniejszą ilustratorką w Østerås. – Jej ciemne niebieskie oczy błyszczą z dumy i ekscytacji.

– Wiem.

– Issy, to jest niesamowite! Przysięgam, od zawsze wiedziałam, że to nastąpi. Potrzebowałam tylko odrobiny pewności siebie. Te nowe rysunki są świetne. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Chciałabym, żeby już tak zostało – ja i Noa tutaj, razem, moja córka śpiąca w pokoju obok, mieszkanie wypełnione rysunkami w anonimowych przedmieściach stolicy.

Wyjdziemy z tej dziury, ty i ja. Zostaniemy artystkami i już na zawsze będziemy razem...

Czasami miałam wrażenie, że nigdy nie dostałam wyboru, że mogłam jedynie podążyć za nią w jej podróży do Paryża, w przemianie z Nory Berge w DJ Noę, ze zdeterminowanej odrzuconej uczennicy w wytatuowaną, pewną siebie dziewczynę i autorkę tekstów, ale gdzieś po drodze zagubiłam siebie. Teraz ponownie to wyczuwam, wszystko się przede mną rozwija.

– Narysowałam ciebie – mówię i pokazuję jej rysunek.

– Twoja dłoń widzi mnie wyraźniej niż twoje oczy – śmieje się. Kładę się obok niej, ale nie mogę zasnąć. Gdy oddech siostry staje się miarowy, wyjmuję telefon i odpowiadam Alison Miller-Juul.

Od: Iselin Berge <isberg@isberg.no>

Do: Alison Miller-Juul <A.M.Juul@online.no>

Data: Sob, 9 lutego 2019, 01:49

Temat: Re: Pytanie

Cześć,

dzięki za kontakt. Jestem w moim studiu w Majorstuen dwa razy w tygodniu (poniedziałek i środa).

Byłoby świetnie, gdybyś mogła przyjechać i to ze mną omówić. Wtedy pokażę Ci też moje prace. Adres to Trudvangveien 30.

Pozdrawiam
Iselin Berge

Odpowiedź przychodzi prawie natychmiast „Poniedziałek pasuje mi idealnie”.
Przysuwam się do siostry, wtulam nos w jej ramię tak jak wtedy, gdy byliśmy
dziećmi, i zamykam oczy.

Rozdział 33

Alison

– Pójdę do Eriki zobaczyć jej dziecko – mówię i Sindre podnosi wzrok znad komputera w swoim gabinecie. Ma obojętny wyraz twarzy. – Nie widziałam jej od bardzo dawna. Od... cóż, od zeszłego lata.

– Nie wiedziałem, że urodziło im się dziecko.

– Tak. Całkiem niedawno. Chłopiec o imieniu Alvin.

– Pozdrów ją ode mnie.

Kiwam głową. Patrzę na męża przez dłuższą chwilę, tak jakby jakaś część mnie pragnęła, żeby zaczął zadawać mi pytania albo w jakiś sposób mnie powstrzymał. Najwyraźniej jednak uwierzył, że nagle poczułam potrzebę złożenia wizyty starej przyjaciółce. Dlaczego miałby zadawać mi pytania?

To byłoby szalone. Co by zrobił, gdyby wiedział, dokąd idę? Wyobrażam sobie, że złapałby mnie mocno za ramiona niczym niegrzeczne dziecko i spytałby poważnym głosem: *Czy ciebie już do końca pojebało?* Ale on sam nie jest normalny, wpada w szał i masakruje łosia, ukrywa przede mną broń, biega całymi godzinami w środku nocy, uganiania się za jakąś kobietą. Każde z nas jest na swój sposób szalone. Cicho zamykam za sobą drzwi, mocno owijam szyję szalem i wychodzę na zewnątrz. Postanowiłam pójść do studia Iselin na piechotę, chociaż to daleko, a na dworze jest bardzo zimno. Z naszej cichej podłesnej okolicy trzeba iść w dół i myślę, że przed tym spotkaniem powinnam porządnie zmęczyć się fizycznie. Bolał mnie kolana, przypominam sobie jakiś upadek, ale nie wiem, czy rzeczywiście upadłam.

Zaczynam iść Ullveien, jednak moje nogi słabną. Na chwilę się zatrzymuję i już myślę, czy nie zawrócić do domu, potem jednak postanawiam, że pójdę dalej: wolę przebywać na mrozie, niż siedzieć w zamknięciu. Poza tym przecież

wcale nie muszę iść do studia Iselin. Mogłabym pójść do miasta i wrócić metrem – przecież nie zrobiłam jeszcze niczego nieodwracalnego.

Nabieram głęboko powietrza, widok wysokich rosnących przy drodze świerków mnie uspokaja, obciążone śniegiem gałęzie lśnią w promieniach słońca. Nie brałam dzisiaj leków, chociaż może powinnam, ale w tej chwili czuję, że mogę tak po prostu iść i oddychać bez środków uspokajających. Tak czy inaczej, schowałam je do kieszeni. Idąc, zaciskam mocno dłoń na małym grzechoczącym pudełku.

Po tym, jak odzyskałam przytomność, coś się wydarzyło. Zniknęło palenie. Oczywiście chciałam, żeby go nie było, nie spodziewałam się jednak, że pozostawi ono po sobie pustą, zimną przestrzeń. Czułam się tak dobrze, zawieszona w tym półświadomym stanie, w którym wspomnienia i uczucia oraz wrażenia się na siebie nakładały, w którym przeszłość i teraźniejszość mogły płynnie współistnieć. Lata w moim umyśle wyblakły, dzieci były duże, potem małe, a potem z powrotem duże. Żałuję, że lekarze mnie obudzili. Zatrzymuję się na chwilę i staram się skupić na paleniu: wywołać to uczucie ciągłej korozji w brzuchu, czasami nie do zniesienia i piekące, czasami trudne do dostrzeżenia, ale zawsze obecne. Jednak ono naprawdę zniknęło.

Mijam stację Holmenkollen i przystaję na chwilę, patrząc na skocznię, jej zwiny, szklano-metalowy korpus odbija słońce. Jacyś azjatyccy turyści stoją w miękkim śniegu w tenisówkach, rozmawiają i fotografują słynną budowlę, a potem wracają do swojego autobusu. Już mam iść dalej, gdy widzę małą czarną postać na górze skoczni, idącą powoli w stronę kabiny. Jest poniedziałek rano, skoczkowie trenują tu przez całą zimę. Jak to jest być zawieszonym nad takim spadkiem, ściskając metalową poręcz po obu stronach, a potem się puścić i popędzić po zjeździe? Co skłania ludzi do robienia takich rzeczy? Czekam trochę i postać oczywiście zjeżdża w dół, a potem bez trudu unosi się w powietrzu i przez chwilę mam wrażenie, że jestem nią, że to ja lecę nad miastem lśniącym w chmurze smogu, że to moją twarz rozrywa szybkie, chłodne powietrze. Ląduje, szerokie narty uderzają w odpowiednio przygotowany śnieg, człowiek podnosi ręce nad głowę, tak jakby cieszył się z własnego idealnego lotu.

Ruszam z miejsca, idę coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie dochodzę do stacji Slemdal. I to właśnie wtedy uświadamiam sobie swój błąd. Jeszcze nigdy tędy nie szłam, a w samochodzie wiedziałabym, jak to ominąć – Holmenkollen Montessori Klubb. Dawne przedszkole Amalie. Jak ja zniosę rozmowy dzieci innych ludzi, widok małych, biegających po śniegu ciałek w kombinezonach.

Nasłuchuję głosów, ale w powietrzu unosi się niemalże tylko cisza, pomijając ciągły szum dochodzący z obwodnicy. Za rogiem odczuwam ulgę, bo widzę, że wszystkie dzieci są w środku, stoją przy ogrodzeniu, patrzę na tysiące odcisków stóp na pustym placu zabaw, próbuję uspokoić walące serce. Gdyby Amalie mnie nie zostawiła, i tak by jej tu nie było – zaczęłyby szkołę. Odwracam się i między drzewami dostrzegam żółty budynek szkoły.

Ona tam jest, szepczę do siebie. Ona tam jest, ostrożnie stawia pierwsze litery, robi kreseczki w „t” i stawia kropki nad „i”. Ona tam jest, nowy zielono-fioletowy plecak z Muminkami jest oparty o jej ławkę. Uśmiecha się do siebie, bo wreszcie jest w szkole, w jasno oświetlonej, dużej sali z oknami na kort tenisowy, przy podwójnej ławce obok Charlotte Bern, której piegowatą, łagodną twarz zna całe życie. Przez tyle miesięcy myślała i gadała o tym, jak bardzo chce pójść już do szkoły. *Ona tam jest*.

Gdy tak sobie mówię, łatwiej mi iść.

W Majorstuen cały śnieg stopniał, a ja siedzę w Baker Hansen z cappuccino, obserwuję, jak prawie pusty autobus numer dwadzieścia powoli przedziera się przez brązową breję. Przyszłam za wcześnie i mimo długiego spaceru jestem niespokojna i bardzo zdenerwowana. To, co robię, jest szalone. Szalone i niebezpieczne. Ale od tamtej nocy nad jeziorem i po kilku wymazanych z pamięci tygodniach nabrałam przekonania, że posiadanie kilku rysunków Iselin da mi jakieś pocieszenie, jakiś kontakt z dziewczynką, która dostała serce. Może udałoby mi się znaleźć sposób na wypytanie jej o córkę, o to, czy zauważyła jakieś zmiany, których nie można przypisać operacji czy procesowi zdrowienia. *Nie*, mówię sobie, *natychmiast przestań*. Kupię rysunki i koniec.

Sprawdzam telefon, dostałam wiadomość od Sindrego: *Idź ostrożnie, jest bardzo ślisko, kocham cię*. Wracam myślami do Amalie w ławce, potargane włosy odgarnięte z czoła i związane w wysoki kucyk, brwi ściągnięte w skupieniu, mocno trzymany, zatemperowany ołówek, niewielki uśmiech. Wstaję, pozostawiam nieruszone cappuccino. Jestem gotowa. Błyskawicznie przechodzę obok stacji Majorstuen, za biblioteką skręcam w lewo i idę spokojną ulicą. Wciąż powtarzam sobie w głowie cytaty ze zdjęcia w tle Iselin na Facebooku, przykładam palec do dzwonka pod numerem trzydzieści, pod którym znajduje się nowa naklejka z napisem Studio Isberg. *Serca to dzikie stworzenia, dlatego nasze zebra to klatki...* Przyciskam dwa palce do klatki piersiowej tuż nad piersią, dzikie walenie mojego serca rzeczywiście przypomina szaleństwo bestii.

Zostaję wpuszczona, wchodzę na drugie piętro, gdzie w otwartych drzwiach czeka na mnie kobieta. Jest piękniejsza, niż spodziewałam się po zdjęciach, ma jasną, wręcz przezroczystą cerę i duże, dokładnie umalowane oczy, czarna kreska wyciągnięta w kącikach. Włosy, które na zdjęciach były brązowe, teraz są rozjaśnione na chłodny blond i spięte wysoko na głowie. Kobieta uśmiecha się do mnie szeroko.

– Cześć. Ty musisz być Alison – mówi po angielsku, a ja nie proponuję przejścia na norweski, chociaż mój norweski jest tak dobry jak jej angielski, jeśli nie lepszy. – Bardzo się cieszę, że dałaś radę wpaść. Zawsze uważałam, że takie ilustracje najlepiej jest obejrzeć na własne oczy, bo na zdjęciach wychodzą bardzo różnie.

Idę za nią przez czyjeś mieszkanie, wypełnione książkami i dziełami sztuki.

– To twoje mieszkanie? – pytam zachrypniętym głosem. Próbuję wyobrazić sobie tę młodą kobietę przy łóżku swojego dziecka, modlącą cię, żeby jej dziecko otrzymało nowe serce. Serce kogoś innego.

– Nie, to mieszkanie przyjaciółki mojej siostry. Wyjechała na zimę na Bali, a ja tymczasowo korzystam z jej studia. Głównie pracuję z domu, ale moja córka dopiero co poszła do szkoły, a ja zapragnęłam częściej wychodzić do ludzi. To wspaniale mieć miejsce, gdzie mogę spotykać się z potencjalnymi nabywcami.

Iselin prowadzi mnie do dużej jasnej przestrzeni, która, jak zgaduję, jest przeznaczona na główną sypialnię. Okna w tym pokoju prowadzą na szeroki, prostokątny dziedziniec pokryty grubą warstwą śniegu, ja jednak wyobrażam go sobie latem, pełen ludzi pijących piwo i urządzających razem grilla. Rozglądam się po pokoju, patrzę na rysunki Iselin, które zakrywają niemalże całą powierzchnię. Czuję na sobie jej wyczekujący wzrok, ale wtedy z drugiego pokoju rozlega się głos.

– Mamusiu – mówi. – Mamusiu, chodź!

Moje serce przestaje bić, ponownie pojawia się palenie w żołądku. Iselin patrzy na mnie przepraszająco, na widok mojej miny otwiera szeroko oczy z przerażenia. Próbuję się uśmiechnąć, ale twarz mnie nie słucha, patrzę więc na swoje stopy.

– Przepraszam. Wybaczysz mi na chwilę? Moja córka nie poszła dzisiaj do szkoły, miała mały wypadek.

– Oczywiście – mówię, z całych sił starając się ukryć drzenie w głosie. Ona tutaj jest. – Biedactwo.

Iselin wychodzi z pokoju i po chwili szepcze coś w drugim pomieszczeniu. Głos małej dziewczynki unosi się i opada. Czuję w oczach klucie gorących łez. Co ja tutaj robię? Co ja sobie u diabła myślałam, po co odnalazłam w internecie tę kobietę i jej dziecko, po co nawiązałam z nimi kontakt? To po prostu szalone. Patrzę na drzwi i postanawiam cicho się wymknąć – mogę zakończyć to wariactwo, tu i teraz, i to właśnie muszę uczynić. Ale dokładnie w tej chwili Iselin wraca, a za nią idzie mała dziewczynka, która częściowo się za nią ukrywa.

– Cześć – mówię i Kaia wygląda zza matki, widzę niebieskie oczy, a potem odwracam wzrok.

– To jest Kaia – mówi Iselin. – Chciała się przywitać. Była bardzo podekscytowana, że ktoś przyjdzie. Jesteś pierwszą klientką, którą zaprosiłam do tego studia, więc...

– Och – mówię. – Cześć, Kaiu. – Wyciągam dłoń, ale czuję wypieki na twarzy, mój umysł płonie białym światłem, tak jak wtedy, gdy za długo patrzy się w słońce. Mała dziewczynka wychodzi naprzód, a ja kilka razy przełykam z trudem ślinę, zanim jestem w stanie na nią spojrzeć. Niepotrzebnie się martwiłam, nic nie czuję. Jest nijaka. Niższa, niż moim zdaniem powinna być siedmiolatka. Nad prawym łukiem brwiowym na duże rozcięcie, zaklejone plastrem, siniejące na brzegach.

– Ja cię znam – mówi Kaia i otwieram szeroko usta. Patrzę na Iselin, która oblewa się delikatnym rumieńcem.

– Nie, Kaiu, nigdy wcześniej nie widziałaś Alison. Mówiłam ci, że przyjdzie tutaj i obejrzy moje rysunki, pamiętasz? Znalazła je w internecie.

– Tak, ale ja ciebie znam – powtarza Kaia i gdy patrzę jej w oczy, też to czuję, to tak, jakby między nami przepływał potężny prąd. Walczę z ochotą wyciągnięcia do niej ręki, przyciągnięcia jej do siebie, poczucia na piersi jej bijącego serca.

– Ja... byłam w telewizji – mówię szybko. – Napisałam książkę. I może tam mnie widziałaś. – Kaia patrzy na mnie, a potem się odwraca i podchodzi do małej sztalugi przy oknie, której wcześniej nie zauważyłam. Uderza mnie niedziecięcy sposób, w jaki się porusza; chodzi jak dorosły, z opanowaniem, w przeciwieństwie do Amalie, która na wpół tańczyła i na wpół podskakiwała.

– Zobacz – mówi i wskazuje rysunek, nad którym pracuje. – Ja też rysuję. – Kaia jest wyraźnie utalentowana – ten rysunek mógłby równie dobrze zostać

wykonany przez dorosłego. Mała dziewczynka stoi na skraju klifu, ma ciemne, targane przez wiatr włosy i wyciąga rękę do wielkiego czarnego ptaka, który ma na niej wylądować. W szponach ptak trzyma lśniące czerwone serce. Odwracam się od obrazka, uważnie unikając spojrzenia Iselin. Naprawdę muszę już wyjść, boli mnie głowa, moje serce wali jak głupie.

– Upadłam! – mówi Kaia i staje blisko mnie.

– Och, nie – odpowiadam. Dlaczego Iselin nie zabierze tego dziecka, nie powie mu, żeby nie przeszkadzało dorosłym?

– Kaiu, a teraz porozmawiam sobie z Alison, dobrze? – Iselin uśmiecha się do mnie niepewnie, musiała wyczuć dziwną atmosferę między mną a jej córką. – Za chwilę do ciebie przyjdę.

– Zostaję tutaj i będę rysować – mówi Kaia, odwraca się do nas tyłem i przystawia do sztalugi niskie krzesło. Ja i Iselin chodzimy po wielkim pomieszczeniu, kobieta pokazuje mi różne rysunki, większość z nich to wariacje na te same tematy, anatomiczne serca, jakieś ptaki, gdzieś tam kaligrafia.

– Są piękne – mówię, próbując panować nad głosem. W myślach liczę minuty, które upłynęły, odkąd wyszłam z domu: sto pięćdziesiąt dwie.

– Jesteś nauczycielką? – pyta nagle Kaia.

– Nie – odpowiadam. – Jestem dziennikarką. – Czekam, aż spyta, czym zajmuje się dziennikarka, ale tego nie robi, tylko kiwa głową, a potem wraca do rysunku. Ja i Iselin rozmawiamy jeszcze przez chwilę o nagłej odwilży, która przyszła po kilku tygodniach mrozu.

– Gdy dorosnę, będę nauczycielką – mówi Kaia, cały czas wpatrując się w rysunek. Nie wiem, czy chcę wybiec z tego pokoju i nigdy nie wrócić, czy chcę przeciągać te chwile z Kaią. Moje serce bije najpierw bardzo szybko, potem bardzo powoli, potem znowu szybko, a w mojej głowie pojawia się jednocześnie chaos i mgła, myśli szaleją. Iselin podaje mi parujący kubek hibiskusowej herbaty, której mi wcześniej nie proponowała, i stoimy na środku podłogi, otoczone jej rysunkami, dziecko jest ciche i skupione na rysowaniu. Rozmawiamy o szkole Kai, która znajduje się przy tej samej ulicy co ich dom i najwyraźniej jest bardzo dobra. Potem milkniemy na kilka długich chwil, ołówki Kai skrobie w ciszy.

– Mam nowe serce – mówi nagle dziewczynka i gdy nasze oczy się spotykają, ten prąd znowu między nami przepływa, jest tak silny, że milknę. Otwieram usta, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

– Kaiu – mówi Iselin. – Nie teraz, kochanie, okej?

– To prawda – mówi mała, cały czas na mnie patrząc, a ja uśmiecham się do niej słabo, nadal nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. – Żebym je dostała, ktoś musiał umrzeć. Inaczej ja bym umarła. Pani doktor powiedziała, że już bym nie żyła.

– Tak – szepczę, zapach hibiskusa wdziera się w moje nozdrza, te chłodne niebieskie oczy mnie unieruchamiają. Mogłabym się teraz odezwać i zakończyć to przedstawienie. Mogłabym powiedzieć Kai, że tym kimś była moja mała córeczka, że już jej nie mam, że jedynym, co z niej zostało, wszystko, czym była, to silne, kochane serce w piersi Kai.

Iselin coś do mnie mówi, ale nie rozumiem słów, słucham więc tylko pomruku jej głosu, cały czas wpatrując się w Kaię. Dziewczynka przestała rysować i trzyma duże owsiane ciastko, które przed chwilą podała jej matka. Ma tak chude i blade palce, że niemalże są przezroczyste, koniuszki są pokryte lepкими okruchami. Znowu na mnie patrzy i wreszcie to ja odwracam wzrok, patrzę na okno, za którym nie ma nic ciekawego, tylko nagie gałęzie drzewa pokryte warstwą lodu. *Masz jeszcze jakieś pytania?* Słyszę matkę dziewczynki, słowa pędzą obok mnie niczym grube płatki śniegu, które właśnie zaczęły padać na zewnątrz.

Chcę się teraz odezwać, spytać dziewczynkę, co lubi, jakimi zabawkami się bawi, jakie ma koleżanki, czy może przez przypadek uwielbia truskawki, wiem jednak, że mój głos będzie tylko przerażającym skrzypieniem. Ponownie patrzę na Kaię, ale nie jestem w stanie wytrzymać jej widoku, bo wszystko w niej jest nie takie – jest niska i bardzo chuda, w przeciwieństwie do Amalie, która wyglądała na starszą od niej, chociaż miała dopiero pięć lat. Jest w niej coś nieskrępowanego, je z otwartymi ustami, widzę wymieszane ze śliną okruchy ciastka. Szura stopami, jakby nie mogła ich opanować, bawi się guzikami bluzki szybkimi, niespokojnymi palcami. Nagle jeden guzik się otwiera, odsłaniając górę grubej blizny, sięgającej aż do obojczyka. Jestem pokonana nagłą dziką nienawiścią do tej dziewczynki i fakt, że bije w niej serce Amalie, wydaje mi się wręcz odrażający. To nie jest jej serce. To serce Amalie. Moje serce.

Brzydkie ukłucie nienawiści nagle zamienia się w czułość, gdy patrzę, jak dziewczynka próbuje otworzyć pudełko ołówków z węgla drzewnego, jej małe palce nie radzą sobie z tekturowym opakowaniem, a ja idę do niej, żeby jej pomóc. I wtedy coś się dzieje. Kaia odwraca się, by ponownie na mnie spojrzeć. Gdy nasze oczy się spotykają, na jej twarzy pojawia się blask. Czuję, jak coś mnie do niej ciągnie, i zapiera mi dech w piersiach, tak jak było w przypadku

mojej pierwszej miłości, była nagła i wieczna, nie mogę oddychać, tak jak wtedy, gdy Amalie po raz pierwszy otworzyła oczy i spojrzała w moje. Moje serce zamieniło się w papkę.

– Powinnam już iść – mówię. – Chciałabym kupić dwie prace. Podobną do tej i do tamtej. Na tym z dziewczyną chciałabym wykaligrafowany napis.

– Świetnie – mówi Iselin. – Będą gotowe za tydzień, dobrze?

– Byłoby świetnie – odpowiadam.

– Chcesz kupić też mój rysunek? – pyta Kaia z figlarnym błyskiem w oku. Podchodzę do niej i kucam obok.

– Bardzo chciałabym go kupić. Może go dokończ, a gdy wrócę po rysunki twojej mamy, zapłacę ci za niego pudełkiem czekoladek. Umowa stoi? – Kaia się śmieje, odsłaniając małe zęby, uroczym marszczy nos. Próbuję zapamiętać sobie jej twarz, już jej nie zobaczę. Przyjście tutaj było bardzo złą decyzją, dostałam więcej, niż chciałam, naprawdę poznałam Kaię. Kaię Berge, strażniczkę serca. I nagle czuję rozpacz na myśl o tym, że już nigdy jej nie zobaczę. Między nami przeskakuje coś oczywistego. Nie potrafię oprzeć się bliskości Kai, chcę ją złapać i mocno przytulić, wygładzić jej włosy, całować po bladych, suchych policzkach, przycisnąć głowę do jej piersi. Ale to ona łapie mnie za rękę.

– Masz małą córeczkę? – mówi, jej głos jest neutralny i wyraźny. Patrzę na Iselin, która nieznacznie kręci głową i patrzy na mnie przepaszająco.

– Kaiu... Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, jakich pytań nie wolno zadawać ludziom, których nie znamy?

– Nie – szepczę. To największa zdrada w moim życiu.

Kaia zdaje się rozważać moje słowa, mocno ściąga brwi.

– Czy twoje dziecko to chłopiec?

– Nie, ja... Nie mam dzieci – odpowiadam. – Cóż, właściwie to mam pasierba.

– Kochanie, pozwólmy Alison już iść – mówi Iselin, wpatrując się w córkę, a potem obie odprowadzają mnie przez całe mieszkanie, blada twarzyczka Kai jest poważna i zamyślona.

– Pa – mówi i robi krok do przodu, żeby mnie przytulić. Ja i Iselin ponownie się do siebie uśmiechamy.

– Do widzenia – mówię i wychodzę na wspólny korytarz. Staję pod zamkniętymi drzwiami, oddycham i zaciskam i otwieram pięść.

Rozdział 34

Iselin

Nie mogę spać, więc pracuję. Kaia wstała już trzy razy, jest niespokojna i płaczliwa, ma zachrypnięty głos, narzeka, że boi ją rana na czole. Jestem dzisiaj jakaś zdenerwowana, tak jakby nie trzymały mnie już skóra i kości, tak jakbym w każdej chwili mogła się stopić. Wciąż wracam myślami do Alison Miller-Juul. Polubiłam ją, było w niej coś tak kruchego i drżącego, że już chciałam ją spytać, czy wszystko w porządku, czy chce o czymś porozmawiać czy cokolwiek – czasami rozmowa z obcą osobą bardzo pomaga. Zaczęłam pracować nad rysunkami dla niej niemal od razu po jej wyjściu. Prawie skończyłam już pierwszy, to kopia tego rysunku z konturami ciała małej dziewczynki z ogromnym anatomicznym sercem w klatce piersiowej. Alison chciała cytować „Serca to dzikie stworzenia” i właśnie mam zacząć kaligrafować, gdy przychodzi Noa. Kiedy zdejmuje wełniany kapelusz, ma przylizane włosy, a jej blade policzki są zaróżowione od mrozu.

– Cześć – mówi, rzuca kurtkę na krzesło naprzeciwko mnie, ale nie trafia i kurtka ześlizguje się na podłogę.

– Cześć – odpowiadam i delikatnie przyciskam ołówek, by narysować pierwszą literę – „S”. – Jak tam impreza?

– To było szaleństwo. Rewelacja. – Nalewa sobie kieliszek czerwonego wina z kartonu, a potem zagląda mi przez ramię, żeby przyjrzeć się rysunkowi dla Alison Miller-Juul. – Wow.

– Podoba ci się?

– Jest niesamowity. Rysujesz ten cytat o sercach?

– Tak.

– Musi być ptak – mówi cienki głos. Kaia stoi w drzwiach, ma poważną minę, nieświadomie gładzi palcem plaster na czole.

– Ptak? – Przyciągam córkę bliżej i całuję ją w policzek.
– Tak. Mały ptaszek tutaj. – Wskazuje lewy górny róg obrazka, tuż pod zaczęty „S”.
– Kochanie, skoro jesteś taka pewna, to może sama go dorysujesz?
– Mogę?
– Jasne – odpowiadam i podaję jej miękki ołówek węglowy. Kaia siada na moich kolanach i skrupulatnie rysuje małego czarnego ptaka z zakrzywionym dziobem i małymi oczami.
– Widzisz? Ten ptak był tutaj potrzebny.
– Miałaś rację, Kaiu. A teraz chodź – mówię, gdy kończy rysować. – Jest środek nocy, a ty masz jutro szkołę.
– Opowiesz mi coś?
– Już to zrobiłam, wiele godzin temu, gdy kładłaś się spać.
– Ciociu Noa, opowiesz mi coś?
– No to chodź, małpko – mówi Noa. Kaia schodzi z moich kolan i się do niej przytula. Noa zanoszą ją do pokoju, a potem udaje, że rzuca ją na łóżko.
– Opowiedz mi o tym, jak ty i mama mieszkałyście w Paryżu, a potem znalazłam się w brzuchu mamy! – Noa patrzy na mnie, powoli kręcąc głową. Nie chcę tam wracać, do miejsca, które nadal, po tylu latach, jest ziejącą raną w sercu. Myślenie o Paryżu i o tym, jak pojawiła się Kaia, to tylko torturowanie samej siebie, tak jak zrywanie strupa, żeby znowu zacząć krwawić.

Następny poranek jest piękny i czysty i choć mało spałam, czuję się pełna energii. Skończyłam rysunki dla Alison szybciej, niż się spodziewałam, i wysyłam jej wiadomość. Stoję, opierając się o kuchenny zlew, piję kawę i słucham odgłosów Kai i Noa, szykujących się w łazience. Telefon pika w mojej kieszeni, to odpowiedź od Alison.

– Ej, Noa, wiem, że to twoja ostatnia noc tutaj w Oslo, ale mogłabyś posiedzieć dzisiaj kilka godzin z Kaią? – pytam, gdy wychodzimy z domu, mrużąc oczy w jasnym porannym słońcu. Zanim Noa ma szansę odpowiedzieć, przerywa nam ostry głos z góry.

– Panno Berge! – mówi Hanne Vikdal, stojąca na tarasie nad wejściem do mojego mieszkania. Patrzy na nas poważnie i surowo.

– Tak? – mówię ostrożnie i robię kilka kroków do tyłu, żebym nie musiała patrzeć prosto w jej nozdrza.

– Muszę przyznać, że jestem trochę zaniepokojona – mówi. Patrzę na Noa, która stoi ze skrzyżowanymi rękami i unosi jedną brew. Cieszę się, że tu jest.

– O co chodzi?

– No cóż. Jak już pani wie, nie chodzi tylko o jedną rzecz. Ale muszę powiedzieć, że wczorajsza noc naprawdę dała mi do myślenia i już wiem, że rzeczywiście powinnam się martwić.

– Wczorajsza noc?

– Tak.

– Eee... Przecież byliśmy w domu.

– Panno Berge, mój mąż wrócił późno do domu. Około wpół do drugiej rano. Miała pani odsłonięte rolety, więc idąc w stronę domu, zerknął do pani mieszkania, i był zszokowany, gdy zobaczył, jak małe, chore dziecko rysuje sobie przy stole. Dosłownie w środku nocy. Z tego, co zrozumiałam, wy dwie piłyście wino. – Wokół nas wciąż unosi się atmosfera szoku wywołanego tą tyradą, potem jednak coś ją przerywa. To głośny śmiech. Mojej siostry.

– Kurwa mać, pani chyba robi sobie ze mnie jaja? – pyta i teatralnym gestem łapie się za brzuch.

– Jak pani śmie? – Hanne Vikdal otwiera szeroko usta. Kaia też. Biorę ją za rękę i zaczynam odchodzić.

– Ej – mówi Hanne Vikdal. – Ej! Kaiu, do której chodzisz szkoły?

– Nie odpowiadaj. – Ciągnę małą za rękę.

– Jak pani śmie? – pyta ponownie Noa, ale Hanne Vikdal się odwraca i wchodzi do środka, trzaskając za sobą drzwiami.

– Noa... Nie wiem, czy to był dobry pomysł – mówię, wpatrując się w brązową breję, topiącą się u moich stóp w ostrych promieniach słońca. – To jest nasza gospodyni.

– To jest suka. Serio, Issy, musisz się stąd wynosić. — Noa bierze Kaię za rękę i schyla się, żeby pocałować ją w błądy policzek, ale Kaia się odwraca, jej mała twarz jest przerażona i smutna.

Rozdział 35

Alison

To nie jest sen. Gdybym chciała, mogłabym otworzyć oczy, ale tego nie robię.

Cały czas są zamknięte, czuję miejsce, w którym moje powieki się stykają, i wydaje mi się, że muszą być zamknięte od dłuższego czasu, ale mimo wszystko widzę. Widzę moją mamę stojącą nad jeziorem, nad które czasem chodziliśmy, ubraną w pomarańczową minisukienkę. Wrzuca do wody kawałki chleba dla pływających po jeziorze dużych ptaków, kiedy jednak udaje mi się na nich skupić, uświadamiam sobie, że to są sępy.

Amalie gra na pianinie, jej malutkie paluszki losowo wybierają klawisze, i gdyby to był ktoś inny, nie byłabym w stanie znieść tego hałasu. Ale ona jest taka piękna. Żeby ją zobaczyć, nie muszę otwierać oczu. Nie muszę wyciągać ręki, żeby poczuć miękkość jej włosów. Próbowałam policzyć, ile razy jej widok zaparł mi dech w piersiach – nadal zapiera go sam fakt, że ona w ogóle istniała – i to jest jedyna niepoliczalna rzecz na całym świecie. Znowu zaczyna grać, wciska mocno i jednostajnie jeden klawisz, zostaje wyciągnięta z tego stanu zawieszenia.

Budzę się na sofie i ten sam dźwięk rozlega się w pustym domu. Moje dłonie są zeszywniałe i zmarznięte, w pokoju jest bardzo ciemno. Przez kilka chwil nie jestem w stanie powiedzieć, czy ten odgłos jest prawdziwy, czy słyszę go tylko w swojej głowie. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie jest reszta domowników. Zerkam na zegar na telewizorze, dopiero 18:40, ja jednak mam wrażenie, że to środek nocy. Powoli zaczynam przypominać sobie popołudnie: usta Sindrego przyciśnięte mocno do moich, moja dłoń, głaszcząca jego zarost, sposób, w jaki zmusił mnie, bym na niego spojrzała, zanim wysiadł z samochodu. *Uważaj, Ali*, powiedział. A potem odszedł, zniknął w obrotowych drzwiach terminala, połączył się z innymi podróżnymi. Wyleciał do Genewy na

pięć dni i chociaż perspektywa siedzenia w pustym domu przez tak długi czas jest niepokojąca, jednocześnie odczuwam ulgę, że odpocznę od męża. Był taki czas, że gdybym podejrzewała go o jakąkolwiek zdradę, oszalałabym z zazdrości i wściekłości, ale teraz kompletnie nie obchodzi mnie to, co i z kim będzie w tej Genewie robić.

Odgłos rozlega się raz jeszcze, tym razem słyszę go wyraźnie – to dzwonek w drzwiach. Idę korytarzem, nie włączając żadnych świateł, chcę zobaczyć, kto to jest, ale tak, by ten ktoś nie zorientował się, że jestem w domu. Oliver jest u matki, ale gdyby z jakichś względów chciał po coś wpaść, ma klucze i z pewnością by nie dzwonił. Może to któraś z moich przyjaciółek? Tutaj, w Norwegii, nie mam ich zbyt wielu – w ogóle prawie nie mam już nikogo. Piętnaście lat podróżowania po świecie sprawia, że przestajesz mieć przyjaciół, zwłaszcza jeśli nie wysilasz się, by utrzymać kontakt. A potem gdy tracisz córkę i nikt nie wie, co ci powiedzieć. Moi przyjaciele wysyłają do mnie wiadomości, piszą, że modlą się za Amalie i za mnie, a gdy nie odpowiadam, zakładają, że chcę, by zostawili mnie w spokoju. Nie chcę. Chciałabym, żeby wiedzieli, jak ze mną rozmawiać, żeby wiedzieli, że jedyne, czego pragnę, to o niej rozmawiać, odbudować ją ze wspomnień – chcę mówić o tym, jak bardzo brakuje mi całowania opuszków jej palców, gdy spała, jak połykała gumę do żucia i udawała, że wcale nie, jak mruzczała pod nosem „O rety”, rozśmieszając Olivera, jak na talerzu układała groszek w kółko i potem zjadała po jednej sztuce; chcę opowiadać ludziom, jak po raz pierwszy poszła na rolki na plaży w Wenecji, albo jak uśmiechała się do swojej gorącej czekolady w naszym domku w Norefjell, a promienie górskiego słońca malowały pasma jej włosów na złoto. To o tym chcę rozmawiać, bo to właśnie tam jest teraz Amalie; w każdej minucie wspomnień, w każdym wydarzeniu, o którym się opowiada.

Serce mi pęka, wkładam dłoń pod bluzę, żeby je uspokoić, a potem wyglądam przez wąskie okno z drugiej strony jadalni, które wychodzi na ganek. Widzę kobietę owiniętą dużą granatową kurtką. Nie widzę jej twarzy, ale trzyma coś dużego i okrągłego. Wyjmuje rękę z kieszeni, ponownie wciska dzwonek, widzę tatuaż na wewnętrznej stronie nadgarstka. Pamiętam ten tatuaż. Iselin. Serce szarpie mi się w piersi, przyciskam twarz do szyby, próbuję dostrzec Kaię, która może stać za matką. Nie potrafię przestać o niej myśleć, mam wrażenie, że jej twarz jest wryta w siatkówce mego oka. Iselin chyba jest sama, delikatnie się odwraca, żeby spojrzeć w okna na górze. Mogłabym zostać tu, gdzie stoję, i wreszcie by sobie poszła. Czego ona może chcieć?

I nagle do głowy przychodzi mi pewna myśl, a raczej niejasne wspomnienie: czy ja ją tutaj zaprosiłam? Szybko wyciągam telefon i przeglądam wiadomości i proszę, jasno i wyraźnie, wiadomość wysłana dzisiaj o wpół do dziesiątej rano, tuż po tym, jak podrzuciłam Sindrego do Gardermoen, zanim wróciłam do domu i zaczęłam pić.

Cześć Iselin, tak bardzo się cieszę, że rysunki są już gotowe! Jeśli jesteś wolna, wpadnij dzisiaj, napijemy się po kieliszku wina – uświadomiłam sobie, że mam kilka kontaktów, które mogłyby być zainteresowane twoimi ilustracjami. I mogłabyś też zobaczyć miejsce, w których chcę powiesić twoje rysunki. Daj mi znać, Alison xo

Chowam telefon z powrotem do kieszeni i opieram głowę o framugę drzwi. O kurwa. Co ja sobie w ogóle myślałam, do ciężkiej cholery? W ustach cały czas czuję nieświeży smak alkoholu, wyjmuję z kieszeni gumę do żucia i wkładam ją do ust, a następnie zapalam światło na korytarzu i otwieram drzwi.

– Cześć. O mój Boże, wejdz do środka, jest tak zimno – mówię, wciągając Iselin na korytarz. – Bardzo się cieszę, że ci się udało! Gdzie jest Kaia? – Iselin rozgląda się po korytarzu i nerwowo się uśmiecha.

– Kaia jest w domu. Z moją siostrą, Noą.

– Jakby co, mogłaś ją ze sobą przyprowadzić – mówię, skupiając się na uśmiechu. Nagle cieszę się z jej przyjścia, może to był dobry pomysł. Gdybym się z nią zaprzyjaźniła, może mogłabym jeszcze zobaczyć się z Kaią. W ten sposób byłabym blisko Amalie, bo podczas tych bardzo intensywnych chwil z Kaią w jej oczach było coś z Amalie – nie miałam co do tego żadnych wątpliwości.

Nie, mówię do siebie. *Nie*.

– No cóż, wchodź – mówię i wyciągam rękę po jej kurtkę. Zdejmuje ją, tupie, żeby strzepnąć śnieg z kozaków, a potem ściąga je przy drzwiach i patrzy niepewnie na brudne kałuże, które zostały na płytkach. Uśmiecham się i zapraszam ją do salonu. Gdy idziemy, włączam światła. Idzie za mną, niesie wielki cylinder, w którym prawdopodobnie znajdują się rysunki.

– Wolisz czerwone czy białe? – pytam, patrząc, jak rozgląda się po pokoju.

– Eee... obojętne.

Nagle uświadamiam sobie, że na stoliku przy drzwiach na taras znajduje się zdjęcie dzieci. Amalie siedzi na kolanach Olivera. Za nimi wieże z prezentów gwiazdkowych i pięknie udekorowana choinka. Położyłam to zdjęcie, wiem, że to zrobiłam; Oliver musiał je postawić, zresztą nie po raz pierwszy. Cały czas

mówię, pokazuję Iselin jakieś dzieła po drugiej stronie pokoju, żeby odwrócić jej uwagę, i idę w stronę tarasu.

– Widzisz tamto zdjęcie? Na lewo od drzwi. Tak, to z górami. Ja je zrobiłam. To znaczy, nie jestem fotografką, ale gdy miałam dwadzieścia kilka lat, robiłam dużo zdjęć. – Iselin patrzy na moje zdjęcie Matterhornu pod odwróconym półksiężycem, stado gwiazd rozlewa się po nocnym niebie niczym sproszkowane szkło. Dyskretnie odwracam zdjęcie, a potem prowadzę ją w stronę kuchni.

Iselin siada przy blacie i wygląda przez okno w czarną noc, podczas gdy ja otwieram butelkę Pinot Noir. Próbuję przełknąć nieprzyjemny smak alkoholu w ustach – zanim zasnęłam na kanapie, musiałam wypić więcej niż kilka kieliszków wina; często tak robię. Jeśli uda mi się złapać właściwą równowagę, butelka wina w połączeniu z lekami sprawia, że staję się odprężona, nie jestem w stanie myśleć i bez problemu mogę godzinami oglądać telewizję, o niczym nie rozmyślając.

Iselin pije wino i rozgląda się po kuchni. To elegancka, biała przestrzeń, która nie przykuwa uwagi; na lodówce nie ma dziecięcych rysunków, na ścianach nie wiszą zdjęcia ze szkoły. W misce z metalowej siatki pozostawiono kilka limonek, które gniją i są jedynymi kolorowymi przedmiotami w pomieszczeniu. Czy oprawię rysunki Iselin i powieszę je w miejscu, w którym siedzi przy barku, ściskając oburącz kieliszek, tak jakby próbowała ogrzać dłonie? Oparła niezdarnie cylinder o blat, a gdy go podnosi, daję jej znak, żeby mi go podała. Uśmiecha się promiennie, ale jednocześnie oblewa się rumieńcem. Podaje mi cylinder, jej dłoń nieznacznie drży. Kiedy go od niej biorę, przepływa między nami intensywna energia, podobna do tej między mną a Kaią, gdy siedziała obok mnie na stołku, ściskając ołówek w tych przezroczystych dłoniach, wpatrując się we mnie jasnymi oczami. Uśmiecham się do Iselin, mam jakieś przecucia, a jednocześnie się boję.

– Jestem pod ogromnym wrażeniem, że udało ci się je skończyć w tak krótkim czasie – mówię. Zdejmuję przykrywkę z cylindra i zaglądam do środka. Potem ponownie patrzę na Iselin, która wygląda na bardzo młodą i zdenerwowaną.

– Mam nadzieję... Mam nadzieję, że będą coś dla ciebie znaczyć. – Rozwijam pierwszy rysunek, z konturami małej dziewczynki o wielkim, misternym sercu. W górnym lewym rogu znajduje się czarny ptak, którego nie widziałam na żadnym dotychczasowym rysunku Iselin, ale strasznie mi się podoba. Jest w nim coś uroczego i znajomego – jednocześnie dziecięcego i mistrzowskiego. Przypominają mi się ptaki Karen Fritz, to, jak łatwo było mi wysiedzieć w jej fotelu, gdy wyobrażałam sobie siebie wśród tych odlatujących ptaków,

znajdującą się wysoko na niebie, wolną. Nie widziałam się z Karen już od jakiegoś czasu. Wracam do rysunku, przyglądam się każdej kresce Iselin.

Wyobrażam sobie, jak Sindre przygląda się pięknie narysowanemu sercu, składance głębokich, jasnych czerwieni. Będę musiała skłamać. Nie mogę nic poradzić na lejące się z moich oczu łzy, jedna z nich kapie na krawędź rysunku.

– Przepraszam... – mówię. – Po prostu twoje prace bardzo mnie poruszają.

– To znaczy dla mnie ogromnie dużo.

– Chodź, przejdźmy do drugiego pokoju. Chcę usłyszeć wszystko na temat tego, co cię inspirowało i jak to się stało, że zaczęłaś rysować.

– Dobrze – mówi i wygląda spodnie, które trochę za bardzo opinają jej uda, a potem siada na bordowej sofie i stawia kieliszek wina na niskim stoliku.

– Ten rysunek jest jeszcze piękniejszy, niż zapamiętałam. I dziękuję, że mi go tutaj przywiozłaś. Bardzo miło jest znowu się z tobą spotkać; zawsze lubię kontakty z niezwykle utalentowanymi osobami, bo za ich talentami kryją się ciekawe historie.

– Ja... No cóż, dziękuję. Tak, bardzo miło jest się spotkać. – Uśmiecha się, potem ponownie się rozgląda, tak jakby się zastanawiała, czy jesteśmy tu same, czy zaraz ktoś do nas dołączy.

– Mój mąż wyjechał w interesach – mówię. – Do Genewy. A Oliver jest w tym tygodniu u matki.

– Och. – Waha się, szybko rozgląda się po pokoju. – Ile on ma lat?

– Właśnie skończył czternaście. To zabawne, jak nagle dorósł. Ma nawet dziewczynę.

– O rety.

– No właśnie.

– Podoba mi się twój dom – mówi. – Mieszkanie pod lasem musi być cudowne. I te widoki. Wow.

– Tak – odpowiadam. – Tak, no cóż. Ja... – Mam wrażenie, jakbym zapomniała już, jak rozmawiać z drugim człowiekiem. – Dorastałam w Kalifornii – mówię cicho i patrzę przez znajdujące się za Iselin okno na odległe światła miasta. Musi połączyć nas jakaś więź, ona musi poczuć, że możemy zostać przyjaciółkami. – Tam było zupełnie inaczej.

Iselin wygląda na uspokojoną faktem, że nagle zrobiłam się trochę nieufna, i uśmiecha się do mnie szeroko.

– Wyobrażam sobie – mówi. – Nigdy nie byłam w Stanach.

– Nie?

– Nie... Zawsze chciałam podróżować. Na krótki czas przeprowadziłam się do Paryża. Na studia. Ale potem... Urodziłam Kaię i, no wiesz, gdy się urodziła, nie mogłam już za bardzo podróżować.

– Masz do niej jakąś pomoc? Rodzinę albo...?

Wygląda na dotkniętą. Przez długi czas wpatruje się w kieliszek, a ja przeklinam się w myślach za to, że jestem tak nietaktowna.

– Przepraszam – mówię, ona jednak się uśmiecha i macha ręką, tak jakby to się nie liczyło, ale najwyraźniej się liczy. Martwię się, że wybuchnie płaczem. Gdybym ją uraziła, to byłaby katastrofa. Jesteśmy sobie obce, ona ma czuć, że łączy nas więź, a nie że jestem wścibska.

– Nie, nie. W porządku – mówi, pije wino, a potem patrzy mi prosto w oczy. – Ale nie, rodzina nie bardzo pomaga mi przy Kai. Poza siostrą Noą – wspiera mnie, gdy tylko może. Mieszka w Paryżu i stara się do nas przyjechać chociaż raz na miesiąc, jesteśmy ze sobą bardzo blisko. Reszta rodziny mieszka... bardzo daleko. W Nordlandzie. – Milczymy przez długi czas i zastanawiam się, czy Iselin próbuje wymyślić jakąś wymówkę, żeby sobie pójść. Nie miałabym o to do niej pretensji – kto by chciał siedzieć i pić wino z obcą, dwa razy starszą kobietą, z którą najwyraźniej nie ma nic wspólnego? Ale nie chcę, żeby odchodziła.

– Opowiedz mi o Kai – mówię łagodnie i próbuję posłać jej wyluzowany uśmiech. Żałuję, że nie przyprowadziła jej ze sobą. Wcześniej każdą chwilę poświęcałam na rozmyślania o Amalie i pełnym bólu, czarnym świecie, w którym żyłam, odkąd odeszła, teraz jednak coraz częściej myślałam o małej Kai.

Iselin uśmiecha się promiennie, może woli rozmawiać o Kai niż o swoim życiu.

– No cóż, miała bardzo, bardzo trudny start w życiu – zaczyna, a ja kiwam głową ze współczuciem. – To, co ci powiedziała w studiu, to prawda. W zeszłe lato miała przeszczep serca po wielu latach zagrażającej życiu choroby. Wszystkim o tym opowiada. Jest z tego naprawdę dumna.

– Mój Boże, to musiało być potwornie stresujące.

– Tak. To znaczy... Było naprawdę źle. Żegnałam się z nią kilka razy. Ale jakimś cudem jej się udało.

– Musi być bardzo silna.

– Tak, jest dziwnie silna jak na kogoś, kto wygląda na tak kruchego.

– Wydaje mi się, że ma naprawdę bardzo ciekawy charakter. Jak na sześcioczty siedmiolatkę jest bardzo dorosła.

– Siedmiolatkę. I tak. Kaia jest... jednocześnie zwykła i niezwykła. Wiesz? Lubi rzeczy, jakie lubi większość dziewczynek. Uwielbia zwierzęta. Dużo rysuje. Lubi kreskówki, zwłaszcza *Dorę i przyjaciół*. Chętnie się uczy, cały czas czyta. A mimo to... Nigdy nie siedziała na kucyku, nie przytulała psa. To byłoby zbyt ryzykowne. Nie widziała połowy rzeczy, które lubi rysować, na przykład zwierząt w zoo czy plaży. Nigdy nie leciała samolotem ani nie widziała niczego poza naszym mieszkaniem. A do szkoły poszła po raz pierwszy dopiero w zeszłym roku. Kocha szkołę.

– Wow – mówię. – To musiało być bardzo trudne. Dla was obu.

– No cóż, nie bardzo miałam jak pracować. Bardzo bym chciała. Nie tak... Nie tak wyobrażałam sobie swoje życie. Nie wiedziałam, że będę opiekować się bardzo chorą dziewczynką. – Wpatruje się w kieliszek wina. – Chociaż, oczywiście, nie będę na to narzekać – dodaje nerwowo. – Absolutnie nie. Tak po prostu jest. Albo było, aż do teraz. Nie jesteś... Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie zmian, jakie w niej zaszły. To po prostu niesamowite. – Przerywa, jej oczy lśnią.

– Zmiany?

– O mój Boże, od czasu przeszczepu mam wrażenie, że jest innym dzieckiem.

– Naprawdę? Opowiedz... Opowiedz coś więcej – mówię, pochylam się i delikatnie klepię Iselin po bladej dłoni. Nalewam jej kolejny kieliszek Pinot Noir, patrzy na niego nerwowo, ale nic nie mówi.

– Jesteś pewna? Na pewno chcesz o tym rozmawiać? To znaczy... nie chcę cię zanudzać...

– Iselin. Cudownie się z tobą rozmawia. Mój mąż dużo pracuje, a większość moich przyjaciół jest rozsypana po całym świecie, miło więc jest mieć towarzystwo. I bardzo polubiłam Kaię. Masz cudowną córkę – mówię i chcę powiedzieć coś jeszcze, ale mam kluchę w gardle, więc przerywam. Biorę duży łyk wina, kilka razy odchrząkuję i uśmiecham się do Iselin. Kiwa głową. – No więc... – mówię dalej. Chciałaś opowiedzieć mi o zmianach, które zaszły w Kai od czasu przeszczepu...

– Tak. – Ściąga brwi i znowu mam wrażenie, że jest bardzo młoda. Kiedy miałam około dwudziestu pięciu lat, włóczyłam się po Ko Samui, sprzedając na targu różne starocie z moim ówczesnym chłopakiem, Rexem, a na boku budowałam portfolio dziennikarki. Byłam zupełnie wolna, a najbardziej wymagające decyzje, jakie podejmowałam, dotyczyły tego, czy iść na tanią kolację do Chica's, czy do Lou's Beach Bar. Patrzę na ładne, nieskazitelne

dłonie Iselin i wyobrażam sobie długie noce, które spędziła przy łóżku dziecka, ściskając lepką, bezwładną rączkę, ocierając gorące czoło.

– Tak, cóż, to jest zabawne... Bardzo się zmieniła. Pod pewnymi względami to oczywiste, ale pod innymi jest to bardziej... subtelne. I trudno mi powiedzieć, czy wszystkie te zmiany wynikają z tego, że po raz pierwszy w życiu jest zdrowa.

– Jak myślisz, co jeszcze mogło spowodować te zmiany?

– No cóż, teraz ma dużo więcej energii.

– Pewnie. Wyobrażam sobie.

– Na przykład uwielbia bawić się na podwórku, a wcześniej nigdy tego nie lubiła. Mam wrażenie, że cały czas przesuwa fizyczne granice swojego ciała, co trochę mnie martwi, ale lekarze mówią, żeby jej zaufać i dać wybór.

– Jasne.

– Jest bardziej uczuciowa. O wiele bardziej. Lubi się bardzo mocno przytulać, wcześniej tego nie robiła. Ale może taka bliskość nie sprawiała jej przyjemności, gdy była taka chora.

Na chwilę zamykam oczy. Czuję twoje przytulasy, to, jakie były mocne, jak silne miałaś rączki.

– Alison? Wszystko w porządku? – szepcze Iselin, kładąc ciepłą dłoń na mojej chłodnej i spiętej. Kiwam głową, a potem zabieram rękę i biorę do niej kieliszek. Serce w mojej piersi drży.

– Och tak. Przepraszam. Ja... Czasami mam bóle głowy. Jak przebłyski. Pomaga mi zamknięcie na chwilę oczu. Już minęło. – Uśmiecham się do Iselin.

– Opowiedz mi coś więcej. To jest takie... fascynujące. Nowoczesna medycyna jest niesamowita.

– Tak. Naprawdę.

– Wiesz... – zaczynam, uważnie obserwując twarz Iselin – jakiś czas temu, chyba w „New Yorkerze”, czytałam, że są dowody naukowe na to, że poprzez przeszczep mogą zostać przekazane do biorcy jakieś wspomnienia dawcy.

Iselin ściąga brwi i nagle wygląda tak jak svoja córka. Mam wrażenie, jakby najpierw ułożyła sobie odpowiedź w głowie, a potem mówi:

– Chyba mało o tym myślałam. Wiesz, o tym, kto mógł być dawcą. Oczywiście jestem dozgonnie wdzięczna i chciałabym, żeby ci ludzie wiedzieli, ile to dla mnie znaczy.

– Tak. To interesujące, prawda? Badania zdają się sugerować, że pamięć, doświadczenia i istota tego, czym jesteśmy, jest przechowywana w różnych

częściach naszego ciała, nie tylko w mózgach, więc to chyba ma sens. Teraz nazywają jelito drugim mózgiem, prawda? – Celowo nie wspominam o sercach.

– Tak, czytałam o relacji między ciałem a umysłem. I że ból psychiczny może wywołać prawdziwy ból fizyczny. Może więc to samo dotyczy wspomnień. – Iselin kiwa głową, znowu pije wino, a po rumieńcu, który pojawia się na jej szyi, wnioskuję, że zaczyna czuć wpływ alkoholu.

– Tak. Myślisz... Czy Kaia, no wiesz, zrobiła coś naprawdę dziwnego od czasu... przeszczepu serca?

Na chwilę unosi brew, tak jakby nagle uświadomiła sobie, że to dziwne, że ktoś obcy zadaje jej takie pytania.

– No cóż, Kaia ma siedem lat, więc ciągle mówi dziwne rzeczy – mówi z uśmiechem, ja też się uśmiecham.

– Tak, wyobrażam sobie.

– Ale... tak. Jest kilka takich rzeczy... – Z całych sił muszę powstrzymać się przed zerwaniem się z miejsca. Zachowanie spokoju kosztuje mnie potwornie dużo wysiłku. – Zaczęła... eee... zaczęła robić takie małe dziwne rzeczy. Gdy mnie przytula, wtula twarz w moją szyję z jednej strony, a potem z drugiej. I mówi: „Z obu stron, mamusiu. Musimy to robić z obu stron”. To takie drobnostki, które nagle zaczęła robić, i one wciąż się zdarzają.

Zamykam oczy. Z obu stron, mamusiu. Musimy to robić z obu stron.

Iselin nadal mówi, ja jednak nie rozumiem już poszczególnych słów. A potem następuje coś przerażającego, czuję ostry ból, coś mokrego, krzyk – mój własny?

– O mój Boże! – krzyczy Iselin, otwieram oczy i patrzę na nią, jest przerażona. – O Boże – powtarza, wstaje, a ja patrzę tam, gdzie ona, na moją dłoń, która zacisnęła się na kieliszku wina tak mocno, że go zmiażdżyła. Szkło rozdarło mi skórę. Bardzo krwawie, krew i wino leją się na stół, na Iselin, na moje dżinsy i na parkiet. Iselin biegnie do kuchni i wraca z kuchenną ścierką, którą zawiązuje mocno na mojej dłoni.

– Przepraszam – szepczę. – Bardzo mi przykro. – Iselin jest przerażona, tak jakbym nagle mogła zranić ją, tak jak zraniłam siebie. Próbuję otworzyć dłoń, ale ból jest zbyt potężny, nie potrafię też powstrzymać łez. – Szkło utkwilo mi w rękę – mówię, gdy dochodzę do siebie na tyle, że mogę mówić.

– Chyba powinniśmy zadzwonić po karetkę – odpowiada Iselin.

– Nie! – mówię ostrzej, niż zamierzałam. – Nie, proszę. – Patrzę na nią błagalnie. – Posłuchaj. To tylko tak kiepsko wygląda. Te kieliszki są bardzo delikatne. Tam, w kuchni, nad zlewem, druga szafka po lewej. Jodyna

i bandażu... Przyniesie je tutaj. Proszę... – Iselin robi, o co proszę, nie patrzy mi w oczy.

Siada na krawędzi sofy i przejeżdża wacikiem nasączonym jodyną po wnętrzu mojej dłoni. Instynktownie cofam rękę, w mojej dłoni naprawdę utknał kawałek szkła i ból jest potworny.

– Masz pęsetę? – pyta Iselin i ścisną moją dłoń, tak że kawałek szkła zaczyna wystawać.

– Na górze w łazience. Chyba obok umywalki.

Wstaje powoli i idzie niepewnym krokiem na korytarz. Słyszę jej kroki na schodach i ponownie otwieram oczy. Postanawiam sama wyciągnąć szkło paznokciami i chociaż wychodzi łatwo, znowu leje się ciemna krew. Ból jest już mniejszy, jednak sądząc po ilości krwi, musiałam zadrasnąć tętnicę. Zaczynam obwiązywać dłoń bandażem od nadgarstka w górę. Czy ta rana jest na tyle głęboka, by mnie zabić? Czy mogę tak po prostu ją zostawić, iść do łóżka i nigdy się nie obudzić?

– Pomogę ci – mówi łagodnie Iselin, otwieram oczy i widzę, jak stoi nade mną z pęsetą.

– Już wyjęłam szkło – odpowiadam i kiwam głową w stronę leżącego na stole zakrwawionego odłamka. – Możesz mi pomóc w bandażowaniu? – Powoli rusza w moją stronę, tak jakbym nie była kobietą w średnim wieku, która skaleczyła się szkłem, lecz tygrysem w pułapce. Wydyma usta, skupia się na spięciu końców bandaża metalową spinką. Krew już przesiąka przez opatrunek, na środku mojej dłoni kwitnie czerwona plama. Patrząc na Iselin i ponownie zauważam podobieństwo między nią a jej córką, delikatnie zadarty nos i żyły widoczne pod skórą i na skroniach, niczym namalowane węglem kreski prześwitujące przez kartkę papieru.

– To... to, co powiedziałaś – szepczę – o przytulaniu z obu stron... Wcześniej tego... nie robiła?

– Nie.

– To takie fascynujące.

– Jest jeszcze wiele innych rzeczy... – Patrzy na mnie, tak jakby chciała ocenić, czy jestem w stanie znieść takie informacje. Delikatnie kładzie dłoń na mojej dłoni, chociaż właśnie skończyła zakładać drugą warstwę opatrunku. – Teraz je wszystko, co musowane i gazowane. Wcześniej tego nienawidziła. „Uwielbiam, jak bąbelkuje mi w gardle”, mówi. – Przerywa i uświadamiam sobie, że zawsze słyszymy to, co chcemy usłyszeć – Amalie nigdy nie lubiła

gazowanych napojów, więc ten temat mnie nie interesuje. – No i... – mówi dalej – rysuje w inny sposób...

– To znaczy?

– Gdy była mała, rysowała, nie wiem, postacie z Disneya. Księżniczki i czarownice, i tego typu rzeczy. A potem zaczęła być w tym coraz lepsza, kopiowała moje rysunki. Zwłaszcza ptaki. Kaia kocha ptaki. Ale ostatnio ciągle rysuje te misie... Małe śmieszne misie. Szczerze mówiąc, są bardzo dobre. Ale to nagłe skupienie się na nich jest trochę dziwne.

W co ja gram? Po co ją tutaj zapraszałam? Nie mogę sobie wyobrazić gorszej formy tortur. Myliłam się, sądząc, że mogę to znieść – nie mogę. Wyjmuję dłoń spod dłoni Iselin, odchrząkuję i się odzywam.

– Iselin, bardzo ci dziękuję za odwiedziny i pomoc. Przepraszam za ten chaos. Ale chyba powinnam się położyć. Wezwę ci taksówkę. – Wygląda na przerażoną i zmartwioną nagłą zmianą w moim głosie, tak jakby właśnie powiedziała coś bardzo obraźliwego.

– Ale... Przecież nie mogę cię tak tutaj zostawić. – Obie patrzymy na kałużę krwi i czerwonego wina i odłamki szkła na podłodze, i na ciemniejące plamy krwi na stoliku.

– W porządku – mówię, wstaję i idę w stronę kuchni, żeby poszukać telefonu i wezwać jej taksówkę.

– Alison... Czy tutaj wszystko jest w porządku? No wiesz, w domu? Ja... Wiem, że się nie znamy, ja tylko... Czuję, że może coś jest nie tak.

– Iselin. Jest w porządku – mówię i prowadzę ją do korytarza, otwierając lewą, zdrową dłonią, aplikację Oslo Taxi. Ona musi sobie stąd iść, i to natychmiast. Czuję się słabo, jest mi gorąco, prawa ręka bardzo boli.

– Czasami rozmowa z obcą osobą bardzo pomaga – mówi i uśmiecha się ze współczuciem.

– Tak – odpowiadam. – Ale teraz muszę się po prostu położyć. Taksówka już jedzie. – Odwracam telefon, żeby pokazać jej na mapie jadącą w naszą stronę taksówkę.

– Będzie kosztowała sto koron... Mieszkam w Østerås... Nie mogę...

– Jest opłacona z góry – mówię z uśmiechem i podaję jej granatową kurtkę, z której rękawa wystaje kilka piór. Iselin wygląda na zdenerwowaną i zawstydzoną, a ja z całych sił powstrzymuję się przed wypchnięciem jej za drzwi. Wreszcie widzimy w oknach światła taksówki, otwieram drzwi, zanim Iselin ma szansę założyć buty. Wygląda, jakby zaraz miała się rozplakać.

Wsiada do samochodu, a ja zmuszam się do posłania jej uśmiechu, ale odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że potrafi przejrzeć mnie na wylot, tak jak jej córka.

W domu wracam szybko do salonu. Wygląda jak scena zbrodni. Wybucham głośnym śmiechem. Śmiech przechodzi w czkawkę, potem szloch. Przerazenie i szok wywołane słowami Iselin wreszcie mają ujście. Idę do kuchni i rozlega się dziki ryk, gdy otwieram niską szafkę, w której trzymaliśmy kubki i talerze Amalie, małe różowe talerze z mordkami misiów, bo je kochała. Miś Dinky, Gruffalo, Złotowłosa i trzy misie... Ciskam je na podłogę, jeden po drugim, aż pozostają z nich same skorupy.

Siadam na podłodze w kuchni wśród tych skorup i wpatruję się przez łuk w drzwiach w salon, szkło, krew, wino. Biorę telefon i dzwonię do Sindrego. Chcę mu opowiedzieć o przytulaczach po obu stronach. O misiach. Telefon dzwoni przez długi czas, a gdy Sindre wreszcie odbiera, jego głos jest półprzytomny. Otwieram usta, żeby zacząć mówić, uświadamiam sobie jednak, że nie mogę, bo jak miałabym powiedzieć mojemu mężowi, że siedziałam i piłam wino z matką dziewczynki, która dostała serce Amalie, i że uważam, że wraz z sercem ta dziewczynka dostała jakąś część naszej córki, bo nagle zaczęła przytulać się do matki w bardzo konkretny sposób?

– Skarbie? – pyta Sindre, bez wątpienia słysząc mój szybki, ciężki oddech.

Rozłączam się. Kładę telefon na podłodze i czekam, aż oddzwoni, ale tego nie robi. Idę do kuchni i zaczynam sprzątać lewą ręką, powoli ogarnia mnie zmęczenie. Gdy kończę, zakładam na prawą dłoń kolejną warstwę opatrunku – krew nadal się sączy. Potem idę na górę i stoję chwilę przy drzwiach do pokoju Amalie, a później wchodzę do środka. W szufladzie jej biurka odnajduję to, czego szukam. Gruby stos rysunków, na każdej stronie misie. Misie jeżdżące na rowerach, misie siedzące w restauracji – na stoliku przed nimi znajduje się szczegółowo narysowane jedzenie, misie lecące samolotami, misie grające w siatkówkę plażową.

Rozdział 36

Iselin

Jestem zakrwawiona. Uświadamiam to sobie dopiero w taksówce. Pod paznokciami mam zaschniętą krew, tak jakbym stoczyła z Alison walkę; mam brudną spódniczkę, a nawet krew rozmazaną na twarzy. Otwieram drzwi tak cicho, jak tylko mogę, i przechodzę przez korytarz do łazienki bez włączania światła, ale Noa i tak mnie słyszy i puka do drzwi, zanim udaje mi się zmyć krew do końca. Otwieram dopiero, gdy jestem czysta, ręcznik leży na podłodze mokry i poplamiony pod pogniecioną spódniczką. Wyłączam światło i otwieram drzwi, z całych sił próbując robić obojętną minę, ale Noa i tak patrzy na mnie podejrzliwie – za dobrze mnie zna.

– Ummm, co się dzieje? – pyta, patrząc na górną część mojego ciała – naga, nie licząc biustonosza. Patrzy na wyszorowaną, zaczerwienioną skórę, na gęsią skórę, która pojawia się pod wpływem jej wzroku.

– Ja... eee... wracałam na piechotę z dworca i zrobiło się tak gorąco, że postanowiłam zrobić małe pranie. To wszystko.

– I nie miałaś nawet czasu się przywitać?

– Myślałam, że śpisz.

– Daj spokój. – Noa jest sową i obie wiemy, że o tym wiem. Problem z moją siostrą polega na tym, że nie można przy niej udawać.

– Jak Kaia? – pytam, wchodząc do salonu, gdzie Noa rozłożyła już łóżko.

– W porządku. Teraz powiesz mi, co się dzieje?

Patrzę na jej zmęczoną, wychudzoną twarz. Ma poobgryzane paznokcie, skóra na jej karku jest opuchnięta i zaczerwieniona w miejscu, w którym ocierały o nią słuchawki. Wybucham płaczem. Jestem tak samo zaskoczona jak moja siostra, ale łzy przychodzą nagle i mam wrażenie, że nie dam rady ich powstrzymać. Noa mocno mnie przytula. Stoję z zamkniętymi oczami

i wdycham jej zapach – detergentu, prostych kwiatowych perfum i czegoś słodkiego, jak ciastka czy ciasto, może ona i Kaia coś upiekły. Staram się nie myśleć o dziwnych i niepokojących wydarzeniach w domu Alison, cały czas jednak widzę ją siedzącą nieruchomo na podłodze w salonie, zalaną krwią i zasypaną odłamkami szkła, wpatrującą się w pustkę przed sobą.

– Nic – mówię. – Po prostu... Jestem naprawdę zmęczona. I chyba przytłoczona.

– Czy tej kobiecie spodobały się rysunki?

– Chyba tak, naprawdę. Tyle że... Ona jest trochę, nie wiem... – Noa unosi brwi, a ja chcę mówić dalej, ale nie wiem, co powiedzieć.

– Trochę: co?

– Nie umiem tego wyjaśnić, naprawdę. Wydaje się trochę oszołomiona. To znaczy, ona musi mieć wspaniałe życie – żałuj, że nie widziałas jej domu. Widok na całe miasto, wszystko nowoczesne i eleganckie. Nigdy wcześniej nie byłam w takim wnętrzu.

– Dlaczego uważasz, że ona ma niesamowite życie? Tylko dlatego, że jej dom jest idealny? – Typowa Noa – zawsze próbuje analizować moje słowa i przyłapać na tym, że jestem płytka i pokręcona. Wypuszczam powietrze i siadam w zielonym fotelu, zdejmuję kapcie i rozpuszczam włosy.

– Nieważne – odpowiadam. – Idę pod prysznic.

– A ja idę spać. O dziesiątej rano mam lot.

Szoruję skórę na rękach i nogach ostrą częścią gąbki i pozwalam, by razem z wodą polały się nowe łzy. Miło było porozmawiać z Alison o zmianach w Kai; czasami rozmowa z nieznaną osobą naprawdę pomaga. Ale coś w tej kobiecie mnie niepokoi. Wspomniała, że pisała reportaże ze wszystkich stron świata, może brakuje jej takiego życia. Jest w niej również coś fascynującego, jest tak intensywna, z pewnością ma do opowiedzenia mnóstwo ciekawych historii. Chętnie bym ich wysłuchała, być może mogłybyśmy się też ze sobą zaprzyjaźnić, ja jednak z pewnością jestem dla niej mało interesująca, chociaż najwyraźniej bardzo ciekawi ją Kaia – a może po prostu chciała być grzeczna.

Myślę o tym, że Kaia śpi w pokoju obok, że pod tymi wszystkimi bliznami jej nowe serce ciągle bije. Znowu zastanawiam się, co lekarze zrobili z tym drugim sercem, z tym, z którym się urodziła, z tym popsutym. Zakładam, że te serca, płuca i wątroby, które nie mogą już właściwie pracować, zostają spalone. Myśl

o tym, że cały biologiczny ślad po tym sercu zniknął, napawa mnie smutkiem, ale co ja mogłabym z nim zrobić? Pogrzebać je? Czy to możliwe, że razem z sercem zniknęła jakaś część Kai? Czy to rzeczywiście prawda, że komórki zawierają coś, co można przenieść na innych ludzi? Że wspomnienia i uczucia są przechowywane nie tylko w mózgu, lecz także w sercu?

Zakręcam wodę i przez chwilę stoję w zaparowanej kabinie, kładę dłoń na mojej piersi, na sercu. Wyobrażam sobie grube żyły i tętnice, które zakotwiczyły je w mojej klatce piersiowej, skomplikowane komory, które przepompowują kolejne porcje krwi. Wyobrażam sobie, że moje serce się kurczy, że pęka, gnije i schnie. Będę dziś wieczorem sama z tymi myślami, z moją córeczką i Noą śpiącymi obok, ze wspomnieniem o zalanej własną krwią Alison, z nowym rysunkiem, nad którym zaczynam pracę.

Siadam przy kuchennym stole, wokół panuje półmrok. Na kuchennym blacie płoną dwie zapachowe świece, posyłające na ściany migoczące cienie. Zaczynam rysować, dzisiaj wszystko idzie mi bardzo łatwo. Znowu serca; szkicuję zarys dwóch połówek anatomicznego serca w przekroju poprzecznym, przestrzeń na środku pozostawiam otwartą. Przez chwilę oglądam na telefonie zdjęcia serc i upewniam się, że zawarłam na rysunku wszystkie szczegóły, miękkie krzywizny zastawek półksiężycowatych, żyły płucne i tętnice wydobywające się na zewnątrz niczym złamane gałązki, gruby łuk aorty przypominający szyję łabędzia. Gdy kończę rysować, siedzę przez chwilę i przyglądam się obrazkowi. Potem wstaję i zaczynam przeglądać szafki. Mam ochotę na kieliszek wina, jestem pewna, że ze świąt została jeszcze jedna butelka.

Nalewam powoli szkarłatny Malbec, trzymając mocno w palcach kieliszek, tak jakby mógł nagle rozprysnąć mi się w dłoni.

Musiałam zasnąć. Gdy się budzę, widzę siedzącą naprzeciwko mnie Kaię. Obserwuje mnie.

– Cześć, skarbie – mówię zdezorientowana i siadam prosto. Chyba nie spałam zbyt długo, świece wciąż się palą, niebo jest czarne jak smoła. – Od kiedy tutaj siedzisz?

– Bardzo długo. Może ze cztery minuty. – Uśmiecham się i wyciągam rękę ponad stołem. – Gdzie byłaś wieczorem?

– Poszłam na spotkanie z koleżanką.

Kaia kiwa głową w zamyśleniu.

– Mogę porysować z tobą?

– Skarbie, jest druga w nocy... – Nie pamiętam nawet, jaki jutro będzie dzień, potem sobie przypominam, że to środa i Kaia musi wstać do szkoły. – Chodźmy spać, skarbie.

– Tylko jeden rysunek. – Patrzy na mnie uważnie i muszę odwrócić wzrok – w migoczącym świetle świec moja córka wygląda na upiornie i niebezpiecznie chudą. Przełykam z trudem ślinę i ponownie myślę o dziwnych zmianach w zachowaniu Kai po lipcowej operacji, a także o mojej rozmowie z Alison.

– No dobrze – mówię, przesuwając po stole grupą kartkę papieru do szkicowania. – Ale tylko jeden. – Siedzimy w ciszy przez długi czas; w pokoju słychać jedynie odgłos kredek pocierających o papier.

– Spotkałaś się z tą panią, która przyszła do studia? – pyta nagle Kaia. Podskakuję.

– Eee, tak, faktycznie. Z nią.

– Alison – mówi.

– Tak. Alison.

– Pokochałam ją.

– Pokochałaś ją? Chcesz powiedzieć, że ją polubiłaś?

– Nie, pokochałam. Pokochałam ją. Powiedziałaś, że jeśli kogoś się bardzo, bardzo lubi, to to jest miłość. – Kaia przestała rysować i teraz patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy – przekornym lub poirytowanym.

– No cóż – mówię i śmieję się lekceważąco – to naprawdę bardzo miła pani. Co... Co ci się w niej najbardziej podobało?

– Jej oczy – mówi Kaia. – Miała stare oczy.

– Stare oczy?

– Tak.

– I co to znaczy?

Kaia wzrusza ramionami, a potem teatralnym gestem wyciąga ręce do sufitu. Cienkie pęknięcie biegnie od górnej części okna do środka sufitu, gdzie znika w plastikowej oprawie górnej lampy. Mrugam kilka razy, jestem tak zmęczona, że ledwo jestem w stanie utrzymać otwarte oczy, ale czuję narastający niepokój. Kaia powoli wstaje.

– Chcę iść do łóżka.

Kiwam głową i przyciągam córkę do siebie.

Powoli się odsuwa i na mnie patrzy.

– Tęskniłam za tobą.

– Kiedy?

– Kiedy poszłaś zobaczyć się z Alison.

– Ale ty przecież spałaś.

– I tak za tobą tęskniłam.

– Na pewno świetnie się bawiłaś z Noą.

Nie odpowiada, tylko cały czas mi się przygląda.

– Weźmiesz mnie na następne spotkanie z nią?

– Kochanie, nie wiem, czy będzie jakieś następne spotkanie. Niezbyt dobrze się znamy.

– Och. – Ściąga brwi, tak jakby moje słowa ją zaskoczyły.

– Kaiu, co miałaś na myśli, mówiąc, że Alison ma stare oczy?

Wyraz jej twarzy pozostaje intensywny i poważny i choć Kaia patrzy na mnie, zdaje się być gdzieś daleko.

– Być może nic.

Uśmiecham się – Kaia mówi „być może nic” od wczesnego dzieciństwa. Biorę ją na rękę – nadal jest tak mała i szczupła jak pięciolatka – i zanoszę ją na sofę. Natychmiast zasypia z otwartą buzią, gałki oczne poruszają się pod powiekami, otwiera zaciśnięte pięści. Wracam do kuchni i dwa razy sprawdzam, czy zdmuchnęłam obie świece. W drodze powrotnej do łóżka spoglądam na stół w kuchni, na mój rysunek, a potem na rysunek Kai. Znowu narysowała misie, tym razem w szkole, pięć misiów siedzi w małych ławkach przed dużym misiem nauczycielem z przodu. Misie i ich okrągłe czarne oczy mnie denerwują, więc bez namysłu łapię rysunek swój i Kai i zgniatam je w kulę.

Rozdział 37

Alison

Nie mogłam spać. To nic nowego, ale nawet po wzięciu Temazepamu rzucałam się przerażona w tym niepewnym stanie świadomości, przedzielnym okresami niespokojnego snu. Wreszcie zasnęłam, ale dopiero wtedy, gdy niebo robiło się już bladoszare. Kiedy ponownie się obudziłam, było już po dziesiątej rano. Od razu pomyślałam, jak dziwnie zachowałam się wobec Iselin. Przecież to jeszcze dzieciak, przyjechała taki kawał, bo ją o to poprosiłam, chociaż mogło się jej to wydawać dziwne. Powinnam była odpakować oba rysunki, spokojnie je podziwiać, a potem jej pokazać, gdzie będą wisiały. Powinnam była wypić z nią kieliszek wina i opowiedzieć jej kilka historii z czasów, gdy włóczyłam się po Tajlandii, zamiast doprowadzać do niebezpiecznej rozmowy na temat pamięci komórkowej i przeszczepów serca. Nawiązanie z mojej strony kontaktu z Iselin i Kaią było szalone, teraz muszę trzymać się od nich z daleka. Nie wiem jednak, czy potrafię to zrobić. Bo pragnę być blisko tego, co pozostało z mojej córki i znajduje się w Kai.

Druga myśl dotyczy tego, że bardzo boli mnie dłoń – czyżbym rozcięła jakiś ważny mięsień albo nerw? Podnoszę zabandażowaną rękę do wpadającego między zasłonami snopa światła; widzę, że bandaż jest przesiąknięty krwią. Siadam i dostrzegam, że na łóżku również jest mnóstwo rozmazanych śladów krwi.

Schodzę na dół i w świetle dnia widzę, że niezbyt dokładnie posprzątałam po wczorajszych wydarzeniach. Obok kanapy znajdują się ślady krwi lub wina, w słońcu lśnią małe drobinki szkła, migoczące niczym kamienie w rzece. Staję przy zlewie i odwijam czerwonobrazowy bandaż. Moja prawa dłoń jest spuchnięta i sina, gdy delikatnie zginam palce, z rany na środku wydobywają się świeże, czarne krople krwi. Moczę wacik w jodynie i przykładam go do rany,

zamykając oczy z bólu, potem zostawiam wacik i owijam mocno dłoń kolejnym długim kawałkiem bandaża. Później klękam i wycieram podłogę kilkoma mokrymi kawałkami waty.

Wstaję i wyglądam przez okno. Nad lasem unosi się złowroga mgła, nadająca słabemu lutowemu słońcu mleczną poświatę. Chcę tam być, przechadzać się powoli po lesie bez żadnego planu, bez celu. Otwieram drzwi i kilka razy wdycham zimne powietrze. Mam dzisiaj więcej zapału, chcę zrobić coś więcej niż tylko siedzieć w domu. Czuję wibrowanie w kieszeni, dostaję wiadomość od Sindrego.

Cześć, kochanie, próbowałem się do ciebie dodzwonić wczoraj wieczorem, ale nie odbierałaś. Kolacja przeciągnęła się do późnego wieczora. Wszystko w porządku? Wygląda na to, że powinienem zostać tu kolejny dzień – mogę przełożyć lot na jutro po południu?

Biorę kilka kolejnych oddechów zaniepokojona faktem, że odczuwam nagłą ulgę. Postanawiam pospacerować po lesie. Najpierw jednak rozmowa telefoniczna. Właśnie sobie uświadomiłam, w jaki sposób mogę przeprosić Iselin za moje dziwne zachowanie.

– Słucham? – Iselin odbiera po pierwszym sygnale. Nie przemyślałam sobie tego wszystkiego dokładnie i na dźwięk jej głosu zdaję sobie sprawę, że muszę działać bardzo ostrożnie.

– Och, cześć – mówię cicho. – Tak. Z tej strony Alison. Chciałam cię przeprosić za wczorajszy wieczór.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiada ostrożnie. – Wszystko w porządku?

– Tak, zdecydowanie. Wyglądało to o wiele gorzej, niż było w rzeczywistości. To tylko mała rana. W każdym razie, posłuchaj. Powiedziałaś, że chcesz więcej pracować. Jesteś taka utalentowana – dzisiaj rano powiesiłam twoje obrazki i one naprawdę wyróżniają się na tle innych prac. – Zerkam w stronę tuby, w której nadal znajdują się obrazki, i nabieram głęboko powietrza, a potem zaczynam mówić dalej: – Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Norwegii, pracowałam dla „Dagbladet”. A jako freelancerka pracowałam dla większości gazet, od „Aftenposten” i „VG” po „KK”. Przez ostatnie trzy lata byłam redaktorką naczelną w „Speilet”. Ja... Teraz musiałam wziąć trochę wolnego, bo... piszę książkę. Może mi się uda. Miałam nadzieję, że tak. Ale... znam wielu ludzi w tym środowisku i wiem, że na dobrych ilustratorów zawsze jest zapotrzebowanie. Czy pomogłoby ci to, że, na przykład, wysłałabym kilka maili do redaktorów z linkami do twoich prac?

Iselin nabiera gwałtownie powietrza, przez chwilę się waha, a potem odpowiada.

– Ja... No cóż, byłoby wspaniale... Ale...

– Świetnie!

– Ale nie chcę, żebyś czuła, że musisz...

– Wcale tak nie czuję. Po prostu przyszło mi do głowy, że w ten sposób mogłabym ci pomóc. Poważnie, jeśli potrzebujesz jakiejś rady czy wskazówki, z chęcią usiądę z tobą przy kawie i o tym porozmawiam. Kiedyś. Jeśli chcesz. – Uświadamiam sobie, że wstrzymuję oddech niczym nastolatka, która zaprasza chłopaka na randkę.

– Jasne – mówi Iselin po krótkiej chwili. – To znaczy, dziękuję.

– Ej, pamiętam jeszcze, jak byłam młoda i zaczynałam, i żałowałam, że nie mam nikogo, kto mógłby mi coś doradzić. Poza tym nie zaszkodzi dostać rekomendację. No i aż do mojego małego wypadku przecież nieźle się wczoraj bawiłyśmy. Miło mi się z tobą rozmawiało.

– Mnie też miło się z tobą rozmawiało – mówi Iselin.

– Mój pasierb ma małego kucyka, do którego jeżdżę kilka razy w tygodniu. Jadę do niego jutro po południu. To w Sørkedalen, więc nie tak daleko od was. Może masz ochotę pójść potem na spacer albo coś takiego? Mogłabym przynieść kilka moich artykułów – zobaczę, czy uda mi się znaleźć kilka z dawnych czasów, kiedy to ilustrowała je Sami Haley. Uwielbiam jej prace – trochę przypominają mi twoje.

– Sami Haley... O rety. Tak, to brzmi naprawdę nieźle. – W głosie Iselin pojawia się teraz ekscytacja. Pochlebstwa działają zawsze i wszędzie – od Frognersteren po Fresno. – Muszę odebrać Kaię o trzeciej, ale możemy spotkać się wcześniej, może o wpół do drugiej? Przydałby mi się spacer, rzadko przebywam na świeżym powietrzu...

Idę szybko przez las, wdychając lodowate powietrze, przyciskając ranną dłoń do klatki piersiowej. Na szczycie długiego wzgórza za naszym domem skręcam w prawo, gdzie droga się rozdziela w kierunku Oslo Vinterpark. Stoję chwilę przy wyciągu narciarskim w dole trasy, obserwując przeważnie puste krzeselka. Po zboczu dla początkujących zjeżdża mała dziewczynka, matka trzyma ją między nogami, coś w posturze dziecka i jego wzroście przypomina mi Amalie. Mrużę oczy i wreszcie widzę twarz dziewczynki, która podnosi gogle

i ustawia się w kolejce do wyciągu. To naprawdę ona. Włosy w odcieniu miodowego blondu, migdałowe oczy, pełne usta. Mrugam gwałtownie i ruszam w ich stronę, one jednak zbliżają się już do początku kolejki, skanują karnety, żeby przedostać się przez barierki, powoli podchodzą do miejsca, w którym wsiada się na krzeselka.

– Ej! – krzyczę, kilka stojących w kolejce osób odwraca się w moją stronę. Dochodzę do nich w chwili, w której podjeżdżają krzeselka. Pracownik przytrzymuje im wyciąg, żeby mogły wsiąść, Amalie z wprawą układa narty między nogami.

– Ej! – krzyczę raz jeszcze, dziewczynka odwraca się w moją stronę, potem jednak jej twarz się marszczy, a ja uświadamiam sobie, że mała nie ma brązowych, migdałowych oczu, ale niebieskie, zimne, i do tego zadarty nos. To, co wzięłam za jasne włosy, to beżowa kreska na kasku. Z przodu wystają pasemka rzadkich, ciemnobrązowych włosów. To nie Amalie, to Kaia, a ja krzyczę. *Nie, nie, nie, nie*, gdy wyciąg rusza, biegnę za nim, przechodzę nad barierkami, ale ktoś mnie łapie i mówi: *Proszę pani, nie, proszę przestać, co pani robi*. Mała nieznajoma, która nie wygląda ani jak Amalie, ani jak Kaia, patrzy na mnie z góry paciorkowatymi, obojętnymi oczami, a ja słyszę wokół siebie coraz głośniejszą kakofonię głosów, klęczę na ubitym śniegu, zamykam oczy i mówię: *Przepraszam, to tylko nieporozumienie, przepraszam, przepraszam*.

W domu popijam herbatą dwie tabletki na uspokojenie. Zdejmuję opatrunek, dotykam nadal świeżej rany, znowu leci krew, gładzę dłonią włosy i pozwalam sobie płakać i płakać, aż niebo staje się ciemne i aksamitne, a na podłodze pojawiają się długie cienie. Biorę do ręki swój telefon i się w nim przeglądam. Widzę przerażoną, wykrzywioną twarz, i zastanawiam się, do kogo mogę zadzwonić. Sindre nie chce o niej rozmawiać. Moja mama jej nie pamięta, nie pamięta już nic, spędza całe dni, wyglądając przez okno domu opieki, gapi się na puste, ochrowe piaski pustyni, rozmawiając sama ze sobą. Oliver jest tylko dzieckiem i nie mogę oczekiwać, że będzie mnie wspierał, to nie fair. Otwieram usta i po prostu wydobywam z siebie głos, który przerywa ciszę salonu.

Mogę porozmawiać tylko z tobą. Ty też nie możesz mnie wspierać, ale będziesz musiała to zrobić. Potrzebny mi kolejny znak. Znak, misiaczku.

Karen Fritz powiedziała, że powinnam pójść do grupy wsparcia dla osób w żałobie, tak żebym mogła spędzać czas z takimi jak ja: byłymi matkami, rodzicami aniołków, ludźmi wykrwawiającymi się na śmierć. Mogłabym tam o niej rozmawiać i ludzie by mnie słuchali; mogłabym mówić o rysowanych przez nią misiach, o tym, że pod stołem zawsze macha nogami, że patrzy w oczy Mgiełki i że stary kucyk uspokaja się natychmiast, tak jakby Amalie rzuciła na niego czar. Byłe matki by mnie słuchały i płakały, a ja tego nie chcę, nie chcę, żeby wspomnienia o niej były już na zawsze skąpane w smutku, żeby sam dźwięk jej imienia wywoływał łzy. Chcę móc normalnie o niej rozmawiać, mówić, że jest zabawna i głupiotka i że nawet gdy była mała, śmiała się radośnie pod wpływem każdego zaskakującego wydarzenia. Nie chcę używać w odniesieniu do niej czasu przeszłego, nigdy się na to nie zgodzę. Chcę, żeby Sindre postrzegał ją w taki sam sposób, żeby o niej rozmawiał i trochę się śmiał, chcę mówić i mówić, i mówić, aż wreszcie odtworzę słowami wszystko, co kiedykolwiek zrobiła, aż wreszcie ją odbuduję, z każdym piegiem na twarzy, każdą blizną i miną. Ale nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

Rozdział 38

Alison

Właśnie mam wyjść, gdy dzwoni telefon. Włączam automatyczną sekretarkę i pokój wypełnia głos Karen Fritz. Jest to głos osoby, która próbuje porozumieć się z kimś innym z mostu, znajoma łagodność jej głosu sprawia, że na chwilę zamieram z dłonią na klamce.

– Alison. Ali. To ja, Karen. Jeśli mnie słyszysz, proszę, odbierz. Dzisiejsza sesja była siódmą, którą opuściłaś. Bardzo się o ciebie martwię. Proszę, oddzwoń do mnie. Jeśli przyjdzie do mnie jest dla ciebie zbyt trudne, ja przyjadę do ciebie. Alison. Jesteś tam?

Wychodzę na zewnątrz i zamykam drzwi. Pada gęsty śnieg, mokre płatki pokrywają moje włosy, gdy idę szybko do samochodu.

Na Røa przejeżdżam na czerwonym świetle, nie celowo, ale dlatego, że jechałam za szybko i zdaję sobie sprawę z tego, że jest czerwone, dopiero za skrzyżowaniem. Samochód skręcający w prawo musi ostro hamować, ślizga się i przejeżdża na sąsiedni pas ruchu. Na szczęście jest pusty, ale ja zatrzymuję się jak najszybciej, koła mojego samochodu zapadają się w dziewiczym śniegu na czyimś podjeździe. Otwieram lusterko od strony kierowcy, zapala się małe światło. Patrzę na siebie. Nadal tu jestem. Mięsiasta, sucha skóra zebrała się w kącikach moich oczu, ciągnie je w dół, przez co wydaję się stale zmęczona. Moja twarz jest bardzo blada, policzki pod wystającymi kośćmi policzkowymi są zapadnięte, wyglądam na chorą. Włosy, niefarbowane od końca maja, są tłuste i związane w koński ogon, poprzetykany siwymi pasemkami. Jestem zszokowana tym, jak źle wyglądam – mam czterdzieści cztery lata, ale w pół roku postarzałam się o dekadę.

Próbuję sobie przypomnieć, jak kiedyś wyglądałam, wtedy gdy byłam nastolatką z Kalifornii. Pamiętam, że wszystkie moje kolory zdawały się

nabierać ciepłych, złocistych odcieni – moje naturalnie rozjaśnione włosy po wielu godzinach surfowania i biegania po plaży, opalona skóra i miodowe plamki w źrenicach. Musiałam wyglądać jak typowa kalifornijska nastolatka. A teraz pozostała ze mnie szara, kurcząca się skorupa. Otwieram drzwi i wychodzę na zewnątrz. Robię kilka kroków do przodu, potem rozstawiam stopy na śniegu i wracam po własnych śladach, tak że wygląda na to, jakby ktoś rozpląnął się w powietrzu.

– Powinnaś tu być.

Rozglądam się wokół, by sprawdzić, kto to powiedział, ale nikogo nie ma, wszędzie tylko samochody jadące powoli w jedną stronę do Holmenkollen i w drugą do Ullern, a na tle ponurego, ciemniejszego nieba widać śnieg. Słyszę te słowa tak wyraźnie jak mokry chrzęst kół w łańcuchach przedzierających się przez gęsty śnieg, tak wyraźnie jak odgłos pędzącego w oddali metra. *Powinnaś tu być*. Czy te słowa dobiegły z mojego wnętrza? Moje serce zaczyna walić, wracam do samochodu i włączam silnik. Znowu na siebie patrzę, tym razem bez ostrzeżenia, i nagle czuję ogromne współczucie dla spoglądającej na mnie z lustra kobiety. *Nauczę cię, jak wrócić do życia*, myślę, bezdźwięcznie wypowiadając te słowa.

Nie zamierzam poddać się łzom, nie teraz. Nie dam się wessać w najciemniejsze zakamarki mojego umysłu i serca, nie teraz. Pójdę do Mgiełki, a potem spotkam się z Iselin. Postanowiłam zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby im pomóc – niezależnie od tego, że łączą nas dziwne okoliczności związane z przeszczepem – naprawdę chcę, aby Kaia dorastała w stabilnym, komfortowym otoczeniu z matką, która ma jakieś wsparcie. I to właśnie ja mogłabym być tym wsparciem. Spotkanie z Kaią sprawiło, że zaczęła we mnie kiełkować chęć ponownego jej zobaczenia, bycia blisko niej, pomagania jej. Aby pomóc sobie, muszę pomóc jej. Wyjeżdżam powoli z powrotem na drogę i zanim składam klapkę lusterka, rzucam sobie jeszcze jedno, dodające otuchy spojrzenie.

Delikatnie głaszczę Mgiełkę moją zdrową ręką, ale i tak jest niespokojna. Jej szerokie, mądre oczy wpatrują się w ziemię, uszy są ostre i czujne. Czeszę ją przez długi czas, potem przytulam się do jej grzywy, wdycham jej zapach głęboko do płuc. Wymieniam jej wodę, chociaż jest czysta. Przez chwilę stoję i tylko jej się przyglądam. Jest inna niż wcześniej, tak jakby małego konika

ogarnął letarg, spowalniający jego ruchy. Może to wiek – tego lata skończy szesnaście lat. Kiedy Amalie po raz pierwszy na niej jeździła, była zadziornym maluchem; jej malutkie ciało kołysało się w siodle niczym lalka, gdy Mgiełka chodziła po wybiegu.

– Pa – szepczę i odwracam się, by wyjść, ale nagle dostrzegam Olivera. Z dziewczyną.

– Och, cześć, Oliver – mówię. Wygląda na zdenerwowanego i niezbyt zadowolonego z tego, że mnie widzi. Pewnie boi się, że powiem coś żenującego i zawstydzę go w obecności dziewczyny. – Co ty tutaj robisz?

– No cóż, czasami tu przychodzę. No wiesz, po szkole.

– Tak?

– Tak.

– Nie wiedziałam. Ty musisz być Celine. – Mówię, zwracając się do dziewczyny. Jest wysoka i ciemnowłosa, ma delikatną budowę ciała i brązowe oczy. Uśmiecham się, a ona kiwa głową.

– Jestem Alison, macocha Olivera.

– Eeee... tak. Już się wcześniej spotkałyśmy. Kilka tygodni temu? W waszym domu.

Uśmiecham się i próbuję to sobie przypomnieć – chyba pamiętałabym spotkanie z dziewczyną Olivera?

– Och tak. Oczywiście, przepraszam. Miło cię znowu widzieć, Celine. – Gdy się od nich oddalam, czuję na sobie spojrzenie Olivera. Powraca do mnie niejasne wspomnienie; budzę się na kanapie, bo ktoś coś do mnie mówi, mój umysł jest otępiony alkoholem, potem wchodzę na górę, Oliver ciągle idzie za mną, widzę jego oczy w lustrze na szczycie schodów, wpadam na kogoś w drodze do łazienki – Celine. W samochodzie przeczesuję palcami włosy, przypominam sobie poprzedni wieczór, desperację tamtych godzin, picie, szlochanie, rozmowy z Amalie, moją krwawiącą dłoń gładzącą włosy, pozostawiającą groteskowe, czerwonobrazowe ślady. Zerkam we wsteczne lusterko i czuję tę samą siłę, którą czułam wcześniej. *Powinnaś tu być*, szepczę, przez długi czas wytrzymuję własne spojrzenie, aż wreszcie przekręcam kluczyk w stacyjce.

Nie idziemy daleko, jest za zimno, a padający śnieg kasa każdy odsłonięty fragment skóry. Krążąc z Iselin po jej nijakiej podmiejskiej dzielnicy, w której

znajdują się domy jednorodzinne i niskie budynki mieszkalne, opowiadam o moich wczesnych latach pracy w charakterze dziennikarki.

– Czyli tak po prostu wyprowadziłaś się z domu do Stambułu?

– Tak. Podróżowałam przez kilka lat, zarabiałam na życie jako niezależna tłumaczka i okazjonalnie sprzedawałam artykuły podróżnicze, w pewnym okresie sprzedawałam bransoletki na plaży na Bali, potem w Tajlandii. Zaczęłam wtedy trochę pisać dla „Lonely Planet”. Najpierw ze Stambułu, a potem z Kirgistanu. Następnie wróciłam do Europy i zaczęłam pisać coraz więcej i więcej.

– To musiało być takie fascynujące.

– To było niesamowite. Uwielbiałam uczyć się nowych języków i poznawać różne kultury. Zwłaszcza Azji Środkowej. I Tajlandii. Tam jest tak pięknie, a ludzie, krajobrazy, jedzenie, wszystko to jest absolutnie niesamowite.

– To musiał być dla ciebie szok.

– I tak, i nie. Wychowałam się w Walnut Creek, w rejonie Zatoki San Francisco. Można by powiedzieć, że była to dość elegancka okolica. Ale nawet jako dziecko zdawałam sobie sprawę z tego, że to nie było prawdziwe życie. I zawsze chciałam poznać nowe miejsca i kultury.

– Tak. Ja też taka byłam. – Iselin patrzy na mnie, widzę na jej twarzy wyraz niekłamanego podziwu.

– Tak? A gdzie dorastałaś, Iselin?

– W Nordlandzie. W najbardziej przytłaczającym miejscu, jakie można sobie wyobrazić. To znaczy, było tam pięknie, ale zawsze miałam wrażenie, że życie toczy się gdzie indziej, wiesz?

– Och, wiem. Miałam tak samo.

Śmiejemy się i widzę, że przekonuję Iselin do siebie. Zatrzymujemy się przed ich mieszkaniem, mam jednak wrażenie, że ona wcale nie chce kończyć tego spotkania.

– Powinam już iść – mówię. – Musisz iść po Kaię.

– Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną, a potem wrócimy do nas na kawę albo coś... Oczywiście o ile masz czas.

– Brzmi świetnie – odpowiadam.

Iselin ma dwadzieścia sześć lat. Trudno uwierzyć, że już jest matką siedmioletniego dziecka, próbuję wyobrazić sobie siebie w jej sytuacji w tym wieku. A co, gdybym miała dziecko z moim chłopakiem z liceum, Chudym Rudym – nazywaliśmy go tak, bo miał gęste, rude włosy. Czy skończyłabym właśnie tam, na niewielkich wzgórzach rejonu Zatoki, mieszkając

w bungalowie i wychowując rude dzieci, które byłyby teraz po dwudziestce? Patrzę na Iselin, gdy zbliżamy się do szkoły, widzę, że jest bardzo młoda i łagodna, a mimo wszystko pod powierzchnią jest coś twardego. Zastanawiam się, czy żałuje. Na myśl o tym, że jakakolwiek kobieta mogłaby żałować bycia matką, robi mi się zimno. Mam ochotę złapać ją za rękę, zmusić ją, żeby na mnie spojrzała, i wrzasnąć: *Ciesz się każdą chwilą, bo... spójrz na mnie! Spójrz mi w oczy!*

– Cześć, mammo! – woła Kaia, siedząca na dolnym szczebelku czerwonej piramidy do wspinaczek na placu zabaw. A potem: – Cześć, Alison! – Jestem tak zaskoczona tym, że pamięta moje imię, że ze zdziwienia otwieram usta. Prawą dłoń przyciskam do boku, macham delikatnie lewą ręką. Kaia zeskakuje z drabinki i biegnie w naszą stronę, rzuca się w ramiona Iselin i natychmiast podnosi nogi, tak jak samolot, który wzbija się w powietrze, tak że Iselin musi utrzymywać cały jej ciężar. Patrzy bezczelnie na mnie, a ja zauważam, że nie ma już bandażu, a w jego miejscu na czole jest mała blizna.

– Cześć – mówię. – Ale wy tu macie świetny plac zabaw.

– Tak. – Kaia podchodzi do mnie i z zaskoczenia się do mnie przytula.

– Co to za zapach? – pyta, wtulając twarz w moją talię.

– Kaiu! – mówi Iselin. – Nie bądź niegrzeczna!

– To od... eee... naszego konia – mówię. – Mgiełki.

– Masz konia? – Wielkie oczy Kai robią się jeszcze większe.

– Tak. Przez większość czasu zajmuje się nim ktoś inny, ale tak.

– Dlaczego ktoś inny się nim zajmuje?

– Bo, no cóż, ja nie mam czasu, żeby codziennie do niego chodzić.

– Bo jesteś dziennikarką!

Uśmiecham się.

– Tak, jestem. Ale teraz aż tyle nie pracuję. Ja... wzięłam trochę wolnego. – Przerывam i skupiam się na tym, by mój głos był spokojny i opanowany. – Ale niedługo znowu wrócę do pracy. Do pisania i w ogóle.

Kaia ściąga brwi i dociera do mnie, że ona oczywiście nie ma pojęcia, o czym mówię.

– Moja mama nie pracuje.

– Kaiu... – mówi Iselin.

– Twoja mama pracuje – odpowiadam. – To bardzo utalentowana artystka.

– To nie jest praca.

– Oczywiście, że tak – mówię i rzucam Iselin pokrzepiające spojrzenie. Kaia biegnie kilka metrów przed nami aż do mieszkania, potem odwraca się przy drzwiach i uśmiecha się promiennie. Zauważam, jak bardzo jest blada i niska jak na swój wiek. Jak takie małe dziecko musiało się czuć ze świadomością, że prawdopodobnie umrze? Amalie nie miała pojęcia o niebezpieczeństwie ani o śmierci. Ja i Sindre stworzyliśmy wokół niej bańkę, pragnęliśmy uwierzyć, że nic nigdy nie może się jej stać. Przelykam głośno ślinę i uśmiecham się słabo do Kai, która prowadzi mnie do swojego domu.

Ciągnie mnie na podniszczony, zielony fotel z pęknięciem zakrytym wielką poduchą, i siada na podłokietniku, ale Iselin delikatnie prowadzi ją do sofy w niebiesko-białe paski naprzeciwko mnie i obejmuje ją ręką, tak jakby bała się, że mała zaraz pofrunie jak balon. Rozglądam się po mieszkaniu, próbuję poradzić sobie z tą dziwną sytuacją. Salon jest mały i zagracony, z wepchniętymi pod sofę pudełkami na buty, lalkami gapiącymi się na nas z pudła przy oknie, z klockami lego leżącymi na dywanie. Zastanawiam się, co Amalie zrobiłaby w tej dusznej, brudnej przestrzeni. Nie potrafię jej sobie tutaj wyobrazić, siedzącej przy pudle z zabawkami, wyciągającej plastikowe elementy i składającej je w całość.

– Gdybym miała konia, chodziłabym do niego i oglądałabym go codziennie – mówi Kaia.

– Na pewno – mówię łagodnie, pozwalając, by para z zielonej herbaty, którą zaparzyła mi Iselin, owiała mi twarz.

– Jak on się nazywa?

– To dziewczynka. Nazywa się Mgiełka.

– Mgiełka! Podoba mi się to imię!

Uśmiecham się i dyskretnie rozglądam się po pokoju. Przez półotwarte drzwi prowadzące do jedynej, jak przypuszczam, sypialni, widzę stos leżących na podłodze ubrań. Głęboko współczuję Kai i Iselin, mieszkającym w tym ciasnym mieszkaniu, najprawdopodobniej pierwotnie zbudowanym jako piwnica dla właścicieli domu. Jest tu też bardzo chłodno, mróz zbiera się we framugach okien, podłoga jest szokująco zimna. Przez chwilę pragnę zabrać je ze sobą do domu, pozwolić im mieszkać ze mną i Sindrem w Ullveien. Wyobrażam sobie Kaię, bawiącą się cicho przy biurku Amalie, Iselin w kuchni, wyjmującą ze zmywarki, rozmawiającą z Oliverem. Pod wpływem tej niemożliwej do zrealizowania fantazji tępy ból rozprzestrzenia się w moim brzuchu. Wstaję.

– Alison, wszystko w porządku? – pyta Iselin. Nabieram głęboko powietrza, myśląc o spokojnych chwilach w stajni ze stojącą obok mnie Mgiełką, i natychmiast bardziej się skupiam. *Powinnaś tu być.* Tutaj, na świecie, ale nie tutaj, w tym domu, z tą małą dziewczynką i jej matką.

– Tak – szepczę i odchrząkuję. – Czy mogę skorzystać z łazienki?

Szybko wyjmuję z kieszeni kurtki środki uspokajające, a potem siadam na opuszczonej klapie sedesu i połykam dwie tabletki bez popicia. Skupiam się na utrzymaniu głębokiego i równego oddechu. Staram się oddzielić myśli i emocje wirujące w mojej głowie – samo przebywanie w otoczeniu Kai sprawia, że czuję, jak moje wnętrze robi się gorące i płynne. Gdyby Sindre wiedział, gdzie jestem w tej chwili, prawdopodobnie kazałby mnie poćwiartować. To chyba właśnie tak czuje się człowiek, który szaleje. Myśleć o jednej rzeczy i wiedzieć każdą komórką w mózgu, co jest właściwe, a co nie, a potem robić coś zupełnie przeciwnego. Bo serce ci każe. Ale serca nie mogą mówić.

Owszem, mogą.

To tak, jakby słowa były wypowiedane w mojej głowie. Próbuję przypomnieć sobie twarz mego męża – myślenie o nim zawsze przywracało mi równowagę – ale teraz to już nie działa. Nie potrafię przywołać jego twarzy w myślach, żeby się na niej skupić. Mam dziwne wrażenie, ale mój umysł jest za bardzo rozchwiany całą tą sytuacją, żebym mogła we właściwy sposób zrozumieć, co to oznacza. Genewa. Znowu jest w Genewie. Nie wiem, gdzie się zatrzymał ani z kim tam pojechał. Powiedział mi, że zawsze to robi, ale ja nie słuchałam. Nie mam jak się dowiedzieć, czy w ogóle powiedział mi prawdę; może nie ma żadnej konferencji, może nie pojechał tam z żadnym kolegą z Maxicurity, tylko z Mią, kimkolwiek ona jest. Tak jak kiedyś mówił Monice, że jedzie w jedno miejsce, a potem pojechał w inne. Ze mną.

I czy to ma w ogóle jakieś znaczenie? Tak trudno mi cokolwiek poczuć.

Mój umysł się ślizga. Nie potrafię oddzielić jednej myśli od drugiej. Nie mogę pozwolić sobie na utratę przytomności myśli, pozwalając, by mój umysł się rozładował. *To nie jest prawdziwe, Ali. Twój umysł szaleje.* Próbuję przywołać w myślach twarz Karen, ale to też mi nie wychodzi. Niejasno przypominam sobie, że dzwoniła dziś wcześniej, zostawiając kolejną wiadomość głosową. *Ali, to ty?* spytała, jakby naprawdę jej zależało, jakby nie płacono jej tylko za to, żeby się martwiła. *Jeśli nie możesz do mnie przyjechać, ja przyjadę do ciebie.* Ale co zrobiłaby Karen, gdyby zobaczyła mnie w tej chwili, zjadającą tabletki i mrużącą do siebie, siedzącą na zamkniętej muszli klozetowej w malutkiej, ciasnej toalecie? Bałaby się mnie i tego, do czego jestem zdolna.

Ja też się tego boję. Bo dokąd to może prowadzić? Co dobrego może wyniknąć z tego kontaktu z Kaią? Powinnam wymyślić jakąś wymówkę i odejść, a potem wykorzystać sieć moich kontaktów, żeby pomóc Iselin, być może śledzić ją z daleka na Instagramie. A mimo to czuję, że bardzo potrzebuję Kai – tak jakby promieniowało od niej pocieszenie, tak jakby była małą wysepką na tym dzikim i niebezpiecznym oceanie rozpaczy, tak jakby była jedyną rzeczą, której mogę się uczepić.

Przekręcam kurek i zaczynam szukać planu, jakiegoś sposobu, który pomoże mi utrzymać tę kruchą relację. I wtedy doznaję olśnienia. Przychodzi mi do głowy ryzykowny, i może niemoralny, ale jednak plan.

Muszę się trzymać blisko.

– Ej, Kaiu – mówię, siadając naprzeciwko niej. Patrzy na mnie, ja patrzę na nią. W tej chwili jej życie napędza serce Amalie. Mojej córeczki. – Jeździłaś kiedyś na nartach?

Rozdział 39

Alison

Jest już prawie piąta i panuje mrok, gdy zjeżdżam na dworzec autobusowy u podnóża wzgórza. Przez cały dzień padał gęsty śnieg, ale przestał, pozostawiając po sobie głuchy, cichy wieczór. Zdumiewa mnie długa smuga białych gwiazd na niebie; tutaj, z dala od świateł miasta, jest o wiele jaśniej. Pługi śnieżne nie dotarły jeszcze do tej części Norefjell, a mój samochód z napędem 4x4 z trudem przebija się przez luźny, gęsty śnieg. Mijam Ole's Kiosk, budkę z kebabami, stację Shell, wyciąg dla dzieci, na którym Amalie nauczyła się jeździć na nartach. Nadal działa, powoli ciągnąc małe, owinięte kombinezonami ciała, ogromne reflektory rzucają swoją pomarańczową poświatę na śnieg. Przez chwilę zdejmuję nogę z pedału gazu i przyglądam się tym dzieciom. Mam wrażenie, że jest środek nocy, dziwnie jest obserwować małe postacie, przejeżdżające z wprawą przez niebieskie i czerwone bramki.

Na końcu drogi jest miejsce przeznaczone na odpoczynek. Gdy się zbliżam, właśnie odjeżdża autobus. Na krawężniku widzę kształty dwóch czekających osób. Kaia trzyma przed sobą czerwony plecak, z którego wystaje podniszczona maskotka kota. Dziewczynka wpatruje się w ziemię, robi kozakami ślady na świeżym śniegu. Ma na sobie tę samą kurtkę, którą miała, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy w szkole. Przypominam sobie okropną chwilę, kiedy spadła z sanek, kiedy jedyne, czego pragnęłam, to podbiec do niej i uspokoić jej szalejące serce, ale nie mogłam tego zrobić. Przełykam z trudem ślinę i uśmiecham się szeroko, gdy Kaia odrywa wzrok od ziemi, światła reflektorów mojego samochodu oświetlają jej twarz. Zatrzymuję się. Iselin uśmiecha się nerwowo.

– Och, cześć – mówi, kiedy wysiadam na chodnik. Silnik samochodu nadal pracuje, wyrzucając w powietrze mroźne spaliny. – Bardzo dziękuję, że

przyjechałaś.

– Nie ma sprawy – mówię, krótko ją obejmuję, a potem przytulam Kaię, która się nadstawia, ale nie do końca odwzajemnia gest. – Nie przeszkadzało wam, że przyjechałyście autobusem?

– Nie, tak naprawdę to wcale nie jest daleko.

– To jeden z powodów, dla których wybraliśmy Norefjell – mówię, powoli jadąc cichą główną ulicą. – Jest tak blisko Oslo, a my nie chcieliśmy spędzać wielu godzin w samochodzie za każdym razem, gdy zechcemy jechać do domku. – Iselin kiwa głową, a ja patrzę na Kaię w lusterku wstecznym, jej niebieskie oczy błyszczą z ekscytacji na widok dzieci zjeżdżających po łagodnym stoku.

– Od jak dawna macie domek? – pyta Iselin. Podoba mi się, że zawsze stara się wypełnić ciszę. Ja nie jestem już w stanie tego robić, ale doceniam tę cechę w innych ludziach.

– Od jakichś pięciu lat. Kiedy go kupiliśmy, dzieci... eee... Oliver miał dziewięć lat. – Iselin chyba nie zauważyła mojej pomyłki. Gdy przyjechaliśmy tutaj po raz pierwszy, Amalie była niemowlęciem. Dwa tygodnie między Bożym Narodzeniem i Nowy Rokiem spędziłam na wielkiej niebieskiej kanapie przy kominku, wpatrując się w jej miękką dziecięcą twarz, poznając jej rysy, reagując na każdą potrzebę, trzymając ją za rękę podczas snu. Iselin coś mówi, ale mój umysł znowu traci orientację.

– Co? – pytam, odwracam się do niej, ostrożnie się uśmiecham.

– Jest zielone – mówi łagodnie, a ja dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że chodzi jej o zielone światła na skrzyżowaniu. Kiwam głową, włączam kierunkowskaz i skręcam w lewo, koła kilka razy się obracają, zanim odzyskują przyczepność.

– Więc twój syn ma ile? Czternaście lat, tak?

– Pasierb – poprawiam ją, starając się zachować spokojny głos. – Tak. Oliver niedawno skończył czternaście lat. To wspaniały dzieciak. Teraz w tym wieku, no wiesz... – urywam, bo znowu skupiłam się na licznych gwiazdach nad zasypanymi śniegiem drzewami na ostatnim odcinku drogi przed domkiem. Muszę wziąć się w garść, inaczej Iselin pomyśli, że jestem zupełnie stuknięta. – Tak. No więc, jest w wieku, w którym chodzi wyłącznie o przyjaciół. Mieszka ze mną i moim mężem co drugi tydzień, i świetnie, ale zazwyczaj albo wychodzi z kolegami, albo zamyka się w swoim pokoju i gra w gry wideo.

– Tak – mówi Iselin, uśmiecha się do mnie przyjaźnie, a następnie odwraca się, aby spojrzeć za szybę, gdy podjeżdżam pod nasz mały domek, Blåkroken „niebieski zakątek”. Nazwaliśmy go tak ze względu na pięknie rzeźbione

okiennice w kolorze indygo. Dom ledwo jest ledwo widoczny z zewnątrz, ale zostawiam włączone światła i pomiędzy wysokimi drzewami rosnącymi wokół miejsca parkingowego widać delikatny blask okien. Myślę o naszych pierwszych kilku zimach, które były znacznie chłodniejsze niż ostatnie, i przypominam sobie, że często budziłam się w tęym, szarym świetle, bo śnieg zasypał większość okien. Sindre i Oliver nas odkopywali, pamiętam ich twarze czerwone z wysiłku i ekscytacji, podczas gdy ja i Amalie bawiłyśmy się na dywanie przed kominkiem, a w pokoju powoli robiło się coraz jaśniej, w miarę jak chłopcy usuwali śnieg. W moich wspomnieniach jej słodka dziecięca twarz mieniąca się w migoczącym świetle ognia jest tak wyraźna, jakby teraz siedziała przede mną, małe zajęte rączki bawiące się zabawkami, usteczka zaciśnięte w skupieniu, delikatne blond niemowlęce włoski przyklepione z tyłu głowy, wytarte od poduszki.

– Wow – mówi jakiś głos, głośno przerywając moje rozmyślenia. – Jest taki uroczy! – Kaia brnie w stronę domku przez gęsty śnieg, nie idzie ścieżką wśród drzew, którą odśnieżyłam przed ich przyjazdem.

– Tam, Kaiu – mówię, ale mój głos przypomina ledwie szept, poza tym i tak jest za późno, Kaia znajduje się w śniegu po uda, głośno chichocze i na jej widok ja też zaczynam się śmiać. Gdy wchodzimy do ciepłego domku, cała nasza trójka rozmawia i się śmieje niczym stare przyjaciółki i przez ułamek sekundy znów czuję się silna, żywa.

– Twój pokój jest drugi po lewej stronie – mówię, a Kaia pędzi wąskim korytarzem, by go zobaczyć. Biorę kurtkę od Iselin, wieszam ją w szafie i uśmiechamy się do siebie, słysząc dobiegający z sypialni podekscytowany głos Kai.

Blåkroken ma trzy sypialnie: jedną dla dzieci, jedną dla gości i jedną dla Sindrego i dla mnie. Kaia dostała pokój dla dzieci, chociaż zastanawiałam się, czy dam radę to znieść. To wąskie pomieszczenie z wbudowanym w ścianę piętrowym łóżkiem. Oliver zawsze śpi na górze, bezpośrednio pod sufitem; wyobrażam sobie, że Kaia też może będzie tam spać. W ciągu dnia Amalie lubiła się tam bawić, zasłaniała zasłony w biało-niebieską kratkę, tworzyła własną przytulną przestrzeń i bawiła się w swoim świetle, rozmawiając z lalkami. Siłą odrywam swój umysł od tego wspomnienia.

– Ty tutaj – mówię do Iselin i pokazuję jej pokój gościnny z pokrytymi drewnem ścianami i dużym łóżkiem. U jego stóp leży skóra niedźwiedzia brunatnego, zastrzelonego przez ojca Sindrego w Trysilu.

– Cudownie tu – mówi i podchodzi do okna, z którego rozpościera się widok na dolinę. Jest to uroczy pokój, najładniejszy ze wszystkich w tym domku – Sindre i ja chcieliśmy najpierw wykończyć pokój gościnny, potem jednak nigdy nie udało się ukończyć naszej własnej sypialni.

– Dam ci chwilę, żebyś się rozpakowała – mówię.

W kuchni otwieram butelkę Barolo, którą znajduję na stojaku na wino. Wydaje mi się, że jest to jedno z drogich win Sindrego – i bardzo dobrze, chcę, by Iselin czuła się rozpieszczana. I chcę jej zaimponować. Kręcę winem w kieliszku, napawam się jego ostrym bogactwem i intensywnym, czarnowiśniowym odcieniem. Gdy podnoszę wzrok, nagle widzę Kaię siedzącą na długiej drewnianej ławce, ciągnącej się pod oknami kuchni. Dziewczynka trzyma długopis nad białą kartką papieru.

– Och, cześć, Kaiu – mówię, moje serce zaczyna walić. – Wystraszyłaś mnie. – Nie odzywa się, tylko cały czas na mnie patrzy, pod wpływem jej chłodnego niebieskiego wzroku zaczynam odczuwać irracjonalne zdenerwowanie. – Ej, lubisz grać w planszówki? – Kaia patrzy na mnie beznamiętnie.

– Gdzie twoja córeczka? – pyta. Zamieram, zaciskam palce wokół kruchego kieliszka z winem. Pamiętam, jak to się skończyło ostatnim razem – nadal boli mnie ręka – i odstawiam kieliszek na blat, a potem odwracam się od Kai. Serce szaleje w mojej piersi, wbijam paznokcie w dłonie. Udaję, że szukam czegoś w szafce nad zlewem, robię kilka głębokich wdechów, a potem ponownie się odwracam.

– Kaiu, mam syna. Olivera. Pasierba. – Mój głos przypomina ledwie szept.

– Nie masz dziewczynki?

– Nie – odpowiadam z bólem serca. Patrzę na krwistoczerwone wino. Ponownie podnoszę kieliszek i piję. Zamykam oczy, bo czuję, że zaraz mogą popłynąć łzy.

– Ale... Ale czyje to jest? – patrzę na półkę obok kominka w salonie, którą wskazuje Kaia. Między dwoma pustymi wazonami siedzi tam jedna z Barbie Amalie. Wydawało mi się, że przed przybyciem Iselin i Kai usunęłam wszelkie ślady po niej: dwa pudła zabawek i ubrań trafiły na strych, jej małe drewniane łóżko, stojące przy naszym łóżku w sypialni, zostało rozłożone i ułożone na pudłach. Po wszystkim położyłam się na naszym łóżku, wpatrując się we wzory na drewnie na suficie tak długo, aż niebo stało się jasnopurpurowe.

– Ach, to – mówię, zmuszając się do radosnego, ostrego śmiechu. Przechodzę przez pokój, żeby wziąć lalkę. Doskonale ją pamiętam, to jej Amalie obcięła włosy nożyczkami do paznokci; nakrzyczałam na nią za to. Pamiętam jej

mokrą, smutną twarz, włosy Barbie unoszące się na pełnej mydlin wodzie w wannie. *Jeśli będziesz niszczyć lalki, już nigdy żadnej ci nie kupię*, powiedziałam, gniewnie wyciągając ją z wanny za chudą, śliską rękę. Gładzę teraz palcem boba lalki i odczuwam taki żal, że prawie nie mogę oddychać.

– Mogę się nią pobawić? – pyta Kaia. Ponownie się do niej odwracam, może zauważa coś w moim wyrazie twarzy, bo nagle spuszcza wzrok na leżącą na stole kartkę papieru i zaczyna rysować długą, drżącą kreskę. Otwieram usta, by powiedzieć: *Nie, nie, Kaiu, nie możesz się nią bawić, bo nie jest twoja. Należy do Amalie. Tak samo jak bijące w tobie serce. Należy do Amalie. Nie należy do ciebie i nigdy nie będzie należeć*. Nie wydobywam z siebie żadnych słów, a potem do pokoju wchodzi Iselin, zupełnie nieprzygotowana na panującą tutaj napiętą atmosferę. Nie chcę, żeby ją wyczuła. Nie może dowiedzieć się, kim jestem, bo wyjdę na kompletną wariatkę.

– Proszę – mówię i kładę lalkę na stole przez Kaię. Uśmiecham się do niej. – Zostawiła ją córka przyjaciółki. Może chcesz się nią pobawić? – Kaia patrzy na lalkę, na jej brudną żółtą sukienkę, wyciągnięte ręce, pusty plastikowy uśmiech i krzywo obcięte włosy.

– W porządku – mówi, patrząc ponownie na swój rysunek, który przypomina już ten domek, otoczony drzewami. Na niebie wisi uśmiechnięty księżyc. – Nie lubię Barbie.

– Kaiu – mówi Iselin. – Nie bądź niegrzeczna. Odkąd to nie lubisz Barbie? – Iselin przewraca oczami i robi dobrze znaną mi minę zmęczonej matki, a ja uśmiecham się tak ciepło, jak tylko potrafię.

– Dobrze – zabieram lalkę ze stołu.

Wkładam ją do szafki w kuchni i nalewam Iselin duży kieliszek wina. Bardzo chętnie go bierze.

– A może pogramy w kości?

Gdy Kaia idzie spać po kilku rundkach kości i zjedzeniu krakersów domowej roboty z brązowym serem, jest prawie dziewiąta. Podobały jej się gry, jej mała twarzyczka się rozpromieniała, małe ręce machały z ekscytacji, a w moim sercu pojawiało się coraz więcej uczuć dla tej obcej dziewczynki. Było też coś innego, coś mroczniejszego.

Iselin jest z nią w pokoju od dłuższego czasu, siedzę przy kominku i słyszę ich stłumione głosy i okazjonalny przytłumiony śmiech. Wreszcie, po półgodzinie,

udało mi się rozpalić ogień. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie przyjeżdżałam tutaj bez Sindrego. Mój umysł jest przyjemnie zamglony od wina, wpatruję się w wijące się płomienie. Telefon wibruje mi w kieszeni, najpierw raz, potem nagle drugi. Wyjmuję go i patrzę na ekran, tak niepasujący do tego huczącego ognia, starego drewna i głębokiego śniegu.

Wylądowałam, czytamy w pierwszej wiadomości. A potem: Tęskniłem za tobą. Będę za 45 min. S x

Staram się myśleć, ale mój umysł jest śliski i miękki. Jest czwartek. Przecież w ostatniej wiadomości napisał, że musi przedłużyć swój pobyt w Genewie. Prawda? Zastanawiam się, czy spodobały mu się obrazki Iselin – poprzedniego dnia je oprawiłam i zawiesiłam w salonie. Myślałam, że będę miała okazję, by w łagodny sposób przygotować go na ten widok, ale teraz on będzie w domu przede mną. Chociaż, znając mojego męża, być może wcale sobie nie uświadomi, że wcześniej ich tam nie było. Postanawiam nic nie mówić.

Cześć, kochanie, odpisuję. Myślałam, że nie będzie cię jeszcze przez kilka dni – pojechałam do Blåkroken. Jest dużo śniegu, wracam w sobotę.

Chwilę później mój telefon wibruje raz jeszcze.

Pojechałaś sama?

Tak, odpisuję.

Wszystko w porządku?

Dawno nie było tak dobrze, odpisuję. Nie martw się. A x

– Boże, czasami strasznie trudno ją uspić – mówi Iselin i siada na sofie obok mnie w chwili, w której po raz ostatni wciskam „Wyślij”. Sięga po kieliszek z dolanym winem.

– Tak?

– Tak. Kiedyś nie było z tym najmniejszego problemu. Pewnie dlatego, że brała dużo leków. Nieważne. Teraz jest już wszystko dobrze.

– Zasnęła?

– Nie do końca, ale za minutę odpłynie. Bardzo jej się tu podoba.

– Och, to dobrze. To wspaniałe miejsce dla dzieci. Rano spodoba jej się jeszcze bardziej, będzie mogła zeskakiwać w śnieg z dachu.

– O rety. Tak, będzie zachwycona. To jakieś szaleństwo... Zaledwie rok temu nigdy nie byłaby w stanie robić takich rzeczy, wiesz? Dosłownie padała na kanapę przed telewizorem albo drzemała, i tak przez większość czasu. Modliłam się z całych sił, żeby jej się udało, żeby jakimś cudem była jednym z tych dzieci, które mają szczęście, i oczywiście szaleję z radości, że wszystko tak dobrze poszło. Czasami jednak tego nie ogarniam. Ktoś sugeruje, że Kaia

mogłaby coś zrobić, a ja otwieram usta, by wypowiedzieć słowa, które mówiłam już tyle razy: „Niestety, Kaia nie może tego zrobić”. Ale teraz może.

– To oczekiwanie musiało być straszne.

– To prawda. To było po prostu... nieludzkie... Miałam wrażenie, że przez większość czasu czekamy na śmierć, a nie na życie. Życie nie wydawało się rzeczywistą opcją.

– Po prostu czekaliście na czyjąś śmierć – mówię, z całych sił skupiając się na tym, by zachować neutralny głos.

– Właśnie. – Przez chwilę milczałyśmy, Iselin wyglądała przez znajdujące się obok kominka okno, w którym wysoko na niebie pojawił się księżyc.

– Modliłam się, żeby ktoś umarł – mówi. – To brzmi okropnie. Ale to prawda. Nigdy nie chciałabym, by zmarło dziecko innej matki, ale w takiej sytuacji człowieka ogarnia krańcowa desperacja.

– Wyobrażam sobie – mówię, ale wcale sobie tego nie wyobrażam, nie chcę sobie wyobrażać. Teraz ją nienawidzę. Czy ta kobieta tak mocno pragnęła śmierci innego dziecka, że jakimś cudem doprowadziła do tego, co przytrafiło się Amalie? *Ludzkie myśli nie mają wpływu na to, co dzieje się w życiu*, mówi Karen Fritz, ale tak naprawdę to co ona może wiedzieć? Co może wiedzieć ktokolwiek z nas? Podnoszę kieliszek z winem, wpatruję się w nie, moja buzia się w nim odbija... mogłabym rzucić nim w jej twarz, oderwać skórę od kości. Albo mogłabym... *Przestań, Ali, przestań*. Muszę trzymać się rzeczywistości. Iselin nic już nie mówi, najwyraźniej nasza przedłużająca się cisza jej pasuje. Patrzę na nią kątem oka i znowu uderza mnie to, jak bardzo jest młoda – jej skóra nadal jest miękka i napięta, nie to, co skóra trzydziesto- lub czterdziestolatki. Muszę znaleźć w sobie dla niej współczucie, jakiś wspólny teren. Będę mogła być blisko mojego dziecka tylko wtedy, gdy będę blisko tej kobiety. Zastanawiam się, czego ona ode mnie chce. Czy ona naprawdę wierzy, że możemy zostać przyjaciółkami? Muszę sprawić, by uwierzyła. A może chce tylko pomocy w karierze?

– Wiesz, bardzo się cieszę, że przyjechałyście – mówię. – Zaslugujecie na krótki urlop. Jeśli na przykład chcesz jutro pójść do hotelu i skorzystać ze spa, to ja chętnie popilnuję Kaię na nartach. – Twarz Iselin rozpromienia się na myśl o kilku godzinach spędzonych w samotności, potem jednak jej uśmiech gaśnie, pozostawiając po sobie delikatne zdenerwowanie. Pewnie martwi się o pieniądze. – Jesteśmy członkami – mówię. – Możesz skorzystać ze wszystkiego za darmo.

– Boże, to byłoby wspaniałe. – Dolewam jej wina, wybucha śmiechem. – To wszystko jest takie miłe! Ale jestem trochę pijana...

– Miłe uczucie, prawda? – mówię, uderzając kieliszkiem w jej kieliszek. Obie się śmiejemy. – Spójrz na księżyc – dodaję. – Znowu będzie padać śnieg.

– Skąd wiesz?

– Widzisz ten czerwony pierścień wokół niego?

– Tak?

– To oznacza śnieg.

Miałam rację. Budzę się w środku nocy, żeby pójść do łazienki, i na chwilę zatrzymuję się przy oknie w mojej sypialni. Widzę gęsty śnieg i wiatr, szalejący po zboczach gór. Przez chwilę rozważam wyjście na zewnątrz, bosy i w koszuli nocnej, tak by każdy płatek śniegu, który wylądował na mojej skórze, przypominał ukłucie sztyletu. Zamiast tego człapię korytarzem w stronę łazienki. Kiedy mijam pokój Kai, słyszę jakieś dziwne dźwięki. Wzdrygam się i podchodzę do drzwi. Nic sobie nie wyobraziłam, Kaia chyba płacze, może przez sen. Zerkam w stronę pokoju gościnnego i staję w bezruchu. Słyszę tylko stłumiony płacz dziecka. Iselin pewnie głęboko śpi. Gdy szła do łóżka, była tak pijana, że ledwo mówiła.

Uchylam drzwi do pokoju Kai i odgłosy stają się głośniejsze.

– Kaia? – szepczę, ale nie słyszę żadnej odpowiedzi, tylko niewyraźne słowa i cichy płacz. Wchodzę do pokoju i delikatnie podchodzę do piętrowego łóżka. Stanę na niższym i patrzę na górne, przez szparę między zasłonami wpada do pokoju delikatne światło lampy przed domem. Kaia rzuca się na łóżku, nad jej brwiami zebrały się kropelki potu, mała twarz jest wykrzywiona z cierpienia. *Nie*, mówi kilka razy. *Nie. Nie.* A potem: *Pomóż mi.* Władzę nade mną natychmiast przejmuję instynkt macierzyński, chcę chronić to zrozpaczone dziecko. Delikatnie kładę dłoń na jej czole, ale ona nadal nie otwiera oczu.

– Pomóż mi – mówi znowu.

– Ciii – szepczę. Drugą dłoń kładę na jej przyciśniętych mocno do piersi dłoniach. – Ciii, kochanie. – Spina się i nagle czuję pod palcami bicie jej serca. Wali jak dzikie, Kaia krzyczy trochę głośniej.

– Woda! – mówi wyraźnie. – Woda! Pomocy! – Potrząsam mocno jej kościste ramiona, ona musi się obudzić, teraz, *teraz*, i wreszcie otwiera dzikie z przerażenia oczy.

– Mama! – szepcze i wybucha płaczem. – Gdzie jest moja mama?
– Ciii, kochanie – mówię. – Miałaś koszmar. To był tylko sen.
– Śniło mi się, że...
– Ciiii... – przerywam jej.
– Wszędzie była woda. Czarna. Zimna woda. Tonęłam. Nie mogłam oddychać. To tak strasznie bolało. Boję się. – Kaia przesuwa się na łóżku, schodzi po drabince i biegnie korytarzem do pokoju Iselin, głośno płacze, ja jednak nie jestem w stanie się poruszyć. Stoję przez długi czas, słuchając jej płaczu i cichego, uspokajającego głosu Iselin, rozlegającego się między szlochami.

Wcale tak nie było. Ja to wiem. Woda nie była czarna. Ani zimna. Amalie mogła oddychać, ale po prostu już nie potrzebowała. To było jak pływanie w najśłodszej, najbardziej miękkiej chmurze. Jak tańczenie po niebie.

Nie bała się. Muszę wiedzieć, że się nie bała.

Stoję przy oknie, patrząc na padający śnieg, wyglądający jak małe wiórki spadające z nieba.

Znak, misiaczku, szepczę. Zamykam oczy i zaciskam dłonie. Im bardziej je zaciskam, tym bardziej czuję swój puls i wiem, że moim znakiem było silnie bijące serce Amalie, gdy dotknęłam Kai. Ona nadal ze mną jest.

Rozdział 40

Alison

Kiedy się budzę, na dworze jest jeszcze ciemno. Wyciągam telefon spod poduszki i mrużę oczy, patrząc na jasny ekran. Jest wpół do dziewiątej. Siadam i się rozglądam – na zewnątrz wcale nie jest już ciemno, po prostu jesteśmy zasypane. Choć tu, w Blåkroken, zawsze jest cicho, to jest to inny rodzaj ciszy, tak jakby przebywać w zamkniętym pudełku zanurzonej w wodzie. Przypominam sobie koszmar Kai i to, jak bardzo była zdenerwowana, niemożliwe słowa, które wypowiedziała. Po tym, jak poszła do pokoju Iselin, nie spałam kilka godzin, próbując myśleć o czymś innym niż to, co powiedziała. Czarna woda, zimno, strach.

Odpinam metalowe klamry przy oknie i próbuję wypchnąć je na zewnątrz, ale mi się to nie udaje. Ponieważ dom stoi na stromym zboczu, sypialnie z tyłu domu są znacznie bliżej ziemi niż salon i kuchnia z przodu. Idę wąskim korytarzem i nasłuchuję, czy Kaia i Iselin już się obudziły, ale w domu panuje idealna cisza. Tak jak myślałam, z przodu domu sytuacja wygląda o wiele lepiej, śnieg nie sięga nawet do połowy okien. Będę mogła wyjść na zewnątrz przez drzwi na taras i odkopać drzwi wejściowe. Przypominam sobie coś, o czym zapomniałam poprzedniego dnia po wypiciu takiej ilości wina.

Wyjmuję telefon i dzwonię do Norefjell Høyfjellshotell, którego ulotkę trzymamy w szufladzie w kuchni. Kobięcie po drugiej stronie słuchawki podaje dane mojej karty kredytowej i mówię jej, że chcę, by mój gość mógł skorzystać ze wszystkich atrakcji i by dano jej dostęp do wszystkich zabiegów na cały dzień. Kiedy powiedziałam Iselin, że mamy członkostwo w hotelu, nie do końca mówiłam prawdę, chociaż gdy tu przyjeżdżamy, często tam chodzimy. Jestem pewna, że po wszystkich tych latach modlenia się o śmierć cudzego dziecka zasługuje na dzień w spa.

Gdy się rozłączam, telefon zaczyna wibrować mi w dłoni. To Sindre, ale nie chcę z nim teraz rozmawiać; chcę być tu, w tej chwili, w domku, z Iselin i Kaią, z dala od mojego życia w Oslo z mężem. I bez mojej córki. Wbijam do miski cztery jajka i ubijam je razem ze śmietaną i pieprzem. W tym czasie dostaję kilka wiadomości, telefon wibruje na blacie. Sindre ma irytującą tendencję do wysyłania pięciu wiadomości, kiedy może napisać wszystko w jednej.

Dzień dobry, kochanie. Słyszałem w radiu, że w Norefjell spadło dużo śniegu?

Ja i Oliver pomyśleliśmy sobie, że tam wpadniemy.

Wystarczy ci jedzenia, czy mamy zatrzymać się w Noresund? I co to za nowe obrazki? Trochę dziwne?

Zadzwoń do mnie. S x

Jestem tak zaskoczona wiadomościami od męża, że zapominam o stojącej za mną na blacie misce z jajkami, przewracam ją i oślizgła zawartość rozlewa się po blacie, spływa po szafkach i na podłogę.

– Cholera jasna – syczę. Dźgam ekran telefonu, próbując znaleźć numer Sindrego na liście ostatnio wybieranych, ale moje serce wali jak dzikie, a palce są śliskie od jajek. Zanim odbiera, muszę zadzwonić dwa razy.

– Och, cześć, skarbie – mówi i na dźwięk jego głosu nagle pragnę jego obecności, bezpieczeństwa i pocieszenia jego ramion. Co ja wyczyniam?

– Cześć – szepczę.

– Wszystko w porządku, Ali?

– Tak.

– Dostałaś moją wiadomość? Właśnie się pakuję, a potem wsiądziemy do samochodu i do ciebie dołączymy. Oliver nie był tam od zeszłego roku. Pomyślałem sobie, że po południu pojeździmy sobie na nartach.

– Posłuchaj, ja... Naprawdę muszę pobyć sama.

Waha się, nie wiem, czy jest zdenerwowany, czy zmartwiony.

– Ali, nie widziałem cię cały tydzień. Stęskniłem się za tobą.

– Ja też za tobą tęsknię. Wrócę jutro, dobrze? Po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć. – Znowu milknie i wiem, że teraz się martwi. – Kochanie, posłuchaj, nie martw się, dobrze? Naprawdę czuję, że powoli wracam do siebie. Wczoraj był piękny wieczór. Patrzyłam w gwiazdy, ugotowałam sobie kolację i wreszcie trochę tutaj posprzątałam. Potrzebuję pobyć tu sama przez kilka dni. Wiesz, wydaje mi się, że muszę zrobić w swojej głowie przestrzeń, żeby znowu spróbować być sobą. Może nawet wrócić do pracy. Rozumiesz?

– No dobrze – odpowiada mój mąż.

Rozłączam się i wracam do rozlanych jajek, ale nagle tuż za mną staje Kaia.

– Och! Musisz przestać tak się zakradać – mówię, targam jej włosy i się uśmiecham, ona jednak patrzy na mnie poważnie. – Wszystko w porządku? – Powoli kiwa głową, nie jestem w stanie poznać po jej minie, czy zrozumiała, że właśnie okłamałam mojego męża przez telefon.

– Biorę się za sprzątanie tego bałaganu – mówię. – A potem, jeśli będziesz chciała, ty i ja możemy wyjść na zewnątrz i odkopać ze śniegu drzwi wejściowe, co o tym myślisz?

Nieznacznie kiwa głową.

– Czy twoja mama nadal śpi?

Znowu kiwnięcie.

– Gdzie jest ten mężczyzna?

– Jaki mężczyzna?

– Twój mężczyzna.

– Och, masz na myśli Sindrego.

Znowu kiwnięcie.

– Jest w domu. W Oslo. Pracował, więc nie mógł z nami przyjechać.

– Och.

– Czy on jest dużo wyższy od ciebie?

– Umm, tak, jest całkiem duży. Tak, jest trochę wyższy ode mnie – mówię, płucząc szmatkę z jajkiem w gorącej wodzie. Unikam poważnego i wytrącającego z równowagi spojrzenia Kai. – Dlaczego pytasz?

– Bo pomyślałam, że na rysunku wygląda jak olbrzym.

– Na jakim rysunku?

– Na ścianie nad łóżkiem, na którym spałam, jest przyklejony rysunek.

– Co? Pokaż mi! – Próbuję panować nad swoim głosem, ale jest dużo cieńszy, niż powinien, i Kaia patrzy na mnie uważnie.

– Widać go dopiero wtedy, kiedy się położysz. Pewnie narysował go ten duży chłopiec. – Wchodzę do sypialni dzieci, wspinam się na łóżko i rzeczywiście – jest tam rysunek Amalie, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Musiał kosztować ją dużo pracy, widać jednak, że to dzieło małego dziecka. Narysowała ostrą, spiczastą górę, a po jej lewej stronie jesteśmy ja i Sindre – mała kobieta obok gargantuicznego kształtu Sindrego. Po prawej stronie góry narysowała Olivera i siebie, radosną, trzymającą narty i kijki. Odpinam rysunek i bez słowa schodzę na dół, zostawiając Kaię.

– Zimno mi – mówi Kaia, gdy tylko wysiada z samochodu.

– Nic ci nie będzie – odpowiadam, siadam w otwartym samochodzie, zdejmuję uggsy, a potem wkładam ciasne, stare buty narciarskie. Kaia uparła się, że jeśli ma zjeżdżać z góry na nartach, to ja mam zjeżdżać razem z nią. – Gdy dotrzemy na miejsce, nie będziesz czuła chłodu. – Uśmiecham się do niej zachęcająco i patrzymy w górę na długi, łagodny stok i w przeważającej części pusty wyciąg. Nadal jest ciepło, a dzień jest piękny, no i trwa przerwa semestralna, tak więc wkrótce w części dla początkującej zaroi się od dzieci o wiele młodszych od Kai.

Gdy czekamy na swą kolej w wypożyczalni, Kaia podskakuje z ekscytacji. W szopie w domku mam nowiutkie narty Amalie i buty z zeszłego roku, które założyła tylko kilka razy, ale oczywiście nie mogłam o nich wspomnieć, więc przyszyliśmy do wypożyczalni.

– Ile masz lat, skarbie? – pyta młoda kobieta za ladą.

– Siedem – odpowiada Kaia.

– Super. A jakiego rozmiaru masz buty?

– Nie wiem.

– Dobrze. Jaki rozmiar nosi pani słodziak? – Młoda kobieta zwraca się do mnie i patrzy wyczekująco. Ja i Kaia zerkamy na siebie i już otwieram usta, by powiedzieć: „Tak właściwie to nie jestem jej mamą”, ale w tej samej chwili Kaia zdejmuje jeden kozak i odwraca go do góry nogami.

– Tu jest napisane, że jeden!

– Świetnie – mówi dziewczyna i podchodzi do wielkiego regału z butami narciarskimi każdego rozmiaru. Wyjmuje parę metalicznych, fioletowych butów i oczy Kai rozbłyskają.

– Lubisz fioletowy, co? – pytam, niezręcznie gładząc ją po głowie.

– Tak, to mój ulubiony kolor. – Dziewczyna przynosi buty, krótkie różowe narty i fioletowy kask. Kaia zakłada kask, pomagam jej z butami, a potem zamykamy nasze rzeczy w szafce i wyruszamy. Pomagam Kai przypiąć narty i ciągnę ją za kijek w stronę wyciągu. Odwracam się, by na nią spojrzeć, i nagle ogarnia mnie bardzo silne *déjà vu*. Ile razy w ten sam sposób ciągnęłam Amalie? W kasku i goglach Kaia mogłaby uchodzić za moją córkę. Mamy nawet podobne uśmiechy. Patrzę na nią i dziwię się, że nagle porządek jakby wrócił, tak jakby wszechświat się przeorganizował – tak jakbym miała ją z powrotem. Odwracam się i ślizgam się powoli w kierunku wyciągu. Mała, podekscytowana dziewczynka szarpie za mój kij, a pod goglami leją mi się łzy.

Kai bardzo się podobało. Po niecałej godzinie zjeżdżała już sama, ostrożnie omijając pingwinki, bałwanki i małpki umieszczone na trasie, by dzieci ćwiczyły skręcanie. Wracamy do domku po lunchu, na który zjadłyśmy hot dogi z budki obok wyciągu, siedząc obok siebie na ubitym śniegu i patrząc na dolinę i oddalone jezioro Krøderen. Niemalże nie mam odwagi patrzeć na Kaię ze strachu, że wtedy czar pryśnie, magia zniknie. Potem zjeżdżamy na nartach razem, na początku trzymamy się za ręce, potem się rozdzielamy, śmiejemy, i jest to śmiech, w którym nie pobrzmiwa rozpacz. Tylko szczęście.

– Kiedy wróci moja mama? – pyta Kaia. Siedzi na drewnianej ławce pod oknem i rysuje.

– Chyba niedługo. Jest tam już od kilku godzin.

– Tak. A co tam robi?

– Nie wiem, skarbie. Pewnie relaksuje się w saunie, ma masaż i takie tam. Dobrze, że twoja mama ma trochę czasu dla siebie, że może się zrelaksować.

– Dlaczego?

– Bo gdy jest się mamą, trudno jest znaleźć czas dla siebie. – Kaia kiwa głową i zdaje się zastanawiać nad moimi słowami. Zdejmuję z płyty kuchennej mleko, które właśnie zaczęło się gotować, i zalewam nim kawałki czekolady w stojących na blacie kubkach. Mój jest zwykły, niebieski, ale Kai dałam ukochany kubek Amalie – wypłowiały i trochę wyszczerbiony żółty kubek z Goofym. Mieszam napój i czekam na kolejne ukłucie bólu, gdy podam ten kubek innemu dziecku, ale nic się nie dzieje, jest w porządku, więc stawiam go na stole przed Kaią. Patrzy na niego przez kilka chwil, obraca, ogląda Goofy’ego, przejeżdża palcem po jego konturach. Ściąga brwi i spogląda na mnie. Czy zaraz zacznie narzekać, że dałam jej ten stary, podniszczony kubek?

– Dziękuję – mówi. – Jest cudowny.

– Tak? – szepczę, przez chwilę patrząc w swój napój, na którego powierzchni pojawiają się czekoladowe wzorki.

– Tak. Wydaje mi się, że mam taki sam. Albo podobny. Dała mi go chyba Noa.

– Noa?

– Tak, to moja ciocia. Czasami pomaga przy mnie mamie, bo są siostrami i najlepszymi przyjaciółkami i Noa kocha mnie prawie tak samo jak mamusia.

– Ach, to miłe – mówię.

– Tak. Noa mieszka w Paryżu, a ja nigdy tam nie byłam. Mówią tam po francusku.

– Owszem.

– Byłaś tam?

– Tak. Wiele razy. Ale to było dawno temu.

– Nie mogę latać samolotem, bo jestem chora. Nie, byłam chora. Już nie jestem. Może teraz będę mogła latać samolotem? Moja mama też mieszkała w Paryżu, zanim się urodziłam, i mówi, że gdybym nie była chora i nie musiała ciągle jeździć do lekarzy, mogłybyśmy tam mieszkać i byłoby super, bo mamie strasznie się tam podobało i nie chciała stamtąd wyjeżdżać. Wyjechała tylko z mojego powodu.

– Och. Wow, cóż... Jestem pewna, że twoja mama i tak jest bardzo szczęśliwa, że cię ma, nawet jeśli nie dała rady zostać w Paryżu.

Kaia wzrusza ramionami i ponownie wpatruje się w kubek. Ogarnia mnie ogromna potrzeba chronienia tego dziecka, coś mi mówi, że matka nie zawsze skupiała się wyłącznie na niej. Iselin jest taka młoda, wygląda na zestresowaną, to musiało być dla niej trudne. Ale przecież to nie wina Kai. Kaia zasługuje na to, co najlepsze; na matkę, która naprawdę ją dostrzega i nie uważa, że opieka nad nią to swego rodzaju poświęcenie.

– Tak, ale jest smutna, bo musi robić wszystko dla mnie. – Kaia pije gorącą czekoladę i się do mnie uśmiecha, zakładam, że ciągle słyszy takie słowa, a przecież ma dopiero siedem lat i nie rozumie, że matka nie powinna mówić w ten sposób do swojego dziecka. Uderza mnie okrutna pogarda. Próbuję sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek powiedziałam coś takiego Amalie, jestem pewna, że nie. Ale ja urodziłam córkę w wieku trzydziestu ośmiu lat, gdy miałam stabilizację finansową i emocjonalną. Być może nie powinnam osądzać Iselin, ale po prostu nie mogę się powstrzymać od wściekłości na samą myśl, że Kaia mogła poczuć się niechciana. Znowu odczuwam przemożną potrzebę chronienia jej. Gdybym ja była matką Kai, dałabym jej wszystko.

– Co chcesz teraz robić? – pytam.

– Możesz mi coś przeczytać?

– Z chęcią, ale nie wiem, czy mamy tutaj jakieś książki. Minęło już dużo czasu, odkąd dzieci... eee... odkąd Oliver był mały. – Na strychu mam wiele książek, są i te ulubione, i te, których nie dane nam było razem przeczytać. *Gruffalo, Świnka Peppa, Nancy Drew.*

– Możesz opowiedzieć mi historię.

– Kaiu, nie wiem, czy jestem dobra w opowiadaniu historii. Nie znam ich zbyt wiele.

– Tak, chyba tylko mamusie znają różne historie. – Jej słowa trafiają mnie prosto w brzuch, rozrywają moje wnętrze. Przełykam ślinę. To nie jej wina. Jest taka mała i najwyraźniej biedna. Muszę wrócić do wcześniejszych wydarzeń, do jazdy na nartach, gdy miałam wrażenie, że w pewnym sensie świat wrócił na dawne tory. Kiedy czułam, że mogę kochać Kaię tak jak matki kochają swoje dzieci; na zawsze, bezwarunkowo, dziko. Kiedy wydawało mi się, że Amalie jest tuż pod powierzchnią Kai, że jest znowu moja.

– Właściwie, skarbie, to znam pewną opowieść. Moim zdaniem jest całkiem niezła. – Kaia się rozpromienia, a potem podnosi do ust złoty kubek, który zasłania jej twarz. Podchodzę do sofy przy zgaszonym kominku i klepię dłonią puste miejsce obok mnie. Kaia podchodzi i siada bardzo blisko. Kładę rękę na oparciu sofy, Kaia patrzy na mnie wyczekująco.

– No dobrze, to jest opowieść o najpiękniejszym koniu na całym świecie. – Kaia się uśmiecha i składa dłonie. – Pewnego razu był sobie koń arabski zwany Fuego. Był czarny jak smoła, tak czarny, że ani jeden włos na jego ciele nie był brązowy ani nawet szary. Pomimo jego imienia, które oznacza ogień, Fuego był bardzo delikatny. Należał do małej dziewczynki o imieniu Mestifanie, która była księżniczką w kraju zwanym Baravaya. Mieszkała w pałacu większym niż jakiegokolwiek inne miasto w Norwegii – pałacu tak dużym, że pokrywał całą dolinę, otoczoną ośnieżonymi górami.

Kaia jest zachwycona, gapi się na mnie, wtula się w moją rękę. Na chwilę zamykam oczy.

Cześć, misiaczku.

Opowiadam dalej historię, którą tyle razy opowiadałam mojej córeczce. Gdy kończę, Kaia kiwa głową i opiera ją o moje ramię. Siedzimy tak przez długi czas i zastanawiam się, czy powinnam mówić dalej, uzupełnić opowieść, tak jak czasami robiłam to dla Amalie. Głowa Kai jest ciężka, instynktownie unoszę dłoń i głaszczę miękkie włosy. Na zewnątrz niebo zaczyna robić się różowe, wiem, że za godzinę nie będzie już dziennego światła. Kaia kilka razy nabiera głęboko powietrza, a potem jej oddech zamienia się w cichy pomruk. Zasnęła. Nie ruszam się z miejsca, gładzę jej włosy, patrzę na długie pasy indygo na niebie.

Jutro wrócimy do prawdziwego życia i będę musiała ją wypuścić. Ale jak? Pragnę więcej. Dużo więcej.

– Mills – szepczę. Kaia delikatnie się porusza, głowa opada na klatkę piersiową. Ostrożnie kładę ją na sofie, przykrywam wełnianym kocem i siadam w mroku, patrząc, jak jej pierś unosi się i opada. Potem przysuwam się odrobinę bliżej. Delikatnie wyciągam koc spod jej brody i kładę dłoń tuż pod mostkiem po lewej stronie.

– Mills – szepczę znowu, przezwisko Amalie jest tak niebezpieczne jak odłamki szkła w moich ustach, pod opuszkami palców czuję silne, stabilne uderzenia serca mojego dziecka.

Rozdział 41

Iselin

Po saunie i łaźni parowej o zapachu eukaliptusa przez długi czas pływam powoli w basenie z przeciwnym prądem. Potem wracam do sauny, czuję, jak wraz z potem wypływa ze mnie całe wyczerpanie. Niemal nie mogę uwierzyć w to, że tutaj jestem, w tym luksusowym ośrodku wczasowym w górach, że spędzam cały dzień w spa. Tak samo trudno jest mi uwierzyć w to, że Kaia jeździ na nartach. Moje dziecko, które w zeszłym roku nie było w stanie przejść na drugą stronę pokoju, teraz jeździ na nartach. Uśmiecham się sama do siebie – jestem tu sama i nie muszę być w żadnym innym miejscu. Skupiam się na oddechu, liczę do piętnastu, gdy nabieram powietrza, i do dwudziestu, gdy je wypuszczam. To tak, jakby niepokój stał się częścią mnie, ponieważ zawsze musiałam się spieszyć, opiekując się Kaią. Teraz też co chwilę mam wrażenie, że muszę już wstać i coś zrobić. Skupianie się na samej sobie jest niepokojące, ale zmuszam się do wykonania kolejnych pięćdziesięciu oddechów, a potem czuję, jak schodzi ze mnie napięcie, a mój umysł się zatrzymuje i jest to najbardziej niewiarygodne uczucie. Myślę o sercach, ptakach i pokrytych śniegiem górach, o winie i śmiechu, o tym, jak bardzo wszystko się zmienia. To tak, jakbyśmy ja i moja córeczka znalazły się na zupełnie nowym szlaku, na którym wszystko jest błyszczące i ekscytujące.

Po zabiegach czuję prawie takie oszołomienie jak po porodzie. Stoję przy wielkich oknach w recepcji i patrzę na góry. Tutaj, w Norefjell, są gładkie i zaokrąglone, podczas gdy w Nordlandzie, w którym się wychowywałam, góry były czarne i ogromne. Bursztynowe słońce płonie nisko na niebie, ale za niecałą godzinę zrobi się ciemno. Mogłabym wrócić teraz do domku, przebrać się w moje narciarskie spodnie i być może udałoby mi się dotrzeć na czas na stok, żeby zobaczyć, jak Kaia radzi sobie na nartach. Mogłabym też usiąść na

godzinę przy barze i po prostu rozkoszować się tym niespodziewanym czasem dla mnie.

Zamawiam martini z wódką i zaczynam bawić się telefonem. Sprawdzam Snapchata, ale nie pojawia się nic fajnego. Sprawdzam Instagrama pod kątem nowych lajków i zapytań od ludzi, którzy mogliby chcieć kupić moje prace, ale nic nie ma. Na Facebooku przeglądam dowcipy o Trumpie i memy o tym, że matki potrzebują dużych ilości wina, oglądam zdjęcia znajomych z ferii zimowych i przychodzi mi na myśl, że nie mam Alison w mediach społecznościowych. Pod wieloma względami Alison należy do osób, którymi gardzę. Ma duży dom, samochód za milion koron, domek w górach, ale coś mi w niej nie pasuje. Nie jest taka jak inni, polubiłam ją. Jak na kogoś, kto ma wszystko, wydaje się bardzo roztrzęsiona i nieszczęśliwa. Przyznaję, że mnie to ciekawi. Otwieram na telefonie Facebooka, jest tak stara, że jeśli ma jakieś konto, to pewnie tam. Wpisuję „Alison Miller-Juul” i wyskakuje mi tylko jeden wynik. Jej profil ma ściśle ustawienia prywatności, więc jedyne, co widzę, to dwa zdjęcia profilowe, które upubliczniła.

Na pierwszym z nich, dodanym w czerwcu 2011 roku, ma na sobie biały top, obcięte dzinsowe szorty, siedzi na wielkim głazie w jakimś upalnym i pełnym kurzu miejscu. Zdjęcie zostało polubione 125 razy, ale nie ma żadnych komentarzy. Klikam na „Lubię to”, zostaję przekierowana na jej oś czasu, która jest pusta; lista jej znajomych również jest niedostępna. Drugie zdjęcie profilowe to profesjonalne ujęcie twarzy zrobione na czarnym tle. Wpatruję się w to zdjęcie – nie mogę uwierzyć, że to ta sama kobieta. Wygląda na bardzo zadbaną i jakby złotą – taką kobietę, która w każdej chwili może iść do fryzjera, dyskretnie wybielić zęby i przerabiać ubrania, by idealnie pasowały. Może nie jest piękna, ale ma twarz, na którą chcesz patrzeć, może dlatego, że ma naprawdę wyjątkowe oczy. Ciemnobrązowe z jasnymi, niemalże żółtymi plamkami, nieznacznie skośne. Wygląda, jakby mogła mieć azjatyckich przodków, tyle że ma amerykańskie lśniące włosy.

W niczym nie przypomina tej kobiety, którą się teraz stała. Ma dzikie, siwiejące włosy, które widziałam wyłącznie spięte w ciasny kok. Nosi luźne, zwyczajne ubrania, które wyglądają na pożyczone od pasierba – może właśnie tak jest. Zdjęcie zostało opublikowane w maju 2017 roku, dostało dwieście osiemdziesiąt jeden lajków i czterdzieści dwa komentarze. Nadal nie widzę, kto lajkował, ale komentarze są publiczne, więc je przeglądam. W pierwszym ktoś napisał: „Cudownie, Ali”, W innym: „Jesteś absolutnie wyjątkowa!”, w kolejnym: „Moja ulubiona globtroterka na całym świecie”. Pozostałe

komentarze są mniej więcej takie same i nie jestem zaskoczona – ona naprawdę wygląda promiennie. Potem czytam dwa ostatnie komentarze.

„Moje myśli i modlitwy są z tobą, kochana Ali” – zamieszczone w lipcu zeszłego roku. A pod nim ostatni komentarz, umieszczony dwudziestego czwartego lipca: „Ali, pęka mi serce, gdy o tobie myślę. Tak bardzo cię kochamy i chcemy cię wesprzeć, gdy tylko będziesz gotowa”. Patrzę na zdjęcie jeszcze przez chwilę, a potem wracam na jej oś czasu, żeby sprawdzić, czy nie opublikowała nic więcej, ale nic nie ma. Kończę martini z wódką i zamawiam kolejne.

Zamykam Facebooka i nadrabiam zaległości w wiadomościach i plotkach na kk.no, ale moje myśli co i rusz wracają do pięknej, zadbanej Alison na zdjęciu profilowym, do tych ostatnich komentarzy pod nim. Mam wyrzuty sumienia z powodu szpiegowania, ale wszyscy sprawdzają wszystkich w mediach społecznościowych, tak to właśnie jest. Może zmarło któreś z jej rodziców, jest w wieku, w którym wydaje się to prawdopodobne. Wczoraj wspomniała o tym, że zmarł jej ojciec, i odniosłam wrażenie, że miało to miejsce niedawno. To na pewno to. Prawdopodobnie była z nim bardzo blisko i nadal przeżywa jego śmierć. Biedna Alison.

Kończę drugiego drinka i wstaję, lekko oszołomiona od efektu alkoholu. Nagle przypominam sobie, że Alison była jednym z klientów, którzy po raz pierwszy skontaktowali się ze mną przez Instagram. Ponownie siadam, otwieram aplikację i jej szukam. Oto jest, Alison Miller-Juul. Jej profil jest prywatny, więc nic nie widzę. Wysyłam prośbę o umożliwienie śledzenia jej i zbieram swoje rzeczy, chcę wrócić do domku do Alison i Kai, może pogramy w planszówki, popatrzymy na padający śnieg, napijemy się wina i pogadamy po tym, jak Kaia zaśnie.

Rozdział 42

Alison

Nie chcę, żeby Iselin wróciła. Stoję w kuchni, mieszając na patelni sos do makaronu, który zrobiliśmy razem z Kaia, posiekałyśmy cebulę, czosnek i pomidory. Bardzo spodobało mi się to, że mam obok siebie małą zapracowaną osóbkę, patrzyłam, jak ostrożnie trzyma nóż, nie spoglądałam jej w twarz, by czar nie przysł. Teraz od czasu do czasu podnoszę wzrok i uśmiecham się na widok małej dziewczynki, pomrukującej różnymi głosami podczas zabawy Barbie i podniszczoną starą zabawką, którą ze sobą przywiozła.

– Cześć – mówi jakiś jasny głos i w drzwiach kuchni staje Iselin, trzymająca butelkę cavy. – Chciałam ci to dać wczoraj, ale zapomniałam. No dobrze, nie zapomniałam, tylko upiłam się czerwonym winem. – Obie się śmiejemy, biorę od niej butelkę i wkładam ją do lodówki.

– Dziękuję, kochana, nie musiałaś tego robić.

– Chciałam. Och, Alison, właśnie spędziłam najwspanialszy dzień. Chyba miałam bardzo niewiele tak miłych dni jak ten. Bycie tutaj jest cudowne. Dziękuję.

Kaia podnosi wzrok znad zabawek i się do nas uśmiecha. Iselin ma rację, bycie we trzy jest bardzo przyjemne. Ale jeszcze lepiej było, gdy byłam tylko ja i Kaia. Gdy gotowałyśmy ramię w ramię. Gdy siedziałyśmy przy kominku i opowiadałam jej historię. Gdy siedziałyśmy blisko siebie na wyciągu i patrzyłyśmy na surowe góry, śmiejąc się głośno na zimnym powietrzu.

Kaia śpi już od kilku godzin, na zewnątrz wyje wiatr, który ciska śnieg w grzechoczące szyby. Nalewam do kieliszka Iselin resztki wina. Właśnie

opowiedziałam jej kilka historii z czasów, kiedy mieszkałam w Stambule i podróżowałam po Tajlandii. Oczy Iselin robiły się coraz większe, chłoneła każde moje słowo tak samo jak wcześniej Kaia chłoneła bajkę.

– Jesteś taka odważna – mówi Iselin. – To znaczy, ja nigdy... Nie potrafię sobie nawet wyobrazić...

– Nie odważna – odpowiadam. – Głupia. Pewnie szalona. – Cicho się śmiejemy. – Dobrze więc. Opowiedz mi o Paryżu.

– Paryżu?

– Tak. Kaia mówiła mi, że kiedyś tam mieszkałaś.

– Tak, moja siostra i ja przeprowadziłyśmy się tam po liceum, żeby studiować. No dobrze, ja studiowałam – moja siostra rzuciła naukę, żeby pisać muzykę. Potem została DJ-ką. Ale jej się udało.

– Noa, prawda?

– Tak. Wcześniej nosiła imię Nora, ale je zmieniła przed rozpoczęciem kariery muzycznej. – Chichocze.

Ja też się uśmiecham.

– Rozumiem. Kaia mówi mi, że jesteście ze sobą bardzo blisko.

– Och tak. Ona jest dla Kai prawie jak druga matka... – Po tych słowach czuję ukłucie zazdrości. – Dorastałyśmy w miejscu tak odległym, że dojście do najbliższego sąsiada zajmowało mi godzinę, tak więc naprawdę byliśmy tylko my dwie. Do chwili, w której poszłam do szkoły, bawiłam się tylko z Noą.

– Wow. Nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

– Od zawsze łączyła nas wyjątkowa więź.

– Jaka ona jest?

Iselin wpada w zamyślenie. Po chwili wyjmuję ze stojaka butelkę wina i ją odkorkowuję. Gdy Iselin wreszcie zaczyna o niej mówić, jej oczy się rozświetlają.

– Ona jest... Inna. Niesamowicie utalentowana. Na przykład współtworzyła piosenkę, która stała się numerem jeden w USA. I pracowała z wieloma bardzo znanymi artystami. Jest ryzykantką, nigdy nie miała planu B, nigdy nie pozwoliła, by cokolwiek jej przeszkodziło lub ktokolwiek stanął jej na drodze.

– Wow, imponujące.

– Tak. To jest niesamowite. I dziwne...

– Dziwne?

– No cóż... Myślę, że w pewnym momencie poczułam, że zostawiłam ją w tyle, zwłaszcza gdy urodziłam Kaię. Przy mnie wydawała się dzieciakiem i chyba nim była. Teraz jednak, kiedy patrzę na odniesiony przez nią sukces,

rozumiem, że tak naprawdę to ona zostawiła w tyle mnie. – Nagle Iselin robi bardzo przygnębioną minę, waha się, wyraźnie chce powiedzieć coś jeszcze, ale zastanawia się, czy może mi zaufać. Siadam z powrotem na kanapie i skupiam się na zachowaniu mojego najbardziej spokojnego i zachęcającego wyrazu twarzy. – Chyba mam wrażenie, że ona ma wszystko, a ja nie mam nic.

– Ale... Przecież masz Kaię – mówię, czując narastającą wściekłość.

– Tak – odpowiada i delikatnie się uśmiecha, nie wygląda jednak na przekonaną. – Uwielbiam ją. Wszystko w niej jest magiczne i jestem za nią taka wdzięczna. Po prostu czasami było bardzo ciężko.

– Wydaje mi się, że nie masz przy niej żadnej pomocy – mówię, próbując odnaleźć w sobie empatię. Może nie powinnam tak ostro jej oceniać – każda matka wie, że wychowywanie dziecka jest bardzo trudne. Iselin kręci głową i wyraźnie próbuje powstrzymać łzy.

– Nie – odpowiada.

– Czy ty... Masz kontakt z ojcem Kai?

– Nie. Słabo się znaliśmy. – Kiwam głową i skupiam się na tym, by nie patrzeć jej w oczy; chcę, by kontynuowała bez nacisku z mojej strony. Ale ona nic nie mówi. Zamykam oczy i słucham trzasków ognia w kominku i wyjącego wiatru. – Nazywał się Yoann – mówi wreszcie Iselin po tak długim czasie, że prawie zapomniałam o jej obecności. – Był słodkim chłopakiem, gdzieś z południa. Kaia ma jego niebieskie oczy. Poznaliśmy się w barze i chodziliśmy na randki, ale to nie było zbyt poważne. Był jednym z kilku chłopców, z którymi spotykałam się po przyjeździe do Paryża. Ale go lubiłam. Bardzo. Śmialiśmy się z tych samych rzeczy. Często rysowałam go śpiącego. Kiedy zaszłam w ciążę, wszystko się zmieniło. Oboje zgodziliśmy się co do tego, że muszę przeprowadzić aborcję. Miałam zamiar to zrobić. Do ostatniej możliwej chwili. Ale po prostu nie mogłam. – Pod wpływem tej nowej informacji ponownie na nią patrzę. Jak mogę oceniać dziewczynę po tym, że jako nastolatka chciała usunąć niechcianą ciążę, w którą zaszła z praktycznie obcym mężczyzną? Jak mogę odczuwać taką nagłą, brzydką nienawiść do tej udręczonej, wyczerpanej dziewczyny? Ale w tej chwili czuję tylko nienawiść.

– Co cię skłoniło do zmiany zdania? – pytam, starając się zachować spokój.

– Byłam już u lekarza. Podpisałam wszystkie papiery. Pielęgniarka zaprowadziła mnie do pokoju na końcu długiego białego korytarza. To był prosty pokój pomalowany na jasnożółto, ale ja pamiętam wszystko jak dziś. Byłam sama. Patrzyłam, jak mijają kolejne minuty, aż wreszcie minęło ich dwadzieścia i zaczęłam się zastanawiać, czy robi się to celowo, zostawia się

dziewczyny takie jak ja w poczekalni, żeby się rozmyśliły i wyszły. Spojrzałam na swoje dłonie i uświadomiłam sobie, że splotłam je tak mocno, że pobieleły mi kostki. Nie powinnam była na nie patrzeć, bo od razu pomyślałam o rączkach mojego dziecka, były różowe, malutkie, przezroczyste, wbijające się w ścianki mojej macicy. Próbowałam zachować spokój, myśleć o tym jak o czymś, co po prostu należało zrobić. Rozejrzałam się po pokoju, by znaleźć cokolwiek, na czym mogłabym się skupić, ale ja widziałam tylko rączki dziecka, czułam je, dotykające mojego wnętrza. Nawet się nie zorientowałam, że zaczęłam płakać. Chciałam, żeby była ze mną Noa. Tak strasznie pragnęłam, żeby nic się nie zmieniało. Może to myśl o Noa sprawiła, że wstałam, otworzyłam drzwi i przebiegłam obok lekarza, który właśnie szedł w moją stronę. Moja siostra zawsze mówi: „Słuchaj swojego serca”. Nigdy nie uważałam tego za dobrą radę, moje serce nigdy nie wydawało dostatecznie głośnych dźwięków, żebym mogła je usłyszeć. Wtedy jednak to zrobiłam.

Gapię się na nią, Iselin wygląda na delikatnie przerażoną.

– W każdym razie – mówi radośniejszym głosem – życie jest zabawne, prawda? Nie mamy żadnych odpowiedzi. Musimy tylko robić to, co naszym zdaniem jest właściwe. Czasami wciąż zastanawiam się nad tym, co mogło być, co mnie ominęło. Yoann nigdy więcej ze mną nie rozmawiał. Noa była strasznie zawiedziona. Gdyby moi rodzice się o tym dowiedzieli, pewnie byliby zadowoleni, że spieprzyłam sprawę. Chociaż nie dałam im znać, że rzuciłam szkołę, by zostać nastoletnią matką.

Dotykam dłoni Iselin. Próbuję sobie wyobrazić ją w poczekalni kliniki aborcyjnej, jak bardzo musiała być nieszczęśliwa i przestraszona, ale zamiast tego widzę Kaię w taki sam sposób, w jaki widziała ją Iselin; rozpaczliwie próbującą trzymać się życia swoimi malutkimi rączkami. Mam ochotę wejść do jej pokoju i przycisnąć głowę do jej piersi, wziąć te małe rączki w swe ręce. Skupiam się jednak na tym, by zachować współczujący wyraz twarzy.

– Czy twoi rodzice nie zaoferowali ci żadnego wsparcia?

– Nie. – Iselin wydyma usta i wypuszcza powietrze, na powierzchni jej wina pojawia się małe kółko. Kiwam głową i czekam, aż będzie kontynuować, i muszę przyznać, że teraz jestem zaciekawiona. Czyż Kai nie byłoby miło, gdyby miała dziadków? Ja strasznie się smuciłam faktem, że moi rodzice mieszkają na drugim końcu świata i byli już starzy, gdy wreszcie urodziłam dziecko. Wielokrotnie spotykali się z Amalie, ale nigdy nie było między nimi tej prostej bliskości, jaka jest między członkami mieszkającej blisko siebie rodziny. Cieszę się, że mój ojciec zmarł przed Amalie, że nigdy nie dowiedział się o jej

śmierci. Opuścił świat, myśląc, że jego dziecku i wnuczce nic nie będzie, i z pewnością był spokojniejszy. Czuję ukłucie w brzuchu na myśl o moich rodzicach i o tym, że moje życie w charakterze ich ukochanej jedynaczki już dawno się skończyło. Jest mi również szkoda rodziców Iselin, bo tak dużo ich omija.

– Mój ojciec jest starym pijakiem, a moja matka na niego czeka.

Moi rodzice sprawili, że czułam, że świat stoi przede mną otworem. Nie wyobrażam sobie nawet, jak to jest dorastać w domu, w którym do ścian klei się smutek.

– Przykro mi. Musiało to być dla ciebie bardzo trudne. Na pewno tęsknią za tobą i Kaią – dodaję łagodnie.

– Nigdy jej nie poznali – odpowiada, a w jej głosie jest coś zimnego i lekceważącego. – I nigdy nie poznają.

– Rozumiem – mówię i nie naciskam, bo wyczuwam, że kryją się za tym historie, które być może nie powinny zostać opowiedziane. Wstaję i przynoszę butelkę, żeby napełnić nasze kieliszki. Iselin patrzy na nią, widzę, że próbuje się uspokoić.

– Chciałam cię o coś spytać – mówię. – Mogłabyś mi powiedzieć, co stanowi inspirację dla twoich rysunków? – Chcę oderwać ją od myślenia o rodzinie – boję się, że to wszystko to dla niej zbyt wiele, że może wybuchnąć płaczem, przeprosić i pójść spać, a to nie jest dobry sposób na zbliżenie się do niej. Wygląda na wdzięczną za zmianę tematu, bierze kolejny łyk wina.

– Hm. Kiedyś rysowałam głównie ludzi. Chyba się tym zmęczyłam, bo przez większość czasu ludzie pokazują ci tylko to, co chcą, a ja chciałam rysować to, co jest... dzikie.

– Dzikie?

– Mmm. Niekontrolowane. – Śmieje się nerwowo, pije wino, drapie się pod lewym uchem. – Zaczęłam więc rysować ptaki.

– Dlaczego ptaki?

– Cóż, kocham ich wolność. Czasami czułam się chyba tak uwięziona, że ptaki przyciągały mnie do siebie ze względu na tę ich niesamowitą wolność.

– Rozumiem – i to jest prawda. Myślę o ptakach Karen Fritz i o tym, jak każdy szczegół tego obrazu jest wryty w mojej głowie.

– Kiedy zaczęłaś rysować serca?

– Zeszłej jesieni. Po prostu nie mogłam przestać myśleć o operacji, którą przeszła Kaia. Miałam wrażenie, że nie mogę ruszyć dalej. I wtedy

uświadomiłam sobie, że ptaki i serca mają ze sobą bardzo wiele wspólnego. Są dzikie. Niekontrolowane.

– W rzeczy samej.

– Serce chce tego, czego chce – kontynuuje i patrzy na mnie uważnie, jakby chciała dowiedzieć się, czego ja chcę. Dopijam wino i wstaję, teraz chcę zakończyć tę rozmowę, zanim stanie się ona zbyt intensywna – bo jestem bliska łez. Myję kieliszki w zlewie i zamykam na chwilę oczy, przywołując na myśl ptaki Karen Fritz; wysoko, utrzymywane tylko przez słoną bryzę, małe serduszka wielkości orzecha galopujące w pierzastych piersiach, z przodu mglisty zarys horyzontu, poniżej małe plamki, będące zamkniętymi w domach, przykutymi do ziemi ludźmi.

Iselin wchodzi do kuchni i staje blisko mnie.

– Jak tam twoja dłoń? – pyta, a gdy się do niej odwracam, następuje pełna napięcia chwila, tak jakby Iselin wyczuła coś, czym wcale nie chciałam się dzielić. Otwieram dłoń i na nią patrzę. Nie potrzebuję już bandaża, ale blizna jest brzydka, wygięta w nierówne V, zniekształca moją linię życia i zakrywa większość dłoni. Iselin delikatnie ją bierze i ustawia tak, by padało na nią światło.

– Pozwolisz mi coś zrobić? – pyta. Jej usta są ciemnoczerwone od wina, oczy szukają moich. Czuję, że nagle nastąpiła zmiana sił, że teraz to Iselin przejmuje kontrolę, ale w tym, że trzyma moją dłoń, że na nią patrzy, jest coś uspokajającego. Kiwam głową. Szybko przechodzi przez korytarz do sypialni, a potem wraca z małym skórzanym woreczkiem. Prowadzi mnie z powrotem na sofę, otwiera woreczek i wyjmuje pióra ułożone według szerokości. Wybiera pióro z tępą końcówką i uśmiecha się przebiegle. Czuję się dziwnie podekscytowana, jak nastolatka sprowadzana na manowce przez jedną z popularnych dziewczyn, i w tym momencie nie mogę się zdecydować, czy lubię tę kobietę, czy nie. Bierze moją dłoń i otwiera pięść. A potem przyciska pióro do mojej skóry. Trochę to boli i zamykam oczy, chwila jest bardzo dziwna, a ja jestem oszołomiona od alkoholu. Gdy ponownie otwieram oczy, jestem zaskoczona rysunkiem. Wokół blizny Iselin narysowała skrzydło, nabrzmiała, różowa skóra stała się realistyczną muskulaturą. Kiedy moja ręka jest rozluźniona, skrzydło wydaje się złamane, ale kiedy ją wyciągam, staje się eleganckie i całe, gotowe do lotu, jego pierzaste końcówki sięgają podstawy mojego małego palca.

Kilka razy zamykam i otwieram dłoń, obie siedzimy i obserwujemy skrzydło. Potem Iselin wstaje i się do mnie uśmiecha, ale w jej uśmiechu jest smutek

i znowu mam wrażenie, jakby potrafiła patrzeć prosto we mnie. Przez szaloną chwilę rozważam powiedzenie jej wszystkiego: że serce mojej córki bije w ciele jej dziecka, że nie chcę wyrzucić im krzywdy, że słuchanie głosu serca może czasami zaprowadzić cię do niebezpiecznych miejsc.

– Dziękuję – szepczę. Ponownie podnoszę dłoń, żeby pomachać, przybić piątkę, bronić się.

– Dobranoc – mówi Iselin, a potem znika w korytarzu.

Jest druga w nocy, ale nie mogę spać. Ja i Iselin poszliśmy do łóżek chwiejnym krokiem, jednak teraz alkohol już wyparował i mój umysł jest zmęczony, ale trzeźwy. Wstaję z łóżka, chłód ciągnący od desek wspina się po moich kostkach, i staję przy łóżku, ale po tej stronie domku nie ma na co patrzeć, widać tylko lśniące w świetle księżycy zasy. Patrzę na swoje odbicie w szybie: moja twarz jest zapadnięta, a włosy, niegdyś moja duma, są szorstkie i nieuczesane. Czy mogę znowu stać się sobą, czy pozostanę tą kobietą przez resztę życia?

Kładę się z powrotem na łóżku i zaczynam zabawę, którą prowadziłam, gdy byłam o wiele młodsza – wyobraź sobie siebie za pięć lat. Za pięć lat skończę czterdzieści dziewięć lat. Gdybym miała inne dziecko, co najprawdopodobniej nie będzie możliwe, miałoby ono cztery lata. Amalie miałyby dziesięć lat. Dziesięć to bardzo mało, a jednak dwa razy więcej, niż moje dziecko będzie kiedykolwiek mieć. Za pięć lat Kaia będzie mieć dwanaście lat. Nadal będzie trochę dziwnie wyglądała, będzie bardzo młodą kobietką o zdrowej cerze i pięknych niebieskich oczach, robiących wrażenie starszych niż ona sama. Nadal będzie miała splecione włosy, ale w taki luzacki nastoletni sposób, na jedną stronę głowy. Widzę ją, siedzącą przy bufecie w moim domu, rysującą, mruczającą coś pod nosem, od czasu do czasu się do mnie uśmiechającą. W tej wizji kroję warzywa – jest to ciche i nieodłączne zadanie zaślepionej miłością matki. Próbuję wyobrazić sobie Sindrego i Iselin, ale choć bardzo się staram, nie potrafię.

Rano budzę się z potwornym bólem głowy. Biorę kilka tabletek, a potem spędzam długi czas w łazience, ochlapując twarz zimną wodą. Boję się

dzisiejszego dnia: powrotu do Oslo, konieczności pożegnania się z Kaią, tego, że nie będę wiedziała, kiedy znowu ją zobaczę. O ile w ogóle jeszcze ją zobaczę. Powrót do Sindrego i Olivera i do wycieńczającej rutyny naszego życia wydaje mi się niemożliwy.

Wpatruję się w swoje odbicie w lustrze. Kobieta, która na mnie patrzy, wygląda jeszcze gorzej niż ta kobieta, którą widziałam w szybie w nocy. Zawsze wydawało mi się, że mam ładne oczy, mają migdałowy kształt i są ciemnobrązowe, na zdjęciach był w nich radosny blask. Teraz już go nie ma. Ich kolor też jest inny, są puste, oślizgłe niczym błoto. Moje usta, które nigdy nie były pełne, ale za to równe i różowe, są pomarszczone i blade. Zaczynam się zastanawiać, czy to właśnie tak wygląda zły człowiek. Czy złe myśli czynią cię brzydką? Myśli, które naszły mnie wczoraj w nocy, to myśli złego człowieka.

Patrzę na swoją dłoń i widzę, że rysunek Iselin nadal trzyma się na mojej skórze. Otwieram i na wpół zamykam dłoń, patrzę, jak zerwane więzadła w cudowny sposób się prostują, a potem znowu się rozpadają.

Próbuję pozbyć się myśli o mnie i Kai w przyszłości, razem, tak jak powinnam być z Amalie. Nie jestem zdenerwowana tym, że nie będę tak blisko z Kaią, lecz tym, że chcę jej wyłącznie dla siebie. Nie jestem w stanie ciągnąć dalej tej komedii z Iselin, tak samo jak nie jestem w stanie pozwolić odejść Amalie i strażniczce jej serca. Nie sądzę, aby gra „gdzie widzisz siebie za pięć lat” była kiedykolwiek zabawą – osoba, która w nią grała, zawsze tworzyła plan. Bo kto by powiedział: „Och, za pięć lat mogę umrzeć na raka”. Albo: „Za pięć lat mój mąż zostawi mnie dla młodszej, ładniejszej kobiety”, Albo: „Za pięć lat będę bezrobotny i nieszczęśliwy, będę za dużo pić”.

Serce chce tego, czego chce, a my mówimy sobie to, czego chcemy.

A ja chcę Kai.

CZEŚĆ III

Rozdział 43

Iselin

Chyba zawsze ciężko jest wrócić do domu, gdy samemu się przekonasz, co „dom” oznacza dla niektórych ludzi. Z Kai też uchodzi powietrze jak z balonu, gdy stawiamy nasze torby podróżne na podłodze w ciasnym korytarzu. Ładny, czysty śnieg, który padał w Norefjell, zamienił się w breję, gdy dojechałyśmy do autostrady u podnóża góry, a w pobliżu Oslo zaczął padać deszcz. A teraz wszystko jest jak dawniej. W kuchni czyste naczynia stoją tam, gdzie zostawiłam je przy zlewie. Zasłony w sypialni są odsunięte, na poduszce nadal jest odcisnięta głowa Kai. W salonie rozkładana sofa, na której śpię, jest złożona, ale wystaje z niej brzeg prześcieradła. Zabawki Kai są porozrzucane, na podłodze obok sofy leży kilka niedokończonych rysunków, w kątach zebrały się koty z kurzu. Czuję się, jakbym pierwszy raz widziała to ciasne, brudne mieszkanie.

Sadzam Kaię przed bajką i robię makaron z groszkiem i keczupem na późny lunch. Gdy czekam na zagotowanie się wody, włączam z powrotem telefon – jest wyłączony od poprzedniej nocy, kiedy padła mi bateria, a ja uświadomiłam sobie, że nie zabrałam ładowarki.

Poza odgłosem gotującej się wody i głosikami w kreskówce Kai w mieszkaniu jest zupełnie cicho. Chciałabym, żeby Noa tu była, albo Alison. Tak dobrze było się wczoraj przed nią otworzyć. Tak naprawdę to jeszcze nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam. Myślę o ptaku na dłoni Alison. To było najdziwniejsze – gdy pokazała mi bliznę, ja tak po prostu od razu wiedziałam, jak można by ją zakryć. Mam wrażenie, że Alison ciągle chce się kimś opiekować. Jednocześnie wydaje się tak delikatna, jakby mogła rozpaść się pod wpływem najdelikatniejszego dotyku.

W ten weekend uświadomiłam sobie jedną rzecz: że jestem strasznie samotna. Być może powinnam wrócić na Sukkera albo Tindera i spróbować poznać kogoś, z kim ja i Kaia mogłybyśmy zbudować prawdziwą przyszłość, nie jestem jednak w stanie znieść tej zabawy w randkowanie, tego przeglądania twarzy po twarzy, czytania „oryginalnych” opisów, które brzmią wszystkie tak samo, sprzedawania siebie osobie, która być może zechce spędzić ze mną życie. Tak jakby nikt już nie spotykał się fizycznie, jakby internet był jedynym miejscem, w którym ludzie mogą się spotkać.

Niechętnie włączam telefon, nie mam żadnych nowych wiadomości. Sprawdzam osobno WhatsAppa, Messengera i wiadomości, ale i tak nic nie ma. Kilka nowych polubień na Instagramie, ale to wszystko. Znowu martwię się o pieniądze; po zamówieniach, które miałam w grudniu i styczniu, wszystko zwolniło, mimo że na Instagramie mam coraz więcej obserwujących mnie osób – prawie trzy tysiące. Naprawdę muszę znaleźć stałe źródło dochodu poza rysowaniem, inaczej czeka nas eksmisja.

Sprawdzam maila, mam dwie nowe wiadomości. Jedna z nich to newsletter Norwegian Airlines, druga to mail od nieznanego mężczyzny. Wiadomość ma tytuł „Twoje ilustracje”. Otwieram ją i serce natychmiast chce mi się wyrwać z klatki piersiowej.

Od: Frans Høybraathen <frans@speilet.no>

Do: Iselin Berge <isberg@online.no>

Data: Piątek, 1 marca 2019, 10:12

Temat: Twoje ilustracje

Droga Iselin,

mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku. Otrzymałem kilka twoich ilustracji od starej przyjaciółki i koleżanki, Alison Miller-Juul, która mi wyjaśniła, że kupiła od Ciebie kilka dzieł i że może będziesz chciała wykonać ich więcej. Wcześniej nie miałem okazji ich obejrzyć, teraz jednak chcę dać Ci znać, że jestem pod ich ogromnym wrażeniem. Bardzo chcielibyśmy z Tobą pracować. W rzeczywistości w „Speilet” zachodzą pewne zmiany – pod koniec 2019 roku nie będziemy już „tylko” gazetą, bo uruchamiamy weekendowy magazyn lifestyle’owy, który będzie dystrybuowany w całej Norwegii wraz z naszym sobotnim numerem. Czy byłabyś zainteresowana przyjściem do nas na rozmowę i ewentualnym rozpoczęciem u nas pracy jako wewnętrzna ilustratorka? Uważam, że Twój styl pasowałby idealnie do „Speilet Saturday”.

Daj znać, kiedy możesz się spotkać – mamy biuro w Tjuvholmen.

Z wyrazami szacunku

Frans Even Høybraathen
Redaktor

– Kaia! – mówię, zaglądając do salonu. Szczęzę zęby jak głupia. – Mamusia może dostać pracę! Naprawdę wspaniałą, rysowanie dla czasopisma. – Kaia patrzy na mnie, kiwa nieznacznie głową, a potem ponownie patrzy na ekran, na którym Jojo Siwa podskakuje i skrzeczy coś do mikrofonu.

– Dobrze – mówi.

– Och, Kaiu, to naprawdę wielka sprawa. Przytulisz mnie?

– Dobrze.

Wtulam twarz w zagłębienie na jej szyi, przejeżdżam dłonią po jej warkoczach, delikatnie mnie przytula. Po chwili próbuje mnie odepchnąć, ja jednak przyciskam ją jeszcze mocniej – chcę czuć, że poświęcenie dla niej wszystkiego, czego pragnęłam, było tego warte. Spędziłam w tym mieszkaniu niemal siedem lat, przeważnie sama, pozbywając się ambicji, każdego dnia tracąc pewność siebie. Ale to mogło wszystko zmienić. Próbuję sobie wyobrazić, jak by to było: mieć pracę z biurem w Tjuvholmen, ekspresami do kawy z darmową kawą i widokami na port, a także prawdziwych kolegów, którzy wysłuchiwaliby moich pomysłów. I pensję. Mogłabym przestać się martwić tym, że będę musiała wrócić do opieki społecznej i znowu spotykać się z tą żoną, Else. Sama myśl o niekończącym się systemie logowania się i sprawdzania wszystkiego, co Kaia i ja robimy, byleby tylko dostać nędzny comiesięczny zasiłek, sprawia, że dostaję gęsiej skórki.

W kuchni dzwonię do Noa. Telefon dzwoni i dzwoni, potem włącza się automatyczna sekretarka. *Cześć, tu Noa. Jeśli nie odbieram, to prawdopodobnie po prostu nie chcę z tobą rozmawiać...*

Rozłączam się, próbuję raz jeszcze i tym razem odbiera po drugim sygnale.

– Cześć – mówi zachrypniętym głosem. Jest po trzeciej po południu w niedzielę – pewnie pracowała i imprezowała dwie noce z rzędu. – Próbowałam się do ciebie dodzwonić.

– Cześć – mówię. – Wszystko w porządku?

– Tak, po prostu mam dużo pracy. Jutro jadę do Barcelony.

– Och. To świetnie.

– Gdzie byłaś w weekend? Próbowałam się do ciebie dodzwonić jakieś cztery razy.

– Ja i Kaia pojechałyśmy do Norefjell. Po raz pierwszy jeździła na nartach, to było niesamowite. Naprawdę była w tym świetna, taka naturalna, a Alison powiedziała, że...

– Czekaj, kto to jest Alison?

– To moja przyjaciółka. Już ci o niej opowiadałam.

– Co, ta Amerykanka? Z Holmenkollen?

– Tak.

– Spotykałaś się z nią?

– Tak, kilka razy.

– Czy to nie dziwne?

– Dlaczego miałyby to być dziwne? Chyba mogę mieć przyjaciół, prawda? – Noa cały czas uważa, że ma większego nosa do ludzi niż ja – i bardzo mnie to wkurza.

– Co wy macie ze sobą wspólnego?

– Więcej, niż ci się wydaje. Dlaczego zachowujesz się protekcyjnie? Czy nie mogę mieć czegoś wspólnego z kimś, kto jest starszy lub na pierwszy rzut oka wydaje się inny ode mnie? Jest urocza, ona i Kaia naprawdę świetnie się dogadały. W domku było cudownie. Bardzo dobrze, że Kaia mogła wyjechać na kilka dni i robić rzeczy, które robią inne dzieciaki.

– W porządku.

Zmuszam się do nabrania głęboko powietrza przez nos i wypuszczenia go przy jednoczesnym liczeniu. Nie pozwolę, by drobne nieporozumienie odebrało mi radość z oferty pracy w „Speilet”.

– W każdym razie dzwonię dlatego, że mam dla ciebie absolutnie świetną wiadomość! – Noa milknie i nagle wydaje mi się tak odległa. Wyobrażam ją sobie palącą papierosa albo nakładającą wosk na włosy lub układającą w myślach nową melodię. – Będę miała rozmowę kwalifikacyjną! Znasz „Speilet”? Zaczynają wydawać nowe weekendowe czasopismo i chcą, żebym przyjechała i porozmawiała z nimi na temat pracy zdalnego ilustratora!

– Wow! Siostra, świetne wieści! – Jej zachwyty zdaje się prawdziwy i trochę miękny. Chciałabym, żeby była tu ze mną wieczorem, żebyśmy mogły świętować. – Znaleźli cię przez twoją stronę internetową? Czy przez media społecznościowe? Tak przy okazji, twój Instagram wygląda znakomicie.

– Nie... Znaleźli mnie przez... eee... przez Alison.

– Jasne. – W jej głosie znowu jest coś twardego, coś osądającego.

– Ona... Była tam kiedyś redaktorką. Nadal jest, ale wzięła wolne, żeby napisać książkę. Niesamowite, co?

– Uważam, że musisz ostrożnie dobierać osoby, które wpuszczasz do swojego życia, to wszystko.

– Poważnie, o co ci chodzi?

- Sama mówiłaś, że ona jest trochę dziwna.
- Nie, wcale nie. Była dla nas szalenie miła.
- Dobrze – mówi Noa, ale jej głos jest pełen chłodu. Rozłączam się bez pożegnania.

Tam, skąd pochodzę, można było tylko marzyć. I to właśnie robiłyśmy ja i Noa. Od nastoletnich lat piłyśmy piwo z plastikowych kubeczków na zamarzniętej plaży, dzień po nudnym dniu, patrząc na fiordy i różowe niskie zimowe niebo oraz góry w oddali, na całą tę nicość. Każdego dnia po szkole jak najbardziej przeciągałyśmy powrót do domu, nie wsiadałyśmy do szkolnego autobusu, chociaż był to jedyny sposób na powrót do oddalonej, zapadłej wioski na stromym wzgórzu, którą nasi rodzice nazywali domem.

W końcu jeździłyśmy do domu po ciemku, stopem. Pamiętam, jak ja i Noa siedziałyśmy skulone na ławce w jakiejś ciężarówce, brodata twarz jakiegoś obcego mężczyzny była ledwo widoczna w mroku kabiny. Potem długi spacer do domu od drogi, przez las, w górę i w górę, aż wreszcie docierałyśmy do domu, gdzie czekał na nas ojciec, z pewnością pijany.

Nasza młodość sprawiła, że Noa stała się twarda. Nieprzenikalna. Jednak nie pozwolę jej tego zrujnować, po prostu nie pozwolę.

Nie chcę być kimś, kto pograża się we własnej nędzy – chcę wprowadzać zmiany i iść naprzód, chcę dać Kai dobre życie, a teraz dziękuję mojemu przeznaczeniu za to, że spotkałam Alison, która zdaje się wprawiać w ruch wiele rzeczy umożliwiających mi pójście do przodu.

– Ej, Kaiu – mówię, starając się oczyścić umysł, doszłam już za daleko, żeby wieść dawne życie. Udało mi się i tylko to się liczy. – Zamówimy sushi? – pytam, chociaż nie mam pieniędzy, ale każdy zasługuje czasami na jakiś przysmak. Zdejmuje makaron z kuchenki i dzwonię do *Østerås Sushi*.

Po kolacji Kaia bez problemu kładzie się do łóżka, jej urocza buźka jest blada z wyczerpania po górskiej przygodzie. Alison powiedziała, że wczoraj naprawdę dobrze radziła sobie na stoku. Nie wyobrażam sobie, by moja Kaia jeździła tak bezproblemowo jak inne dzieci, ale teraz jest już inną Kaią. Nalewam sobie duży kieliszek czerwonego wina i siadam, by coś narysować, jestem zachęcona mailem od Fransa Høybraathena. Ciemność i chłód tej pozornie niekończącej się zimy zdają się znikać, w miarę jak mój ołówek jakby samoistnie przesuwa się po papierze. Otwarta klatka piersiowa, zaciski chirurgiczne przytrzymujące

zebra i żółte warstwy tkanki tłuszczowej. A w pustce, w której powinno znajdować się serce, jest zakrwawione pióro. Kiedy kończę, patrzę na rysunek przez chwilę, potem odkładam go na bok i zaczynam kolejny. Rysuję przez kilka godzin, zapada noc, mój umysł się uspokaja. Gdy odkładam ołówek, mam trzy nowe obiecujące ilustracje.

Postanawiam zadzwonić do Alison i powiedzieć jej o mailu od Fransa Høybraathena. Wybierając jej numer, czuję się dziwnie podekscytowana.

– Cześć – mówi Alison tym swoim zabawnym amerykańskim akcentem. Odbiera niemal natychmiast. – Wszystko u was w porządku?

– Tak – odpowiadam i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że jest już za późno na rozmowy telefoniczne. – Przepraszam, że dzwonię tak późno. Jeszcze raz chciałam podziękować ci za możliwość wypoczynku w Norefjell. Nie miałam świadomości, jak bardzo potrzebujemy wyrwać się z domu.

– Nie martw się. Możecie przyjechać jeszcze raz. Serio. Bardzo mi się tam z wami podobało.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówię. – Dostałam maila. Od tego faceta, o którym mówiłaś. Fransa Høybraathena. Chce, żebym przyszła na rozmowę w sprawie ewentualnej przyszłej pracy w charakterze ilustratorki dla „Speilet”!

– Och, Iselin, to cudownie! Tak!

– Nie wiem, jak mam ci dziękować za to, że mnie mu poleciłaś.

– Wiesz, że bardzo podobają mi się twoje prace, z radością ci pomogłam. Kiedy masz się z nimi spotkać?

– Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu.

– Słuchaj, jeśli potrzebujesz pomocy przy Kai lub coś takiego, to nie ma sprawy. Mam wolne cały przyszły tydzień. Bez problemu mogę odebrać ją ze szkoły i zrobić kolację albo coś takiego. Jestem pewna, że chcesz uporządkować sobie portfolio, może nawet zacząć nowe rysunki, które pasowałyby do ich profilu...

– Och... No cóż, tak. To chyba naprawdę dobry pomysł – mówię, patrząc na nowe rysunki. Są dobre i inne, jestem też pewna, że Alison ma rację w kwestii rozważenia stworzenia portfolio przed spotkaniem z redaktorami ze „Speilet”.

– Posłuchaj, chętnie się nią zaopiekuję. Próbuję napisać artykuł o... uprawie winorośli na Kaukazie – wiesz, staram się wrócić do pisania po tak długim czasie i jest mi strasznie trudno! Z chęcią przyjmę wymówkę pod postacią konieczności zaopiekowania się Kaią przez kilka godzin. Mogłybyśmy pójść na spacer czy coś.

– Boże, byłaby zachwycona. Jesteś pewna?

– Oczywiście, że tak. Naprawdę chcę pomóc, mogę sobie tylko wyobrazić, jak trudno musi być robić wszystko samodzielnie. Iselin, naprawdę zasługujesz na to, żeby wreszcie skupić się na sobie.

Siedzę ze śpiącą Kaią, kładę dłoń na jej piersi, słucham cudownego dźwięku bijącego mocno serca. Z oczu zaczynają mi kapać łzy, zaczynam powoli oddychać i z całych sił próbuję powstrzymać się od szlochu. Nie wiem, dlaczego płaczę. Nie jestem nieszczęśliwa, przynajmniej nie w tej chwili, ale moje serce bije bardzo szybko i uświadamiam sobie, że odczuwam niepokój. Wszystko i wszyscy się zmieniają: Kaia, Noa, Alison, całe moje dotychczasowe życie, które znam, na moich oczach obraca się w pył.

Rozdział 44

Alison

Pod domem siedzę przez chwilę w samochodzie i tylko oddycham. W środku palą się wszystkie światła, a ja muszę tam wejść; Sindre z pewnością słyszał odgłos silnika podjeżdżającego samochodu. Tylne siedzenie napełnia mnie przerażeniem. Odwracam się i zmuszam się do spojrzenia na puste miejsce – Kai naprawdę nie ma. Jest w domu, może ogląda kreskówkę, a może siedzi z matką przy tym obskurnym stole i rysuje. Włączam światło i wydaję telefon z kieszeni. Robię kilka zdjęć skrzydła na mojej dłoni, pod każdym kątem.

Na zewnątrz powietrze jest przejrzyste, gwiazdy zasypały całe nocne niebo. Zastanawiam się, czy nie wsiąść do samochodu i nie pojechać do małego mieszkanka Iselin i Kai... i co potem? Moje życie, a raczej to, co z niego pozostało, jest tutaj. Wkładam klucz do zamka, ale drzwi są otwarte. W środku jest gorąco, słyszę dobiegające z góry głosy, ktoś się śmieje. Zamykam się w znajdującej się pod schodami łazience dla gości i polewam dłonie gorącą wodą, tak gorącą, jak tylko mogę znieść. Atrament wcale nie chce się zmyć, muszę mocno trzeć starą szczoteczką do zębów obolałą skórę. Gdy otwieram drzwi na korytarz, widzę Sindrego.

– Cześć – mówię.

– Cześć. – Podchodzi do mnie i niezręcznie mnie przytula. – Ali, co się dzieje? – pyta. W jego głosie jest coś twardego, tak jak wtedy, w Meksyku, gdy kazałam mu pokazać mi telefon i odmówił.

– O czym ty mówisz?

– Pytam cię, co się dzieje.

– A ja pytam, o czym ty mówisz. – Śmieje się z niedowierzaniem i oboje wiemy, że bez względu na wszystko zaraz powie to, co ma zamiar powiedzieć. Słucham dobiegających z góry dźwięków, boję się zostać sama z Sindrem, teraz

jednak jest cicho i możliwe, że wcześniej wcale nie słyszałam żadnych głosów. – Gdzie jest Oliver?

– Ali. Pytam cię, co się dzieje. – Podnoszę torbę z podłogi przy łazience i czekam, aż mój mąż zrobi krok w bok, tak żebym mogła zabrać swoje rzeczy na górę i się rozpakować. Ale on tego nie robi. Szybko się odwracam i idę do kuchni, po drodze zerkam na ścianę, na której wisiały rysunki Iselin. Nie ma ich.

– Co...?

– Ach, *teraz* wreszcie rozumiesz, o czym mówię.

Przepycham się obok niego i tym razem wreszcie mnie przepuszcza. Podchodzę do pustej ściany, z której wystają metalowe kołki, i odwracam się do mojego męża. Nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy. Co on wie?

– Sindre, gdzie są obrazki? – pytam.

– Zdjąłem je.

– Dlaczego? – Nie chcę, żeby widział, jak płaczę, ale nic na to nie poradzę.

– Nie wierzę, że nie wiesz dlaczego. Nie rozumiesz, że były kompletnie nie na miejscu? Ej, spójrz na mnie! Spójrz na mnie, Ali.

– Nie – odpowiadam i ruszam w stronę schodów. Sindre łapie mnie za ramiona, ciągnie, zmusza, żebym na niego spojrzała.

– Myślałem, że mówiłaś, że sprawy mają się... lepiej. To! To jakieś szaleństwo! – Czy on wie o Iselin i Kai? Nie. To niemożliwe. Muszę odwrócić jego uwagę. Otwieram usta, by powiedzieć, że moim zdaniem rysunki są piękne i surowe i że podważają całą moją wiedzę o sercach, piekle, życiu, miłości i wolności, ale słowa więzną mi w gardle, więc tylko mu się wyrywam i odchodzę, wspinam się po dwa stopnie naraz.

W wannie patrzę na rozrzedzające się opary, czuję napięcie i strach oraz gniew, które wyciekają ze mnie do gorącej wody. *Kompletnie nie na miejscu*, powiedział. Niemal chce mi się śmiać z tego, że on nie wie, nie ma pojęcia. Jak bardzo odsunęłam się od mojego męża i tego, co kiedyś było naszym życiem. Kiedy wychodzę z łazienki, przez chwilę nasłuchuję, co się dzieje na dole. Panuje zupełna cisza, nie mogę się jednak odprężyć, dopóki nie sprawdzę każdego pokoju w domu. Nie ma samochodu Sindrego, więc pewnie nie poszedł tak po prostu pobiegać. Wysłałam mu wiadomość na WhatsAppie.

Gdzie są rysunki? Dwa niebieskie ptaszki pojawiają się prawie natychmiast; przeczytał moją wiadomość, ale nie odpowiada. Siedzę przy kuchennym stole, powoli przyglądam się każdej powierzchni. Wstaję i patrzę na kominek – czyżby je spalił? Palenisko jest zimne, czuję na dłoni przeciąg z komina.

Podchodzę do miejsca, w którym wisiały rysunki, i delikatnie przejeżdżam dłonią po jednym z metalowych kołków. Uświadamiam sobie, że sofa jest trochę za bardzo z przodu, zaglądam za nią i proszę, są, oparte o ścianę. Wieszam je z powrotem i przypatruję im się z podziwem, zalewa mnie fala ulgi. One naprawdę są niesamowite. Czy podobałyby mi się tak bardzo, gdybym nie wiedziała tego, co wiem, gdybym nie była tym, kim jestem? Może i nie, ale nie widzę w nich tego, co Sindre uważa za tak niepokojące.

Podoba mi się sposób, w jaki rysunki sugerują, że serce i to, co je wypełnia, jest czymś zupełnie innym niż to, co można by sobie wyobrazić na pierwszy rzut oka. Podoba mi się również to, że rozmiar i żywe bogactwo serca na rysunku jest ogromne w porównaniu z ciałem dziewczynki, które ją nosi, które jest przedstawione jako zwykła skorupa. Popiera to teorię, w którą uwierzyłam, że to, kim jesteśmy – nasza istota – jest przenoszone w komórkach serca. Nasze myśli i przekonania mogą mieszkać w mózgu, ale to serce jest tym, co trzyma duszę. Moja wiara została wzmocniona, kiedy położyłam rękę na piersi Kai i poczułam bicie serca Amalie; miałam wrażenie, jakby pod wpływem mojego dotyku trochę przyspieszyło, jakby mnie znało tak samo, jak ja znam je.

Odwracam się od rysunków, które znajdują się teraz na miejscu, i idę na górę. Przez chwilę stoję przy zamkniętych drzwiach do pokoju Amalie i zastanawiam się, czy mam w sobie dostatecznie dużo siły, by je otworzyć. Mam. W ciągu ostatnich kilku tygodni, odkąd spędzam czas z Kaią, zaczęłam odczuwać pewne małe, ale jednoznaczne zmiany. Czasami myślę o przyszłości. Jem. Nie biorę już tylu środków uspokajających i najczęściej piję tylko wieczorem. Już tyle nie liczę, a zanim wyjechałyśmy w górę, zaczęłam czytać książkę. Niemożliwy do zniesienia ból po utracie Amalie odrobinę złagodniał, ale to dzięki obecności Kai Berge. A jutro będę miała ją tylko dla siebie.

Rozdział 45

Alison

Bardzo ostrożnie odklejam etykietę z imieniem i nazwiskiem z tyłu iPada. Zapomniałam, że tam jest. Dzięki Bogu, że zdjęłam osłonę, żeby sprawdzić. Jest tam napis Amalie M-J, a pod spodem mój numer telefonu. Po zdjęciu naklejki podnoszę iPada pod światło i delikatnie go przechylam. Ciemny ekran jest pokryty odciskami palców – odciskami palców Amalie. Nabieram głęboko powietrza i delikatnie wycieram go wilgotną szmatką. Podłączam do ładowarki. Następnie przywracam ustawienia fabryczne, kasuję aplikacje i gry mojej córki. Dam go Kai.

Moja kawa nadal jest zbyt gorąca, by ją pić, stoję więc przy blacie przy ładującym się iPadzie i patrzę na ogród. Dziś jest piękny dzień, prawie wiosenny, promienie słońca leją się na trawnik, robią dziury w śniegu. Jest dopiero dziesiąta rano, jak mam wypełnić sobie wszystkie te godziny do czasu, gdy będę mogła odebrać Kaię ze szkoły? Przejeżdżam wilgotną szmatką po blacie, a potem po płycie gazowej, usatysfakcjonowana faktem, że znalazłam parę niedomytych plam po oleju. Biorę kilka łyków kawy, zastanawiając się, czy nie dolać do niej kilku kieliszków wódki, rezygnuję jednak z tego pomysłu, ponieważ potem będę wiozła Kaię samochodem i nie mogę narażać jej na niebezpieczeństwo.

Czy dzisiaj jest dzień, w którym zaczynam myśleć o pokoju Amalie? Może przynajmniej wyczyszczę niektóre zabawki, które leżą porozrzucane na podłodze, zmienię pościel, wpuszczę trochę świeżego powietrza, schowam kilka ubrań do pudeł? Pozwalam, aby mój umysł pozostał przy każdym z tych potencjalnych działań i stwierdzam, że jestem w stanie znieść myślenie o tym. Wylewam resztę kawy; ze zbyt gorącej stała się zbyt zimna, znika w odpływie.

Staję przy oknie, patrzę na miasto kryjące się pod mgłą.

– Jadę po ciebie, Mills – szepczę, rysując dwa A na zaparowanej od mojego oddechu szybie.

– Cześć, Kaiu! – krzyczę, a ona się odwraca. Siedzi z jakąś drugą dziewczynką na wysokiej czerwonej drabince.

– Alison! – odpowiada, jej twarz się rozpromienia. Zjeżdża po rurze na środku drabinki i zeskakuje na zimną ziemię, a potem pędzi do mnie i mocno się do mnie przytula.

– Tak się cieszę, że mogę spędzić z tobą popołudnie!

– Ja też – odpowiada i macha koleżance na pożegnanie. Bierze plecak, a potem łapie mnie za rękę.

– Pomyślałam, że może możemy iść na spacer. Jest ładna pogoda. Potem możemy pójść do mojego domu, ja nam coś ugotuję, a ty weźmiesz się za odrabianie lekcji. Może być?

– Tak.

Wyjeżdżam z zatłoczonego parkingu i skręcam w lewo, w stronę Røa. Ruch jest powolny z powodu biegu szkolnego, zerkam na Kaię w lusterku wstecznym; wygląda na zadowoloną, ale zatopioną w myślach, wpatruje się w ciemny śnieg leżący wzdłuż chodnika, na ludzi idących do domu szybciej, niż my jedziemy. Za Røa ruch się rozluźnia i zamiast jechać dalej prosto w kierunku Holmenkollen i do domu, skręcam w lewo w stronę jeziora Bogstadvannet. Parkuję za stacją benzynową i odwracam się do Kai.

– Jesteśmy na miejscu – mówię.

– Gdzie? – Wygląda przez okno, ale z jej miejsca widać tylko drogę i parking przy stacji paliw.

– Bogstadvannet. – Kaia kiwa głową. – Byłaś tutaj kiedyś? – Pytam, skupiając się na zachowaniu spokojnego neutralnego głosu. Znów kiwa głową. – Pomyślałam, że możemy obejść jezioro. To niedaleko, a droga jest bardzo przyjemna.

– Dobrze.

Idziemy powoli wokół południowego brzegu, od czasu do czasu zbieramy płaskie, szare kamienie i przerzucamy je na fragmenty lodu na wodzie, rozlega się ciche echo na tle gęstych drzew otaczających tę część jeziora. Kaia milczy obok mnie, idzie grzecznie i tak spokojnie, jakby była dorosła. Amalie by się rzucała, skakała, biegała, przewracała się, ciągle by się zatrzymywała, by

podnieść coś z ziemi. Skręcony spinacz do papieru, zabawny kamień, zamrożony kasztan, nakrętkę od butelki Coca-Coli. Powstrzymuję się od ponownego spojrzenia na Kaię, wpatruję się w jezioro. Jest niemal piąta, słońce już zachodzi, chowa się za najwyższymi drzewami po przeciwległej stronie jeziora.

Odwracam się w stronę Kai i uświadamiam sobie, że została z tyłu. Stoi kilkanaście metrów dalej na ścieżce, spogląda na jezioro, w ogóle się nie porusza, tak jakby była zamarznęta. Patrzę na jej zaniedbanie: na fioletową puchową kurtkę, wytartą zieloną czapkę, nagie, czerwone dłonie trzymane blisko po bokach, strąki ciemnych potarganych włosów otaczających twarz, podniszczone brązowe buty. Uśmiecham się do niej, rusza w moją stronę, muszę jednak oderwać wzrok, bo pokochałam ją tak mocno, że to aż boli.

– Mam złe sny – mówi, zatrzymuje się obok mnie i patrzy na po części zamarznęta wodę.

– Ja też – mówię.

– Boję się spać, bo w snach dzieją się ze mną straszne rzeczy.

– Co... Co takiego straszego się dzieje? – pytam, choć doskonale wiem, co mi odpowie.

– Nie mogę oddychać. Moje serce zaczyna boleć. Tak jakby znowu było chore. Tak jak wcześniej.

– Opowiedz mi o tym. Jak to było, gdy byłaś chora?

– Jakbym nie mogła oddychać. Tak jakby moje serce czasami było za szybkie, a potem za wolne, i płonęło.

– Płonęło?

– Tak, miałam wrażenie, że moje serce płonie.

– Moje też się tak zachowuje.

– Jesteś chora?

Odwracam wzrok, nie chcę, żeby widziała łzy, które zacierają mi pole widzenia.

– Nie chora – odpowiadam wreszcie i zaczynam iść. – Ale chyba smutna.

– Ale... Dlaczego jesteś smutna?

– Chciałabym mieć własną córeczkę. Dziewczynkę... taką jak ty.

– Och – mówi Kaia i marszczy czoło. Potem wkłada rączkę w moją dłoń, a ja ściskam ją mocno i ruszamy ścieżką w lesie, wracamy do samochodu.

W domu robię gorącą czekoladę dla Kai i kawę z mlekiem i wódką dla siebie. Zanim odwiozę ją do domu, będę musiała wypić szklanek lub dwie wody, jestem jednak tak dezorientowana i zdumiona po naszej rozmowie, że potrzebuję czegoś, co ukoji moje nerwy.

– Prawie zapomniałam – mówię. – Mam coś dla ciebie.

– Prezent?

– Tak.

Klaszcze w dłonie i podskakuje na stołku przy bufecie, na którym sobie rysuje. Odpinam iPada i go jej podaję. Patrzy na niego, potem na mnie, potem na niego i tak kilka razy.

– Mogę to pożyczyć?

– Nie, skarbie, to dla ciebie. Jest twoje. – Pomagam jej włączyć sprzęt, na ekranie pojawia się jabłko.

– Tak strasznie chciałam taki mieć! A przecież to nawet nie są moje urodziny!

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Jest cudowny! Mamusia będzie zazdrosna. Ona też taki chce, ale nie może go mieć, bo jest za drogi.

– No cóż, w takim razie koniecznie musisz jej go pożyczyć.

Kaia uroczyście kiwa głową.

– Ale... Ale dlaczego ty go nie chcesz?

– Kupiłam nowy i nie potrzebuję dwóch.

– A twój syn go nie chce?

– No cóż, już jeden ma.

– Och.

Uśmiecham się do niej, a ona odwzajemnia uśmiech, ale to smutny uśmiech dziecka, które nagle zaczyna rozumieć, że na świecie jest mnóstwo różnic, że niektórzy ludzie mają dużo, a inni wcale.

– Gdzie on jest?

– Dzisiaj pojechał po szkole do swojej mamy. Jeden tydzień mieszka ze mną, a potem jeden tydzień ze swoją mamą.

– Och. A gdzie jest jego tata?

– On jest... W pracy. – Prawda jest taka, że nie wiem, gdzie jest Sindre. Zeszłej nocy nie wrócił do domu. Nie odpowiedział na moją wiadomość odnośnie do tego, co zrobił z rysunkami, chociaż na szczęście znajdują się one już na swoim miejscu. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale od razu włącza się poczta głosowa. A potem, tuż przed tym, jak odebrałam Kaię ze szkoły, wysłał mi wiadomość.

Mam wieczorną konferencję telefoniczną z Houston, potem biegam z Espenem w Maridalen. Będę późno.

To oczywiste, że gdyby Sindre był w domu, ja nie przyprowadziłabym tutaj Kai.

Po kolacji odwożę ją do domu. Cały czas bawi się iPadem, zielone światło z ekranu rzuca na jej buzię upiorną poświatę. Jadę powoli, pamiętając o dwóch kieliszkach wódki, które wcześniej wlałam do kawy. Zatrzymujemy się na czerwonym świetle na pustym skrzyżowaniu w Grini, gdy nagle Kaia się odzywa.

– Dlaczego przyjechałaś do mojej szkoły?

– Żeby cię odebrać, kochanie – mówię.

– Nie, wcześniej.

– Wcześniej... kiedy?

– Już raz wcześniej byłaś w mojej szkole.

– Nie, kochanie, to musiał być ktoś inny. Może ktoś, kto jest trochę do mnie podobny?

– Ale ja widziałam ciebie. I taki sam samochód. – Ruszam na skrzyżowaniu trochę zbyt gwałtownie, opony obracają się na oblodzonej powierzchni. Łapię mocno kierownicę. Nie widziała mnie tamtego dnia – nie mogła mnie widzieć. Obserwowałam ją przez cały czas i nasze spojrzenia ani razu się nie spotkały.

– Kochanie, to nie byłam ja. – Uśmiecham się do niej, ona jednak jest zdenerwowana, ściągnęła brwi, położyła iPada ekranem w dół na swoich kolanach.

– Ale ja widziałam ciebie!

– Dobrze, Kaiu, wystarczy. Wielu ludzi jest do siebie podobnych, wiesz? Tyle razy wydawało mi się, że widzę jakąś swoją starą znajomą w tłumie, a potem okazywało się, że to ktoś inny. Obawiam się, że to dzieje się cały czas.

– Pamiętasz, jak po raz pierwszy przyszedłaś do studia mamy i ja tam byłam i powiedziałam, że cię znam? Bo widziałam cię pod moją szkołą.

– Jesteśmy na miejscu – mówię zbyt głośno w ciszy, która nagle zapadła po wyłączeniu silnika. – Kochanie, nie zapomnij o swoim iPadzie.

Kaia patrzy na mnie, najpierw wyzywająco, potem chyba przypomina sobie o tablecie i miło spędzonym dniu i wyraz jej twarzy trochę łagodnieje.

– Wiesz, nie powinnaś być smutna. Ja też mogę być twoją córeczką.

- Co... Co masz na myśli, Kaiu?
- Powiedziałaś, że jesteś smutna. I że też chciałabyś mieć swoją córeczkę.
- Tak... Posłuchaj, wiem, że tak powiedziałam, ale ja byłam smutna tylko w tamtej chwili. Nie przez cały czas. Nic mi nie będzie, obiecuję.
- Dobrze. Jeśli będziesz smutna, zawsze możesz mnie odwiedzić.
- To bardzo urocze z twojej strony, Kaiu. – Patrzę na dom, ale Iselin chyba nie słyszała, że podjechałam. – Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli nie powiemy mamusi, że byłam dzisiaj trochę smutna, dobrze?
- Dobrze – mówi Kaia, zbierając swoje rzeczy. – Mama też czasami jest smutna. – Kiwam głową, a potem idziemy kilka kroków do drzwi piwnicy, Kaia słodko się do mnie uśmiecha, ściskając swojego nowego iPada.

W domu wołam Sindrego, chociaż wiem, że wróci późno. Idę prosto do pokoju Amalie i zamykam za sobą drzwi. Zaczynam zdejmować prześcieradło z jej łóżka, rzucam poszwy na stos przy drzwiach. Potem odsuwam zasłonki, otwieram okna, pozwalam, by do pokoju wpadła mroźna noc. Podnoszę porzucane po podłodze zabawki i wkładam je do pudełek. Biorę złożone ubrania, które leżą na jej komodzie od tego lipcowego poranka, który zaczął się tak samo jak inne wakacyjne poranki. Wkładam je do szuflady Amalie, opierając się pokusie wtulenia twarzy w małe koszulki i sweterki, żeby poczuć choć ślad jej zapachu. Ponownie zamykam okno i wychodzę tyłem z pokoju. Nie wygląda już tak, jakby Amalie wyszła na chwilę i mogła wrócić w każdym momencie. Po raz pierwszy od lipca zostawiam drzwi szeroko otwarte.

Po północy dzwoni telefon. Drzemałam, ale wibrujący na drewnianej podłodze telefon gwałtownie wyrywa mnie ze snu. To Monica, była żona Sindrego. Siadam szybko, przejeżdżam palcem po ekranie i odrzucam połączenie. Drżącymi palcami odblokowuję telefon i oddzwaniam.

- Alison – mówi Monica. – Musisz tu przyjechać.

Rozdział 46

Alison

Gdy Monica otwiera drzwi, jej twarz jest bez makijażu i bardzo zmęczona. Prowadzi mnie do kuchni, w której na ławce przy oknie siedzi Sindre, przeglądający telefon.

– Co się dzieje? – pytam, patrząc to na Monicę, to na mojego męża, ale żadne z nich nie patrzy mi w oczy.

– Pomyślałam sobie, że Sindre potrzebuje podwózki do domu – mówi Monica.

– Co ty tutaj robisz? – pytam.

– Poszedłem pobiegać i trochę mi się pomieszało, to wszystko.

– Sindre próbował otworzyć moje drzwi kluczem od waszego domu i wydaje mi się, że tego już trochę za wiele.

– Nic mi nie jest – mówi Sindre.

– On z pewnością nie powinien prowadzić teraz samochodu – dodaje Monica, ostre światło nad zlewem sprawia, że papierowa skóra pod jej oczami nabiera granatowej barwy.

– Nie – mówię łagodnie. – Dziękuję, że zadzwoniłaś.

– Ja... jestem też zaniepokojona. Martwię się o was oboje. Bo mi zależy. Oczywiście wiecie, że bardzo was lubię. Ale... Ale mój syn spędza z wami połowę życia i zastanawiam się, czy nie byłoby dobrym pomysłem, gdybyśmy sobie to wszystko przemyśleli. Poczekali, aż te okoliczności staną się bardziej sprzyjające.

– Nie – mówi Sindre. – Monica, proszę. Posłuchaj. Wiem, że sytuacja jest trochę niestabilna. Ale proszę, pozwól mu zostać z nami.

– Tak, proszę – mówię. Ja i mój mąż patrzymy sobie w oczy, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu pojawia się między nami poczucie jakiejś solidarności.

– Oliver też jest w żałobie. To, przez co przechodzimy z Sindrem, jest również

częścią historii Olivera. Nie wydaje mi się, że powinno się go odsuwać, nawet jeśli w tej chwili jest ciężko. – Monica patrzy na Sindrego, potem na mnie. Kiwa głową, a potem wstaje.

W samochodzie Sindre gapi się przez okno, wygląda na odrzuconego i pokornego.

– Mówiłeś, że znowu wyjeżdżasz w tym tygodniu? Nie możesz, Sindre. Nie w taki sposób. Nie nadajesz się do podróżowania.

– Rejkiawik. I tak, muszę.

Nie odpowiadam – już dawno nauczyłam się, że nie ma sensu mówić mojemu mężowi, co może zrobić, a czego nie może.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? – pytam, wjeżdżając na podjazd.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– A nie ma?

– Ja... Nie czuję się dobrze, Ali. To tak, jakby moja skóra płonęła, czuję, że muszę zrobić wszystko, by uciec z domu i od siebie.

– Znam to uczucie.

– Spałem w mieszkaniu w Skovveien, okej? – Kupił to mieszkanie po dwudziestce, zanim ożenił się z Monicą, od czasu do czasu wykorzystywaliśmy je do Airbnb.

– Sam? – Patrzy na mnie, a potem otwiera drzwi od samochodu. Idę za nim do domu, moje serce wali tak mocno, że on z pewnością to słyszy. Chwila empatii, która być może nastąpiła u Moniki, już dawno minęła. Idzie prosto do salonu i widzi ponownie powieszzone rysunki Iselin.

– Czyś ty kompletnie postradała zmysły? – wrzeszczy mi w twarz. Staram się zachować spokój, patrzę mu prosto w oczy.

– Chcę, żebyś mi powiedział, co się dzieje – mówię.

– Chcesz, żebym ci powiedział, co się dzieje? A może ty mi powiesz, co się u diabła dzieje, Alison?

– Gdzie byłeś wieczorem?

– Sprawdziłem twoją historię poszukiwań. W co ty grasz, do ciężkiej cholery? – szepcze i jest to bardziej przerażające niż chwilę temu, gdy wrzeszczał mi w twarz. Zaczyna chodzić po salonie, od jednej ściany do drugiej, wpadać na meble, wyrzucać książki z półek, wreszcie zatrzymuje się przed rysunkami Iselin.

– O mój Boże! – znowu ryczy. – Czy to ta kobieta je narysowała? Odpowiadaj! Odpowiadaj, do ciężkiej cholery!

– Skąd... Skąd wiesz?

– Powiedziałem, odpowiadaj!

– Tak.

– Chryste. – Podnosi rękę i wali nią w ścianę obok jednego z rysunków. – Ali, co się, kurwa, dzieje?

– Skąd wiedziałeś? – Muszę wiedzieć, co on dokładnie wie.

– Znalazłem ten artykuł. O dziewczynce. Sprawdziłem jej matkę i wyskoczyły mi te same rysunki. To jakieś kompletne szaleństwo. Kontaktowałeś się z nią? Odpowiedz mi, Ali!

– Tylko żeby kupić rysunki, to chyba oczywiste – mówię cicho.

– Ale dlaczego?

– Bo mi się spodobały.

– Bo ci się spodobały. Czy ty w ogóle rozumiesz, jak bardzo to jest popierdolone?

Kiwam żałośnie głową, gdy Sindre osuwa się na podłogę i siada, chowa głowę w dłoniach. Gdy znowu zaczyna mówić, w jego głosie nie ma już wściekłości. Mówi cichym, jękliwym szeptem.

– Próbowałem, Ali. Naprawdę próbowałem. Każdego dnia staram się wybaczyć albo przynajmniej zrozumieć, ale prawda jest taka, że chyba nie dam rady. Ja... Nie mogę uwierzyć, że ona nie wróci. – Podchodzę do niego i siadam na podłokietniku sofy obok miejsca, w którym on siedzi.

– Przepraszam – mówię. A potem mój mąż mówi słowa, które będą odbijać się echem w mojej głowie do końca życia.

– „Przepraszam” nie wystarczy, Alison. Tak bardzo starałem się nie obarczać cię winą, ale prawda jest taka, że właśnie to robię. Miała pięć lat! Pięć! Coś ty sobie, kurwa, myślała? Powiesz mi, co ty sobie myślałaś?! Kurwa! Alison, do cholery, jak mogłaś... – Zaczyna szlochać, wali pięściami w podłogę. Gdy do niego podchodzę i kładę dłonie na jego ramionach, rzuca się, tak jakby dotknął go duch, a potem odwraca się i patrzy na rysunki Iselin z nieskrywaną nienawiścią. Zdejmuje jeden z nich i ciska go po pokoju, szkło rozbija się na pianinie. Rzucam się w jego stronę, żeby nie zrobił tego samego z drugim rysunkiem, ale Sindre dwa razy mnie od siebie odpycha, za drugim razem się przewracam i uderzam twarzą w krawędź stolika kawowego. Mój mąż staje nade mną, wysoko trzymając oprawiony rysunek, ręce Sindrego drżą, chromowana rama lśni w świetle. Potem Sindre rozbija rysunek o mnie, wali ramą o moje ręce, szkło wbija się w moją skórę, gdy próbuję chronić twarz.

Wreszcie mój mąż wychodzi.

Rozdział 47

Alison

Budzę się na kanapie, już jest ranek, palące słońce wpada przez ogromne okno, na parkiecie widać jasne plamki. Podświetla kawałki szkła na podłodze i wtedy przypominam sobie, co się wydarzyło. Łapię się za głowę, strasznie mnie boli, tak jakby przez noc mój mózg spuchł i wciskał się w moją czaszkę. Jest piątek, 10:25. Nie mam już nic do stracenia. Sindre odszedł, nie ma już nikogo, kto powstrzymałby wszystkie te szalone myśli, które kłębią się w mojej głowie. Nie mam już nawet Karen.

Czy przyjęłaby mnie, gdybym nagle się zjawiła? Mogłabym jej o wszystkim opowiedzieć i z pewnością byłabym chroniona przed samą sobą i tym, czym się stałam. Wykonałaby kilka telefonów i musiałabym dokądś pójść – do szpitala, w którym spokojni obcy ludzie wiedzą, w jaki sposób radzić sobie z takimi jak ja. A może powie coś, co trochę mnie oświeci; ostatecznie to właśnie od tego są terapeuci.

Nadal mam na sobie dzinsy i moherowy sweter, który miałam na sobie zeszłego wieczoru, i postanawiam się nie przebierać. W łazience zmywam z twarzy i rąk ślady krwi, nakładam korektor na ciemny siniec na brodzie.

Mijam lśniąca w słońcu skocznię narciarską, Slemdal, Majorstuen Station, aż wreszcie zerkam na piekarnię, w której siedziałam kilka tygodni temu, ogrzewałam dłonie cappuccino, a potem poszłam do Trudvangveien, gdzie po raz pierwszy spotkałam się z Kaią Berge. Próbuję skupić się na tej chwili, a nie na tym, jak wielki chaos panuje teraz w moim życiu. Kaia, mała, piękna, cudowna Kaia, naczynie, w którym kryje się najczystsze serce, jakie kiedykolwiek znałam. Robię to dla niej.

Na mój widok Karen robi przerażoną minę.

– Och, Alison – mówi, skrywając połowę twarzy za framugą drzwi.

– Możemy porozmawiać?

– Oczywiście, że możemy porozmawiać. Dostawałaś moje wiadomości? Usiądziesz? Mogę z tobą porozmawiać za jakieś pół godziny.

– Ale moja sesja zaczyna się o jedenastej – mam świadomość, że mówię zbyt głośno, Karen zerka dyskretnie w stronę siedzącej teraz w jej gabinecie osoby.

– Alison, nie było cię przez bardzo długi czas. Ale znajdę dla ciebie nową sesję, dobrze? Po prostu usiądź, a ja za chwilę do ciebie dołączę.

Gapię się na nią, potem kiwam głową, ale gdy tylko zamyka drzwi, odwracam się na pięcie i idę korytarzem, wychodzę na ulicę.

Zostawiam samochód i idę do kościoła Uranienborg i wokół małego parku – jest taki piękny dzień. Chodzę bez celu, udaję się w stronę Solli Plass, potem siadam w zimnym słońcu na ławce przed Kaffebrunneriet pod Skovveien, patrzę na mijające mnie niebieskie tramwaje. Co robi Karen, gdy otworzy drzwi i zobaczy, że mnie nie ma? Po co ja w ogóle tam wracałam? Nie potrafiła mi pomóc wcześniej, nie pomoże mi także teraz – nie zrozumiałaby tego, co dzieje się w Kai. Jak mogłam się spodziewać, że zrozumie, że to cud – że jest to sposób wszechświata na zwrócenie mi Amalie.

Dwieście czterdzieści pięć dni bez niej. Ile razy wzięłam oddech od chwili, w której ona wydała swoje ostatnie tchnienie? Z pewnością jest jakaś konkretna liczba, ale nigdy jej nie poznam. Ile razy zabiło moje serce? Myślę o niewielkich rzeczach, które nadal robię – o rzeczach, które po prostu robimy, chociaż zatrzymał się cały nasz świat: chodzimy do łazienki, ubieramy się, rozbieramy, pijemy kawę, wymieniamy żarówki, chodzimy do łazienki, ubieramy się, sprawdzamy telefon, jeździmy samochodem, chodzimy do łazienki... Każda z tych czynności, wykonana bez niej to jak kolejna mała zdrada. Świeże zielone pąki na gałęzi drzewa, obok którego siedzę, to też zdrada. Świejące słońce – zdrada.

Jest zbyt zimno, żeby długo siedzieć nieruchomo, zaczynam więc chodzić po Skovveien, a gdy mijam numer 51, wpatruję się w okna mieszkania na czwartym piętrze. To niby tam mój mąż spędził noc. *Obwiniam cię, powiedział. Coś ty sobie myślała? Ona miała pięć lat! Pięć...*

Oczywiście mój mąż ma rację. Nie powiedział ani jednego nowego dla mnie słowa.

Patrzę na fasadę z czerwonej cegły, wyobrażam sobie Sindrego, który porusza się za szarymi firankami. Może ona jest tam z nim, bo w sumie dlaczego nie? Zaczęłam o tym rozmyślać. Z początku nic nie czuję poza ulgą, że Sindre ma coś, co odwraca jego uwagę ode mnie. Teraz jednak czuję też złość. Pewnie pieprzył ją w Genewie i we wszystkich miejscach, do których jeździł od czasu, gdy wrócił do pracy. Nie, żeby to miało większe znaczenie – bo dzięki temu mogłam spędzić z Kaią tyle czasu.

Wyjmuję telefon.

Gdzie jesteś?, piszę, ale gdy wciskam „Wyślij”, przypominam sobie, że Sindre jest w podróży.

Mój telefon pika niemal natychmiast.

Cześć. Do wtorku jestem w Rejkiawiku, ale musimy porozmawiać...

Gdzie jesteś? Tak strasznie mi przykro. S x

Pierdol się, odpisuję drżącymi palcami. Boli mnie głowa.

Oczywiście, że go tu nie ma. Kilka razy dzwonię do drzwi na wypadek, gdyby była jego dziewczyna, ale nikt nie otwiera. Dociera do mnie, że przecież na pewno pojechała do Rejkiawiku razem z nim. Wejdę na chwilę na górę, zbiorę myśli. Mogłabym po prostu odwrócić się na pięcie, wsiąść do samochodu i gdzieś pojechać. Dokądkolwiek. Mogłabym pojechać do Blåkrøken. Mogłabym pojechać promem do Danii, a potem jechać i jechać na południe, do Francji albo może do Hiszpanii. Mogłabym spróbować ułożyć tam sobie życie, wynająć mały apartament, pisać artykuły i chodzić na plażę – już kiedyś tak robiłam. Ale nie mogę nigdzie iść bez Amalie.

Zamykam za sobą drzwi i przez chwilę stoję w cichym przedsionku. Gdybym chciała, mogłabym zrównać to mieszkanie z ziemią. Mogłabym przewracać meble, rozwalić łóżko, powybijać wszystkie okna. Mogłabym zniszczyć to gniazdko miłości, w którym mój mąż zaznawał uciech, gdy ja nosiłam żałobę po naszej córce. Wchodzę do salonu. To zwykłe pomieszczenie o niewielu meblach, rozglądam się i odczuwam smutek, że Sindre przyszedł tutaj potajemnie z kimś innym, podczas gdy ja byłam sama i zrozpaczona po drugiej stronie miasta.

W kuchni w zlewku stoi pusty kieliszek po winie. Otwieram lodówkę, widzę kilka piw i otwartą butelkę prosecco, z szyjki wystaje korek. Pił tutaj, z tą swoją dziwką. Wyjmuję prosecco, siadam przy kuchennym stole i zaczynam pić z butelki. Czy to jej? Pewnie tak. Wyobrażam sobie ich razem, szerokie, silne ciało mojego męża otulające ją w łóżku, jej chude, jasne dłonie trzymające go za szyję.

To ona rozśmieszała go późno w nocy przez telefon za zamkniętymi drzwiami jego gabinetu. To ona pytała: *Co dzisiaj robisz?* Za każdym razem, gdy pytałam, z kim się tak śmieje, on tylko mruczał „praca”, tak jakby prowadzenie firmy ochroniarskiej było tak zajebiście zabawne. Samo myślenie o moim mężu sprawia, że mój umysł się wzdryga. Nie wiem już, co oznacza „Sindre”, ani kim stał się mój mąż. To skończony człowiek. A nawet niebezpieczny. Nigdy bym się nie spodziewała, że zrobi mi krzywdę. Ale każdy może być niebezpieczny, każdy z nas może zostać doprowadzony do szaleństwa, teraz już o tym wiem. Oboje poszerzyliśmy zakres swoich możliwości i nie wiem jeszcze, gdzie leży granica naszego potencjału destrukcyjnego. Zastanawiam się, czy jest teraz z tą kobietą, z jakąś głupią zdzirą, która uważa, że może posklejać mojego męża, i uświadamiam sobie, że mam to gdzieś.

Prosecco jest wygazowane, ale nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Wstaję i podchodzę do okna, patrzę na zwyczajne życie, które rozgrywa się na dole: czarny samochód próbujący zaparkować na krótkim miejscu parkingowym przed spożywczakiem, kilka nastolatek wracających ze szkoły i śmiejących się z czegoś, co leci w telefonie, wróbel wydziobujący okruszki z resztek brązowego śniegu przed piekarnią Hansen. Siadam i piję jeszcze więcej, zamykam oczy, wyobrażam sobie mojego męża, który nade mną stoi i wrzeszczy. Widzę go w garażu z bronią. Widzę, jak nade mną stoi, trzyma oprawiony rysunek, a potem mnie nim wali, podczas gdy ja unoszę ręce, by go powstrzymać. Potem patrzył na swoje dłonie, tak jakby nie wiedział, do czego jeszcze mogą być zdolne.

To musi być to, to jest nasz koniec, bo dokąd mogłoby nas to zaprowadzić? Czuję wibrowanie w kieszeni.

– Ali? Cześć, to ja. Issy. – Słyszę radosny głos Iselin.

– Cześć – szepczę.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Jestem trochę zdyszana. Wyszłam na dwór. Biegałam.

– Świetnie. Mamy taki piękny dzień. Tak jakby nadchodziła już wiosna! No więc, w poniedziałek idę na rozmowę do „Speilet”.

– Och. To dobrze. Tak, tak, to wspaniale.

– I zastanawiałam się, to znaczy... wiem, że to pewnie duża prośba, poza tym i tak możesz nie mieć nic, co by pasowało, oczywiście możesz pomyśleć, że w ogóle nie powinnam cię o to prosić, ale...

– Iselin, zwolnij. Czego potrzebujesz?

– Zastanawiałam się, czy mogłabym pożyczyć sukienkę?

Leżę na łóżku. Jestem taka zagubiona. Za każdym razem, gdy zamykam oczy, widzę złe rzeczy. Przez te wszystkie miesiące rozmawiałam z Amalie, ale jej milczenie wręcz miażdży moje serce. Szukałam jej – w jeziorze, w jej pokoju, tam, gdzie nigdy nie bywała, a jednak przez cały ten czas szukałam w niewłaściwych miejscach. W ciągu tych ostatnich kilku miesięcy powoli do mnie wracała i rozumiałam, że ona nadal tutaj jest, w każdym uderzeniu jej serca. *Potrzebuję jej, ciebie, potrzebuję ciebie, misiaczku, i chyba teraz wiem, jak cię sprowadzić z powrotem. Ty, istota ciebie, znajduje się nie tylko w twoim sercu. Przecież serce odżywia każdą komórkę w organizmie. Gdy krew przechodzi przez twoje serce, a następnie krąży po jej ciele, ukazujesz się w całej Kai. Przez jej organizm pędzą twoje atomy, docierają do każdej komórki. Ty i ona jesteście jednym. Nie wierzę, że wcześniej sobie tego nie uświadomiłam, że przez cały ten czas byłaś tutaj. Nic mi nie zostało – nic, poza tobą. Idę po ciebie. Będziemy razem, misiaczku, ja i ty.*

Rozdział 48

Iselin

Alison otwiera drzwi, zanim udaje mi się zadzwonić. Prawie jej nie poznaję. Kaia otwiera szeroko usta i cały czas się na nią gapi, gdy zdejmujemy kurtki w przedpokoju. Alison ma na sobie piękną szmaragdową jedwabną bluzkę z golfem, wetkniętą w ciemne spodnie o szerokich nogawkach. Włosy, które widziałam spięte tylko w cienki kucyk albo ścisły kok i poprzetykane siwymi pasemkami, teraz są ufarbowane na ciepły odcień brązu z subtelnymi blond pasemkami. Są idealnie ułożone w miękkie, opadające na ramiona fale. Ma dokładnie zrobiony makijaż, ale pod jednym okiem nieskutecznie próbowała ukryć duży siniak, a gdy odwraca głowę, pod grubą warstwą korektora widzę kolejny cień, tym razem na linii szczęki. Wyciąga rękę, by powiesić nasze płaszcze. Rękaw jej bluzki się trochę podciąga, widzę brzydkie sińce na obu rękach.

– Widziałaś *Annie*? – pyta Kaię. Mała kręci głową. Alison włącza film, Kaia siada na leżącej na podłodze przed telewizorem wielkiej niedźwiedziej skórze i bierze naszykowany już talerz ciastek. Rozglądam się, szukając moich rysunków, ale może nie miała jeszcze czasu, by je powiesić. A może postanowiła powiesić je gdzieś na górze, ostatecznie jest to duży dom.

Idziemy na piętro, ja siadam na pięknym skórzanym pufie w sypialni, podczas gdy Alison wyjmuje jedną piękną sukienkę po drugiej.

– Gdzie jest twój mąż? – pytam, rozglądając się po eleganckiej, skąpo umeblowanej sypialni, jakby szukając jakichś jego śladów. A tak naprawdę to chcę spytać: *Co ci się stało i czy zrobił to twój mąż?*

– Znowu wyjechał w podróż służbową.

– Och. – Zakładam szarą sukienkę z wełny merynosowej od Paule Ka i przeglądam się w lustrze sięgającym od podłogi do sufitu.

– Tak, do... Kopenhagi.

– Nie przeszkadza ci, że tak często podróżuje? – Czuję, że mogę teraz zadać jej takie pytanie – po kilku dniach spędzonych w Norefjell mam wrażenie, że znamy się od zawsze. Jak siostry. Jak jednak mam ją nakłonić, żeby mi powiedziała, co się stało?

– Nie – odpowiada, podnosząc do światła jedwabną sukienkę, a potem mi ją podając, chociaż póki co najbardziej podoba mi się Paule Ka. – Bardzo lubię mieć tyle czasu dla siebie. – Kiwam głową i biorę od niej kolejną sukienkę. Patrzy na mnie ostro, tak jakby chciała, żebym przestała zadawać pytania. Ale jestem jej przyjaciółką, a przyjaciele się o siebie troszczą. Otwieram usta, by spytać: *Czy on cię skrzywdził?* Ostatecznie jednak nie wydobywam z siebie żadnego dźwięku i nic nie mówię.

W poniedziałek rano nadal myślę o Alison, gdy idę przez most od portu przy Aker Brygge do Tjuvholmen, trzymając latte z Kaffebränneriet. Mam na sobie sukienkę od Paule Ka. Na tej małej, stworzonej przez człowieka wyspie wszystko jest nowe; nowoczesne biurowce, kawiarnie, modny hotel, kilka galerii z zawyżonymi cenami za ekscentryczne dzieła sztuki, niesamowite muzeum nad wodą, zaprojektowane przez Renza Piano. Wreszcie tutaj jestem, w samym centrum tego wszystkiego. Chciałabym, by mogła mnie teraz zobaczyć nastoletnia Iselin – profesjonalistkę po dwudziestce, niosącą kubek z kawą przez najlepszą dzielnicę Oslo, w drodze na rozmowę z redaktorem „Speilet”. I to wszystko dzięki Alison. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym jej nie poznała. Siedziałabym w domu w dresie i marzyłabym o byciu taką, jaką jestem w tej właśnie chwili: o tym, żeby zmierzać w jakimś kierunku. Bardzo mi pomogła i teraz ja muszę znaleźć sposób, żeby jej jakoś pomóc. Ale jak?

Owijam się ciaśniej płaszczem Alison, chociaż to już drugi tydzień marca, temperatura znowu spadła. Pęknięcia między lodem, które zaczęły się pojawiać, zrosły się niczym blizny. Zniżam głowę, idąc pod ostry wiatr z południa, przechodząc między budynkami.

Dotarłam do biurowca „Speilet” – budynek jest jeszcze bardziej imponujący, niż się spodziewałam. Jest skierowany bezpośrednio na fiord, którego ciemna woda i plamy białego lodu odbijają się w lustrzanej elewacji biurowca. Przyszłam dziesięć minut za wcześnie, ale mam zamiar wejść do środka przez drzwi obrotowe i poczekać w ciepłej recepcji. I nagle czuję wibrowanie telefonu

w torbie. Ignoruję je i telefon przestaje dzwonić. Nabieram głęboko powietrza i ruszam do przodu, ale znowu czuję wibracje i zatrzymuję się, by wyjąć telefon. To na pewno Noa, pewnie wróciła z Barcelony i chce pogadać. Nie chcę z nią teraz rozmawiać, nie zapomniałam jej jeszcze tego, jak ostatnio mnie potraktowała, i już mam odrzucić połączenie, gdy sobie uświadamiam, że na ekranie wcale nie pojawił się numer mojej siostry, lecz szkoły.

– Witaj, Iselin. Z tej strony Annie ze szkoły. Obawiam się, że dzisiaj rano Kaia kiepsko się czuje. – Moje serce zaczyna walić, a twarz natychmiast oblewa się rumieńcem.

– Och nie. O Boże, nic jej nie jest? Gdzie ona jest?

– Nie chcę, żebyś się martwiła. Jest ze mną tutaj, w gabinecie. Mówi, że boli ją głowa. Możesz po nią przyjechać? – Waham się, patrzę na oszklony budynek, wyobrażam sobie siebie w nim, pracującą na własny rachunek, patrzącą na delikatnie falującą wodę.

– Tak. Tak, oczywiście. Obawiam się jednak, że dotarcie na miejsce zajmie mi co najmniej godzinę. Jestem w centrum Oslo, więc... Ale... Mogłabym poprosić przyjaciółkę.

– Pewnie. Co mam powiedzieć Kai?

– Powiedz jej, że wrócę do domu tak szybko, jak tylko będę mogła, i że Alison być może będzie pierwsza.

– Chciałam też spytać, czy możemy podać jej paracetamol?

– Nie, nic jej nie podawajcie. Ona jest na lekach immunosupresyjnych, które mogą kolidować z lekami przeciwbólowymi. Niedługo po nią przyjadę. – Wyobrażam sobie moją małą córeczkę, leżącą na sofie w sekretariacie, trzymającą się za głowę, z twarzą wykrzywioną z bólu. Chcę być razem z nią, chcę poprawić jej samopoczucie. Rozłączam się i wybieram numer Alison. Telefon dzwoni przez długi czas, a gdy Alison wreszcie odbiera, jej głos jest zachrypnięty.

– Eee, słucham? – pyta.

– Och, cześć Alison, tu Iselin.

– Cześć, Iselin! – Na dźwięk mojego głosu w jej głosie pojawia się radosna nutka. – Już skończyłaś? I jak poszło? Założę się, że ich rozwaliałaś!

– Nie, ja... Cholera, właśnie dzwoniли ze szkoły, Kaia źle się czuje i właśnie mam wejść do „Speilet” i...

– Skarbie, uspokój się. Pojadę po nią.

– Ja... Ja... Dziękuję.

– To przecież niedaleko, nie martw się. Wiesz, że z radością wam pomogę.

– Możesz przywieźć ją potem do nas? Klucz jest w jednym z kaloszy na lewo od drzwi. Powinnam wrócić za kilka godzin. O trzeciej Kaia musi wziąć leki. Wie, jaką dawkę i gdzie się wszystko znajduje.

– Nie ma sprawy. Ej, powodzenia dzisiaj. Rozwal ich.

– Dziękuję – mówię i się rozłączam. Wyciszam telefon, a potem chowam go z powrotem do torebki. Wygładzam delikatny wełniany materiał sukienki i po raz ostatni nabieram głęboko powietrza, a potem wchodzę do budynku „Speilet”, po raz kolejny dziękując Bogu za Alison Miller-Juul.

Rozdział 49

Alison

– Możemy się teraz pobawić w lekarza i pacjenta? – pyta Kaia. Kiwam głową i się jej przyglądam: blada twarz, rozgorączkowane oczy, małe wydęte usta. Po raz kolejny mam wrażenie, że Kaia jest tylko mirażem; że pod powierzchnią kryje się prawdziwe dziecko, Amalie. Kaia wstaje i znika w swojej sypialni, a potem wraca z prawdziwym stetoskopem na szyi i chytrym uśmiechem. Dziwna zabawka, dochodzę jednak do wniosku, że skoro przez tyle lat było się pacjentką kardiologiczną, to nic dziwnego.

– Ja jestem lekarką – mówi.

– Dobrze – odpowiadam. Wyciąga rękę i szarpie w dół mój sweter z dekoltem w kształcie litery V, dotyka czaszą właściwe miejsce poniżej obojczyka po lewej.

– Och, nie! – krzyczy. – Jesteś chora.

– Tak?

– Tak. Twoje serce nie działa.

– Och... – zamykam oczy i udaję jeszcze bardziej chorą, ale tak naprawdę to czuję się przeciążona tym wszystkim i bliska łez, Kaia jest tuż obok, czuję na policzku jej gorący, szybki oddech. – Jak sądzisz, możesz mnie naprawić?

– Tak. Może mi się uda. – Zdejmuje stetoskop i kładzie małą dłoń nad moim sercem, wpatrując się we mnie swoimi chłodnymi, niebieskimi oczami. – Już lepiej?

– Mhm.

– Wiesz, że na chore serce można umrzeć?

– Tak. Tak, wiedziałam o tym.

– Potrzebujesz leków. Proszę, otwórz usta. – Kaia wsuwa mi do ust udawaną łyżkę z lekami i się uśmiecham, udając, że je połykam.

– Czyli wiesz, co ze mną nie tak?

– Tak. Już ci mówiłam. Masz chore serce. Będziesz potrzebować nowego.

– Wiesz, w jaki sposób stało się chore?

Zastanawia się przez chwilę, a potem odpowiada:

– Prawdopodobnie od bakterii.

– Tak sądzisz?

– Tak.

Kiwam głową, opierając się chęci zbliżenia się do niej, wdychania jej jak tlenu, czując na piersi uderzenia serca Amalie.

– Dobrze, teraz moja kolej na bycie lekarzem – mówię.

– Nie – odpowiada Kaia i wstaje z miejsca, w którym siedzi na podłokietniku. Podnosi stetoskop i już ma odejść, ja jednak łapię ją za nadgarstek.

– Proszę – mówię.

– Nie.

– Kaiu, daj spokój.

– Zawsze muszę być pacjentką!

– Tylko jeden raz, proszę.

Patrzy na mnie wyzywająco, krzyżuje ręce na klatce piersiowej. Potem jednak coś przychodzi jej na myśl, jej twarz łagodnieje.

– Czy jeśli się zgodzę, dasz mi ptasie mleczko?

– Ptasie mleczko?

– Czekoladowe! Z galaretką malinową i bananową pianką.

– Och. Eeee, tak. Oczywiście.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Rzeczywistość tego, co ma się wydarzyć, uderza mnie tak mocno, że nie mogę znieść widoku Kai, wpatruję się więc w swoje dłonie. Kaia ponownie siada na podłokietniku i delikatnie pochyla się w moją stronę, tak że jej pierś jest na jednym poziomie z moją twarzą. Rozpina kilka górnych guzików bluzki i bez skrępowania odsłania poszarpaną, mięsistą bliznę, a potem wprawnym ruchem umieszcza stetoskop na swojej piersi, podając mi słuchawki. Przez chwilę je trzymam, a potem wkładam do uszu, wpatrując się w spokojne, głębokie oczy Kai. Pragnęłam tego od tak dawna, od chwili, w której zobaczyłam ją po raz pierwszy, gdy spadła z sanek i wyobrażałam sobie jej trzepoczące z przerażenia serce. Serce Amalie.

W moim uchu rozlega się bicie serca. Wbrew moim obawom dźwięk ten nie napełnia mnie strachem ani nie pogłębia czarnej, przytłaczającej paniki, w której żyję od ośmiu miesięcy. Każde precyzyjne, doskonałe uderzenie serca

Amalie rezonuje w samym sercu mnie i mam wrażenie, że w cudowny sposób zaczyna łączyć popękane fragmenty. Słucham tego bicia przez bardzo długi czas, spoglądam na fioletowe popołudniowe niebo w taki sam sposób, w jaki słuchałabym wymagającego pełnego skupienia koncertu, a jednak Kaia nie jest tym znudzona. Wreszcie wyjmuję słuchawki z uszu i rozglądam się wokół, tak jakbym wybudziła się ze snu. Kaia nie martwi się strumieniami łez lejących się po mojej twarzy.

– W porządku. Wiem, dlaczego jesteś smutna – mówi, podając mi serwetkę ze stojaka na stole kuchennym, z napisem „Wesołych Świąt”. – Bo to smutne, że to serce kogoś innego.

– Tak – odpowiadam, nie mogąc ruszyć się ani o centymetr.

– I ten ktoś już nie żyje.

– Tak.

– Biedak.

– Tak.

– Ale nie jest do końca martwy – dodaje cicho i idzie do sypialni, żeby odłożyć stetoskop. Nie mam odwagi się odezwać ze strachu przed tym, że przerwę jej to, co chce powiedzieć dalej, ale ona już nic nie mówi. Gdy wraca, widzę, że jej oczy również mają czerwone obwódki. Wtula się w moje ramię, a ja zamykam oczy, czując delikatne unoszenie się i opadanie jej piersi przy mojej piersi. *Wyjedziemy razem, ty i ja*, myślę, i z całych sił muszę powstrzymać się przed wypowiedzeniem tych słów na głos – Kaia nie może jeszcze o tym wiedzieć. Ale właśnie w tej chwili to, co było tylko niejasnym pomysłem, zaczyna stawać się wyraźnym, konkretnym planem.

Rozdział 50

Iselin

Otwieram drzwi i z salonu dochodzi mnie radosny śmiech Kai. Kładę torbę na korytarzu i przez chwilę stoję przed lustrem. Iselin Berge, nowa zdalna ilustratorka „Speilet”. Na samą myśl o tym ogarnia mnie odrętwienie i chce mi się płakać. Wysokość pensji, jaką mi zaoferowali, jest o wiele większa, niż byłabym w stanie sobie wyobrazić. Ponad trzy razy więcej niż zasiłek. Więcej niż wszystkie moje zlecenia. Ocieram łzę i słabo się do siebie uśmiecham. *Zrobiłaś to.*

– Mamo! – krzyczy Kaia, gdy wchodzę do pokoju. Leży na sofie i chociaż wygląda na radosną, jej twarz jest wyraźnie bledsza niż zwykle. Dotykam jej czoła, chyba ma niewielką gorączkę. Na naszej ostatniej wizycie kontrolnej doktor Harari powiedziała, że mam dzwonić przy najmniejszych objawach choroby. Lista rzeczy, które mogą pójść nie tak u Kai, zwłaszcza w pierwszym roku po operacji, jest długa. Postanowiłam nie poświęcać całej mojej energii umysłowej na obsesję na punkcie tego, co mogłoby pójść nie tak, i jak dotąd wszystko szło jak z płatka. – Mamo, ja i Alison urządziłyśmy herbatkę! A potem bawiłyśmy się w lekarza!

– Świetnie – mówię i całuję ją w czoło. Alison siedzi w starym fotelu przy oknie, wyglądając bardziej jak zwykła Alison niż jak ta wersja glamour, którą widziałyśmy poprzedniego wieczoru. Ma włosy spięte w wysoką kitkę i bardziej naturalny makijaż, chociaż widać, że próbowała zakryć siniaki.

– Wszystko w porządku? – pytam, a ona uśmiecha się w stronę Kai i kiwa głową.

– Tak. Boże, ile ta mała ma energii, nawet gdy źle się czuje. Rządziła mną przez całe popołudnie. – Śmiejemy się, Kaia robi głupie miny. – No więc... kiedy będziesz miała informacje na temat pracy?

– No cóż... – Zaczynam, rozkoszując się przeciąganiem tej chwili i wyczekującym spojrzeniem na twarzy Alison. – Dostałam ją.

– Co?

– Tak!

– O mój Boże! Iselin, to wspaniale! Tak od razu ci ją zaproponowali?

– Tak! – Nie myślałam, że tak zrobią, byłam pewna, że przeprowadzą cały szereg rozmów, stopniowo zawężając grono kandydatów. Nie miałam nadziei na więcej niż na ewentualną informację zwrotną. Podobało mi się tam w tym przestronnym otwartym biurze na trzecim piętrze, z którego rozpościerały się tak spektakularne widoki, jak sobie wyobrażałam. Ludzie też byli wspaniali, a godzina spędzona z Fransem, redaktorem, i jego koleżanką Miną przypominała raczej przyjacielską pogawędkę niż rozmowę o pracę. Czułam, że mnie polubili, nie spodziewałam się jednak takiego zakończenia spotkania. *Chcemy ciebie.*

Alison zrywa się z fotela i mocno mnie przytula. Przez krótką, ostrą chwilę bardzo tęsknię za Noą – nie mogę uwierzyć, że nie ma jej tutaj razem ze mną i Kaią. Kaia wyciąga do mnie ręce i gdy mocno ją przytulam, przyciskając twarz do miejsca między ramieniem a szyją, czuję, że tak naprawdę jest bardzo rozpalona. Cofam się, przerażona.

– Muszę szybko zadzwonić do lekarki – mówię. – Kazali mi dzwonić natychmiast, gdy tylko będzie chora, nawet jeśli to tylko przeziębienie. – Alison kiwa głową, na jej twarzy widać ogromną troskę. Jest też coś innego: ogromny smutek, który zauważyłam już wcześniej. Czasami wyraz twarzy Alison błyskawicznie przechodzi od spokojnego do udręczonego, a potem znowu staje się normalny, tak jakby zmuszała się do robienia obojętnej miny.

– Wszystko w porządku? – pytam ponownie.

– Tak – odpowiada z uśmiechem, ale tym razem uśmiech nie dochodzi do oczu. Chyba to sobie uświadamia, bo spuszcza wzrok i wygląda przez okno, w zamyśleniu gładząc się po rękę.

Alison zawozi nas do szpitala. Szybko, jakimiś bocznymi drogami, próbując unikać korków, które utworzyły się na Røa. Doktor Harari i zespół jej aniołów czekają na nasz przyjazd, ja i Kaia udajemy się na oddział pediatryczny, podczas gdy Alison parkuje samochód. Czeka przed gabinetem, kiedy doktor Harari przeprowadza Kai serię badań, słucha bicia jej serca, mierzy ciśnienie

krwi, świeci jej w oczy, mierzy temperaturę termometrem na podczerwień i rozśmiesza tym Kaię, szuka wysypki i pobiera jej krew, żeby upewnić się, że jest dostatecznie dużo białych krwinek. Kaia się nie skarży ani nie protestuje, po prostu siedzi w swoich różowych majtkach z Myszka Minnie, jej wąskie ramiona delikatnie drżą, chociaż w gabinecie jest przyjemnie i ciepło.

– To tylko łagodne przeziębienie – mówi doktor Harari, podając stetoskop Michelle, starszej pielęgniarki, która również zna Kaię, odkąd ta była mała.
– Nie ma nic, co sugerowałyby odrzucenie przeszczepu. Niech siedzi w domu przez cały tydzień, proszę mierzyć jej temperaturę i dzwonić do mnie natychmiast, jeśli przekroczy ona trzydzieści dziewięć stopni. Kaiu, słuchaj mamusi, dobrze? W tym tygodniu nie ma żadnych wspinaczek po górach, nurkowania ani skoków ze spadochronem, słyszysz? – Kaia, choć zmęczona, uśmiecha się i kiwa głową.

W samochodzie Kaia zasypia, skulona na tylnym siedzeniu. Teraz Alison prowadzi powoli, nadal ma zmartwioną minę.

– Nie wiem, jak ja sobie poradzę z pracą i z nią... – Jestem bliska łez.

– Dasz sobie radę – mówi Alison. – A ja ci pomogę.

– Ale... Ale Alison, dlaczego tak bardzo mi pomagasz? – Na chwilę odrywa wzrok od ulicy i zerka we wsteczne lustro na śpiącą Kaię, a potem na mnie.

– Posłuchaj. Jestem twoją przyjaciółką. Tak właśnie zachowują się przyjaciele.

– Ja... Dziękuję. – Czuję napływające do oczu łzy i muszę odwrócić wzrok. Jestem przytłoczona wdzięcznością za wszystko, co Alison robi dla mnie i Kai. Czuję również coś innego, coś niepokojącego, a potem sobie uświadamiam, co to jest: atmosfera domu w Svartberget, gdy mój ojciec nie pił i był w dobrym nastroju. W głębi duszy wiedziałam, że to nieprawda, że to nie będzie długo trwało, a nawet że może to być niebezpieczne.

– Co ci się stało w twarz? – szepczę, uważnie się jej przyglądając. Wyraz jej twarzy się nie zmienia, jest otwarta i spokojna.

– Ach, to – mówi, skręcając w prawo w naszą ulicę. – Wsiadałam do samochodu i udało mi się dosłownie zatrzaskać drzwi na własnej twarzy. To absurd.

– A z nadgarstkami?

Milczy, wjeżdżając pod nasz dom, Kaia wydaje z siebie jakiś jęk, ale się nie budzi. Alison wyłącza silnik i patrzy mi w oczy. Wyraz jej twarzy jest teraz inne, twardszy. Tak jak mojego ojca, gdy z całych sił starał się udawać miłego.

Chcę jak najszybciej wysiąść z samochodu, ale natychmiast robi mi się głupio. Przecież Alison jest najmilszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam.

– Mój pasierb bardzo się na mnie wściekł. Zabrałam mu telefon, bo znowu złamał zasady. On... Rzucił się na mnie, próbując go odzyskać. Co jest oczywiście zupełnie nieakceptowalne. Mój mąż dostał szału. Ale to nie jest tak poważne, na jakie wygląda. Łatwo robią mi się siniaki. Zawsze tak było.

– Przepraszam – mówię. – To nie moja sprawa. Ja... Tylko się o ciebie martwię.

– Nie przepraszaj, kochanie. Możesz pytać mnie o wszystko. – Czuję się głupio, próbując skrytykować Alison po tym wszystkim, co dla nas zrobiła. Jestem tylko wyczerpana, fizycznie i psychicznie. Delikatnie dotykam jej dłoni, która leży na automatycznej skrzyni biegów, i uśmiecham się, by dodać jej otuchy. – Chcesz, żebym ci pomogła zanieść ją do środka?

– Nie, w porządku. Jestem przyzwyczajona do noszenia tej małej małpki.

Ponownie się do siebie uśmiechamy, wysiadam z samochodu i ostrożnie wyjmuję Kaię z tylnego siedzenia. Opada na mnie, wtula twarz w moją szyję, coś mruczy. W mieszkaniu kładę ją delikatnie na łóżku, a sobie nalewam kieliszek czerwonego wina, zanim w ogóle zdejmuję kurtkę. Dostałam pracę. Prawdziwą, dobrze płatną pracę. Jeśli połączyć to z dochodem za rysunki, być może będziemy mogły z Kaią ruszyć do przodu. Może po raz pierwszy wyjedziemy na wakacje. Mogłybyśmy zamawiać sushi we wtorki bez konieczności sprawdzania stanu konta. Ocieram kilka łez, które spływają po bokach mojej twarzy, gdy nagle czuję wibrowanie telefonu w kieszeni.

Jeszcze raz gratuluję, kochana Iselin, czytamy. Nie będzie łatwo, ale będzie cudownie. A oto mały prezent dla uczczenia tej okazji. Ali xx. A pod spodem – YXB88N.

Dziękuję, Alison. I dziękuję za twoją dzisiejszą pomoc. Ale chyba nie rozumiem ostatniej części wiadomości?

To numer referencyjny. Na lot do Paryża, możesz go wykorzystać, kiedy tylko zechcesz. Zastużyłaś na nagrodę. Z chęcią popilnuję Kai.

Rozdział 51

Alison, tydzień później

Kiedy się budzę, na zewnątrz jest jeszcze ciemno, a budzik pokazuje 5:22 rano. Pokój mieni się w świetle księżyca i zastanawiam się nad wstaniem, może nawet mogłabym posiedzieć na zewnątrz na skraju lasu z kubkiem kawy; wiem, że już nie zasnę. To dziwne, że w ogóle zasnęłam – był to mętny, pusty sen, pusta przestrzeń, w której nie ma żadnego trwałego śladu snu czy wspomnień, jednak może nie jest to aż tak dziwne, skoro poprzedniego wieczoru wzięłam podwójną dawkę Temazepamu.

Czekałam na ten dzień cały tydzień i gdy pomyślę o tym, co ma się dzisiaj wydarzyć, czuję ścisk w żołądku. Bardzo ostrożnie wstaję z łóżka, jakbym nie była w nim sama. Na dole w kuchni, z tyłu szuflady na sztuce, znajduje się zawinięta w bibułę w różowe kropki świeca, którą kupiłam specjalnie na tę okazję. Wsuwam ją do kieszeni szlafroka obok zapalniczki i wracam na górę, unikając spojrzenia w lustro. Ostrożnie omijam pokój Olivera – zawsze miał bardzo lekki sen – ale potem przypominam sobie, że oczywiście go tu nie ma. Żadnego z nich nie ma. Wyobrażam go sobie w jego pokoju u Moniki, rzucającego się na łóżku, spędzającego długie godziny na bezcelowym przeglądaniu telefonu, pisaniu na forach dotyczących żałoby, przez chwilę siedzącego na parapecie.

W pokoju Amalie płomień ożywa. Przez większość dni ciężko mi jest wstać z łóżka, ale ponieważ powiedziała mi dokładnie, co chce, żebyśmy zrobili tego dnia, zrobimy to. Ten tydzień był ciężki, ale dzisiaj będzie inaczej. Nie będzie nawet ponuro. To jej dzień i będziemy świętować.

Wszystkiego najlepszego, kochanie.

Kiedy Kaia mnie widzi, biegnie przez połowę placu zabaw, wymachując ręką w rękawiczce. Dopiero minęła czwarta, ale niebo jest już fioletowopurpurowe; światło słońca nigdy nie ma szans z norweską zimą.

– Alison – mówi i wpada mi w ramiona i podciąga pod siebie nogi, tak jak zrobiła kilka tygodni temu, gdy po raz pierwszy przyszliśmy tutaj razem z Iselin. Uśmiecham się do niej, przyglądając się jej zdrowym, różowym policzkom, piegom na nosie, oczom koloru wody.

– Pomyślałam, że dzisiaj zrobimy coś naprawdę wyjątkowego.

– Pójdziemy zobaczyć konika?

– Jeszcze nie. Twoja mama mówi, że musimy uważać na zwierzęta przez kolejne kilka tygodni.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego, cukierczku. Ryzyko infekcji.

– To dokąd idziemy?

Sandvika Storsenter jest jednym z największych centrów handlowych w Norwegii. Rozciąga się wzdłuż autostrady E18 przy Oslofjorden na zachodnich obrzeżach miasta. Gdy zjeżdżam w kierunku centrum, zerkam we wstecznym lusterku na Kaię, ona jednak patrzy na wielki budynek, nic nie rozumiejąc.

– Kaiu, byłaś już tu kiedyś? – pytam, wjeżdżając na miejsce parkingowe.

– Co to za miejsce?

– To jest centrum handlowe.

– Och.

– Wiesz, tam, skąd pochodzę, centra handlowe to wielka rzecz. W weekendy dzieciaki bardzo często tam chodzą.

– Jak tam jest?

– Jest tam każdy sklep i każda restauracja, jaką można sobie wyobrazić, i do tego kino, i może jeszcze kręgle.

– Nie, pytam o to, jak jest tam, skąd pochodzisz?

– Och. No cóż. To niedaleko San Francisco. Prawdopodobnie o nim nie słyszałaś, ale to duże miasto. I do tego piękne. Wychowywałam się około godziny na wschód, na wzgórzach, niedaleko plaży.

– I co się stało? – pyta Kaia z poważną miną, gdy ramię w ramię wchodzimy na ruchome schody, tak jakby oczekiwała jakieś tragedii.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego już tam nie mieszkasz?

– Ja... Chyba chciałam zwiedzić świat i robić różne ciekawe rzeczy, wiesz?

– A co z twoją mamą? – Co ciekawe, do Kai chyba nie dociera, że wiele osób ma mamę i do tego tatę.

– Moja mama nadal tam jest. Chociaż... no cóż, już nie w naszym domu, bo się rozchorowała, więc teraz mieszka obok, w domu, w którym otrzymuje pomoc. – Uśmiecham się łagodnie, a ona kiwa poważnie głową, a potem w zamyśleniu podaje mi swoją czapkę i rozgląda się po rozciągającej się przed nami galerii handlowej.

– Pomyślałam, że może zrobimy sobie paznokcie.

Patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Zrobić paznokcie?

– No wiesz. Manicure. – Kaia nadal nic nie rozumie, a ja się zastanawiam, czy przyprowadzenie jej tutaj nie było błędem. Może wcale nie lubi tego, co lubiła Amalie. – Lakier do paznokci, brokat, małe zwierzątka przyklejone do paznokci. Jakie wybierzesz. – Po tych słowach się rozpromienia, a do mnie dociera, że Kaia po prostu nie wiedziała, co to manicure.

– Naprawdę? Możemy?

W salonie manicure patrzę, jak Kaia wybiera wzór z wzornika leżącego na biurku manikiurzystki. Amalie zawsze wybierała tę samą różową bazę, potem dodawała naklejki ze zwierzątkami i serduszka na górze.

– Taki – mówi Kaia, wskazując biedronkę – na małe palce. – To jedne z ulubionych naklejek Amalie.

– Dobry wybór – mówi pracownica.

– I misie na kciuki, a na resztę serca. – Grzeczna dziewczynka. Uśmiechamy się do siebie i siadamy obok siebie, dziewczyny zaczynają piłować i wypełniać nasze paznokcie. Zauważam spojrzenie mojej manikiurzystki, gdy widzi moje obgryzione paznokcie, popękane skórki, zaniedbaną skórę, którą obsesyjnie skrobałam. Wybieram manicure francuski, taki sam jak zawsze, choć odkąd ostatnio robiłam paznokcie, minął prawie rok. Gdy patrzę na minę Kai, zachwyconą tym nowym, dziwnym doświadczeniem, dociera do mnie, że jako dziecko bardziej przypominałam Kaię niż własną córkę. W czasach nastoletnich nie należałam do dzieciaków wałęsających się po centrach handlowych z uroczymi torebkami wypchanymi dolarami. Byłam samotniczką,

marzycielką i chłopczycą, która była o wiele szczęśliwsza, gdy mogła surfować albo bawić się w wojnę na rzadkich wrzosowiskach na wzgórzu, niż gdy przebywała w towarzystwie chłopców.

Amalie miała takie życie, w którym pieniądze nigdy nie były problemem. Miała własnego kucyka, prawie co weekend jeździła na nartach, podróżowała do RPA, Honolulu, Singapuru i Cannes, w jej pokoju stały meble robione na miarę i najdroższe zabawki i sprzęty. Czasami martwiłam się, że ją rozpuszczamy, teraz jednak cieszę się, że to robiliśmy. Mogliśmy zapewnić jej takie życie, dlaczego więc mielibyśmy tego nie robić?

Myślę o tym, że to bardzo nie w porządku, że Kaia musi mieszkać w tym obskurnym i wilgotnym mieszkaniu. Przecież ona nawet nie ma własnego pokoju i Bóg jeden wie, czy są to zdrowe i bezpieczne warunki dla dziecka po tak ciężkiej operacji. Gdyby zostawała ze mną częściej, miałyby trochę oddechu od tego depresyjnego mieszkania.

– Lody? – pytam, gdy zapłaciłyśmy i wyszłyśmy z salonu. Kaia kiwa głową, nadal wpatrując się w swoje paznokcie. Po lodach idziemy na zakupy sukienkowe i Kaia wybiera trzy piękne sukienki z *Enfant Terrible*. Martwię się, że sprzedawczyni może mnie rozpoznać, kiedyś przychodziłam tutaj często z Amalie, ale niepotrzebnie się kłopotczę, prawie na mnie nie patrzy. Skupia się na Kai, głośno krzyczy za każdym razem, gdy mała wychodzi z przebieralni i nieśmiało się obraca.

– *Fantastique!* – mówi, a ja robię zdjęcie Kai w jedwabnej, granatowej sukience. Tak, jak zrobiłaby każda matka. – Kochanie, czy ty masz może dzisiaj urodziny? – *Tak. Ma.*

– Nie – odpowiada Kaia.

– Och, w takim razie jesteś bardzo szczęśliwą małą *mademoiselle* – mówi kobieta, wbijając zakupy na kasę. – Twoja mama traktuje cię jak małą księżniczkę. – Patrzę na Kaię i czekam, aż sprostuje, ale tego nie robi. Uśmiecha się sucho, patrzy na mnie i wkłada ciepłą rączkę w moją.

W sklepie z zabawkami Kaia siada przy małym stoliku z kredkami i kartkami i bierze się do rysowania.

– Kaiu, rozejrzyj się. Powiedziałam, że możesz wybrać sobie zabawkę. – Wygląda na trochę zawstydzoną, ale grzecznie przygląda się półkom wypchanym lalkami, które jedzą, śpiewają, klaszczą w dłonie.

– Nic więcej dzisiaj nie potrzebuję – mówi.

– Wiem, że nie potrzebujesz nic więcej, kochanie. Chcę cię trochę porozpieszczać. Rozejrzyj się, wybierz to, co chcesz. – Powoli wstaje, trochę

chodzi, wreszcie zaczyna się przyglądać promocjom. W końcu wraca do mnie, trzymając małą paczkę kredek z napisem –50%.

– Czy mogę prosić o to?

Klękam przed nią, biorę jej dłonie w swoje dłonie, ona jednak delikatnie się odsuwa.

– Kaiu, posłuchaj. Możesz mieć wszystko, co tylko zechcesz. Wszystko. Może chciałabyś naprawdę dużego misia? Albo lalkę Baby Born? A może dom Sylvanian z całą rodziną w środku? – Po tych słowach ponownie podnosi wzrok i dociera do mnie, że ona po prostu jeszcze nigdy nie była w takiej sytuacji i nie wie, co zrobić. – Chodź – mówię, biorę ją za rękę i razem podchodzimy do zabawek Sylvanian.

W samochodzie Kaia siedzi cicho, a ja cieszę się chwilą, prowadząc samochód przez wczesny, chłodny poranek, wioząc na tylnym siedzeniu zmęczoną i szczęśliwą dziewczynkę. Lód na fiordzie odpada wielkimi płatami, tak jakby ktoś się w niego wbił i go rozerwał. Jest prawie siódma, jakiś czas temu zapadł zmierzch.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną rzecz, Kaiu – mówię, a ona odwraca się od okna w moją stronę. Jej mała buzia jest spokojna, słodka, częściowo zacieniona, i gdybym zmrużyła oczy, w tym świetle mogłaby spokojnie uchodzić za Amalie.

– Jeszcze jedną?

– Tak.

– A gdzie ona jest?

– W moim domu. – Kaia nie odpowiada od razu, ale patrzy na swoje ręce. Zaczyna obracać kciukami.

– Chcę już jechać do domu – szepcze. Łapię mocniej kierownicę, czuję falę złości, zalewającą mnie od opuszków palców do stóp.

– Wkrótce – mówię neutralnym i radosnym głosem.

– Nie, teraz.

– Kaiu.

– Tęsknię za moją mamą.

– Skarbie, niedługo ją zobaczysz.

– Chcę jechać do domu!

– Jest w pracy.

– Nie, teraz jest wieczór. Już czas do łóżka!

Po południu napisałam do Iselin i powiedziałam, że jedziemy do Sandvika na film i coś zjeść i wrócimy około ósmej, potem jednak wyłączyłam telefon. Po części na wypadek, gdyby się nie zgodziła, a po części dlatego, że nie chciałam, by zadzwonił do mnie mąż.

– To zajmie bardzo krótką chwilę, Kaiu. Chcę ci coś pokazać. – Nie odpowiada i gdy ponownie zerkam w lusterko, widzę, że jej oczy są szeroko otwarte i pełne łez. Zaczynam odczuwać współczucie – za żadne skarby nie chcę widzieć jej smutnej, nie mogłabym znieść myśli o tym, że boli ją serce. Skręcam z Vækerøveien na pobocze, włączam górne światło i odwracam się do Kai. Spuściła głowę na pierś i jej nie podnosi, nie chce mi pokazać, że płacze.

– Ej – mówię, kładę dłoń na jej dłoni, nie odsuwa się. – Piękne masz paznokcie, prawda? – Kaia powoli kiwa głową, jest bardzo smutna. – Ej. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa, dobrze? Naprawdę zaraz pojedziemy do domu.

Zostawiamy domek na drzewie, autobus szkolny i szpital marki Sylvanian, a także wielką, pełną sukienek torbę z *Enfant Terrible* w samochodzie i Kaia uważnie się rozgląda, tak jakby była tutaj po raz pierwszy. Uspokoila się już, jej oczy znowu lśnią. Jest w niej dzisiaj coś, czego nie potrafię określić, coś znajomego. Gdy biegnie przede mną do kuchni, uświadamiam sobie, co to jest. Szura stopami w tańcu dokładnie tak, jak robiła to Amalie. Moje serce bije coraz szybciej, przetykam gulę w gardle. Jest to bardzo specyficzny chód, który Amalie wykonywała dla żartu, kiedy była podekscytowana; myślę, że zaczęła to robić po zobaczeniu tancerzy salsy na ulicy w Trynidadzie dwa lata temu. Nigdy nie widziałam, by Kaia tak robiła. *Zachowaj spokój, Ali*, mówię do siebie. *Zachowaj spokój. Ona do ciebie wróci.*

– Usiądź tutaj i zamknij oczy – mówię. Kaia wchodzi na stołek barowy i posłusznie zamyka oczy, cicho się śmiejąc. Otwieram lodówkę i ostrożnie wydaję ciasto. *Czerwone z różowym brokatem, twoje ulubione.*

– Mogę już otworzyć oczy?

– Jeszcze nie – odpowiadam i odwijam świeczkę z bibuły.

– A teraz?

– Dwie sekundy. – Wkładam świecę w ciasto i ją zapalam.

– Teraz możesz otworzyć oczy – mówię i ona to robi, jej twarz rozpromienia się na widok pięknego ciasta, potem jednak widzi świecę, cyfrę 6, i jej uśmiech znika. Jest zaskoczona. Zamykam na chwilę oczy, w środku mówię: *Wszystkiego*

najlepszego, moja miłości, mój aniele, mój misiaczku, moje wszystko, potem jednak słyszę jakiś dziwny dźwięk. Otwieram oczy i widzę stojącego w drzwiach do kuchni Olivera, który zmarł z szoku i przerażenia.

Rozdział 52

Iselin

– Mamo, mam, spójrz! – krzyczy Kaia, gdy otwieram drzwi. Alison czekała przy krawężniku, nie zgasiła silnika, macha mi i natychmiast odjeżdża. Z reguły wpadała na herbatę albo plotki, teraz jednak chyba się śpieszy. Pomagam Kai wejść do środka – jest obładowana torbami.

– Co to jest?

– Alison zabrała mnie do wielkiego centrum handlowego! Kupiła wszystko, czego zapragnęłam! Wszystko! I spójrz! – Ściąga rękawiczki i pokazuje mi dłonie, małe paznokcie są profesjonalnie ozdobione biedronkami, serduszkami i brokatem.

– Wow – mówię. – Wow. Jakie to ładne. Eee... czy Alison powiedziała, dlaczego ci to wszystko kupuje?

– Powiedziała, że zasługuję na nagrodę. Za to, że jestem taka grzeczna.

– Ale Kaiu, to nie jest nagroda. To jak Boże Narodzenie i urodziny w jednym... – Czuję się niepewnie, tak jak czują się dzieci, gdy dorośli rozmawiają nad głową o czymś, czego nie rozumiesz; wiesz, że coś jest nie tak, ale nie wiesz co. Kaia zdaje się tym nie przejmować i rozpakowuje na podłodze dwie wielkie torby ze sklepu z zabawkami Brio. Są tam Sylvanian za tysiące koron, trzy Barbie i pudełko z trzydziestoma drogimi brokatowymi mazakami – nigdy nie chciałam jej takich kupić. – Poczekaj, nie otwieraj tego – mówię, odsuwając od niej autobus Sylvanian. – Kochanie, będziemy musiały to oddać.

– Nie!

– Tak, Kaiu. Bardzo mi przykro.

– Dlaczego? – głos Kai jest wysoki i drżący.

– Bo... Och, kochanie, to trochę skomplikowane. Chodzi o to... Wiem, że Alison jest naprawdę miła i chciała sprawić ci trochę radości. Ale... problem

z przyjmowaniem takich prezentów jest taki, że stawia nas to w dziwnych relacjach z ludźmi. Rozumiesz?

Kaia patrzy na mnie wściekle, lśniące paznokcie są gotowe do rozrywania pudełka autobusu. Kręci wyzywająco głową, cały czas patrząc mi w oczy.

– Nie oddam tego!

– Oddasz, skarbie. Owszem, oddasz. Może gdy mama przez jakiś czas popracuje w „Speilet”, będziemy mogły tam pojechać i kupić kilka nowych zabawek. Może wtedy, dobrze?

– Nie!

– Kaiu, odłóż to pudełko. Prosiłam cię o coś i musisz mnie słuchać. W tej chwili, proszę.

– Nie! – Rozrywa pudełko. Zanim do niej dobiegam, robi to samo z kolejnym.

– Kaiu!

– Jesteś taka wredna! Dlaczego zawsze jesteś dla mnie taka wredna?

Czuję łzy napływające do oczu. Jestem zmęczona, boję się, że nie poradzę sobie teraz z napadem wściekłości.

– Po prostu bądź cicho. Natychmiast odłóż wszystko do toreb! No dalej!

– Nie! – krzyczy Kaia, jej twarz jest czerwona i wykrzywiona. – Dlaczego jesteś dla mnie taka wredna? Nigdy nie dajesz mi ładnych rzeczy! Nienawidzę cię! Chciałabym... Chciałabym, żeby to Alison była moją matką! Ona kocha mnie o wiele bardziej niż ty!

– Zamknij się, Kaiu – mówię przez zaciśnięte zęby i odwracam się, żeby nie widziała łez w moich oczach.

– To prawda – dalej krzyczy, a ja myślę o siedzącej na górze Hanne Vikdal, przyciskającej ucho do podłogi, by zrozumieć słowa Kai, kiwającej głową do męża, podsłuchującej, osądzającej. Pozwalam sobie na myśl, która przez te wszystkie lata tyle razy pojawiała się w mojej głowie, ale nigdy dłużej się nad nią nie zastanawiałam. Chcę wyjść z tego brzydkiego mieszkania, odejść od mojego dziecka. Chcę być wolna. Już raz to zrobiłam. Myślę o Svartberget, o tym, jak udało mi się odejść, udowodnić sobie, że można zakończyć beznadziejne życie i zacząć zupełnie nowe. Byłam wolna, naprawdę wolna przez krótką chwilę, a potem wszystko spieprzyłam. – Ty po prostu chcesz, żebym była smutna! Nienawidzę cię! Chcę mieć inną matkę! Nie jesteśmy nawet prawdziwą rodziną!

– W porządku – szepczę. – W porządku. Po prostu się zamknij. Proszę, proszę, zamknij się. Zachowaj te wszystkie rzeczy, rób, co chcesz. Poza tym masz rację, Kaiu. Nawet nie jesteśmy prawdziwą rodziną. – Nasze straszne

słowa wiszą w powietrzu, obie odwracamy wzrok, podłoga jest pokryta fragmentami tektury i plastiku. Zostawiam Kaię w salonie i trzaskam za sobą drzwiami – do diabła z Hanne Vikdal i jej drżącą zasłoną, jej pieprzoną sąsiadką troską.

Dopiero gdy zalewa mnie kojąca gorąca woda pod prysznicem, pozwalam sobie na płacz.

Moje serce mocno wali i chociaż Kaia spokojnie śpi i w niczym nie przypomina tego wściekłego potwora o czerwonej twarzy, którym była wcześniej, ja nie mogę spać. Nowa praca w „Speilet”. Nowa przyjaźń z Alison, cała ta pomoc, jaką nam zaoferowała. A teraz to. Moja pierwsza myśl była taka, że przecież nie możemy przyjąć wszystkich tych prezentów od Alison. To nie byłoby w porządku. Potem jednak, gdy zaczynam się nad tym zastanawiać, nad tym, jaka była dla nas miła i hojna, myślę, że może przesadzam. Czy zaakceptowanie tego, że ktoś jest dla nas miły, naprawdę musi być takie trudne? Przez jedną cudowną chwilę pozwalam sobie myśleć, jak by to było, gdybym zostawiła Kaię z Alison, tylko na kilka dni, i wróciła do Paryża. Jak by to było znowu chodzić tymi ulicami, czuć na twarzy ciepłe wiosenne słońce, być zupełnie wolną, nawet tylko na weekend? Biorąc pod uwagę to, co się właśnie wydarzyło, kilka dni rozłąki mogłyby być dobrym pomysłem.

Lot do Paryża, wykorzystaj go, gdy tylko będziesz miała ochotę. Z chęcią popilnuję Kai.

Wysłałam wiadomość do Alison.

Rozdział 53

Alison

Odjeżdżam spod domu Kai i Iselin i patrzę na Olivera, który gapi się na dom, tak jakby Kaia mogła ponownie z niego wyjść. Teraz jest już spokojny, ale gdy wyciągam do niego rękę, odsuwa się i patrzy na mnie wściekle. Mój umysł jest wyczerpany po całym pełnym emocji dniu. Twarz Olivera... Cały czas widzę jego minę, gdy wszedł do kuchni i zobaczył Kaię. Najpierw był zszokowany, potem przerażony, pełen niedowierzania, a na końcu rozczarowany. Jak mogę to naprawić?

– Co ci się stało w twarz? I ręce?

– Przewróciłam się.

– Przewróciłaś się?

– Tak. Właśnie. Zawieziemy cię do domu – mówię, jadąc w stronę obwodnicy.

– Jak mogłaś nam to zrobić? – mówi, jego usta drżą. – Powinnaś mi powiedzieć. – Jadę szybko; chcę tylko, żeby wysiadł z samochodu, żeby znalazł się jak najdalej ode mnie. Dzięki Oliverowi magia urodzin Amalie całkowicie wyblakła. Jestem tak wściekła, że ledwo widzę.

– A ty powinieneś był mi powiedzieć, że wracasz do domu. To jest tydzień Moniki.

– Ale... Ale ja tam mieszkam.

– Przez pół czasu, owszem. – Oliver cichnie i gdy zatrzymuję się na czerwonym świetle, ponownie na niego zerkam. Jego twarz jest mokra od łez. Kapią na gołębioszary sweter i zaczynam czuć dla niego współczucie, ale tylko przez krótką chwilę. – Nie możesz powiedzieć Sindremu – mówię.

– Tylko to cię obchodzi? Że zostałaś przyłapaną? Nie rozumiesz, jak bardzo jest to poważne? Mogłabyś... Możesz iść do więzienia! Nic cię nie obchodzimy!

– Proszę, nie mów Sindremu. Proszę. Wiem, że powiedziałeś mi o tym artykule i że zaczęłam szukać rodziny. I wiem, że powiedziałeś mi o rysunkach. – Widzę, że rozważa różne opcje. Czy zrobi to, co jego zdaniem jest słuszne – ma bardzo silne poczucie moralności – i powie swojemu ojcu, czy będzie żyć z tą wielką, okropną tajemnicą? Oliver nie ma pojęcia o kochance Sindrego ani o tym, że nasze małżeństwo się rozpada. Martwi się, że Sindre mnie zostawi, jeśli się dowie, że za plecami wszystkich nawiązałam kontakt z rodziną, z dzieckiem, które otrzymało serce Amalie. Dla Olivera oznaczałoby to spędzanie co drugiego tygodnia z samym ojcem, jedzenie klusek z plastikowych kubków i samotne wieczory przy filmach dokumentalnych. To by oznaczało, że mnie straci. Albo... Albo może siedzieć cicho...

– Chcę ją dobrze poznać – mówi po długiej chwili. – Kaię. Tak, żebym mógł podjąć decyzję.

– Oliverze. Posłuchaj. To... To skomplikowane. Mam zamiar się od niej odciąć. Tak jak już wcześniej powiedziałeś, to jest absolutnie nieodpowiednie i prawdopodobnie nielegalne.

– Dlaczego? – pyta. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? Przecież to ja znalazłem ją jako pierwszy. Powinnaś była mi powiedzieć.

– Oliverze... Ja... Nigdy tego nie planowałam. Chciałam tylko zobaczyć ją jeden jedyny raz. Tylko raz. Wiesz? Żeby mieć pewność, że ona jest prawdziwa.

– Powinnaś była mi powiedzieć.

– Przepraszam. – Przez długą chwilę patrzy na mnie chłodnym wzrokiem, a potem nie odzywa się przez resztę drogi do Vinderen. Zatrzymuję się pod domem Moniki.

– Dlaczego przyjechałeś do naszego domu? – pytam łagodnie.

– Bo... Bo to są urodziny mojej siostry. Przyniosłem jej prezent.

– Co przyniosłeś?

– Prezent.

– Co to jest?

– Leży na jej łóżku.

– Czy... Czy rozmawiałeś z tatą?

– Tak.

– Dzisiaj?

– Nie... Wczoraj.

– Wiesz, że jest w Rejkiawiku, prawda? Chodzi o to, że jak wróci, to przez kilka dni będzie mieszkał w mieszkaniu w Skovveien. Nie masz się co martwić. Ale... My trochę... Sprawy się... Potrzebujemy kilku dni tylko dla siebie. Ale

jeśli przyjdiesz jak zwykle w piątek, to będzie u nas Kaia. Zostanie na jakiś czas.

– Zostanie? Dlaczego? Nie rozumiem...

– Jej mama wyjeżdża, to wszystko. Posłuchaj, Oliverze. Nie możesz powiedzieć o tym tacie, bez względu na wszystko. Rozumiesz? Muszę wiedzieć, że tego nie zrobisz. Teraz ci ufam. – Delikatne kiwnięcie głową. – Jeśli zachowasz się mądrze, będziesz mógł przyjść i ją poznać i wtedy zrozumiesz to, co ja zrozumiałam. Od samego początku miałeś rację. Z tą pamięcią komórkową.

– Co?

– Oli, Amalie wciąż z nami jest. Ona tam jest. W Kai... To jest niesamowite. Naprawdę.

Wygląda na przestraszonego, a gdy muszę na chwilę przerwać, by otrzeć łzy, zerka w stronę domu, tak jakby miał nadzieję, że jego matka dostrzeże samochód na podjeździe i po niego wyjdzie.

– Ale... Co masz na myśli?

– Ona tam jest, w Kai. Nie odeszła, kochanie. Wróciła. Możemy ją odzyskać.

Oliver patrzy na mnie, a potem otwiera drzwi.

– Ja... eee... do zobaczenia w piątek.

W domu idę do kuchni i wkładam nietknięty czerwony tort do plastikowej torby, zamykam ją i wrzucam do kosza na śmieci. Nalewam sobie tequili i dolewam odrobinę ginu i soku pomarańczowego. Twarz Olivera... Cały czas ją widzę. Czy mogę mieć pewność, że nie puści pary z ust? Znam mojego pasierba, wiem, że ma głowę na karku. Gdy pozna Kaię, będzie wiedział, co mam na myśli. Pokocha ją tak, jak ja ją pokochałam, wiem to. Tak więc to, co wydarzyło się dzisiaj wieczorem, to dobra rzecz; gdy Oliver zrozumie, co się dzieje, zrozumie również, dlaczego muszę zrobić to, co planuję, i że jest to jedyny sposób na sprowadzenie Amalie z powrotem. Może pewnego dnia będzie w stanie przekonać Sindrego i wtedy wszystko będzie tak jak kiedyś. Będziemy tu znowu mieszkać razem, wszyscy. Sindre, ja, Oliver i Amalie.

Chociaż dla mnie wszystko jest jasne i wyraźne, wiem, że z zewnątrz może to wyglądać zupełnie inaczej. Ktoś mógłby pomyśleć, że mam urojenia, że oszalałam, jestem zdesperowana, że prowadzę niebezpieczną grę, w której nie będzie żadnych zwycięzców. Stoję przy oknie i obserwuję niebieski księżyc, jego

twarz jest posiniaczona ciemnymi cieniami tak jak moja. Jeszcze nigdy nie czułam się tak samotna. Patrzę w stronę Østerås; tam w dole Kaia śni słodki sen dziecka, które właśnie obchodziło swoje urodziny, ma świeżo pomalowane paznokcie, które lśnią w blasku księżyca, spokojną twarz, tym razem śpi spokojnie. Serce pompuje unikalne DNA Amalie po całym organizmie gospodarza. Która matka nie uwierzyłaby w to, w co ja uwierzyłam?

Rozdział 54

Alison

Dzwoni późno, po dziesiątej.

– Cześć, Ali – mówi Iselin.

– Och, cześć, Iselin. Wszystko w porządku? Mam nadzieję, że Kaia jest zadowolona z tego popołudnia?

– Szalała ze szczęścia.

– To dobrze. – Śmieję się i dolewam sobie drinka z ginem i tequilą. – I bardzo się cieszę, że postanowiłaś lecieć do Paryża. Ty też zasługujesz na to, żeby cię trochę porozpieszczać. Tak jak Kaia.

– Tak. Jestem taka podekscytowana. I wdzięczna, mam nadzieję, że to wiesz.

– Przerywa na długą chwilę, nabiera powietrza i mówi dalej. – Zastanawiałam się, czy mogłybyśmy porozmawiać trochę o... no wiesz... dzisiejszym dniu. O prezentach i tak dalej. Martwię się, że pomyślisz sobie, że jestem niewdzięczna i w ogóle, i wcale nie o to chodzi, tylko że ja nie... nie nawykłam do tego, że ktoś daje mi prezenty. I Kaia też nie jest do tego przyzwyczajona. Chyba martwię się, że je przyjmując, no wiesz... stawiam się w pozycji...

– Czego? Boisz się, że będziesz miała wobec mnie dług wdzięczności? – Staram się zachować spokój i opanowanie, ale moje serce szaleje. Czyżbym posunęła się za daleko? Czy Iselin się ode mnie odsunie, zabierając ze sobą Kaię? Nie pozwolę jej na to. – Iselin, kochanie. Cieszę się, że ze mną o tym rozmawiasz, bo nigdy bym nie chciała, żebyś czuła się w ten sposób. – Jest cicha, myśli, wyobrażam ją sobie w tej chwili, siedzącą przy kuchennym stole, Kaia chrapie cicho w pokoju obok.

– Wiem – odpowiada. – Po prostu...

– Issy, posłuchaj – zaczynam lekko drżącym głosem. – Byłam samotna. Strasznie samotna. W domu dzieje się źle. A gdy w moim życiu pojawiłyście się

ty i Kaia, to było jak powiew świeżego powietrza. Bardzo przepraszam, jeśli przesadziłam. Chciałam ci tylko pokazać, jak ważne się dla mnie stałyście.

– Co się dzieje w domu? – pyta łagodniej Iselin. Wyobrażam sobie Amalie, śpiącą spokojnie z misiem pod pachą, i wydaję z siebie szloch. – Alison? O mój Boże, wszystko w porządku? Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować...

– W porządku – szepczę i znowu szlocham.

– Och, Ali, przepraszam. Chciałabym wiedzieć, przez co przechodzisz. Chcę ci pomóc, tak jak ty pomogłaś nam.

– Jestem gotowa powiedzieć ci wszystko, Issy – szlocham, oddycham z trudem, mam chrapliwy głos. – Powiem ci, gdy spotkamy się następnym razem. Nie przez telefon.

– No cóż... Chcesz przyjechać? Ja nie mogę wyjść z domu. Kaia śpi...

– Teraz?

– Tak.

– Naprawdę?

Moje łzy są prawdziwe, ciągle płyną, gdy zjeżdżam ze wzgórza w stronę Østerås. Myśl o tym, że mogę utracić również Kaię, rozrywa mi serce, zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy ze sobą tak blisko – po prostu nie mogę pozwolić, by Iselin się w tej chwili ode mnie odsunęła.

Otwiera drzwi, jest bardzo zmartwiona. Otwiera ramiona i dobrze jest być przez nią trzymaną, mimo wszystko.

– Chcesz herbaty? A może coś mocniejszego? – Wyraz mojej twarzy musiał powiedzieć jej wszystko, bo nalewa mi duży kieliszek czerwonego wina i mniejszy dla siebie. Siadam przy stole w kuchni i opieram głowę o chłodną szybę w oknie. W pokoju obok widzę stos podartych kartonowych pudeł, gapią się na mnie podarte bużki Sylvanian. Znowu zmuszam się do płaczu.

– Porozmawiaj ze mną – mówi Iselin.

– Przepraszam, że przyjechałam tutaj w tym stanie.

– Proszę, Ali, proszę, nie przepraszaj. Pomogę ci. Od tego są przyjaciele. Przyjaciele. – Delikatnie gładzi moją dłoń i przez chwilę patrzy na mnie tak ciepło, że mam wyrzuty sumienia. Za to, kim jestem i co muszę zrobić.

– Mój mąż mnie zostawił. Dla innej kobiety.

Iselin otwiera usta ze zdziwienia, a potem zasłania je dłonią.

– Och. O mój Boże. Tak strasznie mi przykro. Kiedy to się stało?

– Przez jakiś czas było źle. – On jest... – Biorę głęboki oddech, pilnuję smutnej miny, znowu płaczę. – Sindre był wobec mnie brutalny.

– Och, Alison. – Znów delikatnie gładzi moją dłoń, podciągam rękawy, pokazując zielone i fioletowe siniaki. – Bałam się, że tak będzie. Tamtego dnia. Kiedy Kaia i ja przyszliśmy do twojego domu.

– Stało się tak, bo dowiedziałam się o tej innej kobiecie. Zupełnie oszalał.

– A gdzie on teraz jest?

– Przeniósł się do mieszkania w Skovveien, które od czasu do czasu wynajmujemy. Zmieniłam zamki w domu.

– Czy coś takiego miało już kiedyś miejsce?

– Nie do końca. Sindre nie jest złym człowiekiem. Ale przeszedł traumę. Był w wojsku, widział straszne rzeczy. Naprawdę, naprawdę straszne. I czasami jego umysł robi się mroczny. Zawsze był dobry dla mnie i Olivera, nie mogę uwierzyć, że mnie to spotyka. Naprawdę sądziłam, że jesteśmy szczęśliwi, wiesz?

– Tak bardzo mi przykro, że musisz przez to przechodzić. Żałuję, że nie mogę nic zrobić.

– Przecież coś robisz. Mogę ci się wygadać. Dziękuję.

– Nie musisz mi dziękować.

– Po prostu czuję się taka samotna.

– Nie jesteś samotna. Teraz masz nas.

Teraz masz nas. Ale ja chcę tylko Kai. Mogę dać jej wszystko i w zamian ona też może dać mi wszystko; cały świat i wszystkie jego radości skryte w jednej małej dziewczynce.

Siedzimy przy stole jeszcze przez jakiś czas, rozmawiając o organizacji weekendu, ja się upieram, że jeśli będę mieć przy sobie Kaię, poczuję się o wiele lepiej.

– Przy niej jestem mniej samotna – mówię. Iselin kiwa głową ze współczuciem – właśnie na to miałam nadzieję.

– Prześpij się tutaj, na kanapie. Nie powinnaś prowadzić po winie – mówi Iselin, wskazując wielki, pusty kieliszek po winie. *Nie, żebym do tej pory nie prowadziła po wypiciu znacznych ilości alkoholu.* Nie mówię jednak tego, tylko kiwam smutno głową. Jest po pierwszej, Iselin trze oczy. Wstaje i wraca z ręcznikiem i zapasową szczoteczką do zębów, nadal w plastikowym opakowaniu.

– Dziękuję – mówię i lekko ją przytulam. Trudno mi jest patrzeć jej w oczy. Kładę się na rozłożonej sofie, którą rozłożyła dla mnie Iselin, i opuszczam

powieki. Dziwnie jest tutaj być, w tym małym mieszkanku, na niewygodnej sofie, metalowe sprężyny wbijają mi się w plecy. W tej chwili chciałabym być Iselin, śpiącą obok Kai na łóżku we wnęce.

Długo leżę w łóżku, moje myśli błądzą, aż wreszcie robię się coraz bardziej zmęczona, gdy nagle zauważam coś dziwnego. Światło z ulicy pada na ścianę w kuchni. Z początku jestem pewna, że to sobie wyobraziłam, ale gdy moje oczy w pełni przyzwyczajają się do ciemności, widzę długi rząd misiów – misiów Amalie – narysowanych wzdłuż listwy przypodłogowej. Wstaję i zakradam się do kuchni. Kucam obok rysunków i to naprawdę są one – poznałabym je wszędzie. Przejeżdżam palcem po każdym kochanym misiu – to kolejny znak. Każdy wyrzut sumienia, który do tej pory mnie dręczył, znika – bo już wiem, że Kaia nie należy do Iselin. Już nie.

Rozdział 55

Alison, dwa dni później

Czekam na parkingu przy sklepie KIWI, aż wreszcie Iselin i Kaia wychodzą z domu i ruszają w górę długiego, łagodnego wzgórza w kierunku szkoły. Gdy znikają, czekam jeszcze kolejne dziesięć minut i dopiero wtedy włączam silnik. Czas szybko mi mija, mam wrażenie, że śnię, tak jakby to, co się dzieje, nie mogło być prawdziwe. Ale jest. Ruszam z miejsca i po niecałych dwóch minutach zatrzymuję się naprzeciwko domu Iselin i Kai. Czekam chwilę w samochodzie, szykuję się, wpatruję się w mieszkanie w piwnicy, w której Iselin i jej cudowna Kaia spędzają życie. Żadne dziecko nie powinno mieszkać w takiej małej, wilgotnej dziurze z matką, która zdaje się żałować, że urodziła swoje dziecko. Nie potrafię znieść myśli o tym, że każdego dnia Kaia budzi się w tej pozbawionej okien przestrzeni, którą nazywają sypialnią. Czy słodkie, czyste serce Amalie odczuwa ból na myśl o wygodnym domu i stabilnej rodzinie?

Kaia będzie w szkole do drugiej, a Iselin jedzie dziś do „Speilet”, by podpisać umowę. Jutro poleci do Paryża na zasłużony odpoczynek, a Kaia zostanie ze mną. W domu już prawie wszystko dla niej przygotowałam, nie mogę się już doczekać jej miny, gdy to zobaczy. Wychodzę z samochodu i szybko przechodzę przez ulicę, otulając się mocniej płaszczem. Zamiast iść prosto do domu Iselin i Kai, obchodzę wejście do nich i idę po schodach na górę. Część zajmowana przez właścicieli domu wygląda znacznie lepiej niż dolny poziom, który wynajmują Iselin. Niedawno pomalowano ściany na biało i zamontowano ciemnoczerwone parapety. Pukam do solidnych dębowych drzwi, które prawie natychmiast się otwierają. Kobieta, która tam stoi, jest w moim wieku, ma rzadkie, siwoblond włosy spięte w ścisły kok i raczej kanciastą twarz. Jej dolna

szczęka jest wystająca, ale najwyraźniej kobieta doskonale zdaje sobie z tego sprawę i schyla głowę w dół.

– Hanne Vikdal? – pytam, a ona kiwa krótko głową i mi się przygląda. Przygotowałam się do tej wizyty, zrobiłam sobie pełen makijaż i wyprasowałam ubrania, więc chociaż może wyglądam na zmęczoną, sprawiam wrażenie normalnej osoby. – Nazywam się Anna Barton. Bardzo przepraszam, że tak panią nachodzę... Zastanawiałam się tylko, czy znalazłaby pani chwilę, by omówić ze mną pewną delikatną sprawę. Chodzi o pani lokatorkę Iselin i jej córkę Kaię. Chodzi o to... Cóż, szczerze mówiąc, martwię się o to dziecko. – Kobieta robi wielkie oczy i natychmiast się ożywia. W jej oczywistej radości jest coś odrażającego. Mogłabym się wycofać – jeszcze nie jest za późno, nigdy by się nie dowiedziała, co mam zamiar powiedzieć albo dokąd ta rozmowa ma nas zaprowadzić.

– Proszę wejść – mówi, dramatycznym gestem ciągnąc mnie za nadgarstek, tak jakby na zewnątrz ktoś nas obserwował. Wchodzę do jej starannie wysprzątanego przedpokoju, na ścianach wiszą duże czarno-białe zdjęcia trzech niepozornie wyglądających młodych chłopców pozujących grzecznie do aparatu. Hanne Vikdal podąża za moim spojrzeniem i uśmiecha się z dumą.

– Magnus, Georg i Philip, moi synowie. Wspaniali chłopcy – mówi. Prowadzi mnie do kuchni i szybko parzy nam herbatę z mlekiem. Gdy siada naprzeciwko mnie przy oknie wychodzącym na ganek Iselin i Kai i unosi brew, tak jakby chciała powiedzieć: *No i, co pani ma?*, przez chwilę czuję się źle. Spoglądam przez okno, na miejsce, w którym Iselin pewnie codziennie staje, szukając kluczy w torebce, w zamyśleniu głaszcząc Kaię po włosach, gdy wchodzi do swojego małego mieszkania. Czy wolno mi jej to wszystko zabrać? Ale serce nie służy, poza tym działam w najlepszym interesie tego dziecka.

– Iselin i ja poznałyśmy się przypadkowo – zaczynam, skupiając się na swoim głosie, który jest łagodny i zatroskany. Zdobycie tej kobiety dla siebie jest kluczowe. – My... no cóż, od czasu do czasu rozmawiałyśmy, coraz lepiej się poznawałyśmy, ostatnio dość często pomagam jej przy Kai. Pewnie mnie tu już pani widziała. – Hanne Vikdal kiwa głową, oczywiście, że mnie widziała, oczywiście, że obserwowała. – Tam stoi mój samochód. – Wskazuję na lśniącego XC90 i na twarzy Hanne pojawia się wyraz głębokiego uznania.

– Z radością pomagam Iselin z Kaią. Wie pani, Iselin jest bardzo młoda, a ponieważ Kaia ma tak poważne problemy zdrowotne, sytuacja z pewnością jest trudna. Tyle że... Naprawdę zastanawiałam się, czy powinnam z kimś o tym rozmawiać... Uważam jednak, że gdy chodzi o niewinne dziecko, wszyscy

mamy obowiązek mówić. Wydaje mi się, że u nich w domu nie wszystko jest w porządku. Chciałam spytać, czy coś pani zauważyła. Będę z panią szczerą – zamierzam złożyć raport do opieki społecznej.

Kolejne gwałtowne kiwnięcie głową.

– Tak – mówi Hanne i mruży oczy. – Tak, niestety sama też się nad tym zastanawiałam. Tam coś jest nie tak. Co noc to biedne dziecko wrzeszczy jak opętane. Sądzę, że ona robi jej krzywdę, naprawdę.

– Naprawdę? Przypuszczam, że ze względu na jej sytuację zdrowotną może odczuwa jakieś bóle albo te krzyki są skutkiem ubocznym leków, które musi brać...

– Nie słyszała pani tych krzyków. Są naprawdę przeraźliwe.

– Mój Boże – mówię z poważną i smutną miną.

– Nigdy nie widziałam ojca. Bóg wie, gdzie on jest. No i matka dużo krzyczy. Obie krzyczą. Ostatnio krzyczała przez bardzo długi czas, a potem usłyszałam głośny huk i wszystko ucichło.

– Och – mówię. – Teraz się cieszę, że do pani przyjechałam. – Wiem już, że mój instynkt się nie myli. Dla Iselin to po prostu za dużo. Potrzebuje pomocy. A *mój misiaczek musi wrócić do domu*. – Ja... Zauważyłam pewne sprawy, które z pewnością są powodem do obaw. Wydaje mi się, że Iselin pije. – Hanne Vikdal otwiera szeroko usta. – Tak. Pojechała ze mną do domku w górach i zauważyłam, że pije w ciągu dnia. No wie pani, likier. Prosiła mnie też, żebym zajęła się dzieckiem, podczas gdy ona wyjedzie sobie za granicę. Na jakąś imprezę czy coś. To znaczy, ja się cieszę, że mogę zaopiekować się Kaią, to urocze dziecko. Ale niecały rok temu przeszła bardzo poważną operację i nadal bierze dużo leków. Wydaje mi się, że to trochę nieodpowiedzialne ze strony Iselin, że w ogóle rozważa pozostawienie jej pod opieką praktycznie obcej osoby. Wie pani, znamy się jakieś dwa miesiące. To trochę niepokojące, że matka czuje potrzebę podróży, pozostawiając swoje chore dziecko komuś innemu...

– Dobry Boże – mówi Hanne. – To po prostu absolutnie nie do przyjęcia.

– Tak mi się wydaje. Chciałam spytać, czy byłaby pani skłonna poprzeć mój raport do Barnevernet dotyczący tego, żeby władze sprawdziły, czy Iselin jest w stanie opiekować się Kaią.

– Och tak. Tak, zdecydowanie – mówi Hanne, ściąga brwi pod wpływem tych nowych, cudownych wieści na temat swoich lokatorek.

– No cóż, muszę powiedzieć, że Kaia ma ogromne szczęście, że jej sąsiadka jest tak czujna. Najważniejsze jest zapewnienie temu dziecku jak najlepszej opieki.

Wracam do samochodu, jadę szybko w stronę domu, potem przychodzi mi do głowy pewna myśl i skręcam w lewo na Røa, w kierunku jeziora.

Ale nie jadę tak jak zwykle. Udaję się na północ, nad cichą część, która nie jest tak łatwo dostępna dla spacerowiczów. Muszę przepchnąć się przez krzewy i przejść nad kilkoma przewróconymi młodymi drzewami i dochodzę do wąskiego paska żwirowej plaży, której nie widać ze ścieżki otaczającej jezioro. To tutaj ją przyprowadzę – idealnie. Siadam na płaskim kamieniu i zamykam oczy, jeszcze raz analizując swój plan.

Rzecz w tym, misiaczku, że musiałam nauczyć się słuchać. Przez wszystkie te miesiące, gdy z tobą rozmawiałam, byłam taka smutna, bo cię nie słyszałam – nie rozumiałam wtedy, że mówisz tak wyraźnie jak wcześniej, tylko w inny sposób. Wystarczyło tylko postuchać. Gdy nasza dziewczynka na mnie patrzy, widzę cię w jej oczach. Czuję cię we wszystkim, co robi. Założę się, że twoje serce jest wyraźniejsze niż dźwięk twojego głosu. Nie mogę bez ciebie żyć, a dzięki tej dziewczynce nie będę musiała.

Rozdział 56

Iselin

Klub znajduje się w ogromnej piwnicy w pobliżu Bastylli, w ulicy odchodzącej od Rue Philistène, która kiedyś była zapuszczona, a teraz jest świetna. Znajduję się w sekcji VIP z Enzo i jego przystojnym przyjacielem Matthieu, z którym Noa próbuje mnie wyswatać. Jesteśmy niedaleko boksu, w którym grają DJ Noa i DJ Tantalyste. Włosy mojej siostry są ufarbowane na srebrzysty fiolet i zaczesane w futurystyczny, elegancki bob. Ma na sobie cekinowe szorty, skórzany top wiązany na szyi i nabijane ćwiekami buty od Valentino. Moja siostra, Nora Berge, ze zniszczonej chatki w najodleglejszej części Svartberget, jest wymieniana obok takich osób jak Harley Viera-Newton i Leigh Lezark. Patrząc na nią, odczuwam dumę, a także coś innego – jestem wolna od zazdrości. Urodziła się po to, by być tam na górze – to jej świat i to dobrze, ta chwila nie należy do mnie.

– Issy – mówi Enzo, przystojny, ale dość poważny chłopak Noa. Przechyliłam się w jego stronę, ale nie słyszę, co mówi. Śmieję się, tak jakbym słyszała i najwyraźniej jest to właściwa odpowiedź. Zerkam na telefon – nic. Kaia pewnie od dawna jest w łóżku. Zastanawiam się, czy Alison dała jej Azathioprine o siódmej. Muszę przestać się martwić – wiem, że nawet gdyby zapomniała, to Kaia jej o tym przypomni. Muszę cieszyć się chwilą, znowu być młoda i wolna. Matthieu wciska mi do ręki kolejne piwo i szybko je wypijam; tutaj jest strasznie gorąco. Znowu coś do mnie mówi, a ja się tylko śmieję. Potem przeproszam ich i idę do łazienki. Nawet w kabinie powietrze jest wilgotne i słychać nieprzyjemne dudnienie muzyki. Jak Noa jest w stanie to znieść każdej nocy? I co robi, jeśli ona i Enzo będą mieli dzieci albo zapragnie zostawić za sobą ten świat imprez?

W tej chwili Kaia na pewno śpi, jej mała twarzączka jest wypoczęta. Co zrobi, jeśli obudzi się w nocy i będzie mnie potrzebować? Czy to, że tutaj jestem, oznacza, że jestem złą matką? I dlaczego powiedziałam wtedy tyle strasznych słów – czy naprawdę uważałam, że bycie pijaną w lokalu pełnym ludzi i słuchanie ogłuszającego elektropopu jest lepsze niż bycie w domu? *Świetnie się bawię*, powtarzam sobie. *Przestań się sabotować*. Matthieu jest uroczy. To właśnie takiego faceta powinnam szukać – jest architektem, więc mamy coś wspólnego, jest przystojny i trochę nieśmiały, ma miłe, łagodne oczy. Myję dłonie i przyglądam się sobie w lustrze. Nie uprawiałam seksu od czterech lat. Nigdy nie uprawiałam seksu z tą samą osobą więcej niż kilka razy. Mogłabym dać do zrozumienia, że jestem zainteresowana czymś z Matthieu. Próbuje znowu stać się tą dziewczyną, którą kiedyś byłam, tą, która przyprowadzała chłopców z baru w Saint-Germain, tą, która śmiała się z ich dowcipów, która bezwstydnie ściągała z siebie ubrania, ale która nigdy nikogo do siebie nie dopuszczała. Jednak ta dziewczyna zniknęła, teraz już o tym wiem.

Przez chwilę stoję w przedsionku, ponownie sprawdzam telefon. Nie chcę wyjść na histeryczkę, ale zaczynam się martwić i po wypiciu takiej ilości alkoholu czuję się spowolniona i rozemocjonowana, piszę więc do Alison, chociaż jest już dobrze po północy.

Cześć, chcę tylko sprawdzić, że wszystko w porządku i K leży już w łóżku. Uściskaj ją ode mnie! Issy X

Kupuję sobie kolejne piwo i szybko je wypijam, przeglądając Instagram, próbując przywołać w sobie uczucie prostej radości, którą czułam tutaj, siedząc obok Noa w uberze. Zrobiłam nam zdjęcie, jak pijemy przez słomki z półtoralitrowej butelki Moëta i mam już sto dziewięćdziesiąt pięć polubień. Już mam wracać do środka, gdy otrzymuję wiadomość od Alison.

Mały słodziak szybko padł po planszówkach, pieczeniu chleba bananowego i kąpieli. Rano do ciebie zadzwoni. Xo Ali

Telefon znowu wibruje i przychodzi zdjęcie mojej śpiącej dziewczynki z rozpuszczonymi, potarganymi włosami. W chudych rączkach trzyma fioletowego misia. Ma na sobie chłopięcą piżamę z Misiem Rupertem, której nigdy przedtem nie widziałam, to pewnie po pasierbie Alison. Jest bezpieczna i ma zapewnioną opiekę. Gdy na nią patrzę, moje serce staje się pełne. Dobrze wiedzieć, że wybrałam to życie zamiast tego drugiego – może wszyscy potrzebujemy czasem przypomnienia. Chowam telefon i zaczynam przepychać się przez tłum, uśmiechając się do siebie, znów jestem młoda i szczęśliwa.

Jest już prawie piąta rano, wróciliśmy do mieszkania, cała nasza czwórka porusza się bez celu, robi sobie drinki i zdejmuje niewygodne ubrania, a potem pada na wielkie czarne aksamitne sofy. Założyłam spodnie do jogi, trzymam w dłoni Krwawą Mary, jestem przyjemnie pijana. Enzo dzieli kreski koki z taką wprawą, jakby kroił ser, i już mam powiedzieć nie, dzięki, nie biore, ale potem myślę, dlaczego nie? Dlaczego, kurwa, nie? Noa patrzy, jak wciągam kreski, pierwszą, potem drugą, i widzę, że jest zaskoczona – pewnie do tej pory uważała mnie za sztywniarę. Zastanawiam się, jak opisywała mnie Enzo i swoim przyjaciółom. Czyżbym była tą biedną, niespełnioną starszą siostrą, która utknęła w okropnym życiu? A może jestem zmęczona, ale zabawna i pełna nadziei?

Nadal łączy nas ta sama więź, ale jesteśmy bardzo różnymi ludźmi. Nie mogę uwierzyć, że moja młodsza siostra jest w związku z Enzo od pięciu lat, że mają piękne, choć małe, mieszkanie w centrum Paryża, że Noa jakoś przeszła od trzech słów, kiedy się tu przeprowadziłyśmy (*bonjour*, *baguette* i *merci*) do biegłego posługiwania się językiem francuskim, i że mimo dziwnych fryzur i imprez jest teraz naprawdę dorosłą osobą.

– Chodź tutaj, siostró – mówi Noa i przytula mnie do swojego boku. – Matthieu – mówi – nie sądzisz, że Iselin powinna przeprowadzić się do Paryża? – Noa wymawia moje imię z francuskim akcentem, akcentując ostatnią sylabę zamiast pierwszej. Is-Celine. Podoba mi się to, ale czy mogę być nią? Matthieu kiwa głową i się śmieje, rolując skręta w palcach, jego oczy są szkliste i odległe. Zamykam oczy i od razu czuję, że odpływam z silnym prądem, zapach trawki i papierosów w nozdrzach, gorzki, piekący smak kokainy z tyłu gardła.

Rozdział 57

Alison

– Mam dla ciebie niespodziankę – mówię. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę minę Kai na widok tego, co zrobiłam. Ostatecznie nie było to tak trudne, jak się obawiałam. Wiedziałam, że będzie inaczej, chciałam stworzyć dla Kai piękną przestrzeń. Bierze mnie za rękę, wchodzimy po schodach, Oliver idzie za nami. Odkąd przyjechał tutaj wczoraj wieczorem, prawie ze mną nie rozmawiał, ale uważnie przygląda się Kai. Gdy nieśmiało się do niego uśmiechnęła, on odwrócił wzrok. Widziałam, że jej obecność go bardzo poruszyła i zaniepokoiła. Zatrzymuję się dla efektu przez pokojem, który był kiedyś pokojem mojej córki. Potem otwieram drzwi.

– Twój pokój – mówię i zdumiony wyraz twarzy Kai chwyta mnie za serce. To dość duża sypialnia, z różowo-zielonymi zasłonami w kwiaty. Stoi tam głębokie drewniane łóżko, które kiedyś należało do Sindrego, a potem do Amalie. Zagłówek jest misternie rzeźbiony, a gdy przyjrzeć mu się bliżej, widać miejsce, w którym Amalie pomalowała je kiedyś fioletową kredką. Stoi tam biurko z naszykowanym papierem do rysowania i świeżo zatemperowanymi kredkami, pudełko z nożyczkami, taśmą klejącą, klejem i małymi słoiczkami z brokatem. W kącie znajduje się duża, stara francuska szafa, jej drzwi są otwarte, widać rzędy czystych, złożonych ubrań.

– Kto... kto tu mieszka? – pyta Kaia i na twarzy Olivera pojawia się szok, potem jednak mój pasierb odzyskuje nad sobą panowanie.

– Nikt, kochanie – mówię. – Urządziłam ten pokój dla ciebie.

– Ale... Ale do kogo należą te zabawki? I ubrania?

– Do ciebie, Kaiu. Wszystko w tym pokoju jest twoje.

– Ale... Mam tu być tylko przez dwa dni. Tak mówiła mama. – Czuję na sobie wzrok Olivera, on również myśli, że Kaia przyjechała tylko na weekend.

Jeszcze nie rozumie, że ona należy do tego miejsca, do nas.

– Nie podoba ci się? – Chcę, żeby była wdzięczna. Musi sobie uświadomić, że jedyną osobą, która może jej wszystko dać – od pełnej matczynej uwagi po piękny, wygodny dom i prawdziwą rodzinę – jestem ja.

– Jest cudowny – mówi cicho Kaia i nieśmiało się do mnie uśmiecha. Jest po prostu przeciążona; biedne dziecko jest przecież przyzwyczajone do życia w tej strasznej, ciasnej przestrzeni. – Czy mogę sobie porysować?

– Oczywiście, że możesz, skarbie – odpowiadam.

– Och – mówi Oliver. – Mam dla ciebie... eee... prezent. Leży na łóżku Am... leży na twoim łóżku.

Kaia się rozpromienia i podchodzi do łóżka. Podnosi niezdarnie opakowany prezent i patrzy zdenerwowana to na Olivera, to na mnie. Uśmiecham się do niego – jeszcze nigdy nie byłam tak dumna z mojego pasierba. Wiedziałam, że on zobaczy to, co ja.

– Otwórz go – mówię. Kaia rozrywa papier, a w środku znajduje się miękki fioletowy miś w koszulce z Elsą. Amalia bardzo chciała tego misia i gdy widzę, jak Kaia mocno przyciska go do piersi, czuję, że moje serce przypomina to z rysunku Iselin – otwarte; jego zawile, krwawe wnętrze jest odsłonięte. Patrzę na Olivera i wydaje mi się, że czuje to, co ja.

– Skąd wiedziałeś, że tak bardzo chciałam tego misia? – pyta Kaia i spontanicznie rzuca się w ramiona Olivera, najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z panującego w pokoju napięcia. – Nigdy wcześniej go nie widziałam! Ale właśnie takiego pragnęłam! – Kaia skacze i klaszcze w dłonie, a potem zaczyna się kręcić i głośno śmiać. Mała dziewczynka, trzymająca misia, śmiejąca się w tym pokoju. Czy życie może znowu stać się znośne?

Oliver i Kaia grali w snapa. Upiekli chleb bananowy, Kaia stała na krześle obok Olivera i miała na głowie starą czapkę kucharską Amalie. Zbierali patyki w lesie tuż za naszym ogrodem, tak jak to kiedyś robili. Potem wrzucili je do paleniska i usiedli na podłodze, pijąc gorącą czekoladę z piankowymi sercami, słuchając trzasków ognia w kominku. Oliver nawet usiadł obok Kai przy małym biurku i coś dla niej narysował. Gdy nadszedł czas na sen, Oliver przeczytał jej *Magiczne przygody Misia Ruperta*, których nie знаła, a gdy skończył, zasnęła, w jednej ręczce trzymając książkę, a w drugiej fioletowego misia.

Jest już po północy, ja jednak jestem pobudzona, nie dam rady zasnąć przez obecność Kai w tym domu. Siedzę na krawędzi jej łóżka i patrzę, jak śpi. Wydaje się o wiele mniej niespokojna niż kilka tygodni temu w Norefjell. Wierzę, że moja obecność w jej życiu ma na nią uspokajający i pozytywny wpływ. „Kaia jest całkowicie zdana na łaskę niestabilnej, nieodpowiedzialnej matki, która jest zgorzkniała i robi wyrzuty swojemu dziecku”, napisałam w oświadczeniu dla opieki społecznej. „Jest nieśmiała i ma za mało bodźców. Zasługuje na o wiele stabilniejszy dom”. Nie był to łatwy krok, miewałam chwile zwątpienia i poczucia winy, ale najważniejsza jest w tym wszystkim Kaia. Kocham ją w sposób, w jaki Iselin nigdy jej nie pokocha. Kiedy odzyskałeś coś, co straciłeś, o wiele bardziej o to dbasz.

Głaszczę włosy Kai, porusza się przez sen. Delikatnie wkładam dłoń pod jej piżamę i kładę na jej sercu. Siedzę tak przez długi czas, upajając się słabym biciem serca niczym tlenem. Mój telefon wibruje, to Iselin. W tej chwili nie potrafię sobie nawet jej wyobrazić, tak jakby została całkowicie wymazana z tej sytuacji. I wkrótce rzeczywiście tak będzie. Odpisuję i załączam urocze zdjęcie Kai. Potem odkładam telefon i kładę się obok Kai.

– Witaj w domu, Mills – szepczę, wtulając twarz w jej włosy.

Rozdział 58

Iselin

– Pochodźmy po naszych starych miejscach – mówi Noa, zaskakująco rześka jak na kogoś, kto poszedł spać zaledwie kilka godzin wcześniej, naćpany jak szpak. Enzo nadal śpi w ich sypialni, a Matthieu śpi na kanapie i mruczy głośno, gdy Noa otwiera rolety.

– Dobrze – mówię z lekkim wahaniem, bo powrót do miasta, do którego tak strasznie chciałam wrócić, okazał się zaskakująco nieskomplikowany i martwię się, że gdy zobaczę swoje dawne okolice, rozchoruję się z tęsknoty. Cały czas tak samo uwielbiam to miasto, ale mój dom jest tam, gdzie moje dziecko. Odczuwam wręcz fizyczną tęsknotę za Kaią. Tak jakby brakowało jakiejś części mnie.

Wędrujemy w górę Rue Mouffetard, podziwiając Pont-l'Évêque i francuskie sery, gładzimy palcami bujne, jędrne liście bazylii i jemy świeże croissanty prosto z zatłuszczonych papierowych torebek. Przed obiadem pijemy kieliszek wina przed Place de la Contrescarpe i palimy cienkie francuskie papierosy, siedząc pod czarno-białą markizą, gdy z nieba nagle leje się ulewny deszcz. Schodzimy w dół Rue des Écoles, chichocząc i wspominając wszystkie te noce, gdy wracałyśmy do domu ze Stelli, speluny w niższej części Montmartre, gdzie po przyjeździe pracowałyśmy na część etatu. Jemy kanapki z awokado i sadzonym jajkiem w Coffee Parisien na Rue Princesse, do tego pijemy Krwawe Mary i przez chwilę jest tak, jakbym weszła w zakrzywioną czasoprzestrzeń. Dokładnie w tym samym miejscu siedziałam, gdy powiedziałam Noa, że jestem w ciąży. Przewróciła oczami i wzruszyła ramionami, ani przez chwilę nie uważała, że pozostanie w ciąży w ogóle wchodzi w grę.

– O kurwa – powiedziała. – Jak szybko możesz... no wiesz... się tego pozbyć?

Poprosiłyśmy o rachunek i dopijamy Krwawe Mary numer dwa, gdy Noa przerywa mi, kiedy mówię coś o umowie, którą właśnie podpisałam ze „Speilet”. Sądząc po poważnym tonie jej głosu, czekała na właściwy moment, aby poruszyć ze mną ten temat.

– No więc, Is. Pozwól, że będę z tobą zupełnie szczerą. Alison poleciła cię temu Fransowi, który potem przeprowadził z tobą rozmowę kwalifikacyjną i zaproponował ci tę pracę?

– Tak. Jest redaktorem naczelnym.

– W porządku. I Alison poleciła cię do własnego miejsca pracy na podstawie kilku rysunków, które dla niej zrobiłaś?

– Tak. To znaczy ona chyba widziała większość moich prac. To ona znalazła mnie na Instagramie, a przecież mam tam prawie wszystko.

– Pokaż mi ją.

– O co ci chodzi?

– Zobaczmy jej profil na Instagramie.

– Och. No dobrze. – Wysłałam Alison prośbę o możliwość obserwowania jej profilu jeszcze w Norefjell, ale nie pamiętam, czy dostałam powiadomienie, że się na to zgodziła. Przeglądałam obserwowanych przez siebie ludzi i widzę, że moja prośba do @millerjuulfam nadal nie została zaakceptowana. Noa bierze ode mnie telefon.

– Ona bardzo rzadko korzysta z Instagrama – mówię.

– Ale przecież powiedziałaś, że to właśnie tam cię znalazła?

– Tak, ale ogólnie prawie go nie używa.

– Ale mimo to dodała 488 postów i ma 264 followersów.

– Tak. No dobrze, mam wrażenie, że rzadko sprawdza to konto.

– Facebook?

– Sprawdzalam ją na Facebooku, ale ona jest już chyba za stara na media społecznościowe. Wiesz, jacy są ludzie po czterdziestce – mówię. – Po prostu nie ogarniają.

– Hm – mówi Noa.

– Nieważne. – Coraz bardziej irytuje mnie fakt, że Noa najwyraźniej próbuje przyłapać Alison na jakimś dziwactwie. Pewnie jest zazdrosna – przecież jeszcze nigdy nie byłam z nikim tak blisko jak z siostrą.

– A jaki jest jej mąż?

Zamieram. Naprawdę nie mam zamiaru omawiać z Noą życia osobistego Alison.

– Sindre? Och. Porządny. Może trochę taki typowy Norweg, no wiesz, lepiej czuje się w lesie niż w restauracji. – Chichoczę, próbując poprawić atmosferę, ale Noa mruży oczy.

– A jaki jest dla Kai?

– Hm. Ja nie... Ona go jeszcze nie poznała.

– Co?

– Tak, bo wiesz, on dużo podróżuje. Był w Genewie, potem w Reykjavíku, a potem we Frankfurcie czy gdzieś tam, i to wszystko w ciągu kilku tygodni. I w Kopenhadze. Prowadzi własną firmę, coś z systemami ochrony.

– Poczekaj. Issy, poczekaj. Czy ty chcesz mi powiedzieć, że Kaia została w domu tych ludzi i jeszcze nigdy nie widziała tego człowieka?

– Nie ma go w ten weekend. Jest...

– W podróży.

– Eee... tak.

– W weekend? W pracy? Nie wydaje ci się to dziwne?

– No dobrze, to może wcale nie jest w pracy. Alison powiedziała mi, gdzie pojechał. Może na polowanie albo coś takiego. – Przecież nie powiem siostrze, że zostawił Alison dla innej kobiety, bo jestem trochę zakłopotana tym, jak potoczyło się życie Alison w ciągu ostatnich kilku tygodni, a także tym, że Kaia znalazła się w samym środku tego wszystkiego. A co, jeśli mąż wróci do domu, wściekły, i zacznie grozić Alison? Przecież już wiem, że potrafi być brutalny. Kaia mogłaby znaleźć się w niebezpieczeństwie.

– Jasne. Ale gdy ty go poznałaś, to wydał ci się normalny i miły, tak? – Nagle w moim żołądku obok Krwawej Mary pojawia się ostry, niespodziewany strach. Patrzę na grube pierścionki na mojej lewej dłoni, zaczynam obracać jeden z nich. Czy powinnam powiedzieć siostrze prawdę, czy mam szansę się wyłgać?

– Ja... Ja też jeszcze go nie poznałam.

– Co? Mówisz poważnie? – Kiwam głową. – Issy, ale zdajesz sobie sprawę z tego, że to jest zajebicie dziwne?

– Noa, posłuchaj. Spędziłam z Alison dużo czasu. Jest naprawdę cudowna i...

– Wcześniej mówiłaś mi, że jest dziwna.

– Nie, nie dziwna.

– Tak. Kiedy poszłaś do jej domu, a ona pocięła się kieliszkiem czy czymś takim? Powiedziałaś, że jest w niej coś dziwnego i smutnego.

– Tak, w porządku. Ona jest trochę... tajemnicza. Myślę, że jest samotna. Wzięła wolne w pracy i wydaje mi się, że nie ma w Norwegii zbyt wielu przyjaciół. Niełatwo jest zawierać przyjaźnie, zwłaszcza jeśli nie ma się dzieci. To znaczy, gdzie można spotkać ludzi...

– Dlaczego wzięła wolne?

– Bo pisze. Książkę.

– Jasne.

– Noa, serio, co jest z tobą nie tak? Gdy przyjedziesz następnym razem do Norwegii, możesz ją poznać i sama się przekonasz, że ona jest naprawdę cudowna. Zupełnie normalna. Gdyby taka nie była, nie zostawiłabym jej Kai.

– Iselin, chodzi mi o to, dlaczego uważasz, że ta kobieta, która jest starsza od ciebie o dwadzieścia lat i miała wspaniałą międzynarodową karierę, a teraz nagle nie ma pracy, może być zainteresowana znajomością z młodą, zmęczoną, samotną matką, której rysunki kupiła? To jest dziwne! Ona coś od ciebie chce.

– Dlaczego ty zawsze taka jesteś? – Mimowolnie podnoszę na nią głos. Siedzące przy stoliku obok cztery osoby nagle milkną. – Ty po prostu nie możesz zaakceptować faktu, że ja też mam jakieś życie! Nie jestem tylko biedną Iselin, jestem sobą, podejmuję własne decyzje i zaufaj mi, jestem w stanie zawierać przyjaźnie z ludźmi, którzy mi pomagają bez jakichś pieprzonych ukrytych zamiarów!

– Jak nazywa się jej mąż? – Noa wbija coś w mój telefon, a potem szybko przewija w dół. Nabieram głośno powietrza; najwyraźniej Noa rozpoczęła jedno z tych swoich typowych zadań, podczas których jest nie do powstrzymania.

– Chyba Sindre Juul. – Noa wpisuje raz jeszcze i wtedy jej palec zamiera nad czymś, czego nie widzę. Moja siostra wygląda, jakby miała zwymiotować, i to możliwe, bo pijemy bez przerwy od dwóch dni, nie mówiąc już o koce, ale potem na jej twarzy pojawia się dziwny wyraz, przerażenie i szok. I wtedy podaje mi telefon. Gapię się na nią, nie na ekran. Wiem już, że nie chcę widzieć tego, co znalazła.

– Chryste – szepcze, zanim zmuszam się do spojrzenia na mały niebieski kwadrat i zaczynam czytać.

Już wcześniej widziałam zdjęcia Sindrego – w Norefjell Alison pokazała mi kilka fotografii na swoim telefonie. „Weteran Skarve”, głosi podpis, widzę bardzo przystojnego mężczyznę o łagodnych, brązowych oczach i potarganych blond włosach. Na innych zdjęciach ma ogoloną głowę i wygląda bardziej poważnie. Przechodzę do kolejnego zdjęcia i to właśnie na jego widok moje serce przestaje bić.

Rozdział 59

Alison

Na śniadanie robię ulubione danie Amalie; grube amerykańskie pankejski z syropem klonowym i świeżymi truskawkami. Ja i Oliver wpatrujemy się w Kaię jak urzeczeni i w pewnej chwili ona to sobie uświadamia i oblewa się rumieńcem – może myśli, że żałujemy jej jedzenia. Patrzy na mnie swoimi wielkimi, ufnymi oczami i siłą rzeczy odwracam wzrok.

– Ej, Kaiu – mówię, gdy kończy jeść. – Mam dla ciebie kolejną niespodziankę.

– Co? – krzyczy i klaszcze w dłonie. Zaczyna przyzwyczajając się do tego, że w tym domu spotyka ją niespodzianka za niespodzianką. – Teraz pojedziemy zobaczyć małego konika. Mgiełkę.

– Tak! Mgiełka! Mgiełka! – Malutkie dłonie klaszczą, mała twarz promienieje ze szczęścia. Oliver zerka na mnie znad swojego telefonu. Jest inny niż wczoraj wieczorem, nastolatki mają okropne wahania nastroju. Przez cały poranek jest nerwowy i sztywny, prawie nie odrywa wzroku od telefonu.

– Oliverze, chcesz jechać z nami?

– Nie – mruczy. – Ja chyba... eee... spotkam się później z Celine. Chce iść na zakupy.

– Alison? – pyta Kaia nagle poważnym tonem. Uśmiecham się i odgarniam włosy z jej twarzy.

– Mama nie pozwoli mi iść do konika – mówi. – Mówi, że to przez moje leki...

– Twoja mama się nie dowie – mówię z uśmiechem. Kaia przez chwilę nad tym rozmyśla, a potem w jej oczach pojawiają się radosne iskierki.

– Nie powiemy jej!

– Nie. Nie powiemy.

– Ubierz się ciepło i jedziemy. Uszykowałam ci ubrania na łóżku. – Kaia biegnie na górę, żeby się ubrać. Myję w zlewie kubek po kawie i gdy się

odwracam, widzę wściekły wzrok Olivera.

– Co jest? – pytam.

Zmusza się do uśmiechu, delikatnie kręci głową i wstaje. Chowa telefon do kieszeni, a potem na chwilę zamiera.

– Nic – odpowiada wreszcie i odchodzi.

Widzę, że Mgiełka natychmiast cię rozpoznaje. Przez te wszystkie miesiące, kiedy tu przyjeżdżałam, po prostu stała, patrzyła gdzieś obok mnie, szukała ciebie, teraz jednak radośnie strzyże uszami i wciska pysk w twoje dłonie. Patrzysz na mnie, twoje oczy są pełne miłości i zdumienia. Teraz rozumiesz, wiedziałam, że zrozumiesz. Mgiełka jest twoja, a ty jesteś moja.

Mgiełka kilka razy prychnie i wtula czoło z białą okrągłą łatą w twoją pierś, w miejsce, w którym znajduje się serce. Ona wie, zna ciebie, i tego właśnie potrzebowałam – żeby mieć pewność. Już czas, misiaczku.

Rozdział 60

Iselin

Sindre stoi w nartach, właśnie chyba skończył zjeżdżać ze znajdującej się za nim ośnieżonej góry. Za nim stoi młody chłopak, śmieje się, mruży oczy w słońcu, na jego policzkach widać wyraźny trądzik. A po jego prawej stronie stoi Alison, rozpromieniona, w różowej kurtce narciarskiej i srebrnych śniegowcach. Trzyma na ręku małe, może czteroletnie dziecko – sądząc po różowej czapce i kombinezonie z Królową Elszą, jest to dziewczynka. Po pewnym sobie i zrelaksowanym sposobie, w jaki Alison trzyma to dziecko, poznaję, że musi być jego matką.

– O mój Boże – mówię. Moje serce szybko wali i czuję, że mój kark robi się gorący.

– Tak – mówi Noa i rozgląda się za kelnerem. – Musimy iść.

– No dobrze... Czekał. Przecież nic nie wiemy! To może być zupełnie niewinne zdjęcie!

– Dlaczego Alison miałaby kłamać na temat posiadania dziecka?

– Poczekaj chwilę. – Moje myśli wracają do wczorajszego ranka, kiedy wsiadłam do taksówki, do zrelaksowanej, zaborczej dłoni Alison na ramieniu Kai, kiedy ta do mnie machała. Co mogłoby to oznaczać? Muszę wiedzieć. Może nie ma to żadnego znaczenia, może ta mała dziewczynka to siostrzenica Alison albo ktoś taki.

Szybko wpisuję drżącymi palcami w wyszukiwarkę „Alison Miller-Juul”. Google pyta: „Czy miałaś na myśli Alison Miller-Hughes?”. Są linki do publikacji w „New Yorkerze”, „Dagbladet”, „Paris Weekly” i „The Guardian”. Jej imponująca kariera z pewnością nie jest kłamstwem. Wpisuję „Alison Miller-Juul matka” i na czele wyników wyszukiwania znajduje się artykuł w „KK

Magazine” z 2014 roku. *Czego macierzyństwo w Norwegii nauczyło mnie o amerykańskich wartościach*, brzmi tytuł. Przechodzę do tekstu.

Kiedy moja córka Amalie urodziła się w 2013 roku, zdałam sobie sprawę z tego, że amerykańskie kobiety są źle traktowane, jeśli chodzi o macierzyństwo. Nauczono nas, że naturalną rzeczą jest pracować do dnia porodu, a potem tuż po nim, zostawiając nasze dziecko pod opieką obcych. W Norwegii...

Moje serce bije tak szybko, że mimowolnie dotykam piersi dłonią, by je uspokoić. Piętnaście wdechów, dwadzieścia wydechów. No dalej, Iselin, użyj swojego mózgu. Próbuję stosować moją starą technikę izolowania jednego aspektu problemu i analizowania go przed przejściem do następnego. Alison okłamała mnie w kwestii dziecka. To niekoniecznie oznacza coś złego. Nie musi mi się zwierzać ze swojej przeszłości czy życia rodzinnego. Coś musiało się stać z jej córką, coś strasznego – tłumaczyłoby to wrażenie, jakie czasami odnosiłam, że pod powierzchnią Alison znajduje się coś bolesnego.

– Przeczytaj to – mówię, podając telefon siostrze.

Zamieniamy się telefonami i wpisuję „Amalie Juul” w wyszukiwarkę Google, ale pyta mnie, czy chodziło mi o Amalie Iuel, mistrzynię świata w biegu przez płotki, i pojawiają się tylko zdjęcia lekkoatletki. Próbuję „Amalie Miller-Juul” i dostaję kilkaset wyników. „Dagbladet”, „VG”, „Bergens Tidene”, „Drammensposten”, „Morgenbladet”, „Aftenposten”, cała główna prasa norweska. Nabieram głęboko powietrza i włączam losowo „Aftenposten” z 20 lipca zeszłego roku.

Nie zostanie wszczęte żadne formalne dochodzenie w sprawie śmierci pięcioletniej Amalie Miller-Juul, która utonęła w Bogstadvannet 6 lipca, potwierdza Egil Minnevold z posterunku policji Majorstuen.

Wchodzę na artykuł z „VG” z 9 lipca.

Mała dziewczynka, która tragicznie utonęła na oczach setek rodzin w najgorętszym dniu roku na początku tego tygodnia, została oficjalnie zidentyfikowana jako Amalie Miller-Juul (5), z Frognerseteren.

Jest tam zdjęcie Amalie; typowe zdjęcie przedszkolaka, przedstawiające uśmiechnięte dziecko. Dziewczynka ma uroczą, wąską twarz, z ciemnymi migdałowymi oczami, jak u Alison, i grubymi, ciemnoblond włosami

podpiętymi czerwonymi kokardkami. Nie jestem w stanie myśleć. Wstaję. Ponownie dotykam swojego serca, wali w mojej piersi niczym ptak w pułapce. Noa coś do mnie mówi, ale ja już biegnę, na ulicy Saint-Sulpice, pełnej paryżan, wydaję z siebie wrzask rozpacz. Noa mnie obejmuje i zaczynamy biec w stronę Rue du Four, gdy Noa łapie taksówkę.

– Orly – mówi.

W cichym samochodzie, jadącym powoli przez korki, ja i moja siostra gapimy się na siebie bez słowa.

– To ona, prawda?

– Co masz na myśli? – szepcze Noa z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami, bez mocnego makijażu jej twarz wygląda łagodniej.

– Alison jest matką dawcy Kai.

– Co?

– Ja to po prostu wiem. Noa, 6 lipca.

– O mój Boże – szepcze moja siostra. – Is, spróbuj jeszcze raz do niej zadzwonić. – Próbuję, ale od razu włącza się poczta głosowa. Patrzę na WhatsApp i widzę, że po raz ostatni Alison była aktywna o 1:34 w nocy. Zajmowała się wtedy Kaią? Czy coś się stało? Wiem, że Alison nigdy nie skrzywdziłaby Kai. Nie zrobi jej krzywdy. Nie może. Ale czego chce? Przypominam sobie, jak zmiażdżyła w dłoni kieliszek od wina, o tym, jak jej twarz była dzika i pełna rozpacz, tak jakby ból, który wtedy odczuwała, był dla niej wyzwoleniem. Nie robi krzywdy Kai. Prawda?

– Próbuję znaleźć numer telefonu Sindrego – mówi Noa. – A potem zadzwonię do Norwegian Air. O czwartej jest lot, chyba zdążymy. Issy, powinnaś zadzwonić na policję!

– Na policję?

– Tak! Tak, oczywiście. Dzwon od razu.

Ale właśnie w tej chwili dzwoni mój telefon.

– Słucham?

– Czy to Iselin Berge? – słyszę obcy, spokojny głos.

– Tak! Z kim rozmawiam?

– Z tej strony Silje Mathisen z opieki społecznej, Bærum Barnevernstjeneste.

Rozdział 61

Alison

Gdy odjeżdżam spod stajni, mój telefon zaczyna dzwonić, ale jest w torbie w bagażniku, więc nie mogę się do niego dostać. Przystaje, ale potem natychmiast dzwoni raz jeszcze. I jeszcze. Zerkam we wsteczne lusterko, Kaia trzyma fioletowego misia i coś uroczo do siebie mruczy. Jej oczy nadal promienieją z ekscytacji po spotkaniu z Mgiełką. Zauważa mój wzrok i na mnie patrzy. Być może moje spojrzenie jest zbyt intensywne, bo wygląda na zaskoczoną. Waha się, a potem mówi, tak jakby nauczyła się bać. Pewnie nauczyła ją tego jej matka, biedne dziecko.

– Kiedy przyjedzie mama? – Nie odpowiadam, skupiam się na dzwoniącym wciąż telefonie. Gdy tylko włącza się poczta głosowa, dzwonienie zaczyna się od początku. Kaia też to słyszy, bo odwraca głowę w stronę bagażnika. – Czy to mama dzwoni?

Ignoruję ją.

– Ej, Kaiu, wiesz, co sobie pomyślałam? – Powoli kręci głową. – Powiedz mi, podobała ci się Mgiełka? – Zastanawia się nad odpowiedzią, jej oczy ponownie promienieją.

– Bardzo.

– A co, gdyby... Gdyby Mgiełka była twoim konikiem?

– Chciałabym – mówi Kaia i ściąga brwi. – Ale...

– Ale co?

– Mama nigdy by mi nie pozwoliła.

– To chyba trochę okrutne, nie sądzisz? Na pewno pozwoliłaby ci mieć małego uroczego konika?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Jeśli chcesz, porozmawiam z nią o tym. Chciałabym dać ci Mgiełkę. Zasługujesz na własnego, pięknego kucyka, Kaiu.

– Ale... Ale Mgiełka to koń Olivera.

– Tak, to prawda. Ale on robi się dla niej zbyt duży. Widziałas, jaki wysoki z niego chłopak, a Mgiełka jest bardzo małym kucykiem. Idealnie do ciebie pasuje. W każdym razie to był pomysł Olivera.

– Tak?

– Tak. Wiesz, Oliver tak bardzo cię lubi. Chciałby mieć młodszą siostrę, taką jak ty.

– Och.

– Marzyłaś kiedyś o mieszkaniu w dużym domu, o własnym koniku, o takich rzeczach?

Kaia nie odpowiada, ale najwyraźniej się nad tym zastanawia, spogląda na rozciągające się poniżej Oslo, gdy jedziemy Holmenkollveien obok skoczni.

– Chcę do mamy – mówi. Moje wnętrzości kurczą się z gniewu. Łapię kierownicę tak mocno, że moje knykcie stają się białoniebieskie jak lód. Zbliżamy się do wzgórza, przy którym znajduje się dom, a mimo to telefon nie przestaje dzwonić. Zaczynam się denerwować – kto mógłby tyle razy się do mnie dobijać? Sindre? Próbuję sobie wyobrazić mojego męża i nie mogę – w moim umyśle jego twarz stała się niewyraźna. Po co miałby tak do mnie wydzwaniać? Pod wpływem impulsu zatrzymuję się na przystanku autobusowym, zostawiam włączony silnik i wyjmuję torebkę z bagażnika. Nawet teraz telefon wibruje i dzwoni w bocznej kieszeni torby.

Mam dziewięć nieodebranych połączeń od Iselin, dwanaście nieodebranych połączeń od Sindrego i trzy nieodebrane połączenia z prywatnego numeru. Serce zaczyna walić mi mocno i boleśnie w piersi. Oni wiedzą. Dostaję wiadomość od Sindrego.

Cześć. Wróciłem wcześniej z Rejkiawiku. Muszę z tobą jak najszybciej porozmawiać. Możesz do mnie zadzwonić? Przepraszam za wszystko. Tak bardzo mi przykro. Kocham cię.

On z pewnością wie. Oliver mu powiedział. Musiał się wystraszyć, przez cały poranek dziwnie się zachowywał, zajmował się telefonem, nie chciał bawić się z Kaią tak jak poprzedniego wieczoru. I patrzył na mnie w taki sposób... Jak on mógł mi to zrobić? Nie pozwolę, aby ten pokryty krostami, słaby czternastolatek, wzór cnót wszelakich, popsuł moje plany. Prędeż go zabiję.

Siadam z powrotem za kierownicą, wciskam pedał i zawracam volvo na zwirze, słonym po poprzedniej zimie.

Rozdział 62

Iselin

Samolot leci przez chmury. Dłoń Noa jest lepka w mojej dłoni. Na horyzoncie rumieni się horyzont, a ja zaczynam się modlić w myślach, odmawiam tę samą modlitwę, którą odmawiałam, gdy z Kaią było bardzo źle. Moje dziecko. *Proszę, proszę, proszę, szepczę.*

Gdy byłam mała i próbowałam przetrwać dni spędzone w Svartberget, nauczyłam się techniki opanowywania uczuć. Wiedziałam, że nie da się naprawić wszystkiego naraz, czasami trzeba się skupić tylko na uspokojeniu oddechu i wtedy można rozwiązywać problemy jeden po drugim. Wykorzystywałam tę technikę, gdy ojciec wrzeszczał na matkę, gdy jego głos odbijał się od cienkich ścian tak długo, aż matka wybuchała płaczem. Ja i Noa siedziałyśmy wtedy w naszej skrytce na strychu i rysowałyśmy długopisem bazgroły na nadgarstkach. Skupiałam się wyłącznie na oddechu, liczyłam do piętnastu podczas wdechu i dwudziestu podczas wydechu, aż wreszcie miałam pewność, że usnął pijany. Wykorzystywałam tę technikę, gdy Kaia walczyła o życie. Gładziłam jej rączkę przez dziurę w inkubatorze, nabierałam powietrza i je wypuszczałam, zawsze piętnaście wdech i dwadzieścia wydech, skupiałam się wyłącznie na tym i na jej dziecięcej buzi, wrytej w mojej pamięci. Oddychaj i się módl. Módl się i oddychaj.

Samolot pędzi na północ z wiatrem i lot jest na szczęście krótki. Gdy tylko drzwi się otwierają, mnie i Noa pomagają wysiąść dwaj mężczyźni. Przy bramie czeka mały van, szybko przejeżdżamy przez budynek terminala. Wiedzą, że to sprawa wyjątkowa, że dziecko znajduje się w niebezpieczeństwie, że wezwano policję, że jestem matką małej dziewczynki, która została porwana. Mój telefon ciągle pika od nieodebranych połączeń i wiadomości.

W ostatniej z nich czytam, że Alison zniknęła bez śladu. To od Sindrego Juula.

Rozdział 63

Alison

Dom jest pusty. Ten mały gówniarz musiał mieć w sobie na tyle rozumu, że pojechał do matki. Ma szczęście, inaczej porachowałabym każdą pieprzoną kość w jego ciele. Rozjechałabym go samochodem. Jego głowa zostałaby zmiażdżona przez koła samochodu – widzę to wyraźnie oczami wyobraźni. Nie mam zbyt dużo czasu, ale muszę wziąć torbę. Ty jesteś w samochodzie, przypięta pasami, czekasz. Widzę cię z okna na schodach, siedzącą w bezruchu i grzecznie na tylnym siedzeniu, małe mlecznobiałe rączki splecione na kolanach. Otwieram kopniakiem drzwi do pokoju Olivera na wypadek, gdyby się tam krył, ten pierdolony zdrajca, ale pokój jest pusty. Zabieram torbę z twojego pokoju i zbiegam po schodach.

Znowu jadę szybko, łamię wszystkie przepisy i widzę po twoich oczach, że jesteś przerażona. Bardzo się boisz. Chcę ci powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Mam twój paszport. Mam twojego misia. Mam wszystko oprócz tej dziewczynki. Ale my to naprawimy. Naprawimy to, misiaczku. Wszystko wróci do normy i będzie takie, jakie powinno być. Będziemy ty i ja... Teraz wiem już, że mnie słyszysz, widzisz i czujesz. Wiem, że mnie potrzebujesz, i muszę to zrobić, a wtedy wszystko zostanie cofnięte. Naprawione.

- Jedziemy już do domu? – pytasz cienkim głosem.
- Nie, kochanie, jeszcze nie teraz.
- Ja... Chcę do domu.
- Nie – mówię, i na skrzyżowaniu skręcam w lewo, w kierunku Bogstad.
- Dokąd jedziemy?
- Będziemy grać w grę.
- Jaką grę?

Nie odpowiadam, bo nie musisz od razu o wszystkim wiedzieć; dzieci muszą uczyć się cierpliwości. Zerkam na ciebie i potem ponownie patrzę na drogę, serce drży mi w piersi z ogromnej miłości do ciebie. Niemal na głos śmieję się z tego niewiarygodnego obrotu spraw, z tego, co zaraz się wydarzy, i z tego, że mimo całego tego stresu cuda naprawdę istnieją. Nie chciałam robić tego teraz, ale po tym, co uczynił Oliver, nie mam wyboru. Twoja twarz jest spięta i przerażona, twój niepokój mnie denerwuje, bo jedyne, czego kiedykolwiek chciałam, to się tobą zajmować, kochać cię i zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Nie martw się, Mills – mówię i uśmiecham się do ciebie w najbardziej ciepły, uspokajający sposób.

– Kim jest Mills? – pytasz i twoje słowa napełniają mnie gniewem, bo przecież już przez to przechodziłyśmy, dotarłyśmy do miejsca, w którym nie musimy już udawać ani kłamać. Możemy po prostu być razem, otwarte na to nowe życie i na cuda. Nabieram głęboko powietrza i świadomie pozbywam się gniewu i wszystkiego, co się wydarzyło. Jest piękny dzień, słońce świeci po deszczowym poranku, miałam nadzieję, że tak będzie, i proszę, ty i ja, dziewczyny Juul, jedziemy nad jezioro.

Rozdział 64

Iselin

Helikopter policyjny unosi się nisko nad E6 na wschód, zmuszam się, by na niego patrzeć. Mijamy go, próbuję rozszyfrować trzask policyjnego radia.

– Czy to helikopter szukający mojej córki? – pytam i młody rudowłosy policjant, który prowadzi vana, waha się, a potem kiwa głową.

– Mamy zamiar zablokować główne ulice prowadzące z miasta – mówi. Noa i ja jeszcze raz po sobie patrzymy. Dokąd, dokąd ona ją zabierze? Czego chce? Wiem, czego ona chce. Chce odzyskać serce Amalie. Widzę ją oczami wyobraźni, w Blåkroken, moje ufne dziecko siedzące obok niej, nieświadome tego, że ta kobieta może je skrzywdzić. Na moim telefonie pojawia się kolejna wiadomość, to znowu jej mąż.

Oliver wie, dokąd mogły pojechać. Szybko!

Rozdział 65

Alison

– Dalej – mówię, mój głos unosi się po powierzchni zimnej, ciemnej wody. Teraz jesteś potwornie przerażona, ale to dlatego, że nie rozumiesz. Zawsze boimy się tego, czego nie rozumiemy. Ja się tego nauczyłam i wiem, że ty też się tego nauczysz. Wkrótce to wszystko nabierze sensu. Kręcisz głową i się ode mnie odwracasz, patrzysz na jezioro. Przyjechałyśmy od północy, bo tu jest spokojnie, daleko od drogi i małej plaży po przeciwległej stronie, po której ludzie lubią spacerować. Nikt nas tutaj nie zobaczy ani nie usłyszy. Stoję w wybranym kilka dni temu miejscu i naprawdę jest idealne.

– Proszę, czy mogę już wrócić? – pytasz.

– Nie! Dalej! Powiedziałam ci, co masz robić! – Zaczynasz płakać, trzęsiesz się od szlochów i z zimna. Twoje ciało jest tak chude i blade, prawie przezroczyste tak jak niebo, tak jak woda. Blizna na twojej piersi jest tak długa, że wygląda, jakby ktoś próbował przepiłować cię na pół, jest ciemna, purpurowa w bezlitosnym świetle dnia. Wcześniej jej nie było, ale to nie ma znaczenia, wszyscy się zmieniamy, życie naznacza każdego z nas. Ostatecznie to właśnie blizny czynią cię piękną i mam nadzieję, że to zrozumiesz. Robisz kilka kolejnych kroków w głąb wody, przyciskasz ręce do boków, a potem się zatrzymujesz i odwracasz w moją stronę. *Nie umiem pływać*, wyszeptałaś, gdy ci wyjaśniłam, co się wydarzy. *Nie musisz*, odparłam.

Zamykam oczy. Wróciłam tam. Ty też.

– A teraz pod wodę! – krzyczę. Nic nie mówisz, ale powoli opadasz na kolana, woda sięga ci ponad pas. Mam zamknięte oczy, jestem gotowa. Zaczynasz płakać, twój głos zamyka się wokół mojego serca, ale nagle nad jeziorem unosi się inny dźwięk, przypomina rozcinający powietrze helikopter. To działa, znowu jesteśmy tam, nawet odgłosy są te same. – Teraz! – krzyczę. – Powiedz to!

- Mamo! – krzyczysz.
- Nie, mamusiu!
- Mamusiu – mówisz.
- Głośniej!
- Mamusiu! – wrzeszczysz. – Mamusiu!

Jedyne, czego chciałam, to usłyszeć twój słodki głos, wzywający mnie, potrzebujący mnie, wbiegam do lodowatej wody, krzycząc twoje imię, szukając po omacku twojego rzucającego się ciała, i udaje mi się złapać twoją chudą, śliską rękę. Mam cię. Mam cię, misiaczku, i już nigdy się nie wypuszczę. Naprawiliśmy to, wszystko jest inaczej, wszystko cofnięte, możemy stąd odejść. Razem. Możemy jechać do Kalifornii albo na południe Francji, albo do Paryża, albo do każdego innego miejsca w świecie. Razem.

Ale odgłos helikoptera nie znika, chociaż już go nie potrzebuję. *Mam ją*, krzyczę. *Mam ją, jest tutaj, znalazłam ją, wszystko jest w porządku.* Śmieję się i płaczę, wypluwając nieświeżą, ziemistą wodę z jeziora, ale hałas jest tak potężny, że muszę zasłonić uszy. Helikopter jest bezpośrednio nade mną, na powierzchni wody pojawiają się pienne zmarszczki, nie mogę cię jednocześnie trzymać i zasłaniać uszu, wymykasz mi się z powrotem do ciemnej wody, albo nie, zostajesz z niej wyniesiona, ja też, a raczej ktoś mnie ciągnie, rzuca na ziemię, twarde dłonie sprawiają mi ból. Jakieś głosy wrzeszczą mi do uszu i nad moją głową, ludzie krzyczą, ale niezależnie od wszystkiego ja nie otworzę oczu.

Epilog

Alison, szpital Gaustad, cztery miesiące później

Jest tu ogród i codziennie siedzę w nim przez kilka godzin. Nieważne, że pada – nikt nic nie mówi ani nie próbuje mnie powstrzymać. Dziś pada deszcz, choć jest lipiec, a krople, które spadają na moją skórę, są duże i ciepłe, niosą ziarenka piasku i ziemi z innych miejsc.

Wkrótce możesz wrócić do domu, Alison.

Nie wiem, co to oznacza.

Leki, które mi podają, sprawiają, że moje myśli są trzeźwe i wyraźne niczym diamenty wyciągnięte z czarnej ziemi. Przychodzą do mnie teraz jedna po drugiej, nie wszystkie naraz, mogę je obracać i przerabiać w swojej głowie, a potem wypuszczać. Teraz wszystko rozumiem. Rozumiem, że prawda, nieważne jak bardzo bolesna, jest wszystkim, co mamy.

Oliver powiedział swojemu ojcu prawdę. Tak należało uczynić. A teraz przychodzi do mnie do ogrodu co czwartek po szkole. Dzisiaj też przyjdzie, będziemy siedzieć długo z głowami skierowanymi w stronę nieba, pozwalając, by ciepły letni deszcz spływał po naszych twarzach. Oliver pozwoli mi potrzymać go za rękę i spróbuje ukryć swoje nadal smutne oczy. Zanim odejdzie na parking, na którym będzie czekać na niego Monica, powiem mu, że go kocham. Mój chłopiec.

Sindre rozpadł się tak jak ja. Znowu jest w domu, a wkrótce ja również tam będę. Nie wiem, czy możemy znowu mieszkać pod jednym dachem, ja i on. Jak mamy to zrobić? On też czasami do mnie przychodzi, ale mało rozmawiamy, chodzimy tylko po ogrodzie albo gapimy się na ściany w moim pokoju.

Wyobrażam sobie, że Kaia Berge jest w domu ze swoją matką, gdziekolwiek się on teraz znajduje. Iselin do mnie napisała, to więcej, niż mogłam się spodziewać. Wraca do szkoły artystycznej, wyprowadzają się daleko stąd.

Nazwała to nowym początkiem. Poprosiła mnie, żebym nie odpisywała ani nie próbowała ich szukać, i nigdy nie będę ich szukać.

Amalie odeszła. Nie ma jej w jeziorze ani w jej pokoju, ani w sercu bijącym w klatce piersiowej Kai Berge. Odeszła i nie wróci. Czasem jednak czuję ją w lekkiej wieczornej bryzie, w niemożliwym pięknie pąków róży w tym ogrodzie, w mieniącym się świetle niezliczonych gwiazd rozsianych po nieskończonej ciemności nocnego nieba – a każda z nich to inny świat.

Podziękowania

Powieść jest potężnym wspólnym przedsięwzięciem – jeśli do wychowania dziecka potrzebna jest cała wioska, to do produkcji książki potrzeba średniej wielkości miasta. Muszę podziękować wielu osobom. Po pierwsze, dziękuję wspaniałemu zespołowi agentów literackich MBA Literary Agents, a przede wszystkim mojej agentce, Laurze Longrigg, za entuzjizm, zachętę, wsparcie i niesamowity sposób, w jaki się mną opiekowała. Dziękuję również Jill Marsal i Louisie Pritchard, jak ja się cieszę, że mogę z wami pracować.

Dziękuję całemu zespołowi Head of Zeus – uwielbiam pracować z każdym z was. Wielkie podziękowania dla Madeleine O’Shea, mojej redaktor z Head of Zeus – współpraca z tobą to prawdziwa przyjemność. Twój instynkt i spostrzeżenia są idealne i przyniosły ogromne korzyści.

Dziękuję całemu zespołowi w Berkley/Penguin Random House USA, przede wszystkim Michelle Vega, mojej amerykańskiej redaktorce, której mądre spostrzeżenia i entuzjizm ogromnie pomogły mi w tworzeniu tej książki.

Dziękuję mojej społeczności pisarskiej – Tricii Wastvedt za tak wiele lat wsparcia, zarówno twórczego, jak i osobistego, oraz za mądrość i przyjaźń. I dziękuję Barbarze Jaques; pisarze potrzebują przyjaciół-pisarzy, a twoje wsparcie jest nieocenione. I wszystkim w mojej grupie pisarskiej: Christine, Minnie, Mary, Di, Jane i Fionie.

Życie za życie było również łamaczką serc i miałam szczęście, że wokół mnie utworzyła się niesamowita grupa wsparcia. Rhondo Guttulsrod – dziękuję za spacer, śmiech i łzawe rozmowy telefoniczne oraz niekończące się żarty z emotek jednoroźca i ośmiornicy; twoja przyjaźń znaczy dla mnie bardzo wiele. Dziękuję Sinead McClafferty L’Orange za regularne bąbelki i filozoficzne dyskusje, które również były dla mnie ostatnią deską ratunku. Ogromne podziękowania dla Krishy Leer za wkład medyczny, spacer i kawę oraz za to, że sprawiłaś, że czuję się zdrowa na umyśle i zrozumiana. Dziękuję Trine

Bretteville i Elisabeth Hersoug, których przyjaźń przetrwała dziesięciolecia i jest dla mnie bardzo ważna. Dziękuję Lisie L. – za słuchanie i za to, że nauczyła mnie słuchać (i za troskę).

Dziękuję tobie, Lauro, za to, że jesteś na zawsze moja, że jesteś moją strażniczką serca. Dziękuję mojej matce, Marianne, za wszystko, jak zawsze. Dziękuję również Judy i Chrisowi Hadfieldom za entuzjazm, wsparcie i ciągłą opiekę nad psami. Dziękuję moim dzieciom, Oscarowi i Anastasii, za to, że są miarą tego, co ważne, a co nieważne, a przede wszystkim za miłość samą w sobie.

Ta książka miała wspaniałą ścieżkę dźwiękową, ale mimo to została napisana w dużej mierze do jednej piosenki Sia – *House on Fire* – dziękuję ci więc, Sia, za piosenkę, która zawsze będzie moją piosenką.

Wielkie podziękowania należą się również personelowi oddziału intensywnej terapii noworodków w Szpitalu Uniwersyteckim Ullevål, który w grudniu 2006/styczniu 2007 roku uratował mojemu pierworodnemu życie wbrew wszelkim przeciwnościom losu. Największe podziękowania należą się w szczególności Stefanowi Kutzsche. Wiele z doświadczeń bohaterów tej książki zostało zaczerpniętych z tamtego bardzo traumatycznego okresu. Nigdy nie zapomnę, jak bardzo walczyliście o uratowanie mojego syna – nie wystarczą tu żadne podziękowania.

Niniejsza książka jest dedykowana wszystkim dawcom organów.

Brytyjska mistrzyni thrillera,
którą czyta cały świat



W serii z nadinspektorem Tomem Douglasem
ukazały się dotąd powieści:

*Tylko niewinni, Droga ucieczki, Śpij spokojnie,
Obce dziecko, Zabij mnie znów, Szóste okno,
Podejdź bliżej, Idealne kłamstwo*

FILIA MROczNA
STRONA

**Polecamy bestsellerowe thrillery
psychologiczne MINKI KENT!**



FILIA

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

CZEŚĆ I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27

CZEŚĆ II

Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42

CZEŚĆ III

Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Epilog

Podziękowania

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Heart Keeper*

Copyright © Alex Dahl 2019

All Rights Reserved

Copyright for the Polish edition © 2020 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Zdjęcie na okładce: © Natasza Fiedotjew / Trevillion Images

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk, Paulina Jeske-Choińska

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-234-7

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl